

**James Follett**

# **Dominator**

*Dominator*

Tłumaczenie

Wit Górski



*Mary Read*

# 1. Czerwiec

Ze skrzydłami mocno odchylonymi w kierunku kadłuba przypominającego cielsko rekina, myśliwiec bombardujący mknął z olbrzymią prędkością, w której wyniku tytanowe blachy jego poszycia zaczęły się żarzyć.

MIG-35 był najszybszym samolotem bojowym na świecie. Nadleciał z zachodu przebijając się z sześciokrotną prędkością dźwięku przez mgły nad Morzem Śródziemnym, zachowując pułap pięćdziesięciu stóp, który pozwalał mu uniknąć radaru, i zostawiając ryk dwóch silników odrzutowych Tumańskiego w odległości stu mil za sobą.

Pilot nie miał specjalnie, co robić. Armon Habet siedział otoczony milczącą ścianą urządzeń elektronicznych i zegarów. Komputery pokładowe sterowały każdym aspektem lotu, przekładając sygnały płynące z omiatających ziemię radarów na impulsy utrzymujące z absolutną precyzją maszynę na kursie i odpowiedniej wysokości.

Armon nie spuszczał czujnego wzroku z monitorów ostrzegawczych powiadamiających go o wykryciu zbliżającej się rakiety. Miał duży szacunek dla izraelskiej straży przybrzeżnej. W czasie ostatniego nalotu ścigała go przez dwie minuty rakietą ziemia-powietrze typu Mishmar. Całe szczęście, że MIG-35 potrafił rozwinąć dostateczną prędkość, aby zgubić Mishmara, lecz było to dość ryzykowne, i zawsze istniała możliwość, że dobrze namierzona rakietą przechwytyjąca trafi w cel.

Rozległ się brzęczyk informujący o zbliżaniu się do celu. Armon nacisnął kciukiem guzik uzbrajający systemy broni, i MIG wzbił się automatycznie na pułap pięciuset stóp.

Zza horyzontu wychynął nagle hotel, który zaczął przybliżać się do Armona z prędkością jednej mili na sekundę.

Nagły wstrząs i zmiana odczytu na zegarach poinformowały go o wystrzeleniu rakiety AS-20.

Armon nie miał żadnej możliwości przyjrzenia się skutkom rozpoczętego przez siebie ataku. W czasie kiedy MIG przeniknął na głębokość dziesięciu mil przestrzeń powietrzną Izraela i zaczął nabierać wysokości, aby przelecieć nad wzgórzami Golan, rakietą rozpoznała cel i sama naprowadziła się na jego kierunek.

AS-20 znajdowała się w odległości stu metrów przed hotelem, gdy jej komputer pokładowy zdetonował głowicę, która wyrzuciła przed siebie wiązkę złożoną z trzystu bomb przeciwpiechotnych.

Goście hotelowi nie mieli czasu zorientować się, co to za piekielna broń w nich

uderzyła, ani też, aby się przestraszyć. Bomby wielkości piłeczek baseballowych przedarły się przez fronton hotelu w tym samym czasie, gdy fala uderzeniowa wywołana przelotem MIG-a zatrzęsała obiektem i otaczającymi go budynkami mieszkalnymi.

Bomby eksplodowały w sypialniach i w łazienkach. Eksplodowały w windach. Eksplodowały w restauracjach i w barze oraz w saunie. Eksplodowały w salonie fryzjerskim, w hallu i w sklepach z pamiątkami. Część wybuchła nawet na zatłoczonym basenie kąpielowym. Dziewięć z dziesięciu rozrywających się bomb obsypało wszystko tysiącami małych plastikowych kolców wbijających się głęboko w ciało. U ofiar, którym udało się przeżyć, kolce były praktycznie nie do wykrycia na zdjęciach rentgenowskich. Zaś trucizna wydzielana przez nie, kiedy rozpuszczały się we krwi, zapewniała, że ofiary i tak umrą, doprowadzając przedtem do wykorzystania wszystkich zapasów środków medycznych nieprzyjaciela. Co dziesiąta bomba miała ładunek zapalający, który rozbryzgiwał na wszystkie strony krople lepkiego, rozgrzanego do białości magnezu.

Armon i jego MIG noszący znaki Sił Powietrznych Palestyny znajdowali się nad Nazaretem, mknąc w kierunku Syrii, gdy powietrze nad śródziemnomorskim ośrodkiem wypoczynkowym rozdarły pierwsze pełne przerażenia krzyki ofiar.

\*\*\*

Hendrik Rymann, dwunasty z rzędu premier Izraela, odbywał właśnie swoją zwyczajową, godzinną popołudniową drzemkę w sypialni na najwyższym piętrze oficjalnej rezydencji przy ulicy Smolenskin w Jerozolimie, kiedy odezwał się zielony telefon ustawiony obok łóżka.

Do czasu, kiedy namacał wreszcie słuchawkę, zdążył zupełnie otrząsnąć się z resztek snu. Tylko jedna osoba mogła zadzwonić do niego przez telefon wyposażony w urządzenie kodujące, a był nią jego bliski przyjaciel i długoletni powiernik, dr Michael Greer, elegancki cywilny kierownik Instytutu, znanego lepiej jako Mossad - czyli Izraelska Służba Bezpieczeństwa. Musiały być to złe, a właściwie bardzo złe wiadomości. Nikt już nie słyszał w tych czasach dobrych wiadomości.

- Dobry wieczór, Michael - odezwał się Rymann siląc się na zdecydowany ton głosu i ciągle jeszcze przecierając oczy.

Greer nie podjął żadnej próby przeproszenia Rymanna za zakłócenie jego odpoczynku, bowiem wiedział, że ten od razu przerwie mu w pół słowa.

- Hendrik, mieliśmy następny incydent z MIG-iem-35 - zaczął wobec tego bez żadnych wstępów.

Rymann otrząsnął się w jednej chwili z resztek snu:

- Gdzie?

- Netanya. Hotel Dan.

- Czy były jakieś ofiary? - zapytał Rymann o rzecz dla niego najważniejszą.

Po drugiej stronie linii nastąpiła chwila ciszy.

- Ponad dwustu zabitych. Nie licząc z górą czterdziestu rannych.

Ktoś, kto nie znał dobrze izraelskiego premiera, mógłby sądzić patrząc na jego dobronudną twarz, że ta wiadomość go nie poruszyła. W rzeczywistości Hendrik Rymann poczuł nagły przyływ nudności. Przeczesując palcami krótko przystrzyżone włosy próbował złożyć już w myślach treść pisma, które należało rozesłać wszystkim rodzinom poległych. Postanowił również wygospodarować jedną godzinę z każdego dnia pracy celem zredagowania osobistych listów do bliskich krewnych tych wszystkich, którzy oddali życie w wyniku tego konfliktu. Trzeba było przyznać na jego korzyść, że rok ciągnących się krwawych zamieszek z OWP nie znieczulił go na informacje o poległych.

- Dziękuję za telefon, Michael - powiedział wreszcie. - Omówimy tę sprawę na wieczornym zebraniu.

Rymann odłożył słuchawkę nie czekając na odpowiedź. Leżał wyciągnięty na łóżku wpatrując się w sufit.

Jego poprzednik skontaktowałby się z Naczelnym Dowództwem Chel Ha'Avir<sup>1</sup> zarządzając natychmiastowy nalot odwetowy. Lecz z tego właśnie powodu to nie impulsywny Hari Ritz lecz Hendrik Rymann został premierem Izraela. Przed dwunastoma miesiącami część Ściany Płaczu uległa zniszczeniu w wyniku samobójczej misji dokonanej przez OWP. Rozwścieczony przez atak na najświętsze ze świętych miejsc dla Żydów Ritz rozkazał dokonanie ataku na Kaabę w Mekce. Wydał rozkaz nie konsultując się ze swymi doradcami ani też gabinetem. W nalocie na Wielki Meczet zginęło prawie pięć tysięcy muzułmańskich pielgrzymów zgromadzonych wokół świętego czarnego kamienia.

Było to zupełnie szalone pociągnięcie, za które przyszło Izraelowi drogo zapłacić, i które doprowadziło do drugiej wojny na wyczerpanie. Bogata w ropę Arabia Saudyjska zarzuciła swoją umiarkowaną politykę w stosunku do Izraela i stanęła zdecydowanie po stronie OWP. Egipt anulował podpisane wcześniej z Izraelem traktaty pokojowe przyjmując podobny front, zaś za Egiptem podążyła cała reszta świata arabskiego. Związek Radziecki, czując nagłą zmianę orientacji politycznej, natychmiast zaproponował OWP tymczasową siedzibę w Bakal nad Morzem Czarnym, która została zaakceptowana przez charyzmatycznego przywódcę OWP, Josepha Makena.

---

<sup>1</sup> Siły Powietrzne - przyp. tłum.

Hari Ritz ustąpił z zajmowanego stanowiska oraz miejsca w Knesecie, zmuszając tym samym partię polityczną i rządzącą koalicję do szybkiego znalezienia następnego przywódcy. Kandydatura Hendrika Rymanna, dobrodusznego, zwięźle się wysławiającego ministra obrony, mającego przy tym niepohamowaną słabość do całych zastępów pięknych kobiet, nie była wcale oczywista. Ogólnie uważano, że szczerść charakteru i dobroduszość Rymanna świadczyć będą na jego niekorzyść. Dziennikarze, którzy nie znali zbyt dobrze Rymanna, twierdzili że nie sposób brać poważnie człowieka, który oświadczył kiedyś dziennikarzowi CBS, że jedynym minusem Izraela jest niedostateczna ilość blondynek w tym kraju.

Gdy rozpoczęła się zjadła walka między poszczególnymi partiami, wiele osób zdumiało się widząc, ilu zwolenników ma Rymann. Jego kandydatura otrzymała poparcie czterdziestu ze stu trzydziestu członków Knesetu. Jeszcze bardziej zadziwiające było to, że wpływowy rabin Val Nassim, członek ultraortodoksyjnej partii Agudat Yisrael, poparł Rymanna twierdząc, że lepiej będzie mieć za premiera uczciwego człowieka niż hipokrytę. Co się tyczy poczucia humoru Rymanna, miało mu ono bardzo pomóc w czasie najbliższych paru miesięcy. Tak więc skończyło się na tym, że Hendrik Rymann został w wieku czterdziestu dziewięciu lat premierem Izraela w pierwszym roku urzędowania osiemnastego Knesetu.

Rymann wrócił myślami do odbytej przed chwilą rozmowy telefonicznej. Nietrudno było zrozumieć, dlaczego Joseph Maken wybrał Hotel Dan na kolejny cel swoich błyskawicznych nalotów. Położony nad brzegiem morza obiekt uważano za jeden z najlepszych w Izraelu, i jako taki był często używany w czasach wojskowej przewagi Izraela jako miejsce podpisywania traktatów pokojowych z wrogo nastawionymi sąsiadami. Będąc młodym oficerem Rymann brał udział w ceremonii podpisywania w Hotelu Dan traktatu pomiędzy Izraelem a Libanem. W ciągu następnych lat hotel stał się w oczach Arabów miejscem wielu poniżeń. Było zupełnie oczywiste, że OWP będzie się starała go zniszczyć, gdy tylko nadarzy się ku temu sposobność.

Rymann zerknął na zegarek. Do chwili wezwania go przez sekretarza zostało mu jeszcze dwadzieścia pięć minut cennej samotności. Chwilę wahał się, czyby tak nie wezwać Semony i spędzić z nią pozostały mu czas, lecz odrzucił tę myśl. *Rav-Turai* (sierżant) Semoni Luca była najpiękniejszą kierownicą w armii izraelskiej. Jej największym plusem, pomijając wspaniałe ciało, było to, że nie trzeba jej było potajemnie sprowadzać i wypuszczać z rezydencji, jako że należała już do grona pracowników. Problem polegał na tym, że zaczęła mu się za bardzo podobać.

Zapadając w kolejną drzemkę Rymann dziwne przecucie, że oczekuje go jeszcze

jeden, o wiele większy wstrząs niż atak na Hotel Dan.

## 2.

Nic nie wskazywało na to, że jedynie trzydzieści minut dzieli jednego z członków załogi promu kosmicznego Pojazd Orbitalny PO-141 *Dominator* od nagłej i straszliwej śmierci.

Odbywszy już trzydzieści jeden lotów promem, Neil O'Hara nadal napawał się widokiem, jaki dawała mu Ziemia oglądana z kosmosu. Astronauta sądził, że nawet po wykonaniu setnego zadania nie daruje ani chwili ciszy panującej w czasie lotu, aby móc nasycić oczy widokiem spokojnej, akwamarynowego koloru planety, która była jego domem.

Podobnie jak w przypadku wielu innych kolegów latających promami, praca w kosmosie wywierała bardzo silny wpływ na jasnowłosego astronautę. Oglądanie Ziemi jako niewielkiego w sumie ciała zawieszzonego w kosmosie budziło w nim cyniczne lekceważenie dla granic oraz różnic między poszczególnymi państwami. Z wysokości dwustu mil błahe zatargi ludzkości wydawały się pozbawione sensu oraz prowadzące do zniszczenia. Znajdując się na orbicie rzadko powracał myślami do kwestii własnego, rozpadającego się małżeństwa. Helena znajdowała się na zupełnie innej planecie, w dosłownym tego słowa znaczeniu - była osobą, którą odwiedzał w czasie pobytów na Ziemi. Jego podstawowym żywiołem była przestrzeń kosmiczna - nic poza nią nie miało sensu. Dla Neila podróżowanie w kosmosie stało się narkotykiem, natomiast wrażenia z odległej Ziemi odbierał jako halucynacje.

Poniżej iluminatora z lewej burty statku przemykała Antarktyka z prędkością dwustu mil na godzinę, a prosto przed nimi wyłoniło się wschodnie wybrzeże kontynentu afrykańskiego przypominające coraz to ciemniejszą plamę na mocnym półksiężycu horyzontu.

Ponad szybującym na orbicie promem zawisło nieruchomo ogromne cielsko KARMA II - jednego z trzech satelitów, przekaźników telewizyjnych sieci Satelitów Bezpośredniego Przekazu (SBP), stanowiących własność Zjednoczonego Arabskiego Komitetu Radiotelewizyjnego (ZAKR). Dwa ogromne skrzydła, którymi były panele baterii słonecznych rozpięte dla magazynowania energii słonecznej, upodabniały KARMA II do wielkiego, drapieżnego ptaka zabierającego się do pożarcia małego niczym mucha *Dominatora*.

Przed dwoma tygodniami satelita wart pół miliarda dolarów uległ groźnej awarii i z tego to powodu Neil wraz ze swym przyjacielem Alem Benyonem lecieli promem na swoje

dziesiąte zadanie. Jak zauważył cynicznie Al tuż przed startem: - I kto by to pomyślał, że zadanie zostanie opłacone przez bandę Beduinów pozbawionych dziennej dawki wielbłądziej opery oraz zgaduj-zgaduli?

Było to jedno z typowych uproszczeń Ala. Prawda wyglądała trochę bardziej skomplikowanie; KARMA II razem z dwoma bliźniaczymi satelitami przekazywał równocześnie dwieście programów telewizyjnych i radiowych nadawanych we wszystkich arabskich dialektach, obejmujących tematykę szeroki wachlarz problemów, poczynając od rolnictwa, a kończąc na programowaniu komputerowym. Przez okres pięciu lat swojego funkcjonowania trzy stacje SBP stały się, zaraz po islamie, najsilniejszą siłą integrującą świat arabski. Do dziesięciu najchętniej oglądanych programów przez stumilionową rzeszę widzów należały te, które nadawała OWP ze swej tymczasowej kwatery nad Morzem Czarnym.

Neil rozsiadł się w fotelu dowódcy, przysłuchując się mimochodem wymianie zdań pomiędzy Alem i specem od rozmieszczania ładunków, Kellinahem Assadem, trzecim członkiem załogi *Dominatora*.

Assad stał zwrócony plecami do Neila w znajdującym się w tyle statku pomieszczeniu dla załogi, którego iluminatory obserwacyjne wychodziły na ogromny luk ładunkowy *Dominatora*. Był starszym rangą inżynierem zatrudnionym przez Zjednoczony Arabski Komitet Radiotelewizyjny. Odbył też odpowiednie przeszkolenie, które pozwalało mu brać udział w lotach w charakterze specjalisty od rozmieszczenia ładunku. Był spokojnym, cicho mówiącym Jordańczykiem w wieku około trzydziestu pięciu lat i posiadał niezwykłą zręczność w obsłudze przypominającego dźwig wysięgnika o długości pięćdziesięciu stóp, który stanowił część zdalnie sterowanego robota Kanada, używanego do ściągania satelitów na przeglądy techniczne lub też do umieszczania nowych obiektów na orbitach.

Assadowi nie pozwalała unosić się ponad pokładem w stanie nieważkości para butów Velcro czepiających się mocno podłogi. Zadarł do góry głowę i wpatrywał się poprzez znajdujące się ponad nim iluminatory na ubraną w skafander postać Ala Benyona, który pracował nad KARMA II. Astronauta miał na sobie jeden z nowych, lekkich skafandrów, zwanych w żargonie NASA ubiorami pozapojazdowymi, umożliwiającymi mu dotarcie do wszystkich zakamarków orbitującego satelity, którego wymiary nie pozwalały na ściąganie go do ładowni.

Neil nie był specjalnie zachwycony tą pozapojazdową pracą Ala. Nie była ona pierwotnie w planie, lecz kontrola naziemna Ośrodka Lotów Kosmicznych im. Kennedy'ego doszła do wniosku, że wizja lokalna będzie najszybszym, a przez to najtańszym sposobem określenia usterki.

- Chyba już wiem, co się stało, Kell - dobiegł z głośnika głos Ala. - Obejrzyj sobie przez Kanadę te francowate MRZ-emy. Rozwalił je meteor.

- Całą trójkę? - zapytał Assad.

- Na to wygląda.

Assad poruszył pistoletowym uchwytem sterującym wysięgnikiem. Kanada był wyposażony w kamery telewizji przemysłowej zainstalowane na łokciu i nadgarstku ramienia wysięgnika, umożliwiające używanie urządzenia również jako użytecznego przyrządu do oględzin. Assad ustalił położenie przegubowego wysięgnika w bezpiecznej odległości od Ala i uruchomił obiektyw o zmiennej ogniskowej przybliżając obraz modułów rozdziału zasilania KARMY. Wymamrotał arabskie przekleństwo, gdy zbliżenie na monitorze ukazało stopień uszkodzenia. Nieszczęśliwym trafem, który zdarza się raz na milion, meteor uderzył pod kątem w przyłączane moduły, niszcząc zupełnie całą trójkę urządzeń o powierzchni dwunastu cali kwadratowych.

Al zaśmiał się cicho do mikrofonu:

- Myślę, że kierownictwo zwali to wszystko na wolę Allacha, no nie, Kell?

- Jedynie w przypadku, gdy postanowi on wysłać następny meteor, który zniszczy zapasowe moduły złożone w ładowni - odparł z humorem Assad. Spojrzał przez ramię na Neila. - Panie dowódco - zaczął. Zawsze zwracał się do Neila używając jego stopnia, jako że nie odpowiadał mu luz astronautów NASA polegający na zwracaniu się do siebie po imieniu.

Neil oderwał uwagę od smugi srebra długości tysiąca mil, która znaczyła wody afrykańskich jezior Malawi i Tanganika. Obrócił się w fotelu.

- Co się dzieje, Kell?

- Przepraszam, że przeszkadzam, panie dowódco, lecz musimy wymienić wszystkie trzy moduły rozdziału zasilania, które następnie trzeba będzie skalibrować. To znaczy, zanim będzie można przystąpić do normalnego przeglądu technicznego.

Neil skinął głową i przesunął hełmofon na głowie.

- Ile potrzeba wam na to czasu?

Assad szybko przeliczył.

- Piętnaście minut potrzeba na wymianę modułów, godzinę na przegląd i jeszcze dwie godziny na skierowanie satelity na jego orbitę. Panie dowódco, co najmniej dodatkowe dwie godziny.

Neil skinął głową.

- W porządku, Kell. Lecz to oznacza, że musimy dopisać dodatkowe okrążenia. Będzie to kosztowało twoich ziomekóv jeszcze jeden milion dolarów, nie licząc już kosztów pobytu



Ala poza pokładem statku.

- Sądzę, że ZAKR może sobie na to pozwolić - odparł Assad urażonym głosem.

Neil uśmiechnął się pod nosem i przestawił nadajnik przypięty do pasa na łączność zewnętrzną.

- Kontrola, tu *Dominator*.

- *Dominator*, odbiór - dał się słyszeć głos Earla Hacketta z Ośrodka Kennedy'ego.

- Klient żąda dwóch dodatkowych okrążeń na przeprowadzenie napraw.

\*\*\*

Jason Pelham, zręczliwy dyrektor Ośrodka Kennedy'ego z ramienia NASA, uśmiechnął się pod nosem po usłyszeniu prośby *Dominatora* o przedłużenie czasu lotu. Podniósł się zza biurka, patrząc ponad rojącymi się od aligatorów lagunami wyspy Merrit w kierunku ogromnego Budynku Montowania Pojazdów Kosmicznych, zbudowanego wiele lat temu dla montowania rakiet Apollo/Saturn V, w czasie wyścigu za wszelką cenę w celu wysłania ludzi na Księżyc. Od pięknych czasów Apolla Amerykanie już tam więcej nie powrócili. Pelham zamierzał zmienić ten stan rzeczy.

Przez chwilę odczuwał zadowolenie. Nie musiał wcale grzebać w papierach, żeby obliczyć, iż dwa dodatkowe okrążenia żądane przez wahadłowiec dokładały następną cegiełkę wartości miliona dolarów do okazałych zysków płynących z Programu Wykorzystania Wahadłowców, przyobiecanych przez niego komisji Kongresu na początku roku obrachunkowego.

Pomimo swego stanowiska Jason Pelham nie przejawiał żywego zainteresowania duchową przygodą, jaką dawała astronautyka i badania przestrzeni kosmicznej, podobnie zresztą jak w ogóle nie interesowały go pociągi, w czasach gdy piastował kierownicze stanowisko w Amtrak. Z Amtrakiem wyszła mu nieprawdopodobna rzecz, polegająca na potrojeniu zysków przedsiębiorstwa w ciągu kolejnych siedmiu lat. Postanowił powtórzyć tę sztukę z wahadłowcami. Jego nominacja wywołała przed pięciu laty wrzenie w kręgach akademickich NASA, lecz w sumie jego znakomite talenty administracyjne i gruboskórność polityczna pozwoliły mu przeczekać burzę i zająć się knowaniami tych, którzy pragnęli jego upadku.

Po objęciu swego urzędu zatrudnił kadre najlepszych specjalistów od zarządzania, powierzając im zadanie optymalizacji całego programu wahadłowców.

- Dysponujemy flotą pięćdziesięciu sprawnych wahadłowców - powiedział do swoich współpracowników. - Jest to więcej statków, niż gdyby złożyło się razem floty ponaddziesięciu samolotów transportowych Pan Amu i TWA. Chcę, aby wystrzelenie

wahadłowca było tak proste, jak wysłanie naddźwiękowca Pan Amu z Nowego Jorku do Londynu. Wszystko, co się wiąże z wystrzeleniem, powinno być rutynowe, bowiem rutyna jest matką redukcji wydatków.

Jego oko wyczulone na obcinanie kosztów nie przepuszczało żadnego szczegółu. Programy badawcze nad większymi promami zostały zredukowane, rozbudowę obiektów obsługi promów w Bazie Lotniczej Vanderberg w Kalifornii zatrzymano, natomiast pięciomilionowa rzesza zwiedzających, jaką przyciągał corocznie Ośrodek Kennedy'ego, musiała zacząć płacić za wstęp.

Podniosła się przy tym niezła wrzawa - szczególnie wobec cięć w programie rozbudowy większych promów - lecz w wielu sprawach Pelham miał rację; prom miał pewną i wypróbowaną konstrukcję; paru członków komisji Kongresu poparło jego pogląd, że wydawanie ogromnych sum na większe promy jest bez sensu, po to tylko, aby załatwić jednym lotem to samo, czemu już istniejące promy mogły podołać w trakcie dwóch lotów.

Pelham odwrócił się od okna, obracając w palcach model stacji orbitalnej stojący na biurku. Jego obecną obsesją była ta elegancka, przypominająca koło konstrukcja - kosztująca dwieście miliardów dolarów stacja orbitalna razem z hotelem, która miała służyć NASA jako przystanek na trasie dla rutynowych, niskobudżetowych wypraw na Księżyc. W celu umożliwienia tej inwestycji najlepszych warunków samofinansowania się, Pelham odbył serię tajnych posiedzeń z międzynarodowym konsorcjum reprezentującym interesy hoteli, agencji turystycznych i biur podróży.

Był to śmiały i nie pozbawiony wyobraźni program, który wywołał szalony entuzjazm wśród nieskorych do takich uniesień mężczyzn i kobiet, będących członkami konsorcjum - szczególnie po tym, jak ich badania rynkowe wykazały, że nie brakuje na całym świecie bogatych ludzi i instytucji naukowych, które będą się biły o rezerwacje w hotelu orbitalnym. Jednakże konsorcjum martwiło się nadal bezpieczeństwem i realnymi szansami wykorzystania zmodyfikowanych promów dla prowadzenia regularnych rejsów pasażerskich.

Pelham pozostawił konsorcjum dalsze sześć miesięcy na podjęcie decyzji. Był to maksymalny okres, jaki Rockwell i Rocketdyne były gotowe przyjąć w oczekiwaniu na zlecenie budowy następnych pięćdziesięciu promów kosmicznych. Po tym czasie musieli przeprowadzić redukcję zatrudnionych robotników.

Pelham był pewien, że w ciągu nadchodzących sześciu miesięcy nie przydarzy się nic, co mogłoby podważyć zaufanie konsorcjum do promów.

Zdolnościom Jasona Pelhama jako administratora dorównywała jedynie jego bezwzględność.

\*\*\*

Al Benyon odhaczył bez żadnych problemów pierwszy i drugi moduł z ich gniazd na satelicie KARMA. Podniósł je do góry tak, aby Assad mógł złapać je wsięgnikiem i umieścić w luku ładunkowym promu po to, żeby można je było przebadać po powrocie na Ziemię. Al złapał mocno łukowaty uchwyt trzeciego modułu ręką okrytą rękawicą i przekręcił na bok.

Bezskutecznie.

Oparł mocno buty na burcie satelity i szarpnął. Moduł wsunięty w gniazdo nie dawał się wysunąć na zewnątrz.

- Rany boskie, Kell - wymamrotał Al do mikrofonu zamontowanego w hełmofonie. - Uderzenie musiało pokrzywić zaczepy. Potrzebuję łomu. Tego małego.

Assad obrócił ramię Kanady, kierując jego głowicę w stronę przestronnej ładowni promu. Zupełnie jak dziób czapli w poszukiwaniu ryby głowica ramienia robota trafiła na skrzynkę narzędziową i zręcznie wyciągnęła z niej łom. Upewniwszy się, iż mechaniczne palce wsięgnika mocno pochwyciły narzędzie, Assad skierował ramię w stronę Ala. Assad starał się być ostrożny - nie pozwalał ramieniu poruszać się za szybko. Ostre narzędzia i skafandry kosmonautów nie żyły w symbiozie.

- Pospiesz no się! - ponaglał go Al.

Neil uśmiechnął się pod nosem. Wiedział dokładnie, co czuje Al po prawie godzinnej pracy w wilgotnym od potu ubiorze pozapojazdowym.

- Może spróbować użyć Kanady do wysunięcia modułu? - zasugerował Assad.

- Oderwie tylko uchwyt - odparł szorstko Al. - Trzeba go podważyć po kawałeczku. Spróbuję z innej pozycji. Hej tam! rozsuwamy się - lepiej zbliżcie się deczko.

- Panie dowódco - zawołał Assad. - Podciągnąć tył o pięć.

Neil wyciągnął prawą rękę w kierunku konsoli Cyfrowego Autopilota (CAP), przełączając manewrowe silniki odrzutowe promu na ręczne sterowanie. Parę podmuchów maleńkich silników regulujących położenie promu wystarczyło, aby przysunąć jego ogon bliżej satelity. Inne znowu przyrządy CAP zmieniały odchylenie kierunkowe promu, przesuując go w lewo bądź w prawo.

- OK, w porządku - odezwał się Al.

- Mogę stąd sterować zegarami CAP - rzucił przez ramię Assad.

Neil pokręcił przecząco głową.

- Niestety, Kell. Nic z tego, dopóki astronauta znajduje się poza statkiem.

Assad przyjął decyzję Neila. Spoglądał w górę, obserwując Ala, który obiema rękami

stopniowo wysuwał uparty moduł KARMY z obsady. Od czasu do czasu Al zwracał się do Assada z prośbą o podanie mu różnych narzędzi z ładowni promu.

Neil rozsiadł się w fotelu przyglądając się obracającej się kuli ziemskiej. Tuż pod nimi widać było bagniste obszary górnego Nilu. Dalej na północ leżał nagi początek Sahary na kontynencie afrykańskim, a dalej, ostro odcinając się na zakrzywionym horyzoncie, widniał lazurowy bezmiar wód Morza Śródziemnego. Rozdarty przez wojnę Izrael, znaczna część Włoch i Grecji oraz Hiszpania aż do Pirenejów miały nad sobą czyste niebo. Neil widział nawet błyszczącą wstęgę Jordanu łączącą Morze Galilejskie z Morzem Martwym. W czasie odbytych wcześniej trzydziestu jeden lotów nigdy nie miał aż takiej, zapierającej dech, doskonałej widoczności.

Neil był tak zaabsorbowany tym widokiem, że ledwie dosłyszał słowa Ala:

- Okay, już wychodzi.

Na pustyni Negew, około pięćdziesiąt mil na południe od Morza Martwego, ukazał się nagle biały błysk światła. Neil zamrugał oczami i zastanawiał się przez chwilę, czy zjawisko to nie było aby skutkiem błędu w optyce iluminatora.

- Wiesz, jak jest z tymi cholernymi szpejami, Kell - powiedział Al robiąc sobie krótki odpoczynek i wsadzając łom z powrotem w metalowe palce wysięgnika. - Myślę, że obrócił się nie więcej niż o jakieś dziesięć stopni.

Assad przybliżył ramię wysięgnika bliżej Ala, zmieniając jednocześnie ogniskową kamery telewizyjnej.

Neil był przekonany, że nie może być żadnego defektu w iluminatorze promu. Coś się wydarzyło na pustyni Negew. Musiało to być coś potwornego, jeżeli można było to zauważyć z wysokości dwustu mil.

- To się nazywa wprawa - zgodził się z Alem Assad wpatrując się w ekran swojego monitora. - Dziesięć stopni.

Neilowi wydało się, że usłyszał słowa Assada: - W prawo dziesięć stopni - po których sięgnął natychmiast po przełącznik sterujący położeniem promu i przekręcił go w prawo. Silniki manewrowe ruszyły, przesuwając statek na prawo.

- Wróć! - ryknął Assad.

Jego ostrzeżenie padło za późno.

Ramię wysięgnika szarpnęło przed siebie.

Długi łom dźgnął Ala głęboko ponad biodrem i w poprzek brzucha. Narzędzie rozdarło skafander zupełnie tak, jakby warstwy terylenu, poliuretanu i siatki Spandexu były zrobione z bibuły. Przez dziurę wyrwaną w zbiorniku ciśnieniowym skafandra wydostało się powietrze,

porywając z sobą obłok płynu chłodzącego oraz krople krwi, które rozbryznięły się na tylnych oknach przedziału załogowego. Siła wypychanego ze skafandra powietrza rzuciła ciało Ala pod kątem prostym w stosunku do statku.

Neil był u boku Assada, patrząc się przerażonymi oczyma na nienacką postać Ala. Przez głośnik usłyszeli jeden zduszony krzyk Ala, a następnie charczenie duszącego się człowieka.

- Na rany boskie! - powiedział Assad, prawie krzycząc. - Dlaczego, na litość....

- Al - rzekł szybko Neil, uciszając Assada gniewnym gestem - Al, czy mnie słyszysz?

W odpowiedzi dobiegł ich syk z głośnika, akcentowany następnym charczeniem w chwili, gdy płuca umierającego astronauty wciągnęły resztki powietrza ulatującego gwałtownie z jego skafandra. Okryte rękawicami ręce Ala, poplamione na czerwono krwią, były przyciśnięte do jego żołądka, jak gdyby w desperackiej próbie zmniejszenia skutków straszliwej rany. Dał się słyszeć ostatni zduszony jęk, po czym ręce Ala opadły bezwładnie na boki.

- Al! - powtórzył Neil nie odrywając wzroku od znikającej postaci. - Czy mnie słyszysz? Czy mnie słyszysz?

- Musimy ruszyć za nim - odezwał się Assad chrapliwym głosem, przerywając przerażającą ciszę, która nastąpiła po paru próbach, jakich dokonał Neil pragnąc przywołać Ala.

Neil odpowiedział po dwóch sekundach ciszy, siłą woli powstrzymując głos od drżenia:

- Nie mamy paliwa na taki manewr.

- Użyjemy podręcznego urządzenia do manewrowania - warknął Assad.

Neil pokręcił głową, patrząc ciągle przez iluminator na Ala. Wyliczył, że jego przyjaciel znajduje się obecnie w odległości dwóch mil od promu. - Minie trzydzieści minut, zanim zdążę ubrać się i ruszyć za nim. A nawet jeżeli udałooby mi się dotrzeć do niego bez problemów, to PUM nie ma dość paliwa, żeby pozwolić mi wrócić, nie mówiąc już o ściągnięciu ciała Ala.

- Więc nic nie robimy?

Nie patrząc na Assada Neil powiedział pozbawionym wszelkich emocji głosem:

- Przyjrzyj mu się dobrze. Al nie żyje.

Assad przyglądał się przez chwilę uważnie, po czym uświadomił sobie, że pętle białawych rurek wysypujące się z rozerwanego skafandra i okręcające się wolno wokół obracającego się ciała astronauty nie są, jak pierwotnie myślał, przewodami z płynem chłodzącym.

Assadowi zrobiło się nagle strasznie niedobrze.

### 3.

Anna Saxon miała trzydzieści dwa lata. Odniosła najgorsze oparzenia spośród wszystkich osób, którym udało się przeżyć atak na Hotel Dan. Mimo tego, że prawie całe jej ciało, nie wyłączając dłoni, zostało osłonięte sztuczną skórą, to jednak zdołała uczepić się z niesamowitą siłą rękawa Rymanna, omal nie przewracając go na szpitalne łóżko. Z trudem dostrzegł nieznaczny ruch pokrytych pęcherzami ust; szeptała coś do niego spod przejrzystej, plastikowej folii.

- Panie Rymann. Obaj moi synowie. Najpierw 7 Brygada pod Al-Arish, a teraz... - Jej słowa stały się cichsze. Rymann delikatnie położył swoje ręce na jej dłoniach. Wydawało się, że ten gest dodał jej siły. - A teraz mój mąż. Jak długo to jeszcze potrwa, panie Rymann? Musi mi pan to powiedzieć.

Rymann szukał bezskutecznie w pamięci słów, które nie brzmiałyby jak polityczne frazesy, lecz Anna Saxon odezwała się pierwsza. Jej słowa świadczyły o nieugiętości ducha.

- Jedno uderzenie, panie Rymann. To musi być jeden cios. Izrael jest za mały, żeby przeżył tysiące małych ran.... Zbyt mały...

Jej palce zwolniły uścisk, wpatrywała się jedynie w sufit sali szpitalnej, oddychając płytko i nierówno.

Stojący nad nimi lekarz dotknął Rymanna w ramię.

- Spotkał się już pan ze wszystkimi, panie premierze.

Rymann skinął głową i podniósł się. Poświęcił średnio po trzy minuty każdej z siedemdziesięciu dwóch osób, którym udało się przeżyć, i nie zmarnował nawet sekundy programu. Była już w tym głowa jego sekretarzy.

W korytarzu szpitalnym czekał już na niego Greer. Rymann domyślił się z jego zaciętej, pozbawionej wyrazu twarzy, że ma dla niego następne złe wiadomości.

- Hendriku, mieliśmy wybuch na pustyni Negew.

Rymann poczuł, jak robi mu się zimno. Na pustyni Negew znajdował się tylko jeden ważny obiekt.

- Kiedy to się stało?

- O ósmej rano.

- Dlaczego nie powiedziałeś mi o tym wcześniej?

- Wiedziałem, że nie chciałbyś, żeby cię popędzano podczas tej wizyty.

Stwierdzenie to było tak prawdziwe, że Rymann nie potrafił zaoponować.

- Przyjdzie taki dzień, Michael - powiedział bez złości - taki wspaniały, przepiękny dzień, kiedy przyniesiesz mi dobre wiadomości.

\*\*\*

Jedyną oznaką życia widoczną z wysokości tysiąca stóp były postacie paru żołnierzy kręcących się wokół plandeki wielkości dużego namiotu cyrkowego. Byli zbyt zajęci, żeby patrzeć w kierunku nadlatującego helikoptera. Przed wejściem do namiotu stały dwa opancerzone transportery i ciężarówka łączności. W pobliżu widniał duży, czarny krzyż, który żołnierze rozłożyli dla zaznaczenia na powierzchni pustyni lądowiska dla helikoptera.

Rymann i Greer wpatrywali się z pokładu helikoptera Solomon w straszliwe zniszczenia widniejące poniżej.

Z Ośrodka Rozwoju Broni Kierowanych na pustyni Negew nie zostało prawie nic. Betonowe budynki, laboratoria, komory badań, budynki biurowe i całe osiedle mieszkalne zostały zdmuchnięte pojedynczą, ogromną eksplozją. Przedziwnym zrzędzeniem losu budynek szkoły stał nadal.

Nie dalej niż sześć tygodni wcześniej Rymann wizytował ściśle tajny ośrodek raketowy ukryty głęboko wśród nagich wzgórz pustyni Negew. Kończąc wizytę Rymann wygłosił parę gratulacyjnych przemówień po udanej próbie odpalenia jednego z pierwszych silników pomocniczych rakiet typu Masada, którego dokonano z pokładu izraelskiego okrętu handlowego na Oceanie Indyjskim. Po próbie obejrzał cały obiekt. Wszystkie zabudowania zamaskowano sprytnie jako budynki pustynnej doświadczalnej stacji rolniczej. Było tam nawet parę poolek schodzących tarasowo z okolicznych wzgórz, na których faktycznie przeprowadzano doświadczenia na nowych gatunkach roślin.

Rymann zamienił parę słów z każdym z dwuosobowej załogi inżynierów, naukowców i projektantów zaangażowanych w opracowanie silnika Masady. Uścisnął dłoń każdego z mężczyzn i ucałował każdą z kobiet.

Po zwiedzeniu szkoły i spędzeniu przyjemnego kwadransa z dziećmi, Rymann zatrzymał się obok ogromnego, poruszającego się na dwudziestu kołach transportera-wyrzutni, przyglądając się, jak drugi z kolei prototyp silnika Masady jest ustawiany dźwigiem wraz z rakieta.

Dziesięciometrowej długości silnik pomocniczy Masady był rezultatem dwu lat pracy w ramach przyspieszonego programu, który pochłonął sześćdziesiąt procent budżetu obrony Izraela - programu, który Rymann przeforsował w czasach swojej kadencji na stanowisku ministra obrony. Prawie wszyscy czołowi naukowcy i inżynierowie małego państwa, którzy zaprojektowali udaną wersję Masady wzięli udział w programie opracowania silnika

pomocniczego. W wyniku ich pracy powstała pierwsza na świecie rakietą międzykontynentalna wystrzelana z ruchomej wyrzutni. Rakietą Masada razem z nowym silnikiem pomocniczym była wspianym pomysłem. Nie potrzebowała kosztownych i łatwych do trafienia stałych wyrzutni, a jej zasięg dziesięciu tysięcy mil, w połączeniu z dokładnością jej komputera nawigacyjnego oznaczał, że mogła trafić w każdy cel położony na terenie państw arabskich i afrykańskich. Jedną z takich rakiet była zdolna do zlikwidowania siedziby OWP w Bakal nad Morzem Czarnym.

Rymann zakończył wizytę uroczystym lunchem wydanym w klimatyzowanych pomieszczeniach montowni silników dodatkowych. Wygłaszając krótkie przemówienie poruszył to wszystko, o czym jego oddani słuchacze już doskonale wiedzieli, a mianowicie, że przetrwanie państwa Izrael jest całkowicie uzależnione od silnika pomocniczego Masady. Bez niego wrogowie Izraela mogli i de facto prowadzili bezlitosne wojny, czując się bezkarnie za zasłoną z niezawodnych baterii SAM-50A. Zbudowane w Związku Radzieckim rakiety potrafiły wytropić na niebie myśliwce izraelskie z absolutną dokładnością, przez którą Chel Ha'Avir stracił sześćdziesiąt procent swoich maszyn bojowych w czasie pierwszych sześciu miesięcy wojny. Mając Masadę i jej pomocniczy silnik Izrael uzyskał możliwość przenoszenia głowic jądrowych do każdego miejsca na ziemi, w którym kryli się jego wrogowie.

To przemówienie zostało wygłoszone przed sześcioma tygodniami. Mężczyźni i kobiety, którzy go wtedy słuchali, już nie żyli.

Jedynymi obiektami, które nie ucierpiały w Ośrodku Rakietowym Negew, były budynek szkolny i poletka doświadczalne.

Helikopter przysiadł na czarnym krzyżu. Gdy tylko opadł kurz, który wzbity w powietrze zwalniające obroty śmigła, z namiotu wyszedł rosły mężczyzna w wojskowym mundurze.

Był to generał broni Daniel Kazaar, głównodowodzący południowej grupy Zahal, twardy, mocno zbudowany człowiek w wieku czterdziestu pięciu lat. Nosił zielony берет wojsk desantowych. Ponad prawą kieszenią jego drelichów widniały baretki Ot Haoz - drugiego z rzędu najwyższego wojskowego odznaczenia Izraela. W ciągu trzydziestu lat służby zawodowej widział najkrwawsze walki, jakie tylko można sobie wyobrazić, co jednak nie przygotowało go do trudnego zadania uprzątnięcia skutków eksplozji. Stał w postawie zasadniczej w bezlitosnych promieniach słońca, z ogorzałą i ściągniętą twarzą.

Po wyjściu z helikoptera Rymann i Green poczuli uderzenie ściany gorąca. Generał Kazaar oddał honory i uścisnął ręce przybyłych gości.



- Przepraszam, panie premierze, że nie wystawiliśmy grupy powitalnej - odezwał się generał prowadząc ich do namiotu - lecz to dlatego, że jestem tutaj jedynym starszym stopniem oficerem.

Rymann wysłuchał obojętnie usprawiedliwienia. Wszedł do ogromnego namiotu i jednym spojrzeniem ogarnął to, co mieściło się wewnątrz. Paru żołnierzy rezerwy pracowało przy polowych biurkach. Na odgrodzonym linami terenie w środku namiotu piętrzyła się wysoka sterta pogiętych i poczerniałych, trudnych do rozpoznania kawałków metalu, którą rozgarniało dwóch cywilów. W końcu namiotu widać było gruby, beczkowaty kształt klimatyzowanego zasobnika spoczywającego na drewnianej podstawie.

- Są w nim ciała zabitych, panie premierze - odpowiedział generał Kazaar na pytanie Rymanna.

- Czy wszystkie?

- Tak jest, panie premierze.

- Ile ich jest?

- Dwieście dziewięćdziesiąt jeden, panie premierze. - Generał rzucił szybkie spojrzenie Rymannowi i zauważył, że po raz pierwszy z twarzy polityka zniknął dobrze znany, dobroduszny wyraz. Ciągnął dalej: - Leci już do nas chinook rezerwy, który przeniesie zasobnik do Tel Awiwu.

- Ile osób ocalało? - odezwał się po raz pierwszy Greer.

Generał Kazaar zwrócił się do dowódcy Mossadu.

- Trzydzieści jeden - odpowiedział. - Same dzieci. Z niewiadomego powodu budynek szkoły nie ucierpiał specjalnie od wybuchu. Przewieziono je wprost do szpitala wojskowego w Hazor.

Rymann zanotował w pamięci, aby w jak najbliższej przyszłości odwiedzić dzieci.

- Czy wiecie już, co mogło spowodować eksplozję? - zapytał.

Starszy stopniem oficer pokręcił przecząco głową i wskazał palcem na cywilów przeglądających resztki po wypadku.

- Ci dwaj mają nadzieję znaleźć odpowiedź na to pytanie. Jak na razie są przekonani, że nie był to sabotaż.

- Czy ma pan listę ofiar, panie generale? - zapytał Greer.

- Tak jest, proszę pana - odpowiedział sucho generał Kazaar. Nie darzył Greera specjalną sympatią i był jednym z tych, którzy sprzeciwiali się nominacji cywila na *Memuneha* - ojca Mossadu. Niemniej jednak był on pierwszym, który przyznał, że solidnie wykształcony Greer jest najlepszym dyrektorem w historii Mossadu. Będąc w tym względzie

zgodny z resztą członków gabinetu Rymanna, jednak rzeczą, która się naprawdę nie podobała generałowi Kazaarowi u Greera, były jego zażyłe stosunki i wpływ wywierany na premiera.

- Będziemy teraz potrzebować jednej odbitki listy - poprosił Greer - oraz biurko.

#### 4.

Rymann przypominał sobie niektóre nazwiska z listy, które pamiętał z czasów swojej ostatniej wizyty. Alan Delmante, jeden z najlepszych projektantów rakiet izraelskich widniał na pierwszej stronie, lecz reszta nazwisk była mu zupełnie nie znana. Nie potrafił zmusić się do doczytania listy do końca.

- Dlaczego nie ma tu stopni ani stanowisk? - zapytał Greer.

- Nie przechowywano tutaj akt osobowych.

- Czy ma je Ośrodek?

- Nie. Jedyny komplet posiada biuro Aba Yaranskiego. Sam wydał taki rozkaz.

Rymann podniósł słuchawkę telefonu kodowanego, który generał Kazaar postawił mu na biurku w namiocie.

- Połączcie mnie z Abem Yaranskim z Biura Rozwojowego Uzbrojenia Rafael - rzucił rozkaz kobiecie w stopniu kaprała, siedzącej w ciężarówce łączności. Czekaając na połączenie, spojrzał na Greera. - Prosto stąd pojedziemy zobaczyć się z tymi dziećmi.

- Hendriku, są inne, bardziej palące sprawy.

Rymann obruszył się.

- Więc zajmijmy się nimi od razu. Ile czasu potrzeba, aby skompletować nowy zespół do pracy nad Masadą?

Greer wyglądał na zakłopotanego.

- Przykro mi, Hendriku, lecz nie potrafię dać ci dokładnej odpowiedzi, zanim nie dowiem się, jakich fachowców utraciliśmy, i czy można gdziekolwiek znaleźć ludzi o podobnych kwalifikacjach. Yaranski odpowiedziałby ci na to pytanie od razu. Ja nie potrafię.

Twarz Rymanna przybrała ostry wyraz.

- Michaelu, chociaż raz nadstaw ten swój łeb i zaryzykuj odpowiedź. Gwarantuję ci, że to wcale nie boli.

W tej chwili odezwał się dzwonek telefonu.

- Przykro mi, proszę pana - powiedziała telefonistka - lecz generał Kazaar mówi, że nazwisko Aba Yaranskiego znajduje się na liście poległych.

- Jak to - wybuchnął Rymann - a co on tutaj robił?

W słuchawce odezwał się głos generała Kazaara dokładnie w momencie, kiedy Greer znalazł nazwisko Yaranskiego na ostatniej stronie listy.

- Tego nie wiemy, panie premierze - odparł oficer - lecz znaleźliśmy bransoletkę identyfikacyjną, podobną do tych, jakie noszą rezerwiści, opatrzoną jego nazwiskiem. - Generał postanowił nie dodawać, że bransoletka znajdowała się na tym, co pozostało z ramienia.

- Dziękuję, generale - odparł Rymann. - Proszę skontaktować się z zastępcą Yaranskiego i dowiedzieć się, co on mógł tutaj robić.

Greer podniósł wzrok znad listy. Jego zmęczona twarz stała się nagle jeszcze bardziej posępna. Rymann zauważył tę zmianę, pospiesznie przeprosił generała Kazaara, po czym odłożył słuchawkę.

- Co się stało, Michaelu?

Greer nie mógł przez chwilę dojść do siebie.

- Te nazwiska - wymamrotał, wskazując na listę. - Początkowo myślałem, że zachodzi tutaj jakaś zbieżność. Lecz nie. Harriman. George Kingsley. Może to jedynie być, wiesz sam, który, George Harriman.

Rymann popatrzył na swojego przyjaciela z przerażeniem. George Harriman był wszechstronnie utalentowanym projektantem samolotów oraz dyrektorem technicznym Izraelskich Zakładów Lotniczych, ogromnego państwowego przedsiębiorstwa. Jego wspaniały umysł opracował Sharav - Wiatr Pustynny - wielozadaniowy samolot bojowy, który przewyższał parametrami MIG-a25 Foxbat. Pięćset operacyjnych Sharav IV stanowiło obecnie główną siłę uderzeniową Chel Ha'Avir.

W ciągu następnych paru minut osłupiały Greer znalazł na liście jeszcze parę innych nazwisk najwybitniejszych naukowców Izraela.

Ponownie zadzwonił telefon. Był to generał Kazaar.

- Porozumiałem się z biurem Yaranskiego, panie premierze - poinformował Rymanna. - Był tutaj z racji udziału w konferencji na najwyższym szczeblu poświęconej szeregowi problemów związanych z uruchomieniem produkcji.

Rymann słuchał przez parę minut słów generała Kazaara, po czym mu podziękował.

- Mój Boże! - wymamrotał do Greera. - Byli tutaj wszyscy. Wszyscy najlepsi inżynierowie raketowi w kraju.

Zapanowała chwila ciszy, po czym odezwał się Greer. Jego pobrużdżona twarz była poszarzała.

- W takim razie ta eksplozja może nas kosztować przegraną w tej wojnie - powiedział

wreszcie wolno. - Bez silnika pomocniczego do Masady...

- Nie bądźmy takimi defetystami, Michael - odezwał się łagodnie Rymann.

- Nie stańmy się też ślepi - odparł Greer. Wskazał na rosnącą stertę szczątków, które cywilni eksperci układali na oznaczone kwadraty. - Popatrz tylko na to, Hendriku. Obrabiarki, części pras, matryce. Cała masa specjalistycznych narzędzi, które były potrzebne do produkcji silnika. Dwa lata pracy i nic nie zostało.

- Zaczniemy więc od początku - odezwał się cicho Rymann. - Już raz tego dokonaliśmy. Zrobimy to jeszcze raz.

Greer pochylił się nad biurkiem, spoglądając przyjacielowi prosto w twarz.

- Posłuchaj, Hendriku. Dwa lata temu, gdy zaczynaliśmy program budowy silnika pomocniczego do Masady, mieliśmy już gotowy zespół najlepszych mózgów, którym udało się już wyprodukować główną rakietę. Dzisiaj nie zostało nam nic. - Pomachał Rymannowi przed nosem listą. - Projektanci, naukowcy, inżynierowie, chemicy od paliw, inżynierowie produkcji. Hendriku, oni wszyscy już nie żyją. Co do jednego.

Do biurka, przy którym siedzieli, zbliżył się jeden z cywilów. Miał łysiejącą głowę i mocną nadwagę. Nerwowo chrząknął.

- Panowie, generał Kazaar polecił mi zameldować się bezpośrednio do was, gdy tylko się czegoś dowiemy - zaczął. - Nie mamy jeszcze stuprocentowej pewności, lecz wydaje się nam, że wiemy, co spowodowało eksplozję.

- Niech pan siada - powiedział Rymann, wskazując na puste krzesło.

Cywil usiadł i położył na stole bezkształtną bryłę szarego plastiku, z której zwisało parę drutów.

- To było kiedyś zdalnie sterowaną zasuwą - wyjaśniał cywil. - Regulowała ona przepływ utleniacza płynnego paliwa raketowego z głównego podziemnego zbiornika do urządzeń zestalających. - Otarł pot z czoła chusteczką, przyglądając się każdemu ze swoich rozmówców z osobna. - Wiemy z całą pewnością, że eksplozja miała miejsce obok zbiorników.

- Nie może pan mówić jaśniej? - niecierpliwił się Greer.

- Znaleźliśmy resztki zupełnie identycznej następnej zasuw. Wyprodukowana w Ameryce. Zasuw pracowały jako niezależna od siebie para wykluczająca możliwość awarii, aby nie dopuścić do połączenia paliwa z utleniaczem, gdy zbiorniki były zamknięte.

Cywil wskazał na zasuwę.

- Mają one poważny błąd konstrukcyjny, który może doprowadzić do zacięcia się w położeniu otwartym, kiedy właśnie powinny się zamknąć. Ta tutaj jest otwarta, a tymczasem

powinna być zamknięta, gdy nic przez nią nie przepływa. Teraz, gdy oba zawory zacięły się jednocześnie w położeniu otwartym... - Cywil nie dokończył swojej kwestii. Milczenie obu mężczyzn sprawiło go w zakłopotanie. - Rzecz jasna, nie możemy mieć jeszcze pewności.

- Więc nie był to sabotaż? - zażądał odpowiedzi Rymann.

Cywil pokręcił głową.

- Nie sądzimy, panie premierze.

Rymann podniósł niesprawną zasuwę i przyglądał się jej w zadumie.

- Ile one kosztują?

Cywil wydał się zastanawiać.

- Myślę, że nie więcej niż pięćset dolarów sztuka, panie premierze.

Rymann spojrzał na Greera. Znali się na tyle dobrze, żeby wiedzieć, co każdy z nich w tym momencie myśli; zginęło prawie trzysta osób, a państwo izraelskie znalazło się w ogromnym niebezpieczeństwie z powodu dwóch wadliwych urządzeń, kosztujących mniej niż pięćset dolarów sztuka.

## 5.

Zwykle prowadzenie samochodu sprawiało Neilowi przyjemność. Uczucie luksusowej izolacji od innych ludzi, pobyt wewnątrz supernowoczesnej powłoki z winylu, stali i szkła były najbliższą imitacją specyficznego uczucia oderwania się od problemów ziemskich, którym rozkoszował się przebywając w kosmosie.

Lecz tym razem przejechanie dwudziestopięciomilowego odcinka z Ośrodka Kennedy'ego do Melbourne był koszmarem.

Auto należało do Ala. Dwójka astronautów zawsze dzieliła samochód, gdy wybierali się razem w lot. Wszystko w aucie zdawało się natarczywie przypominać o Alu; wybór kaset, okulary słoneczne, pisma myśliwskie rzucone na tylnym siedzeniu.

Neil skręcił z autostrady A1A - drogi prowadzącej wzdłuż wybrzeża Atlantyku na Florydzie - i zwolnił zbliżając się do dwóch wysokich bram broniących dostępu do osiedla Indialantic Gardens. Wystukał numer identyfikacyjny na klawiaturze wkomponowanej w deskę rozdzielczą, i bramy otworzyły się automatycznie. Jechał wolno wzdłuż dróg eleganckiej posiadłości obsadzonej palmami. Dwóch kilkunastoletnich synów Buda Allisona przerwało pogawędkę z dziewczynami, przyglądając mu się uważnie, kiedy ich mijał. Otwarta niechęć w ich spojrzeniu zmusiła go do refleksji, że śmierć Ala w połączeniu z faktem zamieszkiwania w luksusowym osiedlu Melbourne wywoła wiele problemów, o których

wcześniej nawet nie myślał. Indialantic Gardens nazywano często Aleją Astronautów, jako że parę załóg wahadłowców przeprowadziło się tutaj z Houston, gdy NASA zdecydowała przenieść większość lotów promowych do Ośrodka Kennedy'ego. Tworzyli małą społeczność - z dobrze przystrzyżonymi trawnikami, pewnymi ogrodzeniami i bardzo niepewnymi związkami małżeńskimi. Ich domy osiągały wartość jednej trzeciej miliona dolarów sztuka, o które bili się prawnicy przeprowadzający rozwody.

Neil i Helena należeli do pierwszych osób, które przed trzema laty przenieśli się do nowego osiedla, po tym gdy Neilowi udało się dostać pracę w NASA po opuszczeniu Pan Amu. Wybrali sobie dom zwrócony w stronę oceanu. Po spędzeniu nieomal całego życia w Teksasie rozkoszowali się, mogąc leżeć rano w łóżku i obserwować wylaniającą się panoramę Atlantyku w miarę, jak rozjaśniały się okna zajmujące całą ścianę. Również ich trwający dziesięć lat związek małżeński należał do udanych, wszystko to jednak należało już do przeszłości.

Neil zaparkował samochód na podjeździe obok swojego wozu kempingowego Winnebago i wyłączył silnik. Był wycieńczony i czuł się podle. Samo lądowanie *Dominatora* bez udziału Ala wyszło nie najgorzej. To, co nastąpiło później, nie należało do przyjemności; intensywna odprawa, wnikliwe pytania mające znaleźć odpowiedź na to, co im nie wyszło. Pojawił się nawet Jason Pelham, starając się odprawić z kwitkiem zgromadzonych dziennikarzy, nie podając żadnych komunikatów aż do zakończenia szczegółowego śledztwa w sprawie nieszczęśliwego wypadku. Wyraźnie robił w portki z obawy, że zła prasa może popsuć reputację robiącej im kasę flocie orbiterów.

Nikt nie wyszedł z domu na powitanie. Helena zabrała dzieci z wizytą do matki w Houston, jak czyniła zawsze, gdy odbywał loty. Nie wybiegła Pippa z gromkim: - Cześć, tato - rzucając się na niego, gdy tylko wysiadł z auta. Z tyłu nie chował się też wstydliwie Andrew. Zresztą Helena dawno przestała już wychodzić mu na powitanie z domu.

Właśnie zabrał się do otwierania samoschładzającej się puszki piwa, gdy zauważył nieznaczące migotanie na ekranie telewizora w kuchni, co było sygnałem, że w pamięci buforowej urządzenia pozostawiono wiadomość teletextu. Nacisnął płytkę reagującą na odcisk jego palca, po czym na ekranie ukazała się wiadomość od Heleny zapisana jej dziecinnym charakterem pisma. Słyszała już wiadomości na temat lotu i postanowiła zatrzymać się jeszcze parę dni u matki.

„Muszę to sobie wszystko przemyśleć” - napisała w ostatnim akapicie. „Myślę, że będzie to najlepsze wyjście dla nas i dla dzieci.”

List z teletextu kończył się zamaszystym inicjałem H. Żadnych pozdrowień, żadnych

ucałowań. Z informacji zapisanych na górze ekranu dowiedział się, że tekst przesłano dwie godziny wcześniej - Helena wiedziała, że wtedy nie będzie go w domu.

Neil sprawdził automatyczną sekretarkę, czy przypadkiem nie zmieniła zdania. Tak jak podejrzewał, taśma była pusta.

Wysączył pierwszą puszkę piwa i otworzył następną.

## 6.

Klub golfowy Suntime był najlepszym i zarazem najbardziej ekskluzywnym na wybrzeżu gminy Brevard. Było to też jedyne miejsce, w którym można było znaleźć Jasona Pelhama, kiedy nie siedział za swoim biurkiem.

Podniósł rękę do pobrużdżonego zmarszczkami czoła, osłaniając oczy przed promieniami zachodzącego słońca. Przez parę sekund przyglądał się wiście, po czym umieścił piłeczkę na specjalnej podstawce o kształcie kieliszka.

Earl Hackett, dyrektor do spraw eksploatacji promów, obserwował Pelhama, gdy ten przyglądał się badawczo najpierw piłeczce, a następnie wiście. Hackett uwielbiał grę w golfa, lecz nie lubił grać w parze z Pelhamem. Nie tylko dlatego, że Pelham podchodził do całej sprawy zbyt poważnie - zupełnie tak, jakby nagrodą za wygraną każdej gry miał być milion dolarów - lecz dlatego, iż z Pelhamem nie można było odpocząć. Pelhama najwyraźniej pominięto, gdy ludzi obdarzano poczuciem humoru.

- Strasznie przykra sprawa z Alem Benyonem - zauważył Pelham, wyginając w es swoją szczupłą sylwetkę nad torbą z kijami i grzebiąc w niej w poszukiwaniu właściwego.

Hackett odetchnął z ulgą, że zniesiono wreszcie embargo na omawianie tego tematu, które trwało przez czas potrzebny dla umieszczenia piłeczki w sześciu dołkach. Zgodził się z Pelhamem, dodając jeszcze:

- Zamierzamy wprowadzić zakaz używania zwrotu „w prawo”.

- Naprawdę? - odezwał się Pelham przytłumionym głosem, zeskrobując paznokciem z powierzchni kija golfowego prawie niewidoczną drobinę błota. - Czy to nie postawi nas w złym świetle?

- Co pan przez to rozumie?

- Ten wypadek należy uważać za to, czym on faktycznie był - czyli pomyłką człowieka. A nie błędem proceduralnym.

- Chce pan powiedzieć, że winę za ten wypadek ponosi Neil O'Hara?

Pelham przykucnęła i patrzył przymrużonymi oczyma w dół wisty.

- Ja tak nie uważam. Lecz pan to oświadczy wobec komisji rewizyjnej.

- To wcale nie był błąd O'Hary - odparł Hackett. - Zwrot „w prawo” powinien zostać zakazany dwadzieścia lat temu. Ma pan rację - być może gość powinien sprawdzić, co do niego powiedziano. Lecz...

- Właśnie o to chodzi. Powinien był coś zrobić, a nie uczynił tego.

- Przyczyny wypadku należałoby szukać dwadzieścia lat temu, w początkach lotów załogowych.

- Z przeszłości interesuje mnie jedna sprawa - stwierdził lodowatym tonem Pelham, przypatrując się Hackettowi z boku.

- A mianowicie?

W oczach Pelhama nie było widać uśmiechu, który wykrzywił jego usta. Był dobrym sędzią ludzkich charakterów. Hackett był tchórzem i należało oczekiwać, że postąpi dokładnie tak, jak mu się poleci.

- Czy zdaje sobie pan sprawę, jaką część zysków zagarnął nam Arianespace w ciągu ostatnich dziesięciu lat?

Hackett wiedział, że Zachodnioeuropejska Agencja Kosmiczna wyrwała spory segment rynku przewozu małych ładunków, lecz nie znał dokładnych liczb. Na pewno znał je Pelham, i to do ostatniego miejsca po przecinku. Postanowił rozegrać tę sprawę ostrożnie, wobec czego pokręcił przecząco głową.

- Dwanaście miliardów dolarów - stwierdził Pelham.

- W kategoriach procentu naszych obrotów to niewiele - odparł Hackett niepewnym głosem.

- Niemniej jednak to ciągle jest dwanaście miliardów dolarów, które dostały się Europie, a z których my nic nie mamy - rzucił ostro Pelham. - A będą się starali urwać jeszcze więcej, gdy tylko ruszy program Europeshuttle. Za następne parę lat Sowieci będą mieli swój własny program promów. Możemy utrzymać się poza konkurencją jedynie utrzymując reputację naszych promów jako najbezpieczniejszych i najtańszych na świecie. - Przerwał na chwilę, po czym mówił dalej: - Pozostaje jeszcze kwestia hotelu orbitalnego.

„No, to zaczęło się naprawdę”, pomyślał Hackett.

- W tej fazie jakiegokolwiek podważanie zaufania w stosunku do promów może doprowadzić do wycofania się konsorcjum jeszcze przed podpisaniem umowy. Oznaczałoby to zmarnowanie trzech lat pracy i zaprzepaszczenie naszej szansy ponownego lądowania na Księżycu na zasadzie samofinansowania. - Pelham machnął na próbę kijem. - Czy zgadza się pan ze mną w tej kwestii?



- W tej ostatniej sprawie, owszem - odparł Hackett. - Lecz co się tyczy zwalenia winy na O'Harę...

- W takim razie, niech mi pan powie, czyja to była wina?

- Absolutnie nie można powiedzieć ze stuprocentową pewnością, że jego.

- Decyzja w tej sprawie należy do komisji. - Pelham usunął szybkim ruchem suchy liść leżący przed podstawką piłeczki. - Pełnił pan służbę w czasie, kiedy wydarzył się wypadek, będzie więc pan głównym świadkiem. Całkowicie zostawiam panu wybór, czy wystąpi pan jako były administrator NASA, czy też mój pracownik. Czy wyrażam się jasno?

Hackett chciał w tym momencie cisnąć Pelhamowi w twarz swoje wypowiedzenie. Jednakże miał na głowie nowy dom w Indiatlantic, dzieci w college'u, trzy samochody. Pewien poziom życia. Wobec czego przytaknął głową i powiedział:

- Wydaje mi się, że tak.

Pelham poprawił uchwyt rąk na kiju i zaszurał nogami do chwili uzyskania pewnej równowagi.

- Wspaniale. Znaczy to, że będę mógł za miesiąc przedłużyć pana umowę na następne trzy lata. Rzecz jasna, dając panu podwyżkę.

- Czy zdaje sobie pan sprawę, że zniszczy to O'Harę?

- Przy jego doświadczeniu nie powinien mieć problemów ze znalezieniem sobie pracy jako konsultant do spraw przewozu ładunków - rzucił niedbale Pelham. Wziął głęboki oddech i machnął kijem, który ładnie trafił w piłeczkę, lecz ta zbczyła z głównego kierunku. Śledził jej lot w stronę palm, którymi obsadzone były brzegi wisty. - Niech to szlag trafi - zamruczał. - Niech to szlag.

## 7.

Suchy trzask wystrzału z karabinu Strzelca wyborowego, okrągła dziurka wyrwana w blasze ponad osłoną miejsca kierowcy, i *Rav-Turai* Dessouter zginął na miejscu.

Porucznik David Heinlein rzucił swoje masywne ciało w poprzek kabiny usiłując pochwycić za kierownicę, gdy kapral osunął się do przodu, lecz było już za późno. Opancerzony transporter piechoty marki Datsun przejechał w poprzek ulicy Nazaretu, przewrócił się na bok, po czym wpadł do sklepu z telewizorami prowadzonego przez Arabów w momencie, w którym Heinlein zgniótł przełącznik uruchamiający maleńki nadajnik wszyty w koszulę jego drelchów. Stały sygnał wysyłany z nadajnika miał przywołać natychmiastowe posiłki. Wypchnął ciało Dessoutera przez drzwi zapasowe, po czym wydostał się pospiesznie

na zewnątrz.

Wypadek miał miejsce obok kościoła Objawienia przy drodze z Hajfy do Afula. W pobliżu kręciło się trochę więcej niż zwykle młodych Arabów. Przewrócenie pojazdu posłużyło jako sygnał do rozpoczęcia zamieszek.

Pozostałych sześciu spadochroniarzy, którzy brali udział w patrolu Heinleina, wysypało się z tyłu transportera i zajęło stanowiska obronne za jego karoserią ze stali, kryjąc się przed gradem kamieni rzuconych w nich przez wrzeszczący tłum. Właściciel sklepu wykrzyczał do nich histerycznym głosem wiązkę słów arabskich i hebrajskich. O ścianę leżącego na boku transportera uderzył koktajl Mołotowa, rozpryskując się z przytłumionym hukiem i obejmując go kulą ognia.

- Kryć się! - ryknął Heinlein do swoich ludzi.

Sześciu żołnierzy pobiegło przed siebie potykając się o porozbijane fragmenty sklepu. Heinlein nie zwracał uwagi na tłum Arabów ani też żar bijący od palącego się pojazdu. Omiatał wzrokiem szczyty budynków, skąd, jak był pewien, strzelał do nich snajper.

Bezwzględnie musieli pochwycić snajpera. Mógł to być jeden z agentów Makena, który przedostał się z powrotem do osiedla z bazy OWP nad Morzem Czarnym. Mogła być to osoba organizująca całe zajście, mężczyzna czy też kobieta wyszkolona w technikach sabotażu, której pierwsze strzały były sygnałem dla ludności arabskiej do rozpoczęcia zamieszek. Nie chodziło tu wcale o tłum; nie był on ważny, zawsze był ten tłum Arabów, lecz o snajpera. Przez pochwycenie snajpera likwidowało się jedno ogniwo w łańcuchu. A gdy udało się pochwycić go żywcem, wtedy można było liczyć na użyteczne dane dla wywiadu, za które byli zawsze wdzięczni koledzy ze szkolenia.

- Okay. Za mną - krzyknął Heinlein wyprostowując się. Był wysokim, mocno zbudowanym mężczyzną, jednakże podmuch wybuchu granatu, który rozerwał się w odległości pięćdziesięciu metrów, był na tyle silny, żeby powalić go z nóg i odrzucić do tyłu, powodując stratę cennych sekund. Powstał nieco zamroczony, upewniając się, że karabinek nie uległ uszkodzeniu, po czym popędził w dół przecznicy w kierunku bloku mieszkalnego. We wszystkich oknach podnosiły się żaluzje, zza których ukazywały się twarze mieszkańców z wyjątkiem okna na najwyższym piętrze, gdzie żaluzja była już w górze pomimo tego, że pokój był rzęsiście oświetlony promieniami słonecznymi. Wzbudziło to jego podejrzliwość. Jednakże musiał podejść bliżej. Dał sygnał żołnierzom, żeby przycisnęli się mocno do ścian, i nagle zdał sobie sprawę, że jest sam. Słyszał było łoskot broni ręcznej, lecz było już za późno, żeby się wycofać. Musiał załatwić tego snajpera.

Heinlein posuwał się szybko w górę wąskiej uliczki. Biegł z głośnym tupotem ścigany

zdziwionymi spojrzeniami paru młodych Arabów, zmierzających w kierunku wrzawy dobiegającej z miejsca zamieszek. Minął ich obojętnie. Na końcu uliczki skręcił gwałtownie w przejście. Miał teraz przed sobą jak na dłoni całą fasadę domu. Wyszarpnął lornetkę z futerału i zatrzymał okular na podejrzanym oknie. Promienie słoneczne odbijające się od odchylonej połowy okna utrudniały dostrzeżenie szczegółów, jednak z całą pewnością widział głowę i ramiona mężczyzny oraz przypuszczalnie błyszczącą w świetle lufę karabinu.

Policzył elewacje. Siódme piętro. Tylko tyle potrzebował wiedzieć. Minutę później biegł w dół usłanej śmieciami ulicy w kierunku głównego wejścia do budynku.

Przez skrzyżowanie przed nim przeleciał z rykiem silnika wóz sztabowy. Dał się słyszeć pisk hamulców, wysoki gwizd skrzyni biegów auta jadącego na wstecznym, po czym samochód ponownie pojawił się na skrzyżowaniu.

- Poruczniku Heinlein!

Heinlein biegł dalej.

- Poruczniku Heinlein! - ponownie warknął głos.

Spod wojskowych butów Heinleina sypnęły się iskry, gdy poślizgnął się zawracając na bruku.

Na tylnym siedzeniu siedział *Segan-Aluf* Sharon. Patrzył na Heinleina wzrokiem bardziej nieprzychylnym niż zwykle.

- Zamieszki są w innej części miasta, poruczniku.

- Tak jest - odparł Heinlein. Wskazał kciukiem na budynek mieszkalny. - Myślę, że snajper, który rozpoczął to całe zajście, tam się ukrył. Za pana pozwoleniem...

- Mówicie snajper? - zapytał spokojnie podpułkownik Sharon. - Nie miałem żadnych meldunków, żeby w tym rejonie działał jakiś snajper.

- W takim razie melduję o tym w tej chwili, panie pułkowniku.

Sharon zmrużył oczy.

- Gdzie macie swoich ludzi, poruczniku?

- Zostałem od nich rozdzielony, panie pułkowniku. Sądziłem, że usłyszeli mój rozkaz, by iść za mną.

- Sądził pan?

- Tak jest, panie pułkowniku - odparł Heinlein, tracąc wszelką nadzieję na pochwycenie snajpera. *Segan-Aluf* Sharon był w jednym ze swoich parszywych nastrojów, które nachodziły go zbyt często.

Starszy rangą oficer przytrzymał tylne drzwi samochodu.

- Myślę, poruczniku Heinlein - zaczął wolno i z namaszczeniem - że lepiej będzie, gdy

pojedzie pan ze mną.

## 8.

Heleny nie było dziesięć dni. Neil przyzwyczał się do samotności, jednakże każde natknięcie się na zabawki Pippy i Andrew powodowało tępy ból, który mu teraz ciągle towarzyszył.

List przesyłany teletextem nadszedł w chwili, gdy pakował składniki do robota kuchennego. Przesyłał go Earl Hackett informując o zawieszeniu w wykonywaniu obowiązków służbowych do czasu uzyskania wyników pracy komisji badającej przyczynę śmierci Alá Benyona. List kończył się następującym akapitem:

- Będzie pan otrzymywał pełne uposażenie do czasu zakończenia pracy komisji. Tymczasem jest pan zwolniony ze służby w OK do chwili wezwania do stawienia się przed komisją.

Neil nadusił guzik wydruku znajdujący się na klawiaturze i obserwował wysuwanie się tekstu z otworu drukarki. Oderwał go i przeczytał ponownie, mając zupełnie nieracjonalną nadzieję, że jego treść będzie się różnić od tego, co ujrzał na ekranie.

Zadzwoił telefon. Na jego ekranie ukazał się znany mu numer z Houston. Dzwoniła Helena. Żadnych grzeczności na powitanie, nawet żadnego „jak się masz”. Zapytała jedynie, czy oglądał tego ranka serwis informacyjny na kanale NASA.

- Nie, lecz mogę się domyślić, o czym mówili. Słuchaj, Heleno, chciałbym...

- Mama chce, żebym została jeszcze parę dni - przerwała mu bezceremonialnie.

Odruchowo chciał się jej sprzeciwić. Chciał zacząć przeklinać i wrzeszczeć. Zamiast tego odezwał się:

- W porządku, Heleno. Jednakże chciałbym przyjechać, żeby zobaczyć się z Pippą i Andrew. Mam teraz trochę wolnego czasu.

- Nie sądzę, Neil, żeby to był dobry pomysł.

- Czemu nie?

- Potrzebuję trochę czasu, żeby przemyśleć pewne rzeczy - powiedziała po chwili milczenia.

- Przecież miałaś już dwa tygodnie. Kiedy wrócisz do domu?

- Do cholery, jak sobie wyobrażasz mój powrót po tym, co się wydarzyło? Jak Pippa i Andrew będą mogli żyć wśród szeptów i pokazywania ich palcami?

Neil zaczynał tracić cierpliwość. Jak zwykle Helena zaślaniała się dziećmi w obronie

przed własnymi obawami.

- Na miłość boską, nie było jeszcze żadnych szeptów ani pokazywania palcami.

- Nie chcę teraz o tym mówić.

- Ale ja chcę.

- W porządku. Zadzwoń do ciebie mój adwokat - rzuciła krótko Helena. - Możesz wszystko z nim omówić.

Połączenie zostało przerwane. Nie zdążył jeszcze pozbierać swych myśli, gdy aparat zadzwonił ponownie. Tym razem na ekranie telefonu ukazał się miejscowy numer. Dowiedział się, że należy do miejscowej gazety, która chciała usłyszeć jego uwagi na temat zawieszenia go w służbie.

## 9.

Trzydzieści ton bomb naprowadzanych laserem spadło z wysokości stu sześćdziesięciu tysięcy stóp, trafiając z absolutną dokładnością w międzynarodowy port Ben Guriona.

Kruszące beton bomby zniszczyły pasy startowe lotniska, podziemne zbiorniki paliwa, hangary linii El Al oraz wieżę kontrolną. W położonych obok izraelskich zakładach lotniczych obie linie montażowe Sharav zostały zdmuchnięte z powierzchni ziemi razem z główną kreślarnią. Zginęło przy tym trzydziestu jeden kreślarzy.

Sześć myśliwców Sharav IV z 101 Eskadry Chel Ha'Avir wyszło na maksymalny dla nich pułap osiemdziesięciu tysięcy stóp, aby przechwycić dokonujący nalot samolot. Piloci odpalili rakiety powietrze-powietrze typu Wolverine w kierunku samotnego bombowca dalekiego zasięgu Tu V-G i patrzyli z bezsilną wściekłością, jak wyprodukowane przez Amerykanów rakiety wypalają się na wysokości stu pięćdziesięciu tysięcy stóp. Rakiety uległy samozniszczeniu, a ich szczątki opadły kreśląc spirale po niebie.

Tupolew leciał dalej spokojnie i nie przejmując się nikim.

Na kanale wysokiej częstotliwości używanym przez myśliwce Sharav dla porozumiewania się między sobą odezwał się czyjś głos.

- Bombowiec tupolew do prowadzącego sharav. Jak mnie słyszycie? - zapytał ktoś mówiący dobrze po hebrajsku.

Prowadzący eskadry Chel Ha'Avir postanowił nie odpowiadać.

- Sądzę, że mnie jednak słyszycie - kontynuował ten sam głos. - Mówi Joseph Maken z pokładu tupolewa.

Cała szóстка pilotów włączyła pokładowe urządzenia nagrywające, jednak żaden z nich

nie odpowiedział na wezwanie.

- Żałujemy nalotu na port lotniczy Ben Guriona - mówił gładko Maken. - Jednakże jest on także centrum izraelskich zakładów lotniczych, i jako taki stanowi zdaniem OWP dozwolony cel.

\*\*\*

Głuchy odgłos eksplodujących bomb słychać było trzydzieści mil dalej, w Jerozolimie.

Meldunek o nalocie dotarł do Rymanna w ciągu piętnastu minut, w chwili gdy zamierzał otworzyć poranną sesję Wyjątkowej Rady Obrony. Rada liczyła sobie sześciu członków, lecz rzadko zasiadało w niej więcej niż pięciu. Tego ranka zeszło się ich trzech: Ben Irving, głównodowodzący Chel Ha'Avir, Samuel Kuttner, minister spraw zagranicznych, oraz Michał Greer. Rymann wolał, żeby grupy władzy wykonawczej, podobnie jak jego gabinet, składały się z jak najmniejszej liczby osób obdarzonych maksymalną władzą.

Meldunek był krótki i suchy - zapisana po jednej stronie kartka papieru - dokładnie taki, jakie lubił Rymann. Odczytał go trzem mężczyznom, którzy rozsiedli się wokół owalnego stołu z drzewa oliwnego, stojącego w jego prywatnej sali konferencyjnej na czwartym piętrze budynku siedziby premiera. Zachodnią część prostokąta budynku parlamentu przysłaniały rusztowania, pamiątka po nalocie sprzed miesiąca.

- Tak więc - odezwał się Rymann zakończywszy czytanie meldunku - doszło do tego, że Joseph Maken lata nam nad Izraelem podając motywy wyboru swoich celów.

- Brawurowa akcja - skomentował kwaśno Ben Irving. Był wysokim, mocno zbudowanym mężczyzną, przyzwyczajonym do nieukrywania swoich poglądów. Jego otwartość przysporzyła mu sporo wrogów, lecz była to cecha, która podobała się Rymannowi. Wiedział dokładnie, czego może oczekiwać po Benie Irvingu.

- Być może - zgodził się z nim pojednawczo Rymann, nie spuszczać taksującego spojrzenia z dziewczyny prowadzącej protokół. - Jednakże akcja ta na pewno dobrze wyjdzie na łamach arabskich gazet. Możecie być pewni, że miał ze sobą fotografa. - Jedną z mocnych stron Rymanna była umiejętność wczuwania się w skórę swoich wrogów i oceniania sytuacji z ich perspektywy.

- Każdy z tyranów ma bzika na punkcie rozgłosu - powiedział pod nosem Irving. - Ten przynajmniej odsłonił swoją stopę achillesową.

Rymann skrzyżował na chwilę spojrzenie z Greerem, po czym wbił wzrok w Park Prezydencki rozciągający się za oknami i w ogrody ośrodka rządowego Hakyria.

- Raczej znalazł jedną z naszych, jeżeli nie potrafimy zestrzelić go z wysokości stu sześćdziesięciu tysięcy stóp - odparł, czyniąc delikatne wymówki Irvingowi.

- Dajcie mi B9, a więcej to się już nie zdarzy - powiedział ze złością Irving. - Dwie eskadry tych maszyn, a Maken nie będzie nawet wiedział, czym oberwał.

Rymann zwrócił się do ministra spraw zagranicznych.

- Sam, powiedz nam, tylko, proszę cię, krótko - jak idą rozmowy w Waszyngtonie na temat dostaw wojskowych?

Samuel Kuttner odchrząknął i przerzucił wielką stertę papierów, na którą Rymann popatrzył zaniepokojonym wzrokiem. Kuttner był drobnym, kwieciście się wystawiającym mężczyzną, przywiązującym dużą wagę do zachowania i mowy. Według Rymanna był pożytecznym nudziarzem.

- Prezydent Marshall przedłuży umowę w jej dotychczasowej treści. Renegocjowanie obecnego poziomu dostaw oraz zaawansowania sprzętu nie wchodzi w rachubę.

Irving wymruczał pod nosem krótkie przekleństwo.

- Czyli dostaniemy jeszcze więcej zbywającego im chłamu sprzed dziesięciu lat. Tę umowę spisano w oparciu o nasze potrzeby w czasie pokoju.

Rymann wzruszył ramionami:

- Rozumiem punkt widzenia Marshalla. Czekają go w tym roku wybory. Nie może sobie pozwolić na to, żeby z dostaw broni do Izraela zrobić element kampanii wyborczej, co by się niechybnie stało w przypadku renegocjowania umowy. Nie jesteśmy w połowie dwudziestego wieku. W obecnej dobie głosy żydowskich wyborców mają coraz mniejszą wagę w polityce USA. Możemy za to podziękować Ritzowi.

- Jakie są szanse Marshalla na ponowne wygranie wyborów? - zapytał Irving, który kiepsko orientował się w polityce amerykańskiej.

- Niewielkie - odezwał się po raz pierwszy Greer. - Większość wyników badania opinii publicznej przewiduje dziesięcioprocentową przewagę Hadleya. A jak panowie wiecie, senator Hadley nie darzy Izraela specjalną sympatią.

Ben Irving pochylił się do przodu, zaplatając razem dłonie i spoglądając twardym wzrokiem.

- Rymann, widzę z tego, że nie mamy nic do stracenia dokonując ataku Masadami na bazę Makena, jak tylko uda nam się wyprodukować silnik dodatkowy. I gównie mnie obchodzi, jeżeli taki atak zostanie potraktowany jako pogwałcenie suwerenności Sowieców.

Rymann pokręcił przecząco głową. Zachowywanie tajemnicy w wojsku musiało być wyjątkowo dobre, jeżeli do Irvinga nie dotarły jeszcze wiadomości o eksplozji na pustyni Negew.

- Nie będzie to możliwe.

Irvingowi opadła jego masywna szczeka.

- Dlaczego nie? W końcu zakończyli pracę nad tym cholernym silnikiem czy nie?

Pierwotnie Irving sprzeciwiał się programowi budowy silnika Masady, bowiem osłabiał on budżet Chel Ha'Avir. Jednakże straszliwe straty w samolotach dokonane przez baterie rakiet SAM-50A we wczesnym stadium wojny skłoniły go do zmiany stanowiska i zrozumienia potrzeby budowy silnika.

- Zakładając, że ta cholerna rzecz będzie funkcjonować jak trzeba.

Rymann przekazał szybko szczegóły eksplozji na pustyni Negew. Wydawało się, że ogorzała twarz Irvinga błednie w miarę słuchania słów prawdy. Gdy Rymann skończył, wybuchnął:

- Chce pan powiedzieć, że zupełnie nic nie zostało?

Rymann przytaknął z nieszczęśliwą miną.

Kuttner gapił się w zdumieniu na Rymanna, nie mówiąc ani słowa.

Przez chwilę wydawało się, że choleryk, jakim był Irving, straci panowanie nad sobą. Z dużym wysiłkiem udało mu się jednak uspokoić.

- Nie został nawet prototyp?

Rymann pokręcił przecząco głową.

- Zostały nam jedynie rysunki i wyniki badań. Straciliśmy wszystkie matryce, specjalistyczne narzędzia, a co gorsze, mózgi, które je pomogły wyprodukować.

- Niech to krew zaleje.

- Nadal mamy jeszcze same Masady - stwierdził Kuttner, przerywając zaległą ciszę.

Irving obrócił swoją wściekłość przeciwko niemu.

- A po co nam one, do diabła? Jaki jest pożytek z celnej rakiety krótkiego zasięgu, jeżeli nie możemy się dostatecznie zbliżyć do nieprzyjaciela, żeby jej użyć? Cały sens silnika dodatkowego Masady polega na tym, że daje on rakiecie dostateczną moc, aby stała się pociskiem interkontynentalnym.

Rymann zastanawiał się, czy sekretarka zapisywała przekleństwa Irvinga równie sumiennie, jak robiła to jej poprzedniczka. W każdym razie miał taką nadzieję.

- Ile czasu zajmie nam w obecnej sytuacji wyprodukowanie nowych silników? - warknął Irving.

- Co powiesz, Michaelu? - zapytał Rymann.

- Trzy lata - odparł pospiesznie Greer, nie zaglądając nawet do swoich notatek.

- Co takiego!

- Straciliśmy podczas eksplozji wszystkich najlepszych naukowców oraz inżynierów od



rakiet - stwierdził Greer. - Nie będzie ich można zastąpić w ciągu jednego dnia.

- Trzy lata! - wybuchnął Irving. - Czy wie pan, co się stanie z naszym krajem w ciągu jednego roku przy obecnej eskalacji wrogich działań? Czy wie pan?

- Wydaje mi się, że wszyscy znamy odpowiedź na to pytanie - odparł chłodno Rymann.

Głównodowodzący Chel Ha'Avir zwrócił się ze złością do premiera:

- Czy prezydent już o tym wie?

- Widziałem się z nim dziś rano.

- Czy mogę wiedzieć, co powiedział?

Rymann rzucił Irvingowi przeciągłe spojrzenie.

- Powiedział mi, że mam kupić czas. Mam kupić trzy lata - nie dbając o koszty.

Narada zakończyła się dwadzieścia minut później. Jediną decyzją, jaką podjęto, było to, że gabinet będzie musiał zatwierdzić powołanie oraz zasady finansowania nowego zespołu pracującego nad rozwojem następnego silnika pomocniczego Masady, traktując to zadanie jako sprawę najwyższej wagi.

Greer zatrzymał się, aby porozmawiać z Rymannem po wyjściu Irvinga i Kuttnera. Rymann stał parę chwil spoglądając w zadumie na prawo, na budynki Uniwersytetu Hebrajskiego rozciągające się na Wzgórzu Scopus. W murach tych wspaniałych białych budynków przebywali przyszli inżynierowie i naukowcy, od których zależała przyszłość Izraela.

- Czy masz jakieś pomysły?

- Nie tak od razu.

Rymann uśmiechnął się szelmowsko.

- Lecz sądzę, Michaelu, że coś tam wymyślisz.

- Tak, coś wymyślę.

Greer był człowiekiem, który dotrzymywał danego słowa.

## 10.

Nawet z odległości dziesięciu mil przeciągły grzmot wydawany przez *Dominatora* startującego z wyrzutni A Kompleksu 39 był na tyle mocny, aby wprawić w drżenie szyby w oknach w położonej na wybrzeżu restauracji w Titusville.

Start wahadłowca był dość znanym widokiem w Titusville. Bywalcy restauracji nie obracali się nawet na krzeselkach barowych, lecz rodzina z Nowego Jorku popędziła do drzwi, aby móc w podnieceniu gapić się ponad rzeką Indian i lagunami wyspy Merrit na

widowisko, jakie dawał prom wzbijający się w czyste przestworza Florydy, pozostawiając za sobą kolumnę szalejących płomieni i dymu.

- Jaki to statek, Neil? - zapytał Harry, właściciel restauracji, stawiając przed astronautą piwo.

- Jeden-cztery-jeden.

- Czy to nie twoja maszyna?

Neil odwrócił wzrok od okna i skinął głową.

- Wiesz co - zagadnął przyjacielsko Harry - oglądam te latające ptaszyska przez prawie dwadzieścia lat i ciągle robi to na mnie wrażenie.

Neil przymknął oczy mając w uszach spokojny, beznamiętny głos kontrolera lotu. Pragnienie znalezienia się z powrotem w kosmosie, odlecenia od banalnych problemów dnia codziennego było jak rak trawiący jego mózg.

Rodzinka powróciła hałaśliwie do stołu.

- Halo, proszę pana - krzyknął mały synek. - Jak się nazywa ten prom?

Harry wskazał skinieniem głowy na Neila. - Lepiej zapytaj o to jego, synu.

Chłopiec spojrział pytająco na Neila.

- To Paweł Oskar 141 - spełnił jego prośbę Neil. Chłopak wyglądał na około jedenaście lat. Widząc zdziwienie w jego oczach, dodał: - Pojazd orbitalny 141, *Dominator*.

Informacja zrobiła na chłopcu wrażenie.

- Czy pan pracuje w ośrodku kosmicznym, proszę pana?

- Można by tak powiedzieć.

Harry zachichotał:

- On jest astronautą.

Oczy chłopca rozbliły.

- Rany, ale bomba. Czy mógłby pan dać mi swój autograf?

- Jasne. - Neil spełnił prośbę podpisując się na czystej kartce albumiku na autografy, który chłopiec wyciągnął z kieszeni.

- Neil O'Hara? - zdziwił się chłopiec.

- We własnej osobie.

- Czy to nie pana pokazywali niedawno w telewizji?

Harry ujął chłopca za ramiona i popchnął go lekko w stronę rodziny.

- Widziałeś start promu i spotkałeś astronautę. Chyba to wystarczy na jeden dzień, czy nie mam racji, młody człowieku?

Chłopiec usiadł przy stole ze swoimi rodzicami. Neil przypatrywał się, jak jego ojciec

rzucił okiem na autograf, po czym rozłożył „New York Timesa”.

- Harry, jeszcze jedno piwo.

- To będzie już siódme.

Neil jęknął.

- Lepiej, żebym ja ci truł, niż miałyby to robić policja - skomentował Harry podsuwając mu pełną szklankę. - Jeżeli chcesz, bym zadzwonił po Mary, żeby cię podrzuciła do domu...

- Na miłość boską, czuję się dobrze.

Ojciec chłopca rzucił szybkie spojrzenie sponad gazety, po czym odczytał z niej coś żonie i synowi przyciszonym głosem.

Harry usiadł naprzeciwko Neila patrząc z zaniepokojeniem, jak pochłonął on jednym haustem prawie całą szklankę.

- Chcę, abyś wiedział, że Mary i ja będziemy myśleć o tobie, kiedy staniesz przed komisją.

- Dzięki, Harry.

- Ile to potrwa?

- Myślę, że ze dwa dni, ale tak naprawdę nie wiem.

Rodzina zapłaciła rachunek i wyszła. Harry uprzątnął ich stolik i wygrzebał zwiniętą w kulkę kartkę kolorowego papieru. Rozprostował ją.

- Czy to mój autograf? - zapytał Neil.

Harry skinął głową.

- Gówniarze - powiedział z obrzydzeniem.

Neil zamówił jeszcze jedno piwo.

## 11.

Heinlein gotował się ze wściekłości. Wiedział już, jaki będzie wyrok sądu wojennego, gdy tylko wprowadzono go ponownie do sali sądu. Gideon Tal, jego wojskowy obrońca, który mu się na nic nie przydał, unikał jego wzroku. *Segan-Aluf* Sharon nie krył się ze swoim triumfalnym uśmiechem.

Przewodniczącym Trybunału Sądu Wojennego był *Aluf-Mishne* Leonaida z 10 Brygady Pancernej, nobliwie wyglądający mężczyzna, który dołożył wszelkich starań, aby Heinlein został uczciwie przesłuchany. Siedział na krześle z wysokim oparciem, mając po bokach dwóch młodszych oficerów, którzy nie odezwali się ani słowem w ciągu trzech dni rozprawy. Na ścianie za nim wisiała rozpostarta flaga z gwiazdą Dawida.

- Rozpatrzyliśmy z największą starannością wszelkie dowody, poruczniku Heinlein - stwierdził Leonaida zaglądając do swojego notesu. - W szczególności poddaliśmy ponownej autopsji szczątki waszego kierowcy, nie znajdując żadnych śladów po kuli snajpera.

*Przecież to oczywiste, że nie! Jego ciało spaliło się niemal doszczętnie.*

- Następnie mamy zeznania żołnierzy z waszej kompanii. Wszyscy z nich oświadczyli pod przysięgą, że nie słyszeli waszego krzyku, żeby iść za wami.

Leonaida przerwał i spojrzał uważnie na młodego, ciemnowłosego człowieka stojącego przed nim. W duchu nie wierzył, żeby Heinlein miał okazać się tchórzem. Młody oficer stał przez trzy dni wyprężony w postawie zasadniczej, nie odzywając się ani słowem; jego surowe rysy przypominały maskę, zaś oczy patrzące bez mrugania były niczym dwie czarne plamy, wypalające dziury w ścianie. Zabrał głos jedynie wtedy, gdy Sharon przedstawił dowody. Chwilami Leonaida był gotów oddać swój urząd za możliwość poznania myśli Heinleina.

Leonaida mówił dalej:

- Wysłuchaliśmy także zeznań przedstawionych przez waszego dowódcę. *Segan-Aluf* Sharon oświadczył, że nigdy nie meldowano mu o agencie czy też snajperze OWP działającym w Nazarecie. Wobec tych faktów musimy uznać was za winnego stawianych wam zarzutów. Proszę złożyć broń na stole przed sobą.

Heinlein z trudem odwrócił wzrok od ściany i skierował go na Leonaidę patrząc na niego ciemnymi, nieobecnyymi oczyma. Prośba została ponowiona. Heinlein poruszył się nagle. Działając jak człowiek w transie odpiął pas z przypiętym lugerem. Przez chwilę wydawało się, że ma zamiar cisnąć nim z trzaskiem, jednakże opanował się i złożył go starannie na stole.

- Poruczniku Davidzie Heinlein - powiedział Leonaida - biorąc pod uwagę wasze doskonałe świadectwo służby w Specjalnej Brygadzie Spadochronowej, postanowiliśmy potraktować was łagodnie. Z oskarżenia o dezercję pod ogniem zostajecie skazani na dziesięć lat więzienia. Z oskarżenia o tchórzostwo w obliczu nieprzyjaciela zostajecie skazani na dziesięć lat więzienia. Oba wyroki odbędziecie równolegle.

Heinlein nie zdradził najmniejszym mrugnięciem swojej ogromnej wściekłości.

- Możecie zatrzymać swój stopień. Czy macie coś do powiedzenia?

Po sekundzie wahania Heinlein rzekł:

- Nie, panie pułkowniku.

Gideon Tal powstał, aby złożyć przewodniczącemu sądu wojennego prośbę o odwołanie, na które udzielono mu zgody. Leonaida powstał. Posiedzenie zostało zakończone. Chorąży eskortujący Heinleina dotknął jego ramienia.

Tal czekał na zewnątrz przy samochodzie żandarmerii. Gdy Heinlein zbliżył się ze swoją eskortą, przerwał rozmowę z kierowcą. Heinlein ostentacyjnie go zignorował.

- Niech pan się nie martwi, poruczniku - odezwał się Tal, nie zrażony wrogością Heinleina. - Jestem pewien, że uda się nam zmniejszyć wyrok przez odwołanie.

- Lub może zwiększyć - odparował sarkastycznie Heinlein.

- Zawsze istnieje takie ryzyko - przyznał oficer.

Heinleinowi przyszła do głowy jedna myśl tuż przed wejściem do samochodu.

- Czy wie pan, ile będę miał lat, kiedy mnie wypuszczą?

Tal wyglądał na zmieszanego.

- No, że tak powiem... Trzydzieści trzy? Trzydzieści cztery?

Heinlein spojrzał na niego z nie ukrywaną pogardą.

- Ty skurwysynu! - warknął. - Nawet nie chciało ci się porządnie przeczytać moich akt. Będę miał czterdzieści lat!

Usiadł na tylnym siedzeniu obok chorążego.

- Dość tego. Wyośmy się stąd.

Samochód wyjechał szybko poza budynki Naczelnego Dowództwa i zmieszał się ze strumieniem pojazdów zmierzających do Tel Awiwu.

## 12.

W odległości sześciu tysięcy mil Neil O'Hara przechodził na Florydzie przez podobne katusze, jakich doświadczył Heinlein.

Naprzeciwko niego, za długim stołem, siedziało siedmiu członków komisji rewizyjnej kongresmana Edwarda Williamsa. Obok Neila usadowił się Kellinah Assad - specjalista od rozmieszczenia ładunków w czasie lotów promowych, oraz Earl Hackett. Jason Pelham zasiadł przy bocznym stole, zajmowanym przez wyższych urzędników NASA.

Jane Benyon, wdowa po Alu, weszła do sali w momencie, kiedy Neil zaczął odpowiadać na pierwsze pytania Williamsa, co miało miejsce godzinę wcześniej.

- Dobrze, panie O'Hara - powiedział Williams, kierując swoje słowa w stronę sufitu sali konferencyjnej. - Jeżeli sprawia panu trudność nasz sposób wysławiania się, pozwoli pan, że zadam to pytanie trochę inaczej. Czy uważa pan, czy też może pan nie uważa, że należałoby oczekiwać od dowódcy promu zweryfikowania zasadniczo dwuznacznego sformułowania użytego przez jednego z członków załogi?

Kamerzysta stacji WESH nie spuszczał obiektywu z twarzy Neila.

- Tak, zakładając, że zdawał sobie w tym czasie sprawę z jego dwuznaczności.

Kongresman Williams miał niezwykle drażniący zwyczaj wpatrywania się ze znużeniem w sufit podczas zadawania Neilowi pytań - zupełnie jak gdyby oczekiwał z góry, że jego odpowiedzi będą kłamstwem - a następnie błędzenia wzrokiem po sali konferencyjnej, kiedy Neil udzielał odpowiedzi, sprawiając wrażenie, że jego podejrzenia znalazły potwierdzenie. Był poprzednio administratorem NASA, co nadawało jego pytaniom pewnej wagi, jakkolwiek przeważnie odczytywał pytania z listy przygotowanej mu przez ekspertów zasiadających w jego komisji rewizyjnej.

Był to pierwszy dzień obrad komisji. Na pierwszego świadka powołano Assada, specjalistę od ładunków. Odpowiadał na pytania Williamsa z tą samą dozą uprzejmości, z jaką pytania były mu zadawane. Trzymał się samych faktów i nie dał się nakłonić do komentowania wydarzeń lub niepotrzebnego rozwlekania swoich odpowiedzi.

- Okay - stwierdził Williams po odbytej szeptem naradzie ze swoimi współpracownikami. Rzucając na Neila pogardliwe spojrzenie powiedział: - Wygląda na to, że wreszcie dochodzimy do jakichś konkretów, trzymajmy się więc tego sposobu przesłuchania. Jeżeli dowódca promu zaniedba wyjaśnienia dwuznacznego stwierdzenia, czy nie uważa pan, że taki dowódca zaniedbuje swoje obowiązki?

- Jest to pytanie hipotetyczne - odparł Neil.

- W śmierci Ala Benyona nie było niczego hipotetycznego - zauważył Williams.

- Jeżeli zadaje mi pan hipotetyczne pytania, musi pan oczekiwać hipotetycznych odpowiedzi.

- Naszym zdaniem było to całkiem rozsądne pytanie, panie O'Hara.

- Czy sugeruje pan, że zaniedbałem swoje obowiązki?'

Kongresman Williams otworzył szeroko oczy, przybierając szyderczy wyraz twarzy niewiniątka.

- Panie O'Hara, w kompetencjach tej komisji nie leży rzucanie jakichkolwiek sugestii. Naszym jedynym zadaniem jest ustalenie przyczyn śmierci Ala Benyona, nie zaś obarczanie kogokolwiek winą. Przynajmniej, jeszcze nie teraz. Jednakże, jeśli nasze pytania dotyczące prawdopodobnych zaniedbań wydają się dotyczyć pana czułych miejsc, przejdźmy do czegoś innego.

Neil nie odpowiedział. Rzucił spojrzenie Jane Benyon, która szybko odwróciła od niego wzrok. Jason Pelham wbił w niego twarde spojrzenie.

Williams naradzał się krótko z czterema pozostałymi członkami komisji rewizyjnej, zanim zwrócił się ponownie do Neila.

- Panie O'Hara. Mamy tutaj pana oświadczenie, przepraszam, pana meldunek o tym, co stało się przed tygodniem na pokładzie PO-141. Czy ma pan przed sobą egzemplarz?

- Tak jest, panie przewodniczący.

- Czy życzy pan sobie wprowadzić do meldunku jakieś poprawki? Uzupełnienia? Skreślenia?

- Nie, panie przewodniczący.

Williams skinął głową i spojrzał na zegarek.

- Dziękujemy panu, panie O'Hara. Na razie nie mamy już do pana więcej pytań. Może pan usiąść. Wzywamy Earla Hacketta.

Earl Hackett powstał z miejsca.

- Jestem, panie przewodniczący.

- Rozumiemy, że jest pan szefem eksploatacji promów i że kierował pan lotem podczas wykonywania zadań przez PO-141?

- Tak jest.

- Dobrze - odparł Williams. - Zarządzam sześćdziesięciminutową przerwę. Spotkamy się kwadrans po pierwszej i zadamy panu parę pytań.

W czasie przerwy na lunch Neil dostrzegł w kawiarni Earla Hacketta i Jasona Pelhama pograżonych w rozmowie. Domyślił się, że omawiają oświadczenie Earla Hacketta.

\*\*\*

Magnetowid przesuwiał taśmę do przodu, zmuszając Neila do ponownego przeżycia chwil poprzedzających śmierć Ala. Kamery oraz mikrofony zamontowane na pokładzie promu nie opuściły żadnego szczegółu. Ujęcia pokazywały sylwetkę Ala ubranego w strój kosmonauty, próbującego siłą wymontować uszkodzone moduły zasilania satelity.

- Wiesz, jak to jest z tymi cholernymi szpejami, Kell - usłyszeli głos Ala. - Myślę, że obrócił się nie więcej niż o jakieś dziewięć stopni.

Po dłuższej pauzie padły brzemienne w skutki słowa odpowiedzi Assada: - To się nazywa wprawa, dziesięć stopni.

Końcowe ujęcie zostało sfilmowane przez kamerę zamocowaną na ramieniu wysięgnika. Pokazywało ono z okrutną dokładnością moment przebijania łomem skafandra Ala.

- Wróć - krzyczał głos Assada przez głośnik. - Na rany boskie!

Neil czynił nieludzkie wysiłki, aby wyłączyć uwagę przy oglądaniu reszty tych tortur, lecz mimo to dalej słyszał swój własny głos przywołujący Ala i okropne charczenie konającego astronauty.

- Dobrze. Tyle wystarczy - powiedział Williams.

Taśma zatrzymała się.

Williams skinął głową do strażnika.

- Powiedzcie pani Benyon, że jeżeli chce, to może powrócić na salę. Spojrzał na Earla Hacketta, który od piętnastu minut odpowiadał na jego pytania. - Ile razy przeglądał pan te taśmy, panie Hackett?

- Straciłem już rachubę, panie przewodniczący.

Williams chrząknął.

- Czy w paru sekundach poprzedzających wypadek któryś z trzech mężczyzn powiedział coś niezwykłego, w porównaniu do poprzednich lotów orbitera?

- Nie. Nie było niczego takiego.

- Czy zna pan sprawozdanie pana O'Hary, w którym twierdzi on, że wypadek miał miejsce z powodu dwuznaczności słów „wprawa” i „prawo”?

- Tak jest, panie przewodniczący.

- Czy jako ekspert zgadza się pan z panem O'Harą? Wymowa obu słów jest prawie identyczna.

Hackett odparł bez chwili wahania.

- Nie ma mowy o żadnej dwuznaczności, panie przewodniczący. Przesłuchałem tę taśmę wielokrotnie. - Podnosząc w górę plik dokumentów dodał: - Oraz dokładnie przeczytałem transkrypt rozmów w trakcie lotu. Z toku rozmowy jasno wynika, że sformułowanie Assada: „To się nazywa wprawa, dziesięć stopni”, padło w odpowiedzi na pytanie postawione przez Ala Benyona.

Do sali powróciła Jane Benyon, zajmując miejsce za stołem. Dokładała wszelkich starań, aby nie spojrzeć na Neila.

- Jednakże wymowa obu słów jest prawie identyczna - upierał się Williams. - Czy istnieją podstawy do zrewidowania używanej przez was terminologii, aby podobne pomyłki nie miały więcej miejsca?

- Absolutnie nie - odparł z naciskiem Hackett. - Do zadań NASA nie należy tworzenie od nowa języka angielskiego po to, aby uwzględnić nie dające się przewidzieć przypadki biorące się z zaniedbań.

Williams uniósł do góry brwi:

- Czy uważa pan, że pan O'Hara dopuścił się zaniedbań w czasie wypełniania zadań na *Dominatorze*?

- Mówiłem bardzo ogólnie - powiedział z zakłopotaniem Hackett.



- Okay. Wobec tego przejdźmy do ścisłych sformułowań. Czy w pana opinii - tu muszę dodać, w pana fachowej opinii, jest pan bowiem doświadczonym astronautą - Neil O'Hara dopuścił się zaniedbania w czasie lotu *Dominatora*?

Hacektt myślał przez chwilę nad odpowiedzią.

- Tak - powiedział zdecydowanie. - Po zbadaniu wszystkich danych widzę bez żadnych wątpliwości, że zaniedbanie ze strony astronauty Neila O'Hary było bezpośrednim powodem śmierci Ala Benyona.

## 13. Sierpień

W czasie odsiadki przez Heinleina drugiego tygodnia wyroku w wojskowym więzieniu w Tel Awiwie przyszedł do niego z wizytą ojciec.

- Macie pięć minut - powiedział kapral, wychodząc z surowego pokoju przydzielonego Heinleinowi.

Obaj mężczyźni przyglądali się sobie ze wzajemną podejrzliwością. Widzieli się po raz pierwszy od czasu Jom Kippur poprzedniego roku. Autokratyczny Avram Heinlein był milionerem trudniącym się handlem diamentami, licencjonowanym pośrednikiem w handlu złotem oraz jednym z ważniejszych członków ultrażydowskiej sekty Satmar chasydów. Miał na sobie nienagannie uszyty czarny garnitur, zaś po obu stronach twarzy zwisały mu nie przycinane pejsy.

- Pisali o twojej sprawie we wszystkich gazetach - powiedział do syna. - Po raz pierwszy jestem szczęśliwy, że twoja matka tego nie doczekała. - Mówił po angielsku. Hebrajski był świętą mową używaną jedynie do modlitwy.

Heinlein spojrzał na niego cynicznie.

- Powiedziałeś to samo przy moim bar miewa, i coś bardzo podobnego, gdy zostałem oficerem i powiedziałem ci, że nie interesuję się religią.

- Nie przyszedłem tutaj, żeby rozdrapywać stare rany - powiedział szorstko Avram.

- Wiem, że nie, ale też nic nie robisz, żeby się zabił. Po co więc w ogóle przyszedłeś?

Avram wziął głęboki oddech.

- Niewłaściwie mnie oceniasz, Davidzie. Chociaż nie zawsze potrafiłem to wyrazić, jednak zawsze cię kochałem.

To zdanie Avrama było najbliższe przeprosin.

Heinlein spojrzał na niego z niedowierzaniem.

- Przeklinałeś mnie w dniu, w którym stałem się oficerem.

- Założenie państwa izraelskiego było bluźnierstwem - odezwał się Avram z nagłą żarliwością. - Tylko Mesjasz może dokonać tego świętego obowiązku.

- Przy obecnym stanie moich uczuć muszę się z tobą zgodzić - powiedział gorzko Heinlein. - Osobiście guzik by mnie to obchodziło, gdyby Palestyńczycy wymazali go jutro z powierzchni ziemi.

- Czy łącznie z tobą?

Heinlein wzruszył z obojętnością ramionami.

Zapadła niezręczna cisza. Avram rozejrzał się po skromnie umeblowanym pokoju. Był tam mały telewizor przymocowany do ściany, zaś w jednym rogu natrysk i sedes. Było tam nawet proste biurko i pusta półka na książki.

- To miejsce nie jest takie złe, jak pierwotnie myślałem.

Heinlein spojrział na niego z obojętnością.

- W ubiegłym wieku była to kwatera armii brytyjskiej. Więzili tutaj członków Haganah. Jako oficer jestem uprawniony do pokoju w północnej części budynku. Jak mi się wydaje, przyszedłeś tutaj naigrawać się ze mnie.

Avram zeszywniał. Postanowił zignorować obelgę zmieniając temat rozmowy.

- Mosze i Uri przesyłają ci pozdrowienia.

Heinlein przybrał znudzony wyraz twarzy na wzmiankę o swoich braciach.

- Interesy idą dobrze - mówił dalej Avram. - Otwarliśmy nowe biura w Tel Awiwie, obok Giełdy Diamentowej. Mosze przejął oddział w Amsterdamie, a Uri prowadzi biuro w Londynie.

Heinlein słuchał jego słów bez zainteresowania.

- Nie można chyba powiedzieć, żeby moja sprawa przyniosła rodzinie wstyd i ruinę.

- Musiałem znosić szepty i aluzje! - warknął ze złością Avram.

- To już jest twój problem - odparł Heinlein. - Ja za to będę musiał znosić dziesięć lat w tej dziurze.

- Nigdy nie mogłem zrozumieć, dlaczego podpisałeś taki długi angaż - powiedział Avram.

- To takie proste - odpowiedział Heinlein. - Życie w wojsku było dla mnie bardziej interesujące niż kupczenie po całym świecie twoimi diamentami.

- Byłeś dobry w swoim fachu.

- Byłem jeszcze lepszy jako żołnierz.

Avram obrzucił spojrzeniem skromnie umeblowany pokój.

- Naprawdę tak myślisz? Davidzie... jeżeli odwołanie zostanie załatwione pozytywnie, chciałbym, żebyś powrócił do firmy. Potrzebuję ciebie.

Heinlein uniósł pytająco brwi.

- Sądziłem, że Uriemu i Moszemu nieźle się wiedzie?

Avram wzruszył ze zniecierpliwieniem ramionami.

- Obaj są mięczakami. Pozwalają ludziom chodzić sobie po głowach. Ty byłeś twardy.

- Dziękuję ci, ojcze, za propozycję - powiedział Heinlein. - Lecz jeżeli kiedykolwiek uda mi się stąd wydostać, to już na pewno nie po to, żeby dla ciebie pracować.

Po raz pierwszy w swoim życiu Avram poczuł się niepewnie. Miał straszną ochotę potępić swojego syna, jednakże zdał sobie sprawę, że nie jest w stanie tego zrobić.

- Mieszkam niedaleko stąd, Davidzie. Mogę w każdej chwili zatelefonować. Gdybyś tylko czegoś potrzebował...

Jeżeli nawet Heinleina wzruszyła proponowana przez ojca przyjaźń, to w żadnym wypadku nie okazał tego po sobie.

- Dziękuję, tato, lecz jednak odmawiam. Przez następne dziesięć lat będę gościem bluźnierczego państwa izraelskiego. I te sukinsyny będą zaspokajać większość moich potrzeb.

- Dasz mi znać, gdy będzie ci czegoś trzeba.

Heinlein spojrzał ojcu prosto w oczy.

- Jedyną rzeczą, której teraz potrzebuję, to sprawiedliwości. Nigdy nie oczekiwałem jej od ciebie, gdy byłem dzieckiem, tak więc na pewno nie będę jej oczekiwać ani też żądać od ciebie teraz. A co się tyczy otrzymania jej od tego naszego francowatego państwa - to z równym skutkiem mógłbym sikać pod wiatr.

## 14.

Dwie mile od miejsca, w którym więziono Heinleina, Michael Greer pracował późnym wieczorem siedząc w swoim biurze na najwyższym piętrze budynku przy Bulwarze Rotschilda.

Na biurku leżała sterta sprawozdań i krótkich notatek, które miał szybko przeczytać, ocenić i parafować. Większość z nich stanowiły rutynowe sprawozdania pochodzące od agentów Mossadu rozsianych po całym świecie. Każde z nich miało w końcu wylądować w odpowiednim pliku komputerowym agenta, które przechowywano na trzecim piętrze.

Przedzierając się przez sterty papierów żałował, że nie ma wśród nich sprawozdań z bazy Josepha Makena z Bakal nad Morzem Czarnym. Ostatni agent, któremu udało się

skutecznie przeniknąć do bazy OWP, został rozszyfrowany w ciągu dziesięciu dni. Agent nie miał nawet sposobności użycia swojego nadajnika satelitarnego. Wszystkie informacje, jakie Mossad uzyskał o bazie OWP, zostały nadesłane przez komórkę w Istambule - i było tego trochę za mało. Najświeższe sprawozdanie donosiło, że Leon Dranski, premier Związku Radzieckiego, zamierza w ciągu paru najbliższych tygodni złożyć wizytę w Bakal.

Greer przeczytał meldunek o poruczniku armii, który stanął przed sądem wojennym za dezercję i tchórzostwo. Oficer powiedział na swoją obronę, że opuścił swój oddział udając się w pościg za snajperem, przypuszczalnym agentem OWP. Oskarżyciel twierdził, że żaden z agentów nie działał w Nazarecie.

Greer zastanowił się przez chwilę, dlaczego właśnie jemu przesłano ten meldunek. Czytając dalej dowiedział się, że oficer, o którym była mowa, należał do Specjalnej Brygady Spadochronowej, i przez pewien czas był członkiem specjalnego oddziału ochrony „pewnego obiektu rządowego w Negew”. Wyjaśniało to, dlaczego meldunek trafił na biurko Greera; gdy tylko dowiedział się o eksplozji, wydał rozkaz, aby kierowano do niego wszelkie dokumenty związane z obiektami rządowymi w Negew.

Meldunek o sądzie wojennym wcale go nie zainteresował. Po położeniu na nim swojej parafy wrzucił go na tacę z materiałami do wysyłki i wrócił myślami do obietnicy, jaką złożył Rymannowi, a mianowicie, że znajdzie jakiś sposób na zapewnienie trzech lat spokoju Izraelowi, trzech lat, jakich potrzebował zespół konstrukcyjny na opracowanie nowego silnika dodatkowego Masady.

Chodził mu po głowie dziwny plan. Słowo dziwny nie było najtrafniejsze. Był to zupełnie wariacki pomysł, i jako taki mógł zdaniem Rymanna narobić niezłego bigosu, gdyby nie trzymał go pod czujną kontrolą.

Greer przejrzał trzy następne raporty poświęcając im zaledwie połowę swej zwykłej uwagi, aż trafił na dość nieistotny meldunek agenta Mossadu, któremu udało się przeniknąć do dysydenckiej grupy Arabów mieszkających w Nazarecie. Agent zajmował się raczej kolportowaniem plotek niż przekazywaniem rzetelnych informacji wywiadu. Plotki głosiły, że do Nazaretu wysłano dobrze przeszkolonego agenta OWP. Agent Mossadu kończył swój meldunek ponownym przypomnieniem o wątpliwej wiarygodności informacji i obiecywał jak najszybsze zdobycie pewnych danych.

Nazaret?

Greer zmarszczył brwi i ponownie przerzucił papiery, które chwilę wcześniej parafował. Wyciągnął sprawozdanie z sesji sądu wojennego i przeczytał je dwukrotnie. Oskarżyciel nie miał dostępu do najświeższych doniesień wywiadu dotyczących możliwości

działania agenta w Nazarecie; tak więc istniała szansa, bardzo nikła szansa, że porucznik David Heinlein stał się ofiarą omyłki wymiaru sprawiedliwości.

Greer rozmyślał przez chwilę o tej sprawie. Trudno by było przedstawiać władzom wojskowym bardzo niepewne, nie sprawdzone dowody pochodzące od nieznanego agenta, aby mogły się one z nimi zapoznać przed rozprawą apelacyjnego sądu wojennego.

Prawdę mówiąc, ta sprawa w żaden sposób go nie dotyczyła. Najśluszniej było o niej zapomnieć.

## 15.

Dziesięcioosobowy ponton poruszany bezgłośnie specjalnymi wiosłami zbliżał się pod osłoną nocy do plaży.

Ośmiu Palestyńczyków siedziało skulonych na dnie, aby ponton się nie przewrócił dnem do góry. Specjalnie wybrali noc, kiedy morze było wzburzone i fale na tyle wysokie, by zmniejszyć ryzyko wykrycia przez izraelski radar przybrzeżny. Ośmiu żołnierzy było wyposażonych w lekką broń i kremowe drelichy, zapewniające skuteczny kamuflaż na tle piasku.

Miejscem, które wybrali na lądowanie, był smagany przez wiatr kawałek plaży położony w połowie drogi między Tel Awiwem a Netanją, gdzie linia brzegowa zakończona wydmiami ciągnęła się nieomal wzdłuż prostej linii na odległość dwudziestu mil. Wybrzeże było również wolne od raf strzegących do niego dostępu na tym odcinku.

Gdy tylko ponton dobił do brzegu, jego załoga wybiegła pospiesznie na plażę wyciągając go z płytkiej wody, a następnie chowając w cieniu rzucanym przez sterty złożonych leżaków. Zamarli w bezruchu, gdy ciężki samolot transportowy z pobliskiej bazy Chel Ha'Avir w Hercliji wystartował, przelatując ponad ich głowami z blaskiem rzucanym przez światła nawigacyjne. Samolot zniknął za zasłoną ciemności. Na sygnał dowódcy mężczyźni zabrali się do roboty.

Pracowali szybko i metodycznie, nie wchodząc sobie wzajemnie w drogę - każdy z nich koncentrował się na przydzielonym mu zadaniu. Trzy tygodnie wyteżonych ćwiczeń przynosiły oczekiwane efekty.

Mieli możliwość postawienia min w piasku, które spowodowałyby panikę po wysypaniu się urlopowiczów na plażę. Jednakowoż pobrali jedynie próbki piasku i żwiru oraz dokonali szeregu pomiarów noktowizyjnym dalmierzem artyleryjskim. Użyli nawet klinometru, aby sprawdzić kąt nachylenia plaży, podczas gdy inna para żołnierzy z ich

oddziału dokonała szybkich obmiarów niskich wydm. Jeden żołnierz, wyposażony w miniaturową kamerę wideo zapisującą obraz w trzech wymiarach o podwyższonym kontraście, przesunął obiektywem po wydmach, a następnie skierował go w stronę pobliskiej autostrady, poświęcając sporo czasu na sfilmowanie otaczającego terenu.

Dziesięć minut później mężczyźni posługując się małymi wiosłkami wypłynęli cicho na pełne morze unosząc z sobą cenne próbki i nagrania ukryte w plastikowych torbach. Po trzech godzinach znoju wyciskającego z nich siódme poty w wilgotnym powietrzu nocy schowali wiosłka i uruchomili pięćdziesięciokonny silnik Mercury.

Następną godzinę spędzili w drodze do oczekującego na nich jachtu motorowego o nieznanej nazwie. Weszli na jego pokład szeroko uśmiechnięci i ruszyli całą grupą do prywatnej kabiny. Wysoki, ciemnowłosa mężczyzna, który z niecierpliwością wyczekiwał ich powrotu, poklepał każdego z nich przyjaźnie po plecach i uściśnął im ręce.

Joseph Maken był zachwycony wynikami przeprowadzonego w nocy zadania.

## 16.

- Odwal się - powiedział krótko Heinlein.

Mały człowieczek spojrzał na niego ze zdumieniem. Zamrugał nerwowo oczyma.

- Ależ ja jestem z organizacji dobroczynnej „Hava’ad Lema’an Hahayal”. Moim zadaniem jest odwiedzanie uwięzionych wojskowych. Dysponuję dużym wyborem książek, czasopism, kompaktów wideo...

- Dla mnie może pan równie dobrze być reinkarnacją Mojżesza z drugą Arką Przymierza. Powiedziałem, żeby się pan odwalił.

Mały człowieczek wykonał krok do tyłu, w kierunku drzwi:

- Nawet nie ma pan egzemplarza Tory w...

- Nie chcę żadnej choleralnej Tory! - ryknął Heinlein. - A teraz niech pan się wynosi i zostawi mnie w spokoju!

Człowieczek pospiesznie opuścił pokój Heinleina.

- Mówiłem panu - stwierdził lakonicznie kapral oczekujący na zewnątrz, który stał oparty o ścianę korytarza i żuł gumę.

- Zachowuje się tak, jakby go użarła osa - stwierdził mały człowieczek.

- Mówi pan osa? Moim zdaniem musiał ich być cały francowaty rój.

- Czy on zawsze się tak zachowuje?

Kapral pokręcił przecząco głową.

- O, nie. Dzisiaj to był w całkiem dobrym humorze.

## 17.

Greer pograżył się w mrocznych myślach. Z niewytłumaczalnych dla siebie samego powodów nie potrafił zapomnieć o sprawie porucznika Davida Heinleina.

Spędził całe rano w biurze, łamiąc sobie głowę obietnicą złożoną Rymannowi, że zyska trzy lata czasu dla nowego zespołu budującego silnik pomocniczy Masady. Jednakże gdy tylko zaczynał rozmyślać o tym problemie, uparcie wracało do niego nazwisko Heinleina. Być może powodowane to było myślą, że jego kraj straci usługi dobrego oficera. Nie było żadnej wątpliwości, że Heinlein był dobrym oficerem - jego akta mówiły same za siebie. Jeżeli faktycznie tego feralnego dnia w Nazarecie był snajper, to Heinlein miał prawo zapomnieć o wszystkim i udać się za nim w pościg.

Greer zacisnął wargi i postanowił zrobić coś jednak w sprawie porucznika Davida Heinleina. Podniósł słuchawkę telefonu i odbył trzy rozmowy. Dopiero w trakcie trzeciej rozmowy nagle zrozumiał, dlaczego sprawa porucznika Davida Heinleina uparcie tkwiła w jego myślach.

## 18.

Przypominając swoim wyglądem ogromną piłkę do krykieta przetaczającą się przez bramkę, Leon Dranski wysunął swoje korpulentne ciało przez otwór drzwiowy helikoptera.

Pomachał pulchnymi ramionami w kierunku baterii kamer telewizyjnych, członków Rady Najwyższej OWP oraz wiwatujących tłumów Palestyńczyków ustawionych na głębokość sześciu rzędów za barierami otaczającymi lotnisko wojskowe. Jego przybocznicy pomogli mu zejść po aluminiowych schodach na czerwony dywan, na którym wziął w ramiona Josepha Makena niczym nie widzianego od lat brata.

- Towarzyszu przewodniczący - powitał go gorąco Maken. - W imieniu całego ludu Palestyny serdecznie witamy w Bakal.

Drugą osobą, która wysiadła z helikoptera, był marszałek Ustinow, dowódca Sztabu Generalnego Armii Czerwonej, ponuro spoglądający człowiek o topornych rysach, który bez słowa uściskał dłoń Makena.

Jowialny uśmiech nie opuszczał ani na chwilę twarzy Dranskiego od momentu, kiedy

wszedł na podium. Platformę udekorowano flagami Związku Radzieckiego i OWP. Flagi z sierpem i młotem były większe od palestyńskich, ponieważ znajdowali się na terytorium Związku Radzieckiego.

Przemówienia wzmocnione przez głośniki były krótkie, lecz w entuzjastycznym tonie. Dranski w odpowiedzi na powitanie przez Makena odparł, iż walka narodu Palestyny jest walką ludzi Związku Radzieckiego. Walczyli ramię w ramię w tej samej wspaniałej rewolucji. I również ramię w ramię mieli odnieść zwycięstwo. Kroczyli razem do socjalizmu, który z całą pewnością miał doprowadzić do pokoju i dobrobytu na całym świecie.

Przebiegły przewodniczący zakończył swoją kwestię rozwierając szeroko ramiona i oświadczając w dobrze przeciwionym arabskim, iż Związek Radziecki nie spocznie, dopóki Palestyńczycy nie odzyskają swojego dziedzictwa.

Tłumy oszalały. Wiwaty oraz okrzyki trwały przez parę minut, cichnąc jedynie w momencie, kiedy Dranski złożył wieniec na niedawno zbudowanym pomniku ku czci poległych bohaterów OWP.

Pięć minut później kolumna opancerzonych mercedesów wyjechała prędko z bazy powietrznej, unosząc Leona Dranskiego wraz z jego świtą, kończąc tym samym pierwszą część jednodniowej wizyty w bazie OWP w Bakal.

\*\*\*

- Josephie, to zupełnie nieprawdopodobne - powiedział Dranski w trakcie lunchu, na którym podano pieczone kurczaki. - Użyczyliśmy wam trzysta kilometrów kwadratowych pustkowiec, a wy robicie z niego małe państwo - w pełni wyposażone w lotnictwo wojskowe, armię i marynarkę wojenną. Macie szkoły, farmy, wioski. Studia telewizyjne i radiowe. Niezwykłe osiągnięcia, zważywszy na tak krótki czas.

Maken uśmiechnął się krzywo.

- Nie mamy marynarki oprócz pontonów i mojego jachtu, towarzyszu przewodniczący - sprostował grzecznie.

- Aha. Czy zamierzacie narzekać?

- Ależ nie. Był pan dla nas bardzo hojny. Bez pana pomocy nie potrafilibyśmy niczego osiągnąć.

Dranski uśmiechnął się przyjaźnie do Makena.

- To prawda, Josephie, szczerą prawdą. Jednak mamy już taki zwyczaj udzielania pomocy wielu krajom, które nie potrafią skorzystać z szansy, jaką im taka pomoc stwarza. Wiele ryzykowałem politycznie przekonując moich towarzyszy, aby pozwolili wam na osiedlenie się w Bakal. Jest mi przyjemnie, że na własne oczy mogę przekonać się, iż to ja



miałem rację, a oni byli w błędzie.

Maken uśmiechnął się i zauważył sucho:

- Powiedziałbym raczej, że jedyne polityczne ryzyko, o jakim może tutaj być mowa, zostało podjęte przez tych, którzy się panu śmieli sprzeciwić.

Dranski spojrział na niego zaskoczony, a zaraz potem odrzucił do tyłu głowę wybuchając głośnym śmiechem.

- Ich argumentacją było to, że wpuszczając OWP na nasze ziemie wychowamy żmiję na własnej piersi.

- Przez te wszystkie lata wiele nauczyliśmy się, towarzyszu przewodniczący - stwierdził z powagą Maken - lecz najważniejszą rzeczą jest umieć odróżnić przyjaciół od wrogów.

Dranski gorliwie przytaknął głową.

- Dokładnie o to chodzi.

Maken przez chwilę milczał. Pierścienie baterii SAM-50A, które Sowieci rozmieścili wokół Półwyspu Krymskiego, aby chronić Bakal przed atakiem z powietrza, mogły w każdej chwili zostać zwrócone przeciwko OWP, gdyby tylko goście mieli zmienić się w żmiję. Bakal miał również ograniczone zasoby wody pitnej - a większość zapotrzebowania była pokrywana przez rurociąg będący pod kontrolą Sowietów.

- Może jeszcze trochę kurczaczka, towarzyszu przewodniczący?

- Nie, dziękuję.

Dwaj mężczyźni siedzieli w jadalni domku zajmowanego przez Makena. Maken życzył sobie, żeby zjedli ten posiłek tylko we własnym towarzystwie. Dranski skwapliwie się na to zgodził, narzucając decyzję marszałkowi Ustinowowi, przeciwnemu takiemu układowi.

Dwaj przywódcy tworzyli dziwną parę. Rumiany Leon Dranski miał pięćdziesiąt dziewięć lat. Braki w wykształceniu nadrabiał chłopskim sprytem - którego miał dość, ażeby móc się wydrapać na szczyt kremlowskiej hierarchii. Ta cecha w połączeniu z odrobiną aroganckiej bezwzględności wystarczały, aby zapewnić mu panowanie nad ową hierarchią na całe lata.

W przeciwieństwie do niego Joseph Maken był wysokim i obytym czterdziestoletnim mężczyzną, synem dobrze prosperującego paryskiego prawnika. Jego matka była Palestynką, którą jego ojciec spotkał po raz pierwszy prowadząc sprawę na rzecz paryskiego biura OWP, w którym pracowała jako sekretarka.

Joseph był ich jedynym dzieckiem. Ojciec zmarł, gdy Joseph jeszcze studiował na Sorbonie. Matka, zostając ze sporą fortuną, która przerastała jej potrzeby, postanowiła przekazać jej jedną trzecią OWP, przeznaczając resztę, na umożliwienie Josephowi podróży

po całym świecie celem rozwinięcia zdolności językowych.

Po dziesięciu latach studiów w Moskwie, Bejrucie i Nowym Jorku Joseph opanował nadzwyczaj biegle rosyjski, arabski, hebrajski i angielski. Pracował w Nowym Jorku jako tłumacz z rosyjskiego na rodzinny francuski w ONZ, kiedy matka zachorowała na raka.

Po jej śmierci postanowił kontynuować pracę, jaką ona wykonywała na rzecz OWP. George Kahn, przywódca OWP, który przebudował całą organizację po jej niemal zupełnym upadku w połowie lat osiemdziesiątych, docenił natychmiast wartość młodego Josepha Makena wysyłając go do Moskwy w charakterze specjalnego wysłannika OWP na Kremlu. Maken spędził trzy lata pracując i zacieśniając robocze kontakty pomiędzy OWP i Sowietami.

Ze swej strony Rosjanie nigdy nie przełamali się, aby zupełnie zaufać Makenowi, lecz przynajmniej dobrze go poznali. Dranski był na tyle przebiegły, żeby zrozumieć, iż obdarzony charyzmą Maken był potencjalnym przywódcą ruchu OWP - i to w dodatku przywódcą prosowieckim. Nie był może do końca marionetką, lecz nie można żądać wszystkiego naraz.

Kiedy George Kahn zginął w zamachu w Nowym Jorku - jak podejrzewano z ręki agentów Mossadu - Sowietci dali do zrozumienia bacznie nasłuchującym wpływowym działaczom OWP, że jeżeli uczynią Makena nowym przywódcą OWP, to Związek Radziecki rozważy znaczne zwiększenie pomocy wojskowej i gospodarczej na rzecz ruchu.

Po długo trwających walkach o władzę wewnątrz OWP i jej dwudziestu dziewięciu rywalizujących ze sobą odłamach Maken wypłynął jako nowy przywódca ruchu. Stał się nagle osobą publiczną; był nienagannie ubranym, spokojnie mówiącym, wykształconym człowiekiem, który zupełnie nie odpowiadał stereotypowi przywódców OWP prezentujących się jak partyzanci. Jego starannie ułożone przemówienia wygłaszane w ONZ, serie wykładów w USA, audiencje u papieża szybko przysporzyły jemu samemu oraz OWP nowych przyjaciół i ugruntowały jego pozycję jako nowej i nieoczekiwanej siły wśród wzburzonych wód polityki arabskiej. Pracowity codzienny rozkład zajęć zostawiał mu niewiele czasu na kobiety.

Początkowo nikt nie miał pewności, czy będzie działał na rzecz dobra - a szczególnie wątpliwości mieli w tym względzie Izraelczycy. Jednego byli pewni - Joseph Maken odbijał bardzo od reszty.

A jak bardzo odbijał, dowiedziano się niebawem po brzemienym w skutki nalocie izraelskim na Wielki Meczet w Mekce. Leon Dranski oświadczył, iż Związek Radziecki przychyliła się do prośby Josepha Makena o utworzenie dla Palestyńczyków tymczasowej ojczyzny na sowieckiej ziemi. Tą ojczyzną miał być Bakal na Półwyspie Krymskim, nad Morzem Czarnym. Resztę świata jeszcze bardziej zaskoczyła wiadomość, iż Związek

Radziecki wyposaży OWP w eskadrę złożoną z dziesięciu MIG-ów 35.

Pierwsza grupa Palestyńczyków zdołała przygotować w niecałe cztery dni pas startowy. Za sześć dni wysłano klucz samolotów MIG-35 z zadaniem przeprowadzenia nalotu, w czasie którego zniszczono obiekty reaktora w Yavne.

To wydarzenie doprowadziło do wybuchu wojny, która wlokła się już od roku.

Leon Dranski skończył filiżankę czarnej kawy i uśmiechnął się wyczekująco do Makena.

- Czy możemy powrócić do inspekcji, Josephie?

\*\*\*

Jako były żołnierz piechoty przywódca sowiecki był wręcz oczarowany znakomitym opanowaniem czołgów przez 3 Brygadę Pancerną OWP. Spędził ze swoją świtą trzydzieści minut obserwując manewry T-100 w ciężkim terenie w północnej części Bakal. Świetnie umundurowani żołnierze OWP nie tylko dobrze zapamiętali wiadomości przekazane im przez instruktorów Armii Czerwonej, lecz także wprowadzili tak wiele nowatorskich pomysłów do taktyki walki, że Armia Czerwona mogła się jeszcze czegoś nauczyć od OWP. Nie można było zgadnąć, czy wywarło to również wrażenie na nieprzeniknionym marszałku Ustinowie. W pewnej chwili Maken zauważył, że marszałek szepce coś do ucha Dranskiemu, a przywódca sowiecki potakuje głową.

Następne dwie godziny spędzono w centrum administracyjnym. Wszystkie budynki wzniesiono z prefabrykatów, dostarczonych jako podarunek od Dowództwa Zaplecza Armii Czerwonej.

Goście Makena zobaczyli pokoje, gdzie przy pomocy komputerów sprawdzano imigrantów palestyńskich, aby wyłowić spośród nich potencjalnych agentów izraelskich. Odwiedzili Akademię Sztabu Generalnego OWP, nawet wypróbowali trzymilimetrowy karabin maszynowy Arafat - niewielką, lecz bardzo skuteczną broń opracowywaną przez Palestyńskie Zakłady Rozwoju Przemysłu Zbrojeniowego.

- Chciałbym panów przeprosić - zwrócił się Maken do swoich gości późnym popołudniem - lecz nastąpiła zmiana w ostatniej pozycji naszego porządku dnia. Będzie to niespodzianka.

Dranski zachichotał.

- Następną niespodzianka, Josephie. Myślę, że zdążyliśmy się na nie uodpornić.

Grupa zwiedzających przeszła za Makenem do wielkiej sali o ścianach zawieszonych mapami Izraela o dużej skali. Cały środek zajmował ustawiony na stole ogromny model odcinka plaży. Wierzchołek plaży przykrywały nierówne wydmy, za którymi widniała

czteropasmowa autostrada biegnąca równolegle do wybrzeża. Porośnięte krzakami pustkowie przylegające do plaży były płaskie i zupełnie przez to nieciekawe.

- Widzimy tutaj odcinek brzegu między Tel Awiwem a Hajfą o szerokości dwóch kilometrów - odezwał się Maken, gdy jego goście ustawili się wokół stołu. Używał długiego wskaźnika do zaznaczania ważniejszych miejsc na modelu. - Plaża składa się z drobnego żwiru i piasku w równych proporcjach - i jest wytrzymała. Bardzo wytrzymała. Podobnie zresztą jak te oto wydmy. Kąt pochylenia plaży w jej najbardziej stromym miejscu - w pobliżu wydmy - wynosi nie więcej niż pięć stopni. Plaża ma przeznaczenie rekreacyjne, nie jest więc zaminowana.

Maken przerzucił wskaźnik w stronę morza.

- Podejścia do plaży są dobre - szelfowe dno morskie, o takim samym pochyleniu jak plaża do dwustu metrów od brzegu. Dno morskie wolne od skał i raf, jakie często występują w tej części wybrzeża.

Maken przerwał, uśmiechając się niewinnie do swoich gości.

- Panowie, czy macie jakieś pytania?

- Tylko jedno, Josephie - odezwał się Dranski, po raz pierwszy poważniejąc. - Pytanie, na które, jak mi się wydaje, znam już odpowiedź. - Wskazując pulchną ręką w kierunku modelu zapytał: - Jaki jest cel tego wszystkiego?

- To bardzo proste, towarzyszu przewodniczący - odpowiedział gładko Maken. - Jest to miejsce lądowania i przyczółek naszej inwazji na Izrael.

## 19.

Zupełnie nieoczekiwana propozycja złożona przez Makena zmusiła marszałka Ustinowa do wypowiedzi.

- Szalony pomysł - zauważył krótko.

- Dlaczego, towarzyszu marszałku? - obstawał przy swoim Maken.

- Jakiego rodzaju desant pan proponuje?

- Pierwsza fala uderzeniowa będzie się składać z desantu dwudziestu tysięcy żołnierzy. Sto czołgów T-100. Dwadzieścia dział samobieżnych RGD - i dziesięć baterii rakiet przeciwlotniczych SAM-30.

Ustinow fuknął ze zniecierpliwieniem.

- Jak dotąd nie mamy jeszcze morskiej wersji SAM-30, stąd Izraelczycy zatopią wasze wszystkie łodzie desantowe, zanim zdążą się zbliżyć na odległość stu kilometrów do

wybrzeża.

- Nasz plan nie przewiduje łodzi desantowych - zaproponował spokojnie Maken.

Po raz pierwszy marszałek Ustinow przejawiał zainteresowanie.

- To w takim razie *czego* zamierzacie użyć?

Od tej chwili Maken musiał zacząć postępować bardzo ostrożnie. Spojrzał na Dranskiego i Ustinowa w nadziei odgadnięcia ich nastrojów. Wyrazy ich twarzy nie były wcale zachęcające. Człowiek mniejszego formatu nabrałby w tym momencie głębszego oddechu. Maken poszedł za ciosem.

- Towarzysze, muszę wam coś wyznać. W czasie ostatnich trzech miesięcy sympatyk OWP zatrudniony w Pentagonie przesłał nam streszczenie raportu wywiadu, które, jak sądził, mogło się nam bardzo przydać. Raport został napisany przez attaché marynarki US z Istanbula. Sugeruje on, że trzy krążowniki klasy Kosygin zostały przebudowane po to, aby móc w ładowniach pomieścić bardzo dużą łódź podwodną. Raport mówił, że owa łódź jest czymś zupełnie nowym w wojnie morskiej. Miała to być desantowa łódź jednorazowego użytku, która mogłaby wpłynąć na płytkie wody, jak i na samą plażę, i wylądować dwadzieścia tysięcy żołnierzy desantu, jak i sto czołgów i towarzyszącego sprzętu.

Maken zrobił pauzę. Na twarzach jego gości nie drgnął nawet jeden mięsień.

- Taki okręt-matka i łódź podwodna mogłyby przepłynąć Bosfor nie wywołując żadnych niepotrzebnych komentarzy - mówił dalej Maken. - A sama łódź podwodna będzie na pewno wyposażona w cichy silnik oraz najnowsze zmylacze DWF, zdolne oszukać izraelską sieć boj sonaru.

Maken zdecydował, że powiedział już wystarczająco wiele. Wrzucił na boisko Sowieców bardzo dużą i niebezpieczną pigułę i zastanawiał się, co oni z nią poczną.

Dranski wy dobył z siebie jeden ze swoich gardłowych chichotów. Maken zdawał sobie sprawę, że to jeszcze nic nie znaczy. Przypuszczalnie przywódca radziecki śmiał się ze sposobu, w jaki chciano go „podejść”.

- Ciekawe rzeczy, Josephie - powiedział Dranski z namysłem. - Bardzo ciekawe. Zakładając, że taka łódź faktycznie istnieje, oraz przyjmując, że uda się wam jedną z nich wykorzystać, jestem przekonany, iż nie sądzisz, że uda ci się pokonać Izrael przy pomocy dwudziestu tysięcy żołnierzy i setki czołgów.

Maken poczuł, że najgorsze ma już za sobą.

- Oczywiście, że tak nie myślę, towarzyszu przewodniczący. Gdy tylko baterie SAM-30 znajdą się na swoich pozycjach, zamkniemy autostradę i wykorzystamy ją następnie jako lądowisko dla mostu powietrznego złożonego z ciężkich samolotów transportowych

zwożących ludzi i artylerię. Nie muszę podkreślać, że czas ma tutaj zasadnicze znaczenie. Dokładnie rzecz biorąc, pierwsze samoloty transportowe siądą w trzydzieści minut po desancie na plaży. Jak sami dobrze wiecie, Izraelczycy nigdy nie traktowali poważnie groźby inwazji od strony morza - ich wojska pancerne są zgrupowane na pozycjach, z których łatwo mogą dojść do granic na zachodzie, północy i południu. W tej sytuacji dopiero za trzy godziny uda im się przegrupować, aby związać nas walką. Do tego czasu zdążymy wysadzić na ziemię sto tysięcy żołnierzy i będzie już za późno na cokolwiek.

- Skąd pan wie, że autostrada nadaje się na lądowisko dla ciężkich transportowców? -  
zażądał odpowiedzi Ustinow.

- To bardzo proste. Dokładnie ją wymierzyliśmy.

Dranski otworzył ze zdumieniem oczy:

- Naprawdę? W jaki sposób?

- Dwukrotnie wysłaliśmy na plażę grupy geodetów, którzy wymierzyli każdy fragment linii brzegowej - odparł gładko Maken.

Dranski spojrział na Makena z jeszcze większym szacunkiem.

- No proszę - powiedział w zamyśleniu. - Naprawdę to zrobiliście?

Maken przytaknął.

- Wierzymy w szczegółowe planowanie, towarzyszu przewodniczący. Jeżeli będzie mi wolno zacytować Churchilla, to powiem: „Dajcie nam narzędzia, a my dokończymy tę pracę”.

Przez chwilę przywódca radziecki głęboko myślał, po czym nagle zwrócił się do Makena z promiennym uśmiechem.

- Josephie, będę musiał omówić mnóstwo spraw z naszymi ministrami obrony i dowódcami sztabów. Być może będziemy musieli zawezwać ciebie za parę dni do Moskwy, żebyś odpowiedział nam na szereg pytań. Czy będziesz do naszej dyspozycji?

Maken poczuł, że zdjęto mu z ramion ogromny ciężar. Uścisnął z radością rękę Dranskiego.

- Będzie to dla mnie wielki zaszczyt, towarzyszu przewodniczący.

## 20.

Rymann, a dokładnie rzecz biorąc, jego kierowca był bardzo zajęty w chwili, gdy zadzwonił telefon przy łóżku.

- Niech to szlag trafi - zamruczał do Semony, spychając ją z siebie i sięgając po słuchawkę. - To na pewno Michael.

Sierżant Semona Lucca wydeła swoje wydatne usta w nadąsany dziubek i naciągnęła prześcieradło na odkryte piersi.

- Hendriku - w głosie Greera słychać było podniecenie. - Przykro mi, że ci przeszkadzam.

- Mnie jest jeszcze bardziej przykro z tego powodu - odparł Rymann z rozdrażnieniem.

- Musimy porozmawiać.

Semona uśmiechnęła się szelmowsko do Rymanna, po czym przebiegła zmysłowo zręcznymi palcami po jego brzuchu i przystąpiła do działania.

- Kiedy?

- Teraz.

Rymann pochwycił rękę Semony przytrzymując ją po to, żeby móc się skoncentrować.

- Czy zdajesz sobie sprawę, że ta pora po południu jest dla mnie święta?

Greer wiedział doskonale o popołudniowych sesjach Rymanna z Semoną.

- Właśnie chcę poruszyć z tobą temat czasu - odparł sucho.

Rymann zgubił wątek.

- Czasu?

- Trzech lat.

Rymann nagle się ożywił, zapominając zupełnie o Semonie.

- Odwołałem dzisiejszą sesję, abyśmy mogli się razem wybrać na przejażdżkę - powiedział Greer.

- Dokąd to niby?

Kiedy Greer wyjawiał cel przejażdżki, Rymann usiadł na łóżku, omal nie zrzucając przy tym Semony na ziemię.

- Na rany boskie, dlaczego właśnie tam? Za piętnaście minut będę gotowy - zakończył rozmowę Greer.

Połączenie zostało przerwane. Rymann odłożył słuchawkę i wbił wzrok w przeciwległą ścianę.

Semona zamachała mu ręką przed oczyma, próbując żartobliwie przyciągnąć jego uwagę:

- Halo! Czy ktoś jest w domu?

Rymann uśmiechnął się i ujął jej twarz w swoje ręce.

- Sierzancie Lucca. Nadeszła pora, żebyście zarobili na swoją pensję robiąc to, za co płaci wam państwo.

Semona wybuchnęła śmiechem, zeskoczyła z łóżka i zaczęła naciągać ciasno skrojony

mundur na swoje wspaniałe, oliwkowego koloru ciało.

- A dokąd chce mój pan i władca, żeby go zawieźć?

- Masada - odparł Rymann.

## 21.

Masada.

Pustynia Judejska. Jedno z najniższych położonych miejsc na kuli ziemskiej. Wściekły upał. Spalony przez słońce płaskowyż przypominający zupełnie księżycowy krajobraz, na którym Herod zbudował swoją siedzibę - ufortyfikowany letni pałac wychodzący na spowite mgłami zakole Morza Martwego. Trwająca pięć minut przejażdżka kolejką linową w górę urwistych, nagich zboczy, które armia rzymska zdobywała przez trzy lata.

Masada.

Ostatni bastion powstania żydowskiego z 73 roku naszej ery, gdzie dziewięćset sześćdziesięciu mężczyzn, kobiet i dzieci pod wodzą Ben-Yaira opierało się tyranii Rzymian.

Rymann i Greer przespacerowali się po ruinach marmurowych tarasów Północnego Pałacu pod baczynym okiem żołnierzy. Semonna trzymała się dyskretnie w tyle. Jej włosy rozwiewał przyjemny wiaterek, zaś ręka obejmowała pistolet maszynowy uzi przewieszony niedbale przez ramię.

Paru zwiedzających, których żołnierze poprosili o opuszczenie historycznego wzgórza, było żydowskimi pielgrzymami. Izrael nie był już tłumnie odwiedzany przez turystów.

Rymann i Greer doszli do balustrady i zatrzymali się w milczeniu, każdy zatopiony we własnych myślach. Rymann rozważał nieprawdopodobny plan, który Greer przedstawił mu w czasie trwającej godziny jazdy z Jerozolimy.

Patrzyli razem w dół na groźnie wyglądające nasypy zbudowane przez oblegające wojska rzymskie. Ogromne bloki kamienia otaczały wzgórze, które zostało umocnione w taki sposób, aby pozwolić Żydom z Masady uniknąć straszego końca, jaki chcieli im zgotować Rzymianie. Po lewej stronie, pnąc się po północnym stoku, widniał potężny ziemny nasyp zbudowany z niemałym trudem przez Rzymian zaciekłych w swoim zamiarze sforsowania wałów górskiej fortecy.

Patrząc z góry na nasyp Rymann mógł sobie doskonale wyobrazić uczucia Ben-Yaira, który obserwował jego budowę. Miesiąc za miesiącem nasyp zbliżał się cal za cal w jego stronę. Codziennie był nieco wyższy. Każdy dzień przybliżał dla niego i jego ludzi nieuchronny koniec.



To samo czekało teraz Izrael. Każdy dzień na nowo jątrzył ranę, z powodu której ukochany kraj wykrwawiał się na śmierć. Samoloty strącano prędzej, niż można było dostarczyć nowe, czołgi i samobieżne działa niszczone, fabryki bombardowano. Za tym zawsze szły zgony, pogrzeby, szlochający krewni. Straszliwy rozlew krwi, który zdawał się nie mieć końca. A jednak ponure codzienne raporty przypominały Rymannowi, że koniec musi kiedyś nadejść - podobnie jak Ben-Yair zdawał sobie sprawę, że pewnego dnia budowa nasypu zostanie ukończona.

Chyba, że Izrael zdoła zatrzymać czas. Przez trzy lata.

Ben-Yairowi udało się zatrzymać czas dla swojego ludu.

Dał mu całą wieczność.

Rzymianie wepchnęli olbrzymie maszyny obłącznicze na nasyp i następnego dnia stanęli gotowi do zwalenia murów Masady.

Ben-Yair zwołał wszystkie głowy rodów na centralny plac, gdzie postanowili, co mają czynić. Straszliwą decyzję podjęto o północy. Koszmar, który nastąpił później, został następująco opisany w kronikach:

*Następnie wybrali dziesięciu mężczyzn w drodze losowania z całej gromady, z której wszyscy legli na ziemi obok swoich żon i dzieci, rzucając na ziemię broń. Następnie nadstawili swoje karki pod ciosy miecza dziesięciu, którzy dzielnie sprawowali swoją smutną powinność.*

*A gdy owa dziesiątka zakończyła swoje dzieło, rzucili losy po raz wtóry, pozostawiając jednego mężczyznę, aby zabił dziewięciu. Kiedy i to się stało, ostatni mężczyzna popełnił samobójstwo.*

*Rzymianie wkroczyli do fortecy i zobaczyli dziewięciuset sześćdziesięciu poległych. Zdobyty cel nie uradował ich, nawet wobec faktu, że polegli byli ich wrogami. Mogli jedynie podziwiać odwagę i wytrwałość, jak i pogardę dla śmierci okazaną przez tak wielu.*

Rymann przerwał rozmyślenia z powodu jakiegoś hałasu, po czym z Greenem spojrzeli na dolny taras, gdzie grupa poborowych ustawiała się w szyku do ślubowania. Pierwotnie jedynie żołnierze desantu składali Przysięgę Masady. Teraz wszyscy poborowi odbywali podróż do pustynnej fortecy, gdzie przysięgali, iż „Masada już się nigdy więcej nie podda”.

- Czy pamiętasz swój dzień przysięgi, Hendriku? - zapytał Greer ściszym głosem.

Rymann zwrócił się w stronę swojego przyjaciela, który nie spuszczał z niego wzroku. Skinął potakująco głową.

- Była to uroczystość w blasku pochodni. Taka, jaką pamięta się przez całe życie.

- Nas ciągle obowiązuje ta przysięga, Hendriku. W większym stopniu niż innych żołnierzy, bowiem Bóg dał nam więcej władzy niż któremukolwiek z nich.

- Naprawdę tak sądzisz, Michaelu? Czasami w to wątpię.

Greer rzucił przyjacielowi ostre spojrzenie i dojrzał w nim oznaki zmęczenia, którego nie zauważył nigdy wcześniej.

- Masada nie może nigdy więcej się poddać - powiedział z zupełnie niepodobną do niego żarliwością. - Byłoby lepiej zniszczyć Izrael, a z nim cały świat, niż pozwolić wrogom jeszcze raz postawić stopę na tej górze.

- Cały świat?

- Tak, cały świat - powtórzył Greer bez chwili namysłu. - Jeżeli cały świat chce patrzeć się obojętnie na zagładę Izraela, to my będziemy mieli prawo wyłupić ostatnie oko za ostatni ząb. - Po tych słowach wytarł chusteczką swoją pobrużdżoną twarz.

- Jest to niesamowity plan.

- Da nam trzy lata, których potrzebujemy.

Rymann wpatrywał się w górę Moab widoczną za Morzem Martwym.

- Cały świat? - powiedział cicho do siebie.

- Mój plan jest naszą jedyną nadzieją. Lecz wymaga on twojej akceptacji.

- Czy znalazłeś już kogoś, kto wykona to... to zadanie?

- Tak mi się wydaje.

- Kto to jest?

- Oficer. Jeszcze się z tym do niego nie zwróciłem.

Rymann trwał parę sekund pogrążony w myślach. Wreszcie podjął decyzję.

- Niech będzie, Michaelu. Lecz niech to zostanie między nami - na wypadek gdyby się nie powiodło.

- Powiedzie się - obiecał Greer z triumfalną nutą w głosie.

- Mam, Michaelu, taką nadzieję. Będę się modlił do Boga. Lecz na razie zatrzymajmy to dla siebie. Dla naszej dwójki.

- Trójki - poprawił go Greer.

## 22.

- Co niby ze mną zrobili? - Heinlein prawie że krzyczał.

- Uniewinnili - powtórzył Gideon Tal, uśmiechając się od ucha do ucha.

- Nie wierzę.

- Niech pan spojrzy na papiery zwalniające pana z więzienia. - Heinlein wyciągnął swoje mocne palce i wyrwał Talowi dokumenty. Przebiegł po nich wzrokiem.

- Nowe dowody? Jakie nowe dowody?

Tal zrobił niepewną minę.

- Nie mam pojęcia.

- W takim razie to nie pana zasługa?

- No, więc niezupełnie. Przed dwoma godzinami odebrałem telefon, który wzywał mnie do kwatery Naczelnego Dowództwa, abym odebrał jakieś dokumenty. Jeden komplet dla komendanta więzienia, który już doręczyłem. A drugi dla pana.

- I żadnego wyjaśnienia?

Tal wyciągnął z teczki czystą kopertę, którą wręczył Heinleinowi.

- Może to nim będzie. List jest jedynie dla pana oczu. Mam być świadkiem, że zniszczy go pan po przeczytaniu.

Heinlein rozdarł pospiesznie kopertę. Była w niej następna koperta. Zdziwiła go widniejąca na niej pieczęć. Jeszcze bardziej zdziwiła go treść listu zawartego w wewnętrznej kopercie. Przeczytał go dwa razy, jak gdyby starając się wryć go sobie w pamięć, po czym wybuchnął śmiechem.

- Czy można wiedzieć, o co tu chodzi? - zapytał zaciekawiony Tal. Zdążył zauważyć, że nazwisko Heinleina zostało niefachowo wystukane na maszynie na wewnętrznej kopercie.

- Odszkodowanie - odparł Heinlein po krótkim namyśle. - Nic dziwnego, że te sukinsyny chcą, abym zniszczył ten list. Dają mi tytułem odszkodowania jedną miesięczną pensję. Miesięczną pensję za to, co wycierpiałem!

- Mógłbym wyciągnąć o wiele więcej - ożywił się Tal. - Mogę o to dla pana walczyć.

Heinlein wbił w Tala twardy wzrok.

- Pan? Pan nie mógłby walczyć nawet ze zdechłą muchą.

- Dziękuję panu.

- W każdym razie nie chcę żadnego cholernego odszkodowania.

Heinlein przeczytał ponownie list. Zamiast adresu widniał numer telefonu w Tel Awiwie - nic poza tym. Zapamiętał numer i pseudonim nadawcy przed spaleniem obu kopert i listu na popielniczce, starannie rozcierając poczerwiałe płatki na pył.

- I co dalej?

- Może pan odebrać swoje rzeczy i wyjść stąd jako wolny człowiek, powracając do jednostki bez śladu w swoich aktach. Dostanie pan pełne zaległe pobory, nie straci pan

wysługi lat ani też awansów.

- Zabierajmy te moje rzeczy - powiedział obojętnie Heinlein.

\*\*\*

- Cieszę się, że wszystko dobrze poszło - powiedział kapral sprawdzając osobiste rzeczy Heinleina według listy przypiętej klamrą do sztywnej podkładki, a następnie układając je w walizce.

- Będzie mi brakować waszych czarujących manier, kapralu - rzucił Heinlein kwaśno. - Jak na przykład wrzeszczenia mi nad uchem o szóstej zero zero każdego ranka.

Kapral uśmiechnął się i zamknął walizkę.

- Gdyby tylko pan zechciał tutaj podpisać, panie poruczniku... Dziękuję panu. Wie pan co - zawsze uważałem, że z pana sprawą było coś nie tak. Niech pan poczyta o tym w „Ma'arakhot” tak jak ja.

- Skoro już o tym mówimy - odezwał się Tal do Heinleina - polecono mi, żebym panu przekazał, iż jako oficer nadal podlega pan regulaminom wojskowym. Nie wolno panu rozmawiać o pana sprawie z nikim z prasy, i w ogóle z żadną postronną osobą. Jutro zostanie opublikowany przez Ministerstwo Obrony oficjalny komunikat prasowy.

- Będę o tym rozmawiał, z kim tylko mi się podoba - warknął krótko Heinlein.

- Ależ nie wolno panu! Regulaminy wojskowe...

- Mam w dupie regulaminy wojskowe. Nie będą już mnie dotyczyły, jeżeli nie będę w wojsku.

Tal spojrział na Heinleina w osłupieniu. Zaczynał nabierać przekonania, że rzeczy przybierają zupełnie zły obrót. Miał polecenie towarzyszyć Heinleinowi do kwatery Naczelnego Dowództwa.

- Ale mimo wszystko wróci pan do swojej jednostki?

- Tak - tylko po to, aby złożyć rezygnację ze stanowiska i podjąć zaległe pobory.

- Nie może pan tego zrobić!

- Niech pan tylko spróbuje mnie zatrzymać - odparł Heinlein podnosząc gwałtownie walizkę i zmierzając w kierunku drzwi.

- Rany boskie - zamruczał wystraszony Tal. - Niech pan posłucha, poruczniku. Nawet jeśli rzuci pan służbę, to nadal nie wolno panu gadać z prasą. Nadal podlega pan prawom tego kraju.

Heinlein obrócił się powoli w stronę Tala.

- A kto powiedział, że chcę zostać w tym sakramenckim kraju?

Tal pobladł.

Heinlein szarpnął za drzwi i jako wolny człowiek wyszedł na światło dzienne.

- Do diabła - powiedział pod nosem Tal.

- Dziwny z niego był gość - stwierdził kapral. - Nigdy nie potrafił okazać żadnej wdzięczności.

Tal miał obawy, że to właśnie jemu okażą bardzo mało wdzięczności, gdy wróci do kwatery Naczelnego Dowództwa.

- A wy ani słowa o tym, co tutaj zaszło - rzucił ostrzeżenie kapralowi.

- Oczywiście, proszę pana - zapewnił go kapral, nie mogąc się wprost doczekać, żeby zrelacjonować całe zajście swoim kumplom. Heinlein nagle wrócił.

- Niech mi ktoś pożyczy pięćset szekli na taksówkę.

## 23.

Zrobiona na bóstwo sekretarka wprowadziła Neila do biura Earla Hacketta mieszczącego się w budynku administracyjnym Ośrodka Kosmicznego im. Kennedy'ego.

- Miło cię znowu zobaczyć, Neil - powitał go wylewnie Hackett, ściskając rękę gościa i wskazując mu krzesło. - Zapewne cię ucieszy wiadomość, że Bud Wilson i Lewis Markenstein właśnie ukończyli naprawę KARMA II.

- To naprawdę dobra wiadomość, Earl.

Hackett przybrał zatroskany wyraz twarzy.

- Problem polega na tym, że nie możemy obciążyć konta właścicieli satelity kosztami lotu Buda i Lewisa.

- Z całą pewnością Pelham nie zmrużyłby z tego powodu oka przez całą noc - zauważył złośliwie Neil.

Hackett zachichotał. Jego twarz stała się nagle poważna. Rzucił okiem na zegarek.

- Za dwie godziny zostanie ogłoszone opracowanie komisji rewizyjnej. Uważałem, że masz prawo je zobaczyć przed nałożeniem embarga prasowego. - Otworzywszy szufladę podał Neilowi plastikową oprawkę zawierającą kilkusetstronicowy dokument.

Neil bez słowa zważył w rękę opracowanie. Było o wiele grubsze, niż oczekiwał.

- Część pierwsza zawiera omówienie celu zadania - tłumaczył Hackett. - Część druga jest transkryptem nagrania dokonanego przez magnetofon promu 141. - Po chwili wahania dodał: - Część, która dotyczy cię bezpośrednio, mieści się we wnioskach komisji rewizyjnej. Część szósta - strony 14 do 16.

Neil przerzucił strony do części szóstej i przeczytał ponumerowane akapity. Mieścił się

tam starannie ubrany w słowa końcowy akapit, który wyraźnie wybijał się na stronie:

„W końcowej analizie pragniemy podkreślić, że dowódca PO-141 nie słuchał z całą uwagą wymiany zdań pomiędzy specjalistą od ładunków i Alem Benyonem w czasie pobytu tego ostatniego na zewnątrz statku. Analiza odpowiedniego ustępu transkryptu zapisu dźwiękowego (Część druga, strony 8 do 20) wykazuje niezbicie, iż wypowiedzi specjalisty od ładunków skierowane były do Ala Benyona, a nie do dowódcy statku. Ten fakt, w połączeniu z pisemnym oświadczeniem dowódcy (patrz Appendix B), że jego uwaga została rozproszona przez dziwne zjawisko optyczne na pustyni Negew, oznacza, że nie mamy żadnych wątpliwości przypisując tragiczną śmierć Ala Benyona wspomnianemu brakowi koncentracji ze strony dowódcy PO-141.

Nie można przypisać żadnej winy urządzeniom NASA stanowiącym wyposażenie promu ani też przepisom operacyjnym, które zbadaliśmy w całej rozciągłości i które zostały uznane za wystarczające (patrz część piąta)”.

Neil wrócił do załącznika, w którym wymieniono wszystkie osoby składające zeznania przed komisją. Był wstrząśnięty tym, co tam znalazł.

- Ostro cię potraktowali - powiedział Hackett przepraszającym tonem, unikając wzroku Neila. - Jest mi przykro.

Neil rzucił z gniewem sprawozdanie na biurko Hacketta.

- Dlaczego komisja nie wezwała innych astronautów do złożenia zeznań?

Hackett spojrzał na niego ze zdziwieniem:

- Jakich innych astronautów?

- Przedłożyłem twojemu biurku listę czterech astronautów, którzy powiedzieli mi, że są zaniepokojeni używaniem słowa „prawo”. Co się z nią stało?

- Nie była to część twojego sprawozdania - zaczął Hackett.

- Niemniej jednak była to część moich zeznań! - zaprotestował Neil.

- Kongresman Williams powiedział, że jest skłonny przyjąć zeznania jedynie tych osób, które były bezpośrednio zaangażowane w ten wypadek. Komisja rewizyjna jasno określiła swoje kryteria...

- Nie mówię o żadnych kryteriach. Chodzi mi o czterech astronautów, którzy, jak myślałem, mieli zostać przesłuchani.

- Przykro mi, Neil. Lecz naprawdę nie można było ich wezwać.

- Czy przedstawiłeś moją listę Williamsowi?

- Jaki miałoby to sens? Na pewno nie zgodziłby się jej przyjąć.

Neil był już bliski wyrznięcia pięścią w stół.

- Czy przedłożyłeś mu ją?

- Miałem taki zamiar. Lecz...

- W takim razie, kto cię powstrzymał?

- Decyzję podjęto na wysokim szczeblu administracji.

- Co znaczy, że była to decyzja Pelhama?

- Twoją listę uznano za nie mającą związku ze sprawą.

- Po to, aby można było przybić mój skalp do słupa?

Hackett zaczął tracić cierpliwość.

- Sam przybiłeś ten swój skalp do słupa przyznając w sprawozdaniu, że na chwilę rozproszyło twoją uwagę światło na pustyni Negew. Jeszcze jedna sprawa - radziłem ci, żebyś wziął obrońcę na czas przesłuchań, a także żebyś stawiał się w ciągu następnych dwóch dni. Postanowiłeś zignorować moje uwagi.

Neil chciał się kłócić, lecz w duszy był głęboko przekonany, że Hackett ma rację. Zdawał sobie sprawę, że wcześniej czy później będzie musiał wziąć na siebie część winy za śmierć Ala. Nagle odeszła go chęć wyklócania się. Wpadł w znaną sobie apatię, która zawsze odciągała go od codziennych problemów życia na ziemi.

- Niech ci będzie - odparł bez emocji. - Co robimy dalej?

- Twoje zawieszenie w wykonywaniu obowiązków służbowych pozostaje w mocy do czasu przeniesienia na inne stanowisko. Bezspornym faktem pozostaje to, że nigdy już nie wrócisz do czynnej służby na wahadłowcu.

Był to cios, który - jak Neil zdawał sobie sprawę - musiał nadejść, niemniej jednak był zupełnie nie przygotowany na ponure słowa. Wbił wzrok w Hacketta, który wpatrywał się przez okno w budynek montowni statków kosmicznych.

- Nie możecie mi tego zrobić. Poświęciłem wszystko, żeby móc pracować w NASA.

- Przykro mi, Neil.

- Czy zdajesz sobie sprawę, w jakim stopniu to mnie dotknie?

Hackett rzucił Neilowi przeciągłe spojrzenie.

- Myślę, że tak. Dlatego uważam, że w twoim najlepszym interesie leży, aby zdjęto cię z lotów wahadłowcem.

- Wyniki moich badań lekarskich...

- Nigdy nie poruszałem wyników twoich badań - przerwał mu ostro Hackett. - Może jest w nich coś, o czym powinienem wiedzieć, co? - Zmienił ton głosu na bardziej

pojednawczy. - Posłuchaj, Neil. Jesteś nam w dalszym ciągu potrzebny. Nie możemy pozwolić sobie na odejście ludzi z takim doświadczeniem i kwalifikacjami jak twoje. W następnym miesiącu będziemy mieli wolne miejsce na stanowisku kierownika obsługi naziemnej floty statków Gulfstream STA. Jesteś idealnym kandydatem na to stanowisko.

Neil nie wierzył własnym uszom. Statki Gulfstream były czterema starszymi się szkoleniowymi statkami o dwóch silnikach, które przebudowano tak, aby nadać im parametry lotu orbitowca. To, co proponował Hackett, nie dawało mu nawet możliwości latania. Usłyszał własny głos.

- Wstąpiłem do NASA, aby móc latać w kosmosie. Nie chcę niczego więcej i niczego mniej.

- Jest mi przykro, Neil - odparł Hackett z prawdziwym współczuciem - jednakże będziesz musiał ograniczyć swoje wymagania.

- A jeżeli nie będę gotów tego przyjąć?

- Wtedy nie dostaniesz niczego. Jesteśmy skłonni wcześniej rozwiązać twoją umowę, która wygasa dopiero za dwa lata. Jeżeli złożysz swoją rezygnację u mojej sekretarki, to umożliwi ci ona łączną wypłatę reszty twoich poborów oraz ubezpieczenia, po czym możesz natychmiast wyjechać z Ośrodka Kennedy'ego i nigdy już tu nie wracać. - Hackett napotkał twarde spojrzenie Neila. - Czy tego chcesz?

- Tak - odparł Neil bez emocji. - Dokładnie tego chcę.

\*\*\*

Neil siedział w wozie kempingowym Winnebago na zewnątrz kompleksu budynków administracyjnych, zmuszając się do myślenia o tym, jak zorganizować na nowo swoje zrujnowane życie. Helena powiadomiła go, że już do niego nie wróci, a dom, na żądanie jej adwokatów, znajdował się w rękach pośredników handlu nieruchomościami. Musiał znaleźć pracę, lecz wątpił w to, czy któraś z setek firm zlokalizowanych wzdłuż wschodniego wybrzeża Florydy będzie zainteresowana w zatrudnieniu byłego astronauty, którego uznano winnym śmierci kolegi.

Temperatura w wozie podniosła się. Uruchomił silnik i włączył klimatyzację. Podczas podsumowywania swoich możliwości zauważył nieregularne drgania dochodzące z turbiny. Główny silnik wymagał regulacji. Jego naprawa mogła mu pomóc przestać przez pewien czas myśleć o Helenie i dzieciach, jednak nie była to najważniejsza sprawa.

Przede wszystkim musiał znaleźć pracę.



Iljuszyn Aeroflotu wylądował w Moskwie o godzinie 10.30.

Makena i jego świtę powitał na płycie lotniska wiceminister Rady Wojskowej.

Chociaż było lato, deszcz pędzony podmuchami zimnego północnego wiatru zacinał ukośnie nad lotniskiem. Nie było żadnych powitalnych przemówień ani witających tłumów.

- Traktują nas gorzej niż ministra - Maken rzucił po arabsku cyniczną uwagę swoim doradcom, podczas gdy kawalkada aut sunęła przez szare ulice wioząc przywódcę OWP i jego świtę do hotelu.

W trzy godziny później Maken udał się samotnie na Kreml, stosownie do życzenia gospodarzy, i został zaprowadzony do pałacowych wnętrz biura Dranskiego.

Przywódcą radziecki był w swoim zwykłym wylewnym nastroju; promienny uśmiech na powitanie, wyciągnięte ramiona, po czym mocarny uścisk „na misia”, który Maken uznał za wyjątkowo odpowiedni.

- Mój drogi Josephie. Jak miło móc cię zobaczyć tak szybko. Proszę. Proszę bardzo. Siadaj. Czy lot był dobry?

Jałowa pogawędka prowadzona była przez następne pięć minut i została ucięta słowami Dranskiego:

- Marszałku, proszę, niech pan wejdzie i siądzie z nami.

Maken powstał, aby podać rękę marszałkowi Ustinowowi, i zdziwił się widokiem pięciu mężczyzn w ciemnych garniturach wchodzących cicho do pokoju. Pięciu przybyszów było tak do siebie podobnych, że można ich było wziąć za klonów. Dranski z Ustinowem nie próbowali nawet przedstawić ich Makenowi. Mężczyźni zajęli różne miejsca w pokoju, przypominając pingwiny w absolutnym milczeniu poszukujące zdobyczy.

- No, to do interesów - powiedział Dranski z ożywieniem, zacierając swoje pulchne dłonie - Josephie, nie uwierzysz, jak długie spotkania odbywaliśmy tutaj rozpatrując twoją prośbę. Czasami nie kładłem się spać wcześniej niż o czwartej rano.

- Mam nadzieję, że się pan z naszego powodu zbyt nie przemęczył - odparł Maken. Był dobrym dyplomatą i wiedział, jak nadać swoim słowom ton prawdziwego zatroskania.

Dranski uśmiechnął się chytrze.

- Dziękuję, Josephie. - Odwinął cukierek z papierka i wpakował go do ust. Ssał go nie przestając przyglądać się gościowi. - Miałeś rację w sprawie krążowników Kosygin. Z tą tylko różnicą, że przebudowaliśmy dwa, a nie trzy do przewożenia szturmowych łodzi podwodnych.

Było to niespodziewane oświadczenie. Dało ono Makenowi nadzieję - gdyby chytry, mały Rusek pragnął załatwić odmownie prośbę OWP, wystarczyłoby, żeby tylko zaprzeczył

istnieniu łodzi podwodnych.

- Jesteśmy zainteresowani źródłem waszych informacji na temat krążowników - nazwisko waszego informatora z Pentagonu - mówił dalej Dranski. - Przypominasz sobie zapewne, że jednym z warunków naszego traktaciku była wolna i nieskrępowana wymiana danych wywiadu na tematy interesujące dla obu stron.

- Pełne informacje prześlemy wam jutro, towarzyszu przewodniczący - zapewnił go Maken.

Dranski ssął z zadowoleniem cukierek.

- Marszałku?

Ustinow chrząknął.

- Towarzyszu Maken, nasze połączone sztaby przejrzały wasze plany inwazji na Izrael i doszły do wniosku, że nie jesteśmy gotowi podjąć się takiej operacji.

- Mieli pełną słuszność - zgodził się gładko Maken.

Ustinow spojrzał na niego ze zdziwieniem.

- ...bowiem tego typu operacja wymaga co najmniej rocznego okresu planowania i ćwiczeń.

- Według naszego rozeznania dwa lata - odparł Ustinow.

W tej chwili Maken wiedział już na pewno, że jego podejrzenia się sprawdzą - jego plan miał zostać odrzucony. Musiał użyć małego żartu, aby pokryć swoje rozczarowanie.

- Myślę, że za dwa lata będziemy gotowi do inwazji na USA, towarzyszu marszałku.

Dranski roześmiał się, omal nie połykając przy tej okazji swojego cukierka. Nawet jeden z klonów pozwolił sobie na uśmiezek.

- Lecz my wcale nie chcemy inwazji na USA - ciągnął Maken zadowolony z grymasu na twarzy Ustinowa - jedynie na Izrael.

Dranski zgryzł trzymany w ustach cukierek.

- Marszałek nie ma odwagi przejść do sedna sprawy. Przykro mi, Josephie, lecz my wcale nie życzymy sobie eskalacji wojny na wyniszczenie. - Wskazując głową na klonów dodał: - Nasi eksperci twierdzą, że i tak wygrywacie. Za rok zmusicie Izrael do negocjacji. Za dwa lata będziecie ich mieli na kolanach.

Maken wiedział, że wyklócanie się z przywódcą radzieckim jest bez sensu.

- Jeżeli tak brzmi pana werdykt, to w takim razie go przyjmuję, towarzyszu przewodniczący.

- Tak mówi prawdziwy dyplomata - odparł Dranski przyjaźnie. - Nadal jesteśmy przyjaciółmi, wysłuchajmy więc waszych poglądów.

- Izrael nigdy nie będzie z nami negocjować - powiedział Maken z naciskiem, dostrzegając przy tym, że Dranski posyła jednemu z klonów prawie niezauważalny znak głową.

- Może nie Rymann, lecz na pewno jego następca - odezwał się klon. - Uważamy, że nie utrzyma swego urzędu po tym, jak lud Izraela zda sobie sprawę, iż jego dni są policzone. Także z militarnego punktu widzenia bardzo słabą stroną Izraelczyków jest to, że za bardzo się przejmują ludzkim życiem. Małe straty wywołują u nich przesadną żalobę. Nawet wobec faktu, że obecna śmiertelność wskutek wojny raczej nie zakłóci równowagi w strukturze ludności - mam na myśli redukcję liczebności ich młodzieży - nadejdzie wkrótce taka chwila, że Izraelczycy nabiorą przekonania, iż tak jest. Kiedy odpowiednia liczba matek straci odpowiednio wysoką liczbę synów i córek - wtedy zaczną dążyć do pokoju.

- Na naszych warunkach? - zagadnął Maken, będąc pod wrażeniem wręcz klinicznego dystansu, z jakim klon analizował sytuację.

Klon mu przytaknął.

- Innym czynnikiem działającym na waszą korzyść jest to, że senator Hadley przypuszczalnie wygra tegoroczne wybory prezydenckie, co oznacza, że nie nastąpi zmiana w polityce USA w stosunku do Izraela. Jeżeli w ogóle nastąpi jakaś zmiana, to amerykański stosunek do Izraela usztywni się.

Bezowocna dyskusja wlokła się przez następne trzydzieści minut i włączyło się do niej kolejnych czterech klonów. Na zakończenie Dranski powstał i uściśnął dłoń Makena.

- Widzisz, Josephie, tak dobrze sobie radzisz, że naprawdę nie ma potrzeby ponosić tych straszliwych strat, które przysłoby wam ponieść, gdybyście dokonali inwazji na Izrael. Rzecz jasna, będziemy kontynuować nasz program pomocy dla was na dotychczasowym poziomie. Jeżeli chodzi o ścisłość, wobec tak wspaniałego wykorzystania MIG-a 35 prześlemy wam ich następną szóstkę - i trochę więcej samolotów szkoleniowych. - Dranski poklepał Makena po plecach. - Tak więc twoi polityczni przeciwnicy nie będą mogli ci zarzucać, że wracasz z pustymi rękami.

Maken skłonił się. Sowietci chcieli, żeby pozostał na stanowisku przywódcy OWP, co już coś znaczyło.

- To naprawdę bardzo wspaniałomyślnie z waszej strony, towarzyszu przewodniczący. - Jest jeszcze jedna sprawa - dodał po chwili. - Odnosnie do wymiany informacji wywiadu; byłibyśmy niezmiernie wdzięczni za przekazanie nam czegokolwiek na temat nowej broni izraelskiej o nazwie Masada.

Dranski zmarszczył się i spojrzał pytająco na klona - doradcę do spraw uzbrojenia. Po

krótkim namyśle klon pokręcił przecząco głową.

- Przykro mi, Josephie - przeprosił go Dranski. - Nigdy o tym nie słyszeliśmy. A co ty sam wiesz?

- Jedyne tyle, że jest to rakiet interkontynentalna opracowana przez Izraelczyków. Dowiedzenie się czegoś bliższego okazało się niemożliwe.

- Bo to faktycznie wygląda na niemożliwe - powiedział z przekonaniem klon. - Rzecz jasna, Izraelczycy opracowali szereg broni średniego zasięgu. Lecz nigdy nie mieli ani środków, ani też odpowiednich obiektów, aby wypróbować stosowny silnik dodatkowy, jakiego wymagałaby rakiet międzykontynentalna.

- Dam ci znać, jak tylko się czegoś dowiem - obiecał Dranski z uśmiechem. - Jak słyszałem, lecisz dalej, do Nowego Jorku?

- Mam szereg spraw do załatwienia w tamtejszej delegaturze - odparł Maken.

Dranski przesłał mu chytry uśmiech.

- Wydaje mi się, że senator Hadley będzie w Nowym Jorku. Gdybyś go przypadkiem spotkał, to pozdrów go serdecznie ode mnie.

Gdy tylko Maken znalazł się sam na tylnym siedzeniu limuzyny wiozącej go z powrotem do hotelu, pozwolił sobie na luksus soczystego przekleństwa w swoim rdzennym francuskim.

Chrzanić wszystkie ukryte nadajniki radiowe.

## 25.

Zmieniwszy po raz drugi taksówkę Heinlein nabrał pewności, że jest śledzony.

Białe fordys były dość powszechną marką na ulicach Tel Awiwu, lecz ten akurat jechał za nim przez parę ulic, trzymając się w odległości paru samochodów z tyłu. Widział też, że kierowca porusza ustami, tak jakby mówił do ukrytego mikrofonu uruchamianego głosem.

Ford wjechał przodem w zatokę do parkowania. Zaraz potem z bocznej uliczki wyjechała mocno poobijana furgonetka i włączyła się w ruch, chowając się za rzędem paru taksówek i jadąc w dół Allenby Street. Zatrzymała się przed światłami sygnalizacyjnymi przy placu Dawida obok taksówki, w której siedział Heinlein. Mógł przysłuchać się pracy jej silnika, znakomicie wyregulowanego, idącego jak zegarek. Rzucił okiem na opony. Nowe micheliny. Lśniące, znakomicie utrzymane zawieszenie. Furgonetka jedynie sprawiała wrażenie wraku.

Bez wątpienia był śledzony.

Mógł się domyślić, dlaczego - kiedyś został oddelegowany do nowej placówki rozwojowej Masada i pracował w stacji na pustyni Negew, w której opracowywano silnik pomocniczy do rakiety Masada. Wiedział dużo o ich planach. Sakramenko dużo. Utrzymywał ich przez ten cały czas w niepewności, bowiem ani razu nie spróbował wykręcić owego tajemniczego numeru telefonicznego z Tel Awiwu. Było jasne, że chcieli go mieć pod stałą obserwacją.

Heinlein rozsiadł się odpoczywając na siedzeniu. Co też mogli mu zrobić? Nie był już w wojsku. Po raz pierwszy od ośmiu lat mógł robić to, na co miał ochotę, iść tam, gdzie tylko mu się podobało. Nie brakowało mu więzi koleżeńskiej, bowiem był typem samotnika. I tylko do niego należała decyzja, czy będzie pracował dla tych sukinsynów.

Taksówka zatrzymała się przed masywem wieży Banku Leumi. Czytnik linii papilarnych zainstalowany w okienku obsługi klientów rozpoznał go jako Davida Heinleina, przesyłając mu wydruk stanu jego konta. Przy oszczędnym gospodarowaniu łączna suma zaległych poborów i odprawy wystarczała na sześć miesięcy życia.

Po chwili wahania wszedł do budki telefonicznej i wykręcił numer w Tel Awiwie. Po pierwszym sygnale odezwał się męski głos; głos wykształconej, dorosłej osoby.

- Słucham.

Czując się trochę niepewnie Heinlein odpowiedział:

- Dostałem jedynie kryptonim osoby, z którą mam się skontaktować, „Ben Yair”. Chciałbym z nim rozmawiać.

- Czy mógłby mi pan podać swoje pełne imię i nazwisko? - poprosił grzeczny głos.

- Myślę, że powiedziałem już dość dla celów analizy mojego głosu - odezwał się Heinlein ze zniecierpliwieniem.

- Zupełnie wystarczająco, Davidzie. Byłem ciekaw, kiedy też zadzwonisz. Czy interesuje cię praca w naszym programie?

- To zależy od uposażenia. I proszę nie zaczynać gadki o patriotyzmie i innych pierdołach. Patriotyzm nie wystarczy na zapłacenie biletów lotniczych.

- A ile pieniędzy masz w chwili obecnej?

Heinlein podał mu sumę.

- To ci powinno wystarczyć.

- Czy chce pan powiedzieć, że sam mam finansować ten wasz wariacki pomysł?

- Nasi przyjaciele mają doskonałą siatkę wywiadowczą - wskazał dojrzały głos. - Na pewno uda im się znaleźć sposób dotarcia do twojego konta bankowego. Bardzo szybko zrobiliby się bardzo podejrzliwi, gdyby wyszło na jaw, że masz inne źródła dochodów. -

Zrobił małą pauzę. - Interesuje cię to?

- Dam wam znać - odparł Heinlein. - A na razie zwolnijcie tych pajaców, którzy za mną łążą. Znajdźcie sobie zawodowców. - Po tych słowach odwiesił słuchawkę i ruszył wolno ulicą, pogrążony w myślach. Przez chwilę rozważał możliwość wznowienia pracy u ojca, lecz natychmiast odrzucił ten pomysł. Handlowanie diamentami wcale mu nie leżało. Nie - praca mogła poczekać. Na początek musiał kupić sobie trochę nowych ubrań, znaleźć przyjemny hotel i odpocząć sobie przez dwa tygodnie.

Przydałaby się też jakaś dziewczyna.

\*\*\*

Zbliżała się już północ. Na rześkim oświetlonym placu Namir widać było wielu młodych ludzi bawiących się w barach na wolnym powietrzu; powietrze przepelniał hałas telewizorów i chłodne podmuchy znad Morza Śródziemnego. Sam plac był dużą, dwupoziomową płaszczyzną wyłączoną z ruchu, wciśniętą między biegnącą wzdłuż wybrzeża drogę i plażę. Ponad nim wznosiła się wysoka konstrukcja pięciogwiazdkowego hotelu Plaza w Tel Awiwie.

Heinlein siedział przy stoliku pod gołym niebem pociągając piwo, gdy wtem obok niego przebiegła dziewczyna w mini, potykając się o jego wyciągnięte nogi. Wydając okrzyk przestachu runęła na sąsiedni stół, oblewając się przy tym resztkami pozostawionymi w kieliszkach, które postrącała na ziemię.

- Tak mi przykro - kajał się Heinlein, pomagając jej wstać z ziemi. - Nic się pani nie stało?

Dziewczyna wydawała się być w szoku.

- Nie, myślę, że nic.

Wyglądała na dwadzieścia pięć lat. Miała bardzo ciemną cerę. I była bardzo piękna. I trzęsa się ze strachu.

- Może lepiej będzie, jak pani na chwilę usiądzie?

- Nic mi nie jest - zaprotestowała dziewczyna.

- Kiedy widzę, że coś się pani stało. To było bardzo nierozważne z mojej strony. Powinienem uważać, gdzie kładę te swoje wielkie nogi.

Do ich stolika podbiegł kelner niosący pęk serwetek i szmatkę.

- Myślę, że pani się nic nie stało - poinformował go Heinlein, ścierając serwetkami alkohol, którym zostały opryskane spódniczka, ramiona i nogi dziewczyny. - Czego się pani napije?

- Muszę już iść.

- Musi się pani czegoś napić - powiedział Heinlein rozkazującym tonem. - Ciągle jeszcze pani drży.

Jej wzrok napotkał jego ciemne, surowe oczy, po czym zawahała się. Mężczyzna był niezwykle wysoki jak na Izraelczyka. Przypuszczała, że ma około dwóch metrów. Czowała również nieprzyjemny nacisk jego mocnych palców wbijających się w jej ramię.

- Proszę o małego drinka.

- Dużego drinka - Heinlein rzucił polecenie kelnerowi - z całym mnóstwem wódki. Jak ma pani na imię?

- Esther.

- David. Niech pani lepiej usiądzie.

Całej scenie przyglądał się młody człowiek w spłowiałych dzinsach i niechlujnym podkoszulku. Siedział na balustradzie okalającej górny poziom placu, leniwie machając nogami. Od czasu do czasu pociągał łyk z trzymanej w ręku puszkę coki. Sprawiał wrażenie, że nie interesuje go zupełnie toczący się wokół niego ruch, jednakże jego czujne oczy nie przepuszczały ani jednego szczegółu. Podziwiał sposób, w jaki Echo Oskar „poderwała” swój cel. Zadanie wykonane dokładnie według obowiązujących zasad. Jej instruktor z głównego ośrodka szkoleniowego Mossadu byłby z niej dumny. Przez parę minut przypatrywał się siedzącym nad drinkami Heinleinowi i Echo Oskar, po czym podniósł do ust puszkę coki.

- Cztery-jeden-jeden, odbiór.

- Słucham, Cztery-jeden-jeden - odezwał się głos w słuchawce założonej do ucha.

- Echo Oskar poderwała już cel.

- Ładnie poszło?

- Bardzo ładnie.

- Zrozumiałem, Cztery-jeden-jeden. Przejdź na jej kanał. Bez odbioru.

Młody człowiek nacisnął przełącznik w podstawie puszkę coki i zaczął przysłuchiwać się rozmowie dobiegającej od stołu znajdującego się poniżej, gdzie kończono już trzecią kolejkę drinków.

- Tak więc - zakończył opowiadanie Heinlein - po wyjściu z wojska zamierzam poleniuchować przez następne dwa tygodnie.

Esther uśmiechnęła się krzyżując długie, szczupłe nogi. Jej biała spódniczka mini podwinęła się, ukazując opalone uda. „Odrobinę za szczupła, pomyślał sobie Heinlein, lecz zupełnie wystarczy.” Powiedział jej o sobie tylko tyle, żeby podtrzymać rozmowę. Ze swej strony dowiedział się, że jego towarzyszka pracuje w biurze podróży oraz że mieszka razem z rodzicami w dość obskurnym mieszkaniu przy ulicy Ben Guriona.

- Ja też mam wolne przez następne parę dni - oświadczyła Esther.

- W takim razie może zobaczymy się na plaży?

- O, tak. Uwielbiam pływanie. Czy Plaża nie jest zbyt droga?

Heinlein spojrział w stronę hotelu i pokręcił przecząco głową.

- Nie mogą zebrać kompletu gości od czasu nalotu na Netanja. A poza tym jestem na dziesiątym piętrze, gdzie jest taniej.

- Dlaczego?

- Dalej od schronów przeciwlotniczych.

Esther zachichotała, próbując dojrzeć tarczę swojego zegarka.

- O rany, co za diabelstwo.

- Jest dopiero parę minut po północy - poinformował ją Heinlein.

Zrobiła grymas zniecierpliwienia.

- A niech to. Nie mam jak się dostać do domu. Jeżeli nie wracam przed północą, moi rodzice uważają, że zatrzymałam się u koleżanki.

- Ale otworzą ci chyba drzwi?

- Strasznie nie lubię ich denerwować. - Podniosła ze stołu torebkę. - Jeżeli ten twój hotel jest naprawdę tak tani i pusty, jak mówisz, to mogłabym...

- Po co masz wydawać pieniądze. Mam u siebie w pokoju wolne łóżko.

Esther spojrzała na Heinleina trzeźwym spojrzeniem i zachichotała.

- No wiesz, nie mogłabym.

- Wcale nie musisz - stwierdził sucho Heinlein. - Ale patrząc od piętnastu minut na te twoje obłądne nogi, wiem doskonale, że ja mógłbym.

Esther ponownie zachichotała i podniosła się z krzesła. Zachwiała się i dla utrzymania równowagi przytrzymała się oparcia:

- Okay, Davidzie. Skorzystajmy z twojej wspaniałej propozycji.

\*\*\*

Esther zbudziła Heinleina nad ranem szarpiąc go za ramię.

- Co jest? - powiedział zaspanym głosem.

Esther klęczała na łóżku owinięta w prześcieradło, patrząc na niego szeroko otwartymi, poważnymi oczyma.

- Musiałam się wczoraj upić. Zwykle nie robię takich rzeczy z nieznanymi...

- Byłaś pijana i robiłaś to, o czym mówisz - odparł Heinlein szorstkim tonem. - A co więcej, pieprzyłaś się zupełnie tak, jakby miało się to stać zakazane.

Wydęła gniewnie usta.



- Jesteś niemiły.

- Mówię, jak było. A teraz, czy mogę jeszcze trochę pospać?

Esther odrzuciła prześcieradło i usiadła okrakiem na Heinleinie, zanim zdążył przewrócić się na bok. Wydał z siebie jęk, gdy usiadła całym ciężarem na jego genitaliach.

- Co, do diabła, ci się stało?

- Spróbujmy poudawać.

- Poudawać co? - Po wejściu do pokoju rzucili się na łóżko i kochali w ciemności. Heinlein mógł teraz podziwiać jej szczupłe, oliwkowego koloru ciało i małe, sterczące piersi. Poniżej lewego sutka miała dziwne znamię w kształcie półksiężyca.

Esther spojrzała na zegarek.

- Zachowujmy się tak, jakby za trzydzieści minut miało to być zakazane.

Heinlein obwiodł palcem zarys jej znamienia, pocierając ręką o wisiorek kołyszący się między jej piersiami. W odległości stu metrów od tego miejsca, siedzący w poobijanej furgonetce agent Mossadu zmniejszył gwałtownie poziom dźwięku w słuchawkach.

- W tej chwili nie jestem w stanie - wyznał jej Heinlein.

Esther poruszyła uwodzicielsko ciałem, przyciskając go z całej siły biodrami i uśmiechając się przy tym.

- Może, lecz czuję wyraźnie, że coś tutaj zaraz wstanie.

\*\*\*

Zjedli później śniadanie nad brzegiem basenu. Esther wykorzystała swoje umiejętności wydobywania informacji sprawiając przy tym wrażenie, że jej pytania na temat przeszłości Heinleina powodowane są czystą ciekawością. Powiedział jej niewiele ponad to, czego dowiedziała się wcześniej od swojego oficera. Mówił o swoim ojcu, karierze wojskowej, zamieszkach w Nazarecie oraz związanym z nimi sądem polowym. Esther to nie wystarczało; chciała przeniknąć przez doprowadzającą ją do pasji tajemniczość Heinleina. Aby zachować pozory rozmowy, powiedziała mu szczerze o swoich ambicjach zwiedzania świata.

- Czas mi płynie na sprzedawaniu wczasów w takich egzotycznych miejscach, które sama chciałabym zobaczyć. - Wyciągnęła się wygodnie na leżaku. - Boże, co za życie.

Heinlein wbił wzrok w bezchmurne niebo.

- Kiedy mi wszystko wyjdzie, tak właśnie będę żył, mieszkając w najlepszych hotelach.

Esther obróciła się w stronę Heinleina opierając się na łokciu w ten sposób, aby wisiorek kołysał się blisko jego twarzy.

- Nie chcesz mieć domu? Żony? Rodziny?

- Nie. Chcę być sam z kupą pieniędzy. Niezależny.

Poczuła, że musi zachować ostrożność.

- Więc chcesz zarobić dużo pieniędzy? Starła się rzucić to pytanie mimochodem, w ten sposób, żeby zabrzmiało raczej jak stwierdzenie faktu.

Heinlein skinął głową.

- Kupę pieniędzy.

- Po to, aby udowodnić ojcu, że potrafisz sobie radzić w życiu bez jego pomocy? Czy mam rację?

- Nie masz.

Esther pociągnęła łyk piwa.

- Myślę, że jednak mam rację, Davidzie.

Odwrócił się i spojrzał na nią.

- Ja tylko chcę zarobić kupę szmalu. Spędziłem osiem lat w wojsku, zarabiając przez cały ten czas grosze. Mam wiele do nadrobienia.

- Jak dobrze znasz się na interesach prowadzonych przez twojego ojca?

Heinlein spojrzał obojętnym wzrokiem.

- Trochę. Nauczył mnie klasyfikować i wyceniać diamenty. Wiem też trochę o międzynarodowym handlu diamentami. - Roześmiał się z myśli, która przyszła mu do głowy.

- To śmieszne, lecz według wpisu w paszporcie jestem kupcem handlującym diamentami. Podałem taką informację występując o pierwszy paszport, bowiem wydawało mi się, że stanie się to moim zawodem - no i tak już zostało od tamtej pory.

- No i proszę - powiedziała Esther. - Zostań kupcem diamentów.

- Na to jest już za późno. Zmarnowałem osiem lat życia.

- Czy masz o to jakiś żal?

Heinlein ponownie roześmiał się.

- Mówisz, żal? To jest największy frazes, jaki słyszałem w tym roku!

- Dlaczego? Jeżeli popełniono jakąś pomyłkę...

- Po pierwsze, te sukinsyny nie miały nawet cienia wątpliwości. Osiem lat służby w wojsku nie miały żadnego znaczenia. Gdyby nie wyszły na jaw nowe dowody, to w dalszym ciągu gniłbym w wojskowym więzieniu, gdzie siedziałbym przez następne dziesięć lat. Jeżeli w jakimś systemie można taką rzecz przeprowadzić, to jest on dogłębnie skorumpowany.

- Przynajmniej przyznali się do popełnienia błędu - zauważyła Esther. - W wielu państwach nie usłyszałbyś tego.

Heinlein wykonał lekceważący gest.

- Wiele państw nie nazwałoby człowieka tchórzem, dając mu następnie miesięczne

odszkodowanie. Jeżeli do tego sprowadza się bycie Izraelczykiem, to ja chcę się stąd wynieść. Tak szybko, jak to tylko możliwe.

\*\*\*

Następnego dnia rano Heinlein siedział na balkonie sypialni pogrążony w lekturze „Jerusalem Post”, gdy wpadła mu w oko wzmianka o wizycie Josepha Makena w Nowym Jorku.

Zastanawiał się przez jakiś czas, co robić, i wreszcie podjął decyzję. Ponieważ miał ważny paszport, mógł przedsięwziąć natychmiast pewne kroki. Szybko spakował rzeczy osobiste. Esther leżała rozciągnięta nago w poprzek łóżka, przypominając pogrążonego w głębokim śnie kociaka. Biorąc pod uwagę jej sposób kochania się, nie było w tym nic dziwnego. Napisał szybko parę słów na hotelowej papeterii, zostawiając liścik obok niej. Nie poruszyła się, gdy wyszedł z pokoju, cicho zamykając za sobą drzwi.

Uregulował rachunek, opłacając pokój Esther przez następne dwa dni, i przeszedł pieszo pół mili dzielące go od Ambasady USA położonej na ulicy Hayarkon. Był pewien, że nikt go nie śledzi.

Po trzech godzinach spędzonych na staniu w kolejce, wypełnianiu papierów, odpowiadaniu na różne pytania oraz przedstawianiu dokumentów, a następnie po jeszcze jednej godzinie oczekiwania, opuścił gmach ambasady wynosząc z niego wizę w przedłużonym paszporcie.

Duże ogłoszenie na zewnątrz budynku Pan Amu oznajmiało, że wskutek zaostżenia się warunków wojennych linia ta zawiesza loty do Izraela na cały następny tydzień.

- Mamy jedną rezygnację z dzisiejszego lotu o godzinie siódmej wieczorem do Nowego Jorku, proszę pana - stwierdziła dziewczyna, podnosząc oczy znad komputera.

- Nie ma niczego wcześniejszego?

Dziewczyna pokręciła głową.

- Przykro mi, ale nie. Dzisiejszy lot popołudniowy ma komplet. Ta sama sytuacja jest w innych liniach. Lecz biorąc pod uwagę fakt, że port lotniczy będzie nieczynny przez cały tydzień oraz że cała masa ludzi opuszcza ten kraj...

- Okay. Biorę to miejsce.

Dziewczyna sprawdziła ważność wizy, przesuwając kartę paszportu przez czytnik komputera.

- Niedawno przedłużałem paszport - wyjaśnił Heinlein.

- Wszystko jest w jak największym porządku, proszę pana - odparła dziewczyna, oddając z uśmiechem paszport.

Na krótko przed startem Heinlein wykręcił z budki na lotnisku Ben Guriona numer w Tel Awiwie. Wiedział, że nie jest śledzony.

- Okay - powiedział mężczyźni z dojrzałym głosem. - Lecę do Nowego Jorku.

- Znakomicie, Davidzie. Jestem pewien...

- Jeszcze się na nic nie zgodziłem - przerwał mu w pół słowa Heinlein. - Nie mam żadnych zobowiązań wobec Izraela. Być może wrócę do handlu diamentami. Mogę nawet pracować dla opozycji. Ci przynajmniej mi zapłacą.

Dojrzały głos odezwał się ponownie po długiej przerwie.

- Davidzie, to byłoby bardzo niewskazane - odezwał się chłodno.

- Zrobię, co tylko mi się podoba.

- Kiedy podejmiesz już decyzję, wystarczy, że wykręcisz ten numer. Wszystkie rozmowy są obustronnie kodowane i zawsze połączysz się ze mną, bez względu na to, gdzie w danej chwili się znajduję.

- Dobrze - odparł Heinlein obojętnie. - Jeszcze jedna sprawa.

- Tak?

- Dzięki za dziewczynę.

O godzinie 7.15 Heinlein wraz z pozostałymi pięciuset trzydziestoma pasażerami wzbił się w powietrze na pokładzie SST Boeing, wznosząc się ponad wody Morza Śródziemnego i kierując na zachód, w stronę krwawego słońca zachodzącego nad Izraelem.

## 26.

Pomimo faktu, że rozmowy między Esther i Heinleinem wraz z efektami dźwiękowymi, które tworzyli, zostały nagrane przez pojazd należący do służby łączności Mossadu, zaparkowany obok hotelu Plaza, to jednak Esther nadal zobowiązana była do złożenia pełnego meldunku dowódcy swojej komórki. Miał przed sobą wszystkie transkrypty, jednakże nic nie mogło zastąpić osobistego kontaktu, który Esther utrzymywała przez okres trzydziestu godzin. Była jedną z najlepszych agentek Mossadu do bezpośrednich kontaktów. Wielokrotnie wykazała swoje zdumiewające umiejętności czytania niczym w otwartej książce w najskrytszych myślach mężczyzn.

- Czy sądzisz, że zamierza przejść na drugą stronę? - zapytał dowódca komórki.

Esther głęboko zastanowiła się nad odpowiedzią.

- Szczerze mówiąc, nie wiem. Chce dojść do pieniędzy i nienawidzi w tej chwili Izraela. W obecnym stanie ducha może zrobić prawie wszystko. Lecz gdyby próbował przejść na

stronę Palestyńczyków, to nie leciałby w tym celu do Nowego Jorku. Brakowało mu pieniędzy i jestem pewna, że nie zwrócił się o pomoc do swojego ojca.

- Joseph Maken przyleciał do Nowego Jorku - stwierdził dowódca komórki. - Pisano o tym w gazetach.

Esther napotkała jego spojrzenie.

- W takim razie skłonna jestem uważać, że zamierza przejść na drugą stronę.

Dowódca komórki skinął głową.

- Co będzie dalej? - zapytała Esther.

- Nie wiem.

Dowódca komórki doskonale wiedział, co będzie dalej, lecz nie dotyczyło to już Esther. Szef komórki w Nowym Jorku dostał polecenie utrzymywania Heinleina pod obserwacją oraz meldowania o jego ruchach bezpośrednio Greerowi.

## 27. Wrzesień

Nowy Jork dyszał w wilgotnym powietrzu babiego lata.

Od czasu, kiedy Heinlein odwiedził to miasto po raz ostatni, jeszcze w okresie kręcenia się po całym globie w interesach ojca, minęło osiem lat. Stwierdził ze zdumieniem, że oprócz samochodów, które stały się mniejsze i jakby cichsze, miasto zmieniło się bardzo niewiele. Bliźniacze monolity wież World Trade Center zyskały następne trzydzieści pięter, odzyskując miano najwyższego budynku na świecie. Nad rzeką Hudson przerzucono następny most, po którym pędziła jednoszynowa kolej Nowy Jork-Waszyngton. Cała reszta wyglądała tak samo, do tego stopnia, że tłukąc się taksówką po Avenue of the Americas, Heinlein zastanawiał się, czy wyboje na tej alei zostały wzięte pod ochronę.

Spojrzał przez tylną szybę, polecając taksówkarzowi wykonanie paru skrętów.

- Klient nasz pan - odparł taksówkarz.

Kiedy powrócili na aleję, podejrzenia Heinleina potwierdziły się.

- Jesteśmy śledzeni - oznajmił.

- Zgadza się - potwierdził taksówkarz. - Zauważyłem. To buick.

- Czy potrafisz go zgubić?

- Będzie kosztować dodatkowe pięćdziesiąt dolarów.

- Zgoda.

Heinlein nie skończył jeszcze mówić, gdy nagły skręt w prawo przy wtórze piszczących opon omal nie zrzucił go na podłogę.

- Uwielbiam to - stwierdził lakonicznie taksówkarz, kierując samochód w dół Fifth Street i dodając gazu. - Zawsze chciałem jeździć jako kaskader w filmach.

Po tych słowach nastąpiła seria gwałtownych skrętów zmuszających Heinleina do kurczowego czepiania się uchwytów dla pasażerów. Ryk klaksonów. Pisk opon i smród palonej gumy. Po chwili taksówka zwolniła do normalnej prędkości.

- No, tośmy go zgubili - powiedział wesoło taksówkarz, wjeżdżając na zadaszony plac przed hotelem Hilton. - Zrobiłbym to jeszcze szybciej, ale za dużo kręciło się wkoło gliniarzy.

Pierwszą rzeczą, która rzuciła się Heinleinowi w oczy po wejściu do hotelu, był ogromny ekran telewizyjny, na którym widać było napis:

HOTEL HILTON GORĄCO WITA DELEGACJĘ ORGANIZACJI WYZWOLENIA PALESTYNY.

W hotelowym hallu kłębił się tłum ochroniarzy w różnorodnych przebraniach. Recepcjonista zrobił wszystko, aby ukryć swoją niechęć na widok okazanego przez Heinleina paszportu.

- Aha, więc jest pan obywatelem Izraela, panie Heinlein?

- No proszę, potrafi pan czytać - odparł Heinlein z udawanym podziwem.

U boku Heinleina pojawił się mężczyzna w brązowym ubraniu i okularach w rogowej oprawie.

- Czy są jakieś problemy?

- Ten pan jest obywatelem Izraela - poinformował go recepcjonista.

- Proszę się nie bać, to nie jest zaraźliwe - zażartował Heinlein.

Rogowa Oprawa nie zareagował na sarkastyczny ton Heinleina. Przejrzał pobieżnie strony jego paszportu.

- Jak długo zamierza się pan tutaj zatrzymać? - Był niezwykle uprzejmy.

- Jeszcze nie wiem.

Rogowa Oprawa skinął głową w kierunku ekranu.

- Chodzi nam jedynie o to, że w innym hotelu czułby się pan swobodniej.

- Nie interesuje mnie polityka - zapewnił go Heinlein - lecz diamenty.

Rogowa Oprawa podjął decyzję.

- Okay - pokój na dziesiątym piętrze - rzucił recepcjonista. - Życzę panu przyjemnego pobytu w Nowym Jorku.

Idąc za boyem do wind Heinlein zauważył, że po obu stronach pary rozsuwanych drzwi stoją mężczyźni. Domyślił się, że OWP w hotelu wynajęła całe piętro, na które można było dojechać wyłącznie tą jedną windą. Po rozpakowaniu bagażu i po szybkim prysznicu usiadł

na łóżku i skreślił krótki list na hotelowej papeterii.

*Pokój 1015*

*Szanowny Panie Maken!*

*Mam informacje o Masadzie. Chciałbym się również z panem spotkać.*

*Z wyrazami szacunku,*

*David Heinlein.*

Przez chwilę zastanawiał się, czy list nie jest zbyt lakoniczny, jednakże doszedł do wniosku, że mówi dokładnie to, co chciał przekazać. Zakleił go w cienkiej kopercie poczty lotniczej, aby wyeliminować ryzyko potraktowania go jako potencjalnej przesyłki zawierającej bombę, i zaniósł go do recepcji.

- Czy mogę prosić o przekazanie tego do apartamentu pana Josepha Makena?

Recepcjonista zbadał kopertę, po czym przywołał gestem ręki jednego z kręcących się ochroniarzy.

- Nie widzę powodu, dla którego mógłbym odmówić, proszę pana.

Wracając do windy Heinlein zauważył, że mężczyzna w rogowej oprawie przygląda się bacznie listowi.

Piętnaście minut później zadzwonił telefon stojący przy łóżku.

- Czy pan Heinlein? - zapytał kobiecy głos.

- Tak, słucham.

- Panie Heinlein, bylibyśmy bardzo wdzięczni, gdyby zechciał pan zejść na dół, do biurka zastępcy dyrektora w hallu.

- Oczywiście. A o co chodzi?

- Jeden z hotelowych gości chce się z panem spotkać.

## 28.

Makabryczna lista wydarzeń powodujących, że zamachy stały się narzędziem stosowanym przez Mossad wobec Palestyńczyków, była sporej długości, lecz nie wyróżniała się niczym specjalnym.

Wszystko zaczęło się od Ghassana Kanafaniego, członka Naczelnego Dowództwa PFLP, który był autorem masakry na Międzynarodowym Lotnisku Lod w maju 1972. Dwa dni po tym tragicznym wydarzeniu jego samochód eksplodował, zabijając go wraz z

pasażerką, kilkunastoletnią dziewczynką. Później nastąpiła seria systematycznych zamachów na tych Palestyńczyków, którzy zaplanowali masakrę w trakcie trwania Olimpiady w Monachium, w której wyniku zginęło jedenastu członków drużyny izraelskiej. Czasami coś nie wychodziło - jak wówczas, gdy działająca w głębokim ukryciu grupa operacyjna Mossadu zamordowała niewinnego człowieka. Większość izraelskiej grupy została wtedy aresztowana przez władze Norwegii.

Starannie planowane zamachy kontynuowano przez całe lata siedemdziesiąte. Ich celami stawali się nieodmiennie intelektualiści palestyńscy, odpowiedzialni za planowanie; mężczyźni i kobiety nie znający się na sztuce wojennej, którzy jednakże starali się przekształcić międzynarodowy terrorizm w groźną broń polityczną. Nagle przyszło im stwierdzić, iż stali się ofiarami wypracowanej przez siebie taktyki; Mossad zabijał ich bombami ukrytymi w listach lub bombami podkładanymi pod ich samochody. Czasami ginęli od pojedynczej kuli na samotnej uliczce. Czasami był to grad kul posłanych w trakcie prawdziwego ataku komandosów. Wszelkie metody stosowane przez osoby planujące akcje przeciwko Izraelowi były używane w odwecie przez Izrael.

Pod koniec lat siedemdziesiątych siły wprowadzające ewolucyjne zmiany w łonie OWP doprowadziły do osłabienia wpływu intelektualistów marksistowskich, którzy uważali, że społeczeństwo należy zniszczyć, zanim zacznie się je zmieniać. OWP stopniowo zarzuciła terrorizm na skalę międzynarodową na rzecz metod zdążających do uzyskania długofalowych korzyści politycznych. Z nadejściem lat osiemdziesiątych Mossad praktycznie przestał stosować zabójstwa i nigdy już więcej się do nich nie uciekał. Tym niemniej, śmiertelna machina Izraela utrzymywana była w stanie pełnej gotowości; Mossad nadal zatrudniał cały szereg pracowników doskonale obytych z teorią i praktyką skrytobójstwa, i z tego też powodu Rymann i Greer rozważali możliwość wykorzystania ich talentów, prowadząc rozmowę w cztery oczy po wieczornym spotkaniu Dorażnej Rady Obrony.

- Czy nie ma żadnych wątpliwości, że Heinlein skomunikował się OWP? - zapytał Rymann.

Greer wskazał skinieniem głowy na odkodowany sygnał, który przysłał mu szef delegatury Mossadu w Nowym Jorku.

- Nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Zameldował się w hotelu, w którym mieszka Maken. Jakich jeszcze dowodów ci trzeba?

- Nie sądzisz jednak, że przeszedł na drugą stronę?

- Jestem przekonany, że nie. Gra nam po prostu na nosie. Więc damy jemu i Makenowi nauczkę, niech się dowiedzą, jak bardzo ta gra jest niebezpieczna.



- Michaelu, to jest zbyt ryzykowne.

- Zmusi to Heinleina do skontaktowania się z nami - przerwał mu Greer. - Tylko o to nam chodzi.

Rymann spojrzał z zaciekawieniem na swojego przyjaciela.

- Czy masz jakiegoś człowieka na myśli?

- Jeśli chodzi o ścisłość, jest to kobieta. Jeden z naszych najlepszych strzelców wyborowych. Spotkała już wcześniej Heinleina, nie ma więc powodu angażować naszych ludzi w Nowym Jorku. Nie będzie też miała żadnych problemów z jego rozpoznaniem.

- On wie, jak się wymykać. Był w Specjalnej Brygadzie Desantowej i jest dobrze wyszkolony. Przypomnij sobie tylko, ile razy wykiwał twoich agentów.

- Już ona go znajdzie - zamruczał Greer pewnym tonem.

- Musi być z niej sakramencko dobry strzelec.

- Zgadza się.

Rymann zaśmiał się nerwowo.

- Wątpię, żeby komukolwiek wcześniej wydano taki dziwny rozkaz. Pozostaje pytanie, czy ona go wykona.

- Nie ma co do tego żadnej wątpliwości - odparł chłodno Greer.

- Jest to dość wysoka cena.

- Nagroda jest jej warta.

Rymann podszedł do okna swego prywatnego gabinetu i zatrzymał się, trzymając ręce w kieszeniach i spoglądając ponad Hakiryą. Przez chwilę trwał pogrążony w myślach, po czym odwrócił się nagle do Greera.

- W takim razie niech będzie, Michaelu, rób, co trzeba.

## 29.

Dwóch uzbrojonych agentów ochrony towarzyszyło Heinleinowi w windzie, która zawiozła ich z hallu na najwyższe piętra Hiltona. Drzwi rozsunęły się, po czym przekazano go dwóm roześmianym Palestyńczykom w ciemnych garniturach, którzy poprowadzili go wzdłuż mocno strzeżonych korytarzy do sypialni, gdzie go starannie zrewidowano. Stąd przyboczny Makena zabrał go do nadbudówki na najwyższym piętrze hotelu, którą dyrekcja Hiltona rezerwowała dla bardzo ważnych gości: kuloodporne szyby podwójnej grubości, dwa razy dziennie poszukiwania urządzeń podsłuchowych, talerze anten na dachu umożliwiające bezpieczne połączenia z każdym krajem na świecie za pośrednictwem satelitów

komunikacyjnych.

Joseph Maken dyktował właśnie sekretarce, gdy Heinlein został wprowadzony do pokoju.

- Pan Heinlein - zaanonsował go przyboczny, po czym zniknął.

- Ach tak, Heinlein - powiedział Maken wskazując mu gestem krzesło. - Mam nadzieję, że nie będzie się pan sprzeciwiał, jeżeli sekretarka będzie protokołować?

- Nie - odparł obojętnie Heinlein. Usiadł, przyglądając się z zainteresowaniem Makenowi. Ten szczupły, starannie ubrany mężczyzna dokonał tego, co nie powiodło się innym przywódcom OWP, a mianowicie zjednoczył wszystkie ścierające się frakcje OWP, zdobył dla nich bezpieczną siedzibę, gdzie nie mogło ich dopaść Chel Ha'Avir, i dokonywał bezkarnych ataków na Izrael najmniejszymi siłami powietrznymi na świecie - jednakże, siłami wyposażonymi w samoloty MIG-35.

- Czy to pan jest autorem tego dziwnego listu? - zapytał Maken.

- Zgadza się.

- Skąd wie pan o Masadzie?

Heinlein opisał w skrócie okoliczności, które doprowadziły go do sądu wojennego.

- No, dobrze - stwierdził chłodno Maken. - Jest pan więc rozgoryczonym żołnierzem izraelskim, który chce zarobić trochę pieniędzy. Ja sam nie wiem nic o Masadzie oprócz tego, że jest to nowa broń. Dlatego też nie mam możliwości sprawdzenia wiarygodności jakiegokolwiek informacji, którą zamierza mi pan sprzedać.

- Nigdy nie mówiłem, że jestem tu po to, aby sprzedawać panu informacje - odparł spokojnie Heinlein, nabierając podejrzeń, że Maken celowo stara się wytrącić go z równowagi. - Jestem tutaj po to, aby *dać* wam informacje. Mam również plan, który pozwoli wam pokonać za rok Izrael.

- Doprawdy? - zapytał Maken bez specjalnego zainteresowania.

- Mam dwie ambicje. Jedna to zemścić się na Izraelu, a druga to zrobić pieniądze. Bardzo dużo pieniędzy. Mój plan pozwoli na realizację obu zamierzeń.

Maken był zdziwiony. Kiedy Heinlein wszedł do jego apartamentu, był przekonany, że jest to następny agent Izraela. Teraz miał co do tego poważne wątpliwości. Mossad nigdy nie działał tak nieudolnie. Metody, które stosowali w celu przedarcia się do Bakal, były sprytnie, nawet jeżeli kończyły się niepowodzeniem. Nie przysyłali agentów z tak kiepskimi legendami, które można było zniszczyć sprawdzając parę prostych informacji. Postanowił zmienić taktykę.

- Panie Heinlein, czy popiera pan walkę OWP?

Heinlein spojrział na niego pogardliwie.

- Osobiście gównu mnie obchodzi wasza walka. Chcę jedynie uderzyć w Izrael tam, gdzie to najboleśniej odczuje, i zarobić przy tej okazji mnóstwo pieniędzy.

- Chce się pan więc nami posłużyć?

- Może pan tak to ująć.

Maken był nadal podejrzliwy, chociaż bezpośredniość Heinleina przyniosła przyjemną zmianę. Nie był pierwszym oficerem izraelskim, który ofiarował swoje usługi OWP. Byli już tacy, którzy poczuli, skąd wieje wiatr, i którzy za wszelką cenę chcieli utrzymać dotychczasowy wygodny styl życia po ewentualnym zwycięstwie Palestyńczyków. Inne propozycje pomocy pochodziły od małej grupy Izraelczyków, którzy szczerze współczuli OWP. Byli też marksistowscy czy też trockistowscy idealisci, którzy chcieli obalić Izrael każdym możliwym sposobem.

Maken był cynicznym realistą; wykorzystywał ludzi, kiedy mu byli potrzebni, pomimo faktu, że nie ufał izraelskim ochotnikom i nie dowierzał idealistom. Parę gorzkich doświadczeń nauczyło go, że stosunkowo łatwo jest uczynić z takich ludzi żarliwych zwolenników rewolucyjnych ideałów, natomiast nie mieli oni dostatecznej odwagi, aby brać czynny udział w krwawej wojnie partyzanckiej.

Heinlein był inny. Makena ciekawiło, jak bardzo różni się od pozostałych ten ciemnowłosy, ponury młody człowiek siedzący naprzeciwko niego.

- Niech mi pan opowie o Masadzie.

- Skąd mam wiedzieć, że mogę panu zaufać? - zapytał Heinlein.

- Nigdy nie będzie pan miał takiej pewności. Proszę opowiedzieć mi o Masadzie, a następnie zobaczymy, na jak wiele wzajemnego zaufania będziemy sobie mogli pozwolić.

Heinlein uśmiechnął się. Zaczął rozumieć, dlaczego Maken jest tak skutecznym przywódcą. - Masada jest nową rakieta.

- Tyle to się sam domyśliłem.

- Podstawowy model Masady jest jednoczłonową rakieta napędzaną paliwem stałym, którą można uzbroić w głowicę jądrową. Jest ona wyposażona w system naprowadzania, będący połączeniem systemu bezwładnościowego i astronawigacji, co daje w efekcie absolutną dokładność trafień. Masada wyniesiona w przestrzeń przez silnik dodatkowy może się od niego odłączyć i korzystać następnie z własnego silnika marszowego, który może doprowadzić ją do jakiegokolwiek celu w promieniu pięciu tysięcy mil z prędkością piętnastu macha, czyli jedenastu tysięcy mil na godzinę.

Heinlein przerwał opis i spojrział na osłupiałą twarz Makena.

- Trafi ona w cel, zanim jeszcze rakietka SAM zdąży opuścić wyrzutnię. Dwie Masady z głowicami jądrowymi wystarczą, aby zniszczyć Bakal. Żeby nie było wątpliwości, Bakal stanowi cel numer jeden.

Heinlein odpowiadał przez następne pięć minut na pytania Makena, udzielając mu jak najbardziej wyczerpujących odpowiedzi. Oznaczył nawet na mapie dokładną lokalizację Ośrodka Badawczego Naprowadzanych Broni w Negew, gdzie opracowywano nowy silnik dodatkowy do Masady, wyjaśniając, w jaki sposób baza ta została zamaskowana jako doświadczalna stacja rolnicza.

- Jak bardzo są zaawansowane prace nad tym silnikiem dodatkowym? - zapytał Maken upewniając się, że stenotypistka zapisuje wszystkie podawane informacje.

- Prototyp był już prawie gotowy, kiedy byłem tam przed sześciu miesiącami - odparł Heinlein. - Po *wystrzeleniu* prototypu plany zakładały budowę następnych dwóch egzemplarzy, które następnie miały być próbnie wystrzelone z pokładu statku handlowego w jakimś odległym zakątku kuli ziemskiej.

- Kiedy gotowe będą seryjne silniki dodatkowe?

- Nie później niż za rok. Nie znam dokładnej daty.

Żaden szczegół w wyrazie twarzy Makena nie ukazywał jego wewnętrznego zaniepokojenia.

- Co się tyczy motywów, dla których mówi mi pan to wszystko, nie sprawi mi żadnych trudności sprawdzenie historii z sądem wojennym.

Heinlein wzruszył obojętnie ramionami.

Maken mówił dalej:

- A teraz co się tyczy drugiego motywu - chciwości. W jaki sposób zamierza pan zarobić na mojej organizacji?

- Zaopatrując ją w broń.

Maken uniósł ze zdziwieniem brwi.

- Większość handlarzy bronią wie dobrze, że mamy już własne źródła.

Heinlein prychnął ze zniecierpliwieniem.

- Nie mówię o tym szmelcu, którym obdarowują was Sowieci. Mam na myśli prawdziwą broń - broń, jakiej będziecie potrzebować chcąc zniszczyć Izrael.

- Nasi dostawcy zaspokajają większość naszych wymagań - zauważył Maken.

- Czyżby? Niech będzie - dali wam parę MIG-ów 35, które nadają się do szybkiego uderzenia. Lecz gdzie są ciężkie transportowce? Gdzie baterie rakiet przeciwlotniczych? Gdzie jest wasza marynarka wojenna? Łodzie podwodne? Łodzie desantowe? Tego będziecie

w końcu potrzebowali, żeby pokonać Izraelczyków. I nie próbujcie mi wciskać, że Sowieci są gotowi dostarczyć wam tego typu sprzęt, bowiem tak nie jest - podobnie jak nie dadzą państwom własnego Układu Warszawskiego broni, którą mogłyby one obrócić przeciwko nim samym.

Maken nie pozwolił ani jednemu muskułowi swej twarzy zdradzić faktu, że Heinlein dotknął jego czulej struny. Zamiast tego zapytał z uśmiechem:

- A pan może nam dać marynarkę wojenną i siły powietrzne?

- Nie. Lecz coś o wiele lepszego.

- A mianowicie?

- Cztery Masady z głowicami jądrowymi.

Maken wyrzuciłby w tym miejscu każdego jako zupełnego czubka, lecz nie był nim ktoś tak poważny jak Heinlein.

- Za jaką cenę?

- Plan, jaki wymyśliłem, oznacza, że rakiety nie będą was kosztować ani grosza.

- Bez wątplenia jest to fascynujący plan - zauważył sucho Maken. - Lecz Masada wymaga silnika dodatkowego. Nie próbuje pan chyba powiedzieć, że potrafi nam również dostarczyć silniki dodatkowe? Moim zdaniem będzie to dość trudne, szczególnie wobec faktu, że Izraelczycy nie opracowali ich jeszcze do końca.

Heinlein przesłał mu chłodny uśmiech.

- Wymyśliłem znacznie lepszy plan przesłania Masady.

Były oficer wywiadu izraelskiego poświęcił pięć minut na nakreślenie planu mającego na celu ponowne utworzenie Palestyny. Plan był tak śmiały, tak niesamowity, tak dokładnie opracowany, iż pierwszą instynktowną reakcją Makena było przeświadczenie, że ma on szaleńczą, nieprawdopodobną szansę powodzenia. Był to taki plan, jaki mogli sporządzić jedynie Izraelczycy.

Gdy Heinlein mówił dalej, myśli Makena pędziły szaleńczo przed siebie, rozważając szanse powodzenia planu. Im dłużej myślał o nim, tym bardziej zdawał sobie sprawę z jego nieprawdopodobności. Jego najatrakcyjniejszą cechą było to, że nie mówiąc już o przyniesieniu pewnej kapitulacji Izraela, nie wymagał żadnej pomocy ze strony Związku Radzieckiego.

Pomimo starannie zachowywanych pozorów, które Joseph Maken przyjął ze względu na swoich sowieckich sojuszników, ani on sam, ani też jego najbliżsi współpracownicy nie byli komunistami. W opinii Makena istniały pewne aspekty komunizmu, które były równie obrzydliwe jak uciekanie się do przemocy, lecz był gotów zaakceptować owe doktryny celem

zrealizowania swojej ambicji, jaką było pokonanie Izraela. Komunizm i działa były jedynie narzędziami, które miały zostać odrzucone po spełnieniu swego zadania. Ta sama reguła stosowała się do najemników takich jak Heinlein. Lecz przed skorzystaniem z usług Heinleina musiał upewnić się, że narzędzia, które mu ofiaruje, są prawdziwe.

Zakończył spotkanie obietnicą omówienia tej kwestii ze swoimi doradcami. Na prośbę Makena Heinlein zgodził się pozostać w Hiltonie do czasu otrzymania dalszych instrukcji.

## 30.

Esther poświęciła pierwsze dwa dni pobytu w Nowym Jorku na zapoznanie się z jego topografią - w szczególności tej części Manhattanu, w której, znajdował się hotel Hilton. Początkowo miasto wydawało się jej przytłaczające i trudno się w nim było zorientować. Po pierwszym dniu poczuła się lepiej pomimo koszmarne zadania, które nad nią ciążyło.

Według danych zawartych w jej paszporcie nazywała się Esther Oliveria i była pracownikiem biura podróży z Tel Awiwu. Miała znakomite referencje, parę tysięcy dolarów w czekach podróźnych, i udało się jej znaleźć stosunkowo niedrogi apartament przy Columbus Avenue w pobliżu Centrum Żydowskiego.

W trzecim dniu pobytu w Nowym Jorku - był to poniedziałek - kupiła egzemplarz pisma „Broń i amunicja”, spędzając następne dwie godziny na przeglądaniu reklam sprzedaży wysyłkowej broni. Wybrała w końcu bezodrzutowy karabinek Remingtona kalibru 22, wyposażony w laserowy celownik, bowiem ta właśnie broń najbardziej przypominała lekkie, małokalibrowe karabinki, którymi posługiwała się w czasie szkolenia.

„W pełni automatyczne określanie odległości przez ultradźwięki i automatyczne nastawianie celownika - zachwalała ulotka firmy wysyłkowej. - Ty naciskasz na spust, a komputer wbudowany w kolbę robi resztę. Sto naboji gratis przy zamówieniach otrzymanych do końca tego miesiąca”.

Esther przesłała telegraficznie zamówienie oraz numer karty kredytowej.

Następny dzień spędziła na obserwacji Hiltona i jej trud został wynagrodzony, gdy po południu w głównych drzwiach hotelu ukazał się Heinlein.

Śledzenie go było bardzo proste. Poszedł w kierunku Central Parku i spędził godzinę kręcąc się po zoo. Przed powrotem do hotelu wpadł na dwadzieścia minut do baru.

Tę samą trasę wybrał w środę oraz w czwartek, udając się do teatru. Sprawiał wrażenie osoby zabijającej czas. Zastanawiała się, na co też może czekać.

W piątek Esther kupiła sztywną podkładkę z zaciskiem do przytrzymywania

dokumentów oraz kieszonkowy kalkulator, po czym udała się do Muzeum Amerykańskiej Sztuki Ludowej w jego nowej siedzibie, dokładnie naprzeciwko Hiltona. Nikt jej nie zaczepiał, gdy wsiadała do windy i pojechała na najwyższe piętro. Korytarz był pusty. Idąc po krótkim odcinku schodów doszła do poziomego dachu, sądząc po świetle słonecznym wydobywającym się przez szparę pod zamkniętymi drzwiami.

Wypróbowała różne klucze wykonane z kwasoodpornego plastiku, których cały pęk miała ze sobą. Jeden ciasno wchodził do zamka, nie dawał się jednak obrócić. Wyciągnęła klucz z zamka, wyjęła z torebki ampułkę z kwasem, wciskając ją następnie ostrożnie do zamka tak, aby jej nie stłuc. Wsadziła z powrotem klucz i mocno go wdusiła. Ampułka pękła. Z zamka wydobyła się smużka dymu, gdy silny kwas rozpoczął trawienie ruchomych części zamka. Po paru sekundach przekonała się, że potrafi obrócić klucz o parę stopni. Czekwała cierpliwie dalej. Czas miał tutaj zasadnicze znaczenie. Zbyt długie działanie kwasu na zamek mogło zakończyć się stopieniem go w jedną, nie do ruszenia bryłę metalu. Po upływie jednej minuty spróbowała jeszcze raz. Tym razem klucz się obrócił. Szło to opornie, lecz przynajmniej czuła, jak jęczyczek zamka wyslizguje się z obsady. Otworzyła drzwi mocnym pchnięciem, wyciągnęła klucz, po czym zatrzymała działanie kwasu stosując ampułkę z płynem neutralizującym.

Trzymając podkładkę pod pachą weszła śmiało na dach, zupełnie tak jakby miała do tego pełne prawo, i udała, że sprawdza szyny, po których opuszczano platformę dla osób myjących okna. Dla kogoś, kto obserwował ją z okna biura w jednym z sąsiednich budynków, wyglądała jak inspektor BHP sprawdzający bezpieczeństwo urządzeń do mycia okien. „Podkładki dla dokumentów i kalkulatory mają wręcz nieocenione znaczenie”, pouczał ją kiedyś jeden z instruktorów Mossadu. Przy ich pomocy możesz się dostać tam, dokąd normalnie nie masz wstępu, wyglądając przy tym, jakbyś znajdowała się na swoim miejscu.

Dach idealnie się nadawał dla jej celów. Miała stąd doskonały widok na zadaszone, główne wejście Hiltona, jak również niski parapet, na którym mogła oprzeć karabinek.

Kiedy wróciła do wynajętego mieszkania, czekała tam już na nią paczka.

Karabinek został doręczony.

## 31.

Heinleinowi nieobce było uczucie nudy. Przyczyniły się do tego długie godziny spędzone na sprawowaniu funkcji oficera dyżurnego w Ośrodku Badawczym Broni Naprowadzanych w Negew. Jednakże po czterech dniach oczekiwania na zaproszenie do

Makena zaczynał już tracić cierpliwość. Nigdy nie wychodził z hotelu na dłużej niż trzy godziny i zawsze po powrocie sprawdzał, czy nie ma dla niego jakichś wiadomości.

Powróciwszy z kolejnego, zdającego się nie mieć końca spaceru wzdłuż Broadwayu i wizyty w barze, przesłał Makenowi krótką wiadomość, w której informował przywódcę OWP, że rozważa możliwość powrotu do Izraela.

## 32.

Esther leżała płasko na brzuchu na polance, celując z karabinka do puszek coki, którą wcisnęła w gałąź drzewa. Puszka znajdowała się w odległości trzystu metrów, jednakże jej jaskrawa czerwień wypełniająca lunetę celownika optycznego sprawiała wrażenie, że nie znajduje się dalej niż o dwa metry.

Starannie złożyła się z broni czekając, aż tańczący punkt świetlny na końcu promienia lasera padającego z celownika optycznego zatrzyma się na literze O słowa coca. Sterowane przez komputer silniczki wspomaganie wydały prawie niedosłyszalny szmer, wprowadzając potrzebne korekty do nastawy celownika, w oparciu o informacje otrzymane za pośrednictwem ultradźwiękowego dalmierza. W lunecie celownika zamigotało zielone światełko dając sygnał, że wszystko jest już gotowe. Nacisnęła spust.

Trzask wystrzału był głośniejszy niż oczekiwała, jednakże - zgodnie z zapewnieniami producentów - prawie zupełnie nie było odrzutu. Spojrzała przez lunetę celownika. Litera O miała dokładnie pośrodku dziurkę. Oddała cztery następne strzały, które niczym maszyna do szycia wybiły szereg doskonale umieszczonych otworków po obwodzie litery.

Esther była zachwycona karabinkiem. Z wyjątkiem poprawki na odchylenie z powodu wiatru, której wprowadzenie wymagało tradycyjnych umiejętności Strzelca wyborowego, karabinek był prawie doskonały. Rozłożyła go i wrzuciła do przepastnej torby przewieszanej przez ramię, po czym wróciła między drzewami do wynajętego samochodu.

## 33.

Popołudnie było wyjątkowo upalne. Klimatyzacja w apartamencie Makena szła na pełnych obrotach.

- Sprawdził pan historię, Heinlein - powiedział Maken. - Z przyjemnością chcę panu donieść, że zgadza się z tym, co powiedział pan wcześniej.



- Nie ma żadnego powodu, dla którego miałyby się nie zgadzać. Tak się składa, że jest to prawda.

Maken przewracał szczegółowy raport leżący przed nim na biurku. Agenci OWP starannie wykonali swoją pracę - dokument zawierał nawet streszczenie transkryptu sesji sądu wojennego oraz wydruk stanu konta z banku w Tel Awiwie.

- Omówiłem pana plan z kilkoma bardzo mi bliskimi przyjaciółmi - powiedział Maken, bacznie obserwując Heinleina. - Rzecz jasna, są zdumieni.

- Zrozumiałe.

- Oraz bardzo zaniepokojeni pana propozycjami.

- A to czemu?

Maken spojrzał ostro na Heinleina.

- Nie powinno to pana dziwić. To, co pan proponuje, nie zostało wykonane nigdy przedtem.

Heinlein uśmiechnął się leniwie.

- Co jest wystarczającym powodem, żeby to zrobić.

- Właśnie. Pan i ja rozumujemy podobnie.

- To znakomicie. Kiedy mam zaczynać?

- Nie będzie pan niczego zaczynał. Przynajmniej nie w tej chwili.

- Moment - zaczął Heinlein z pewnym zdenerwowaniem. - Spędziłem cały tydzień...

- Cztery tysiące dolarów, których domaga się pan na opłacenie wydatków, zostaną panu przekazane - gładko odparł Maken. - Ma pan wrócić do Izraela i czekać, aż jeden z naszych ludzi skontaktuje się z panem. On przekaze panu naszą ostateczną decyzję.

- Czy znaczy to, że dalej mi nie ufacie?

Maken posłał Heinleinowi rozbrajający uśmiech.

- Znaczy to, że w chwili obecnej wzajemny lekki brak zaufania może się okazać korzystny dla obu stron.

## 34.

Policjantowi Seanowi Lewisowi z Nowego Jorku było dane zajść daleko w ulubionym zawodzie z racji wprost niezwykłej spostrzegawczości. Bardzo niewiele rzeczy dziejących się na ulicach Manhattanu potrafiło ujść jego uwagi. Toteż wydawało mu się, że już wcześniej widział tę piękną, ciemnowłosą dziewczynę.

Dokładnie rzecz biorąc, cztery razy.

Widywał ją albo siedzącą w kawiarni obok Hiltona lub też przechadzającą się po Avenue of the Americas. Nie zachowywała się jak prostytutka; nigdy nie zaczepiała klientów, a dziewczyna z jej wyglądem musiałaby się dobrze od nich odganiać. Tak więc, o co jej właściwie chodziło?

Policjant Lewis przyglądał się, jak energicznie przechodzi przez ulicę, trzymając torbę przewieszoną przez ramię, a następnie wchodzi do Muzeum Amerykańskiej Sztuki Ludowej. Może chciała znaleźć się w klimatyzowanym wnętrzu, aby uciec przed dusznym powietrzem; może naprawdę studiowała kulturę amerykańską, podobnie jak policjant Lewis studiował zachowanie się ludzi - w szczególności zachowanie przestępców. Postanowił, że nie zaszkodzi przyglądać się bliżej budynkowi, aby stwierdzić, jak długo dziewczyna pozostanie w środku.

\*\*\*

Esther przyklęknęła obok parapetu i spojrzała w dół, w kierunku głównego wejścia do Hiltona. Jeżeli Heinlein nie zmienił swoich rutynowych zajęć, to za dziesięć minut powinien wyjść z hotelu udając się na popołudniowy spacer. Miała nadzieję, że się zbyt nie spóźni, bowiem ktoś znajdujący się w oknie wychodzącym na dach zauważyłby z całą pewnością jej obecność. W tym momencie zdała sobie sprawę, że prażące niemiłosiernie słońce może stworzyć pretekst dla jej bytności w tym miejscu. Rozebrała się szybko, zostawiając jedynie dwuczęściowy kostium kąpielowy, który założyła wcześniej pod spód, i rozciągnęła się na rozłożonej spódnicy. Stała się przez to jeszcze jedną dziewczyną z biura korzystającą z ładnej pogody.

Przewróciła się na brzuch i oparła brodę na złożonych dłoniach tak, aby móc spoglądać ponad krawędzią parapetu.

Kiedy się już usadowiła, przyciągnęła bliżej do siebie torbę i otworzyła jej klapę, aby móc szybko schwycić remingtona, kiedy zjawi się Heinlein.

\*\*\*

W pokoju Heinleina zadzwonił telefon. Była to pracownica biura podróży, która pragnęła potwierdzić rezerwację Heinleina na popołudniowy lot El Al do Tel Awiwu. Podziękował dziewczynie i spojrzał na zegarek. Miał jeszcze mnóstwo czasu, żeby skoczyć na jednego.

\*\*\*

Strażnik muzeum nie był zupełnie pewien.

- Mówi pan z torbą na ramieniu? Tak - była taka dziewczyna - z ciemnymi włosami. Parę minut temu pojechała windą. Może być w którymś z biur.

Policjant Lewis podziękował mu. Następną cechą, która gwarantowała mu niezłą karierę w randze oficera, był jego szósty zmysł. Ów szósty zmysł kazał mu zacząć sprawdzanie od dachu.

\*\*\*

Esther widziała, jak Heinlein wychodzi z hotelu. Jego ruchy były powolne i skoordynowane. Za to jej drżały ręce. „Jesteś zupełnie niepoważna”, ta myśl kołatała się jej po głowie. Na filmach wideo zabójcy ukazywani byli jako chłodni i wyrachowani, a jej trzęsły się ręce i serce biło jak młotem.

Wysunęła remingtona z torby, oparła go o parapet i spojrzała przez celownik. Dopiero po paru sekundach odszukała Heinleina. Szedł oddalając się od niej, a jego plecy wypełniały w lunecie cały obraz. Ruchem palca łączyła urządzenie wysyłające promień laserowy i patrzyła, jak świetlna kropka podskakuje po całych plecach Heinleina. Powoli drganie jej rąk ustało i świetlny punkt znieruchomiał. Szedł wolno, jakby był pogrążony w myślach. Wiatr rozburzył jej włosy i zawiął na twarz.

*Trzeba zrobić poprawkę na wiatr!*

Świetlna kropka znieruchomiała, gdy Esther z trudem odzyskała pełną kontrolę nad swoim ciałem. Od czasu do czasu między nią a jej celem przesuwali się przechodnie. Za jakiś czas Heinlein szedł wzdłuż chodnika obok Burlington House, gdzie liczba przechodniów wyraźnie się zmniejszyła. Dokonała ostatecznych poprawek w linii celowania. Małe silniczki sterowane przez komputer wydały krótki szum, kompensując rosnącą odległość w miarę oddalania się Heinleina od Esther. W chwilę później zapulsowało zielone światelko. Esther nacisnęła na spust. Raz. Drugi. Trzeci.

Pierwsza kula uderzyła w chodnik w odległości sześciu cali od stopy Heinleina i odbita rykoszetem przeleciała przez okno Burlington House. Rozpoznał ostre chłaiście pocisku o dużej prędkości i rzucił się szukając osłony za wystającym ponad powierzchnię terenu klombem z kwiatami. Druga kula wzbija obłoczek kurzu, odłupując kawał cegły z murku otaczającego klomb. Jakaś kobieta krzyknęła przeraźliwie, gdy trzeci pocisk przeleciał ze świstem obok jej ucha, wbijając się następnie w ścianę.

Policjant Lewis otworzył jednym kopniakiem drzwi, w chwili gdy Esther przygotowywała się do oddania czwartego strzału.

- Rzuć broń! - warknął w jej stronę.

Esther odwróciła głowę, wpatrując się w niego zdumionym wzrokiem. Policjant stał przed nią trzymając obie dłonie wyciągnięte przed siebie, a w nich ścisnął trzydziestkęsemkę wycelowaną prosto w jej głowę.

- Powiedziałem: rzuć broń!

Esther wypuściła z dłoni remingtona. Upadł z łoskotem na parapet i przeleciałby na drugą stronę, gdyby nie wykonała szybkiego ruchu, aby go przytrzymać.

W jednej chwili wydarzyły się dwie rzeczy. Pierwszą była myśl, która przeleciała przez umysł policjanta Lewisa, i która dręczyła go do końca życia: czy dziewczyna złapała za broń instynktownie, nie chcąc pozwolić jej spaść na dół, czy też zamierzała jej użyć przeciwko niemu.

Drugą rzeczą był strzał, który trafił ją w lewe oko, zabijając na miejscu.

## 35.

Mężczyzna w rogowej oprawie okularów ściągnął prześcieradło z twarzy Esther i spojrzał pytającym wzrokiem na Heinleina.

- Klapka na oku przysłania miejsce, w które trafiła kula - wyjaśnił.

Heinlein spojrzał na Esther. Przez jego zwykle pozbawioną wyrazu twarz przemknął grymas prawdziwego szoku. Po głowie krążyły mu gorączkowe myśli.

- No i jak? - zagadnął człowiek w rogowej oprawie.

Heinlein skinął potakująco głową.

- Tak. Znałem ją. Porzuciłem ją w Izraelu. Nie mogłem już z nią wytrzymać. Gdy tylko popatrzyłem na inną kobietę groziła, że wydrapie mi oczy. Ale żeby jechać za mną aż tutaj z Tel Awiwu? Czy może sobie pan to wyobrazić? - dodał, kręcąc z niedowierzaniem głową.

Człowiek w rogowych okularach był agentem FBI - to on przepytывał Heinleina w hallu Hiltona. Nie wydawał się specjalnie poruszony bajeczką Heinleina.

- Proszę mi opowiedzieć coś o jej ciele - zasugerował. - Czy miała jakieś znaki szczególne? Blizny?

Heinlein zamyślił się na chwilę:

- Miała znamię na lewej piersi.

- Jakiego kształtu?

- Jakby owalne. Taki półksiężyc.

- Pod czy też nad sutką?

- Pod.

Agent FBI odetchnął z ulgą. Jak by na to spojrzeć, strzelanina, w której jeden Izraelczyk zabija drugiego pod oknami hotelu, w którym zatrzymał się Joseph Maken, nie wyglądała za dobrze. Jednakowoż, biorąc pod uwagę pożegnalny list napisany ręką Heinleina, który

odnaleziono w mieszkaniu dziewczyny, tudzież wyjaśnienia Heinleina składały się na jeden z tych dziwnych przypadków, których człowiek z FBI znał już wiele. Gdyby dziewczyna była zawodowcem, Heinlein raczej nie wiedziałby o jej znamieniu. Również reszta faktów podanych przez Heinleina była prawdziwa; był oficer armii izraelskiej istotnie był synem jednego ze znaczniejszych handlarzy diamentami i również przebywał wcześniej w Stanach Zjednoczonych w celach handlowych.

Obaj mężczyźni wyszli z kostnicy przy Tenth Avenue.

- Czy chce mnie pan dalej przesłuchiwać? - zapytał Heinlein.

- Jeszcze jedno pytanie. Dlaczego spotkał się pan z Josephem Makenem?

- Z altruistycznych pobudek. On jest marksistą. Chciałem się tylko dowiedzieć, czy Tel Awiw pozostanie centrum handlu złotem i diamentami, gdyby udało mu się przejąć kontrolę nad Izraelem. Tak jak mówiłem już to panu, interesuje mnie biznes, a nie polityka.

- Kiedy zamierza pan powrócić do Izraela?

- Dziś wieczorem. Przez tę całą historię nie zdążyłem na popołudniowy lot.

- Dziewczyna знаła się na obsłudze karabinka.

Heinlein wzruszył ramionami.

- W dalszym ciągu u nas dziewczęta są objęte poborem. Wszystkie uczą się używać karabinu.

Człowiek z FBI patrzył bez zbytniego zainteresowania na przejeżdżające samochody.

- Nie mam już więcej pytań, panie Heinlein. Lecz jeżeli jeszcze raz ucieknie pan jakiejś zazdrosnej kobitce, niech pan nie pozwoli, żeby ściagała pana aż do Nowego Jorku. Okay?

- Postaram się - odparł Heinlein.

- I jeszcze jedna sprawa - powiedział agent.

- Tak?

Agent spojrzał na Heinleina uważnym wzrokiem.

- Być może roztoczymy nad panem zupełnie ojcowską opiekę, kiedy znajdzie się pan już w Izraelu.

\*\*\*

- Na ile pewna jest ta linia? - zapytał ostro Heinlein z aparatu w barze na Times Square.

- Wszystkie rozmowy łączone z tym numerem są w obie strony kodowane - zapewnił go Greer. - Nikt nie może podsłuchiwać. Proszę, mów dalej.

- Słuchaj no, „Ben Yair”, czy jak ci tam. W co ty właściwie grasz?

- Mógłbym zadać to samo pytanie, Davidzie.

- Jeżeli chcieliście mnie zlikwidować, dlaczego wysłaliście tego biednego dzieciaka?

Ona nie potrafiła nawet porządnie strzelać z karabinka z celownikiem laserowym.

- Dostała polecenie, aby chybić.

- Co znowu!

- Przynajmniej, za pierwszym razem - powiedział Greer. - Plan nie zakładał, że sama przy tym zginie. Jej zadaniem było danie ci ostrzeżenia, gdybyś rozważał możliwość przejścia na drugą stronę, oraz podbudowania twoich referencji, gdyby było inaczej. Nie byłeś zbyt oczywisty w swoim postępowaniu, możesz więc szukać winy w samym sobie.

- Słuchaj - przerwał mu Heinlein - zamierzam rozegrać tę sprawę na swój sposób. Wydaje mi się, że masz jakieś wpływy w Mossadzie. Czy nie mam racji?

- Trochę - odparł Greer.

- Powiedz im, że nie chcę, żeby cała zgraja ich palantów pieprzyła mi sprawy, tak więc niech się trzymają z daleka. Okay?

- Okay - odparł Greer czując dużą ulgę z powodu kierunku, w jakim zmierzała ich rozmowa. - Lecz gdybyś kiedyś potrzebował pomocy, wystarczy, że zadzwonisz na ten numer.

- Dopilnujcie, żeby wasza ambasada tutaj załatwiła porządny pogrzeb temu dzieciakowi - powiedział Heinlein i odwiesił słuchawkę.

\*\*\*

- Ona z całą pewnością była agentką Mossadu - oznajmił Maken.

Heinlein uśmiechnął się blado.

- Tak pan myśli?

- Mało, wiem o tym.

- Naprawdę? A skąd?

- Powiedzmy, że wiem.

Z samego rana Maken i jego pomocnicy przejrzeni zdjęcia pracowników izraelskich firm znanych jako przykrywka dla działalności Mossadu. Fotografia Esther zgadzała się ze zdjęciem pracownicy biura podróży i sklepu z pamiątkami położonego blisko Namir Square w Tel Awiwie.

Heinlein uśmiechnął się.

- Wydawało mi się, że Mossad uczy swoich pracowników przynajmniej celnie strzelać.

- Przy tym wietrze i pod tym kątem? Miała szczęście, że udało się jej trafić w miejsce sześć cali od pana. Zamach na pana życie daje odpowiedź na jedno pytanie, lecz zaraz rodzi następne. W jaki sposób może się pan nam przydać, jeżeli jest pan ścigany przez Mossad?

- Jeśli ona faktycznie była agentką Mossadu, moim zdaniem dadzą mi teraz spokój.

Maken poruszył się zaciekawiony.

- A to dlaczego?

- Ponieważ dla FBI sprawa została zamknięta - przypadek zazdrosnej kobiety, która próbowała stuknąć swojego kochanka. Jeżeli cokolwiek mi się stanie, to Izrael nie będzie mógł sobie pozwolić na rozdmuchanie międzynarodowej afery w przypadku, gdy Amerykanie postanowią pokopać głębiej, aby dowiedzieć się, kim naprawdę była ta dziewczyna. W obecnej sytuacji oskarżenia o próby dokonania zamachów politycznych niezbyt by pomogły stosunkom izraelsko-amerykańskim.

Maken obracał w palcach złote pióro.

- Być może ma pan rację. To z kolei nasuwa mi następny problem. Jesteśmy gotowi przyznać, że jest pan tym, za kogo się podaje, tak więc postanowiliśmy przydzielić panu jednostkę operacyjną. Ci ludzie będą z panem, Heinlein, bardzo ściśle współpracować. Dokładnie rzecz biorąc, aż tak ściśle, że jeżeli coś nie wyjdzie, to będzie pan ich ostatnim celem. Mam nadzieję, że wyrażam się jasno.

## 36.

Nalot bombowy na port lotniczy Ben Gurion spowodował że boeing Heinleina został zmuszony do zmiany kursu na bazę Chel Ha'Avir Etzion na Pustyni Synajskiej. Krajowe loty w Izraelu zostały zawieszane, stąd pasażerowie musieli oczekiwać na przyjazd autobusów mających ich przewieźć do Tel Awiwu do kontroli celnej i odprawy paszportowej.

Zgodnie ze swoimi oczekiwaniami, Heinlein nie napotkał żadnych trudności ze strony dziewczyny z wydziału imigracji, która jedynie przepuściła jego paszport przez czytnik komputerowy. Zanim udało mu się zameldować w hotelu Plaza, był spocony, zmęczony i zgłodniały.

Ranek dnia następnego spędził na odsypianiu zmęczenia wywołanego różnicą czasu i zebrał się dopiero późnym popołudniem. Wynajął samochód i pojechał do centrum Tel Awiwu, gdzie przez godzinę chodził po różnych sklepach z artykułami metalowymi kupując cały szereg drobnych narzędzi, pas do przechowywania pieniędzy, parę urządzeń elektrycznych, a nawet puszkę kremu do golenia w aerosolu. Następnie udał się do sklepu Berners przy Rothschild Boulevard, gdzie kupił wyposażony w lampę błyskową aparat Polaroid do fotografowania dokumentów. Na końcu odwiedził sklep z męską odzieżą, gdzie kupił parę spodni, lekką bluzę, rękawiczki, skarpetki i parę miękkich butów. Wszystkie te rzeczy były czarnego koloru.

O północy pojechał dziesięć mil wzdłuż wybrzeża w kierunku północnym do miejsca, gdzie jego ojciec miał dom stojący w ekskluzywnym osiedlu zwanym Jaffa Gardens Estate. Ukrył samochód w zaroślach pół mili od domu, a następnie przebrał się w czarną odzież. Narzędzia znalazły się w przegródkach pasa na pieniądze, zaś na ramieniu zawiesił polaroid.

Zostawił drzwi samochodu szeroko otwarte, kładąc kluczyk na podłodze, gdzie mógł go szybko odnaleźć. W trakcie szkolenia w Specjalnej Brygadzie Desantowej kładziono bardzo duży nacisk na ucieczkę z miejsca tajnych działań, stawiając ją na pierwszym miejscu.

„Na nic się nie przyda szperanie w pęku kluczy czy też próby wyszarpania kluczy z kieszeni, kiedy siedzi się już za kierownicą”, wbijał mu do głowy instruktor. „Nie zostawiaj też kluczyków w stacyjce, bo w ten sposób aż się prosisz, żeby ktoś ci ukraść samochód.”

Wiadomości wyniesione z tego samego szkolenia pozwoliły mu poruszać się jak kot wśród gęstych zarośli otaczających osiedle. Przeskoczył przez parę murów i przemierzył kilka ogrodów należących do sąsiadów ojca. Przed przebiegnięciem przez trawnik czy otwarty teren, na którym mógł zostać dostrzeżony, spędzał parę minut siedząc skulony w cieniu krzaków, starając się usłyszeć najdrobniejszy szmer oznaczający, że odkryto już jego obecność. Najbardziej obawiał się wykrycia przez system czujników na podczerwień czy też kamery telewizji przemysłowej, mimo iż znał już wcześniej to osiedle, wiedział, że tego typu urządzenia są skupione głównie obok dróg dojazdowych i bram.

Heinlein wdrapał się na znajomy mur okalający posiadłość ojca i ostrożnie obszedł budynek dookoła. W żadnym z pokoi nie paliło się światło, zaś szum klimatyzatorów wmontowanych w ściany sypialni ojca i brata powiedział mu to, co chciał wiedzieć; Avram Heinlein był oszczędnym człowiekiem i pozwalał na używanie klimatyzatorów jedynie w tych pomieszczeniach, w których się w danej chwili przebywał.

Z łatwością wdrapał się na dach podwójnego garażu, odszukał urządzenie alarmu włamaniowego i wstrzyknął całą zawartość puszki z kremem do golenia pod osłonę. Kłęby białej piany zablokowały skutecznie wszystkie przekaźniki alarmu, uniemożliwiając zwarcie pozostałych obwodów w razie uruchomienia systemu alarmowego.

Następną przeszkodą były przesuwane drzwi prowadzące do gabinetu ojca. Po wywierceniu małego otworka w aluminiowej ramie udało mu się przesunąć śrubokrętem zasuwkę i wejść ostrożnie do wnętrza. Szybkie omięcie ścian światłem latarki pozwoliło mu się zorientować, że układ pokoju o ścianach zapełnionych książkami wcale się nie zmienił.

Sejf nadal znajdował się za tą samą akwarelą Toma Keatinga. Modląc się w duchu, żeby nie okazało się, iż ojciec zmienił kombinację, ustawił karbowane pokrętła i pociągnął



drzwiczki. Sejf otworzył się. W środku znalazł woreczek z nie oszlifowanymi diamentami oraz oprawny w skórę notatnik. Interesował go notatnik; zawierał on rejestr „obrotów” handlarza diamentami, w którym znajdowały się zakodowane szczegóły na temat zbliżających się transakcji oraz przesyłek złota i diamentów. Ustawił otwarty notatnik na biurku i użył polaroida do sfotografowania dwudziestu ostatnich stron. Cała operacja trwała nie dłużej niż pięć minut. Odłożył notatnik i torebkę do sejfu, zamknął go, po czym powrócił do samochodu. Przez dwie minuty siedział odpoczywając w fotelu kierowcy czekając, aż puls wróci do normy.

\*\*\*

Po powrocie do zacisza hotelowego pokoju Heinlein rozłożył na biurku zrobione polaroidem zdjęcia. Urządzenie automatycznie regulujące ostrość zrobiło swoje - obraz na zdjęciach był idealnie czysty. Miał szczęście, że ojciec nie zmienił szyfru, którego używał dla notowania obrotów złotem i diamentami. Wśród wszystkich wpisów jedna z dat sprzed dwóch tygodni figurowała obok czterystu czterdziestu pięciu partii diamentów. Po podsumowaniu wszystkie wpisy dawały oszałamiającą liczbę ćwierć miliona karatów. Będąc przekonany, że się pomylił, Heinlein ponownie sprawdził liczby. Okazało się, że nie ma żadnej pomyłki.

Pięćdziesiąt kilogramów nie oszlifowanych diamentów! Cały ładunek przewożony w tym samym dniu do jednego miejsca - Portu Lotniczego Ejlat nad Morzem Czerwonym.

Heinlein próbował zapytać samego siebie, w jakim celu jego ojciec wysyłał taki ogromny majątek za granicę. Stan gospodarki Izraela spowodowany wojną sprawił, że przypuszczalnie każdego dnia znaczne sumy opuszczały potajemnie kraj. Nie było żadnej wątpliwości, że tak ogromna przesyłka była niezgodna z prawem, lecz Avram Heinlein nie należał do osób darzących państwo izraelskie specjalną sympatią; tak więc nie miał żadnych wyrzutów sumienia dokonując tak ryzykownej operacji w imieniu swoich klientów.

Następnego ranka Heinlein przeprowadził parę rozmów telefonicznych, w których wyniku ustalili, że w dniu wyznaczonym na dokonanie przesyłki grupa pięćdziesięciu Żydów chasydzkich zarezerwowała lot czarterowy z Ejlat do Warszawy - duchowej ojczyzny ich sekty - z międzylądowaniem w Amsterdamie.

Ejlat był logicznym wyborem; był to jeden z nielicznych portów, które nie były narażone na ataki OWP, natomiast Amsterdam był bez wątpienia miejscem docelowym diamentów.

Im dłużej Heinlein myślał o pięćdziesięciu kilogramach diamentów, tym bardziej kusząco przedstawiała mu się cała operacja. Trzeba było dokonać jednego skoku zamiast

kilkunastu przewidzianych w jego planie; nie potrzebował też większego wsparcia ze strony agentów Makena. Jedynym zadaniem, jakie mu pozostało, było dowiedzieć się, w jaki sposób grupa chasydów i ich bagaż zostaną przewiezieni do Ejlat.

Jeden telefon do tajemniczego „Ben Yaira” mógł wyjaśnić wszystkie wątpliwości.

### 37.

Uderzenie w kark sprawiło, że Heinlein omal nie zakrztusił się piwem.

- David! - rozległ się czyjś głos mówiący z angielskim akcentem. - No niech to, David Heinlein! Ty stary łajdaku!

Zanim Heinlein zdołał cokolwiek powiedzieć, pulchny, egzaltowany mały człowieczek w wieku około czterdziestu lat i paroma podbródkami usiadł przy stoliku Heinleina na placu Namira, promiennie się do niego uśmiechając. Południowe słońce pokryło czoło nieznanego kroplami potu, które wytarł mocno sfatygowaną chusteczką.

- Kim, u diabła, pan jest? - warknął Heinlein.

Mały człowiek spojrzał na niego z wyrzutem.

- Davidzie, na pewno pamiętasz tę balangę w Londynie, kiedy ojciec dał ci parę dni luzu, zanim wstąpiłeś do wojska? Rany boskie, co to była za bibka! Ile to przelecieliśmy wtedy panienek?

Heinlein patrzył na małego człowieczka ze zdumieniem. Pomocnik Makena z Nowego Jorku powiedział mu, iż agent, który skontaktuje się z nim w Tel Awiwie nazywa się Sarcha, i że przedstawi się tym imieniem opowiadając o przyjęciu wydanym w Londynie.

- Przykro mi, ale zupełnie sobie pana nie przypominam.

- Davidzie, no wiesz! - Pulchny nieznanomy uśmiechnął się szeroko i poklepał swój brzuch. - Zgoda, może trochę nadrzuciłem wagi. Lecz w niczym nie zmieniło to mojego łajdackiego sposobu życia. Nazywam się Sarcha - Peter Sarcha. - Mrugnął porozumiewawczo do Heinleina. - Mam nadzieję, że to nazwisko przywoła do twej pamięci sporo wspomnień.

Heinlein obrzucił wzrokiem plac. Jak zwykle był on zatłoczony młodzieżą.

- Sądzę - powiedział wolno - że powinniśmy pójść w jakieś miejsce, gdzie będziemy mogli porozmawiać.

- Dobry pomysł - zgodził się Sarcha. - Może by tak na rybki?

\*\*\*

Obaj mężczyźni wynajęli na przystani łódkę razem ze sprzętem rybackim. Wyłączyli silnik w odległości jednej mili od plaży, pozwalając łódce dryfować.

- Tak jest o wiele lepiej - stwierdził Sarcha promiennie się uśmiechając. - Lubię, jak łódki są daleko od brzegu. Nasi przyjaciele z Mossadu zatrudniają najlepszych na świecie fachowców od czytania z ruchu ust. Mają też olbrzymie lornety, które się im na nic nie przydadzą w obserwowaniu dwóch facetów podskakujących w łódce.

Heinlein spojrział na Sarchę z wymuszonym uznaniem. Było oczywiste, że mały grubasek był o wiele sprytniejszy, niż na to wyglądał.

- Okay, Sarcha. Kim ty właściwie jesteś?

Sarcha uśmiechnął się szeroko, a następnie powiedział parę słów o sobie. Służył kiedyś jako sierżant w Specjalnych Siłach Powietrznych armii brytyjskiej. Po opuszczeniu armii zaczął pracę jako prywatny goryl.

- Nieźle mi to szło - zwierzył się Heinleinowi - lecz poszło jeszcze lepiej, gdy jeden z klientów pokazał mi właściwą drogę i zacząłem małą fuchę na rzecz OWP.

- Jaką znowu fuchę?

Sarcha wykonał rękami nieokreślony gest w powietrzu.

- No, jak by to powiedzieć, trzeba było stuknąć paru tui ówdzie. Dokładnie taka działka, w której przydało się moje wykształcenie z SSP. Śmieszna sprawa - ci, których musiałem stuknąć, nie byli wcale Izraelczykami. W tych czasach jedna część OWP miała szczerą chęć wytepić drugą. A potem Maken przejął władzę, no i skończyło się. Nadal jeszcze pracuję dla tego faceta, ponieważ podziwiam jego robotę. Tym razem polecono mi skontaktować się z tobą, żeby ci pomóc. Będąc na miejscu, spotkałem się z paroma znajomymi Palestyńczykami.

Heinlein spojrział z zaciekawieniem na Sarchę, zastanawiając się, w jaki sposób ten nieprawdopodobny mały grubasek może się mu przydać. Przypuszczalnie jego waga przemawiała na jego niekorzyść. Heinleinowi trzeba było młodego, bystrego człowieka.

- Jesteś najemnikiem?

- Zgadłeś.

- Proszę. Tak więc, jeśliby zaproponowano ci więcej pieniędzy, to przeszedłbyś na drugą stronę?

Sarcha spojrział z lekkim zaniepokojeniem.

- Denerwując tym Josepha Makena i całą resztę? Nie, dzięki za takie coś. Jestem także przeraźliwym tchórzem.

- Czy Sarcha to twoje prawdziwe nazwisko?

Sarcha uśmiechnął się.

- O, tak. Peter Sarcha.

- Czy domyślasz się choć trochę, co zamierzam zrobić?

Sarcha nie przestawał się uśmiechać.

- Niech mi będzie wolno zgadnąć. To ma coś wspólnego z diamentami? Z dużą ilością diamentów?

Ta uwaga uruchomiła tysiące dzwonek alarmowych w mózgu Heinleina. Spojrzał ostrym wzrokiem na Anglika.

- A skąd ci to przyszło do głowy?

- Niezłą robótkę odwaliłeś parę dni temu w domu tatunia.

Heinleinowi załomotało serce.

- Robótkę? - zapytał myśląc gorączkowo.

Sarcha skinął głową.

- Śledziłem cię. Przez te wszystkie francowate mury, na które musiałem się wdrapać. I Davidzie, chłopcze kochany, nie jesteś aż znowu takim zawodowcem. W SSP zawsze uważaliśmy, że Specjalna Brygada Desantowa ma więcej szczęścia niż rozumu. Na twoim miejscu zaciągnąłbym starannie te zasłony w gabinecie tak, żeby nikt nie mógł zerknąć przez okno i zobaczyć mnie przy sejfie. A już błysk flesza aparatu oświetlił prawie cały ogród. - Sarcha skończył, wybuchając śmiechem na widok osłupienia malującego się na twarzy Heinleina. - Tak więc, *faktycznie* chodzi o diamenty, czy nie mam, Davidzie, racji?

Oślupiały Heinlein zdobył się jedynie na skinienie głową.

- Duża robota?

Heinlein zawahał się z odpowiedzią, lecz po chwili zrozumiał, że ukrywanie czegokolwiek przed chytrym Anglikiem nie ma sensu.

- Bardzo duża - potwierdził.

- Ile ludzi będziemy potrzebowali?

- Co najmniej sześciu, włączając mnie - odparł Heinlein.

Sarcha uruchomił silnik.

- Okay, Davidzie, chłopie kochany - powiedział niefrasobliwym tonem. - Nasi przyjaciele powiedzieli mi, że coś szykujesz, nie wiedzieli jednak co. Powiedzieli także, że mogą wliczyć własną osobę za jeden procent zysku.

Heinlein spojrzał ponuro na Anglika.

- Czyżby?

Sarcha zachichotał.

- Jednak przy założeniu, że ty najpierw dostaniesz swoje dziesięć procent. Tak więc, co byś powiedział, gdybyśmy tak usiedli i poruszali trochę główkami nad planem?

## 38. Październik

Patrząc ze swojego punktu obserwacyjnego, z którego roztaczał się widok na autostradę Arava - jedną z najmniej ruchliwych dróg na świecie - przecinającą Pustkowia Zin od Be'er Sheva do Ejlat, Heinlein zauważył w oddali coś niezwykłego.

Oparł mocno lornetkę o skałę, regulując ostrość obrazu rozmazanego obiektu, który skręcał się i podskakiwał niczym zjawą w krwawej, drgającej od upału mgielce przykrywającej rozpalone wzgórza. Falujący obraz stopniowo uspokoił się stając się niewyraźnym zarysem autokaru wycieczkowego wlokącego za sobą chmurę kurzu. Heinlein odpiął z wojskowego pasa radionadajnik, jaki daje się dzieciom, i warknął do mikrofonu:

- Już jadą.

- Zrozumiałem - potwierdził Sarcha.

Radionadajniki - zabawki o mocy pięćdziesięciu miliwatów ze swoimi antenkami z drucika, idealnie nadawały się do ich operacji, bowiem miały zakres nie większy niż pół mili, stąd istniało bardzo małe prawdopodobieństwo, że ich sygnały zostaną odebrane przez wojskowe stacje nasłuchowe rozmieszczone na pustyni.

Heinlein zbiegł po gołym zboczach góry i pomógł Sarchy, Alefowi i trzem pozostałym palestyńskim rekrutom zawlec na miejsce wojskową zaporę drogową. Cała szóstka była ubrana w dość wytarte drelichy polowe Zahal i pustynne czapki z miękkimi daszkami oraz uzbrojona w karabinki Mk.20 Galii. Każdy szczegół ich mundurów był autentyczny, łącznie z bransoletkami identyfikacyjnymi, które każdy z mężczyzn miał na nadgarstku. Heinlein miał na sobie własny mundur, z dwoma belkami dystynkcji podporucznika na pagonach.

Na rozkaz rzucony przez Heinleina piątka mężczyzn zajęła swoje pozycje, czekając, aż nadjeżdżający autokar wyjedzie zza zakrętu.

- Jezu - wymamrotał Sarcha, ocierając pot zalewający mu oczy. - Jeszcze godzina na tym francowatym upale, a zobaczycie nowe, szczupłe „ja”.

- Daj mi najpierw okazję przyzwyczaić się do starego - odparł Heinlein.

Wycie silnika autokaru nasiliło się. Pojazd wytoczył się zza zakrętu i gwałtownie zahamował w chwili, gdy jego kierowca dostrzegł zaporę. Zgodnie z oczekiwaniami był to czarterowy autobus. Heinlein wskoczył do środka, gdy tylko drzwi otworzyły się z sykiem.

- Czy coś się stało? - zapytał kierowca.

- Proszę prawo jazdy i przepustkę - zwrócił się do niego Heinlein. Rzucił okiem na pasażerów. Zobaczył dwa szeregi postaci w ciemnych ubraniach, z ponurymi brodami i

pejsami, i przeszły go obojętne spojrzenia pięćdziesięciu chasydów.

Kierowca wręczył Heinleinowi portfel z dokumentami.

- Na przepustce brakuje stempla - rzucił Heinlein przeglądając papiery i zapisując nazwisko kierowcy. - Czy nie przejeżdżaliście przez punkt kontrolny w Be'er Sheva?

Kierowca przybrał zdziwiony wyraz twarzy.

- Nie, proszę pana. Tam nie było żadnego punktu.

Heinlein skinął głową.

- Musieliście przejechać to miejsce, zanim go otwarto. Proszę jechać do namiotu za jeepem.

Jeden z pasażerów siedzących na samym przodzie podniósł się z fotela.

- Jestem rabin Sharrat i jestem przewodnikiem tej grupy. Jedziemy na pielgrzymkę do Warszawy...

- Przykro mi, rabinie - przerwał mu Heinlein - lecz musimy przeszukać ten autobus. Otrzymaliśmy wiadomość, że do Ejlat przemyca się broń. Im wcześniej...

- Jestem pewien, że nie sądzi pan, że to *my* moglibyśmy być zdolni do przemykania broni!

Heinlein uśmiechnął się i zauważył nieznaczne zaniepokojenie na paru twarzach.

- Oczywiście że nie, rabinie. Lecz zawsze istnieje ewentualność, że broń została podrzucona do autobusu bez waszej wiedzy. - Czy jesteście rezerwistą? - zwrócił się do kierowcy.

- Tak jest, panie poruczniku. Jestem kapralem.

- Kapralu Mishan, od tej chwili jesteście pod moją komendą. Jedźcie za jeepem i zachowujcie ciszę radiową.

Heinlein zeskoczył z autobusu na ziemię i wskoczył na tylny zderzak pierwszego jeepa prowadzonego przez Alefa w chwili, kiedy ten ruszył z miejsca. Drugi jeep z Sarchą za kierownicą zajął pozycję w tyle.

Konwój zjechał z głównej drogi i potoczył się wyboistym traktem przez około pół mili do miejsca, gdzie na skrawku równego terenu rozbito namiot. Dwóch szeregowych pod dowództwem Heinleina odchyliło na boki klapy i skierowało autobus do gorącego wnętrza.

- To jest oburzające! - wrzeszczał wychodzący z autobusu rabin Sharrat na widok rzędów rozłożonych stołów.

- Nie ma pan żadnego prawa traktować nas w ten sposób.

- Działamy na rozkaz dowództwa Południowej Grupy, rabbi - powiedział spokojnie Heinlein. - Chcę, żeby wszyscy członkowie pana grupy wyciągnęli bagaż z luków

bagażowych i ułożyli walizki na tych stołach. Wszystkie walizki zamknięte na zamki mają zostać otwarte. Osoba wykonująca podejrzane ruchy może zostać zastrzelona. Im prędzej załatwimy tę sprawę, tym szybciej ruszycie znowu w drogę.

Rabin uznał, że nie ma sensu dalej się kłócić. Zamruczał coś w jidysz do swoich przyjaciół. Jeden po drugim pokorni chasydzi złożyli walizki na stołach, a następnie je pootwierali. Patrzyli obojętnie, jak dwóch szeregowców przeszukuje im torby, gdy Sarcha w tym samym czasie sprawdzał wnętrze autobusu. Alef, wyposażony w lusterko i silną latarkę, wczłgał się pod autobus.

Trzydziestominutowe poszukiwania nie dały żadnego wyniku.

- Rewizje osobiste! - rozkazał Heinlein.

Rozległa się ponowna fala protestów ze strony wszystkich pasażerów, gdy rozkazano im wyrzucić zawartość kieszeni, a następnie rozebrać się. Jeden z nich rzucił szczególnie soczyste przekleństwo w kierunku Sarchy, lecz wszelka groźba interwencji z niebios, którą mogłaby zmartwić angielskiego grubaska, związana była raczej z mechanizmami, a nie bogami.

- Jeszcze jedna godzina tutaj, a na pewno wojskowy helikopter wypatrzy namiot - powiedział do Heinleina sciszonym głosem. - Dlaczego, do cholery, się nam nie udało?

- Kapral Mishan! - krzyknął Heinlein.

- Tak jest, panie poruczniku.

- Czy odebraliście tę grupę w Jerozolimie?

- Tak jest, panie poruczniku.

- Gdzie dokładnie?

- Przed biblioteką w Mea Shearim, panie poruczniku.

- Czy sami pakowali walizki do luków, czy wyście to zrobili za nich?

Młody kierowca spojrzał na niego ze zdziwieniem.

- Wydaje mi się, że sami je załadowali.

- Co ma znaczyć to „wydaje mi się”? Nie możecie odpowiedzieć dokładnie?

- Nie, panie poruczniku. Przejęli autobus wczoraj wieczorem, żeby go mogły wysprzątać ich żony. - Mishan zniżył głos. - Pan wie, jakie z nich świry. Niekoszernie śmieci, tego typu problemy. Kiedy przyjechałem pod bibliotekę, to wszyscy siedzieli już w środku gotowi do drogi.

Sarcha wymamrotał przekleństwo.

- Czy zawsze jeździcie tym samym autobusem - zapytał nagle kierowcę.

- Prawie zawsze.

- Tak więc znacie go jak własną kieszeń?

- Dość dobrze.

- No to pięknie - odparł Heinlein ze stanowczością. - Przejrzycie go dokładnie, cał za całem, od przodu do tyłu.

Po trzydziestu minutach drobiazgowej kontroli Mishan wysunął głowę zza drzwi autobusowej toalety.

- Coś tutaj nie gra. Spłuczka nie działa tak, jak powinna - powiedział.

- Gdzie jest zbiornik? - zapytał Heinlein, kiedy sam spuścił wodę i na własne oczy zobaczył leniwie ciekącą strużkę wody.

- W dachu, panie poruczniku.

- Czy wyście go napełniali?

- Nie, oni sami musieli to zrobić.

Twarze chasydów pozostały bez wyrazu, gdy Alef razem z bratem wdrapali się na dach autobusu i usunęli klapę zakrywającą właz. Alef krzyknął, żeby mu podano klucze, które mu pospiesznie doręczono. Palestyńczycy pracowali przez pięć minut, podczas gdy Sarcha i Heinlein nasłuchiwali z wyężeniem, czy nie słyszą zbliżającego się helikoptera wojskowego. Rabin Sharrat otworzył usta próbując coś powiedzieć, lecz po chwili zmienił zamiar. W ponurym milczeniu, przyglądał się wraz ze swoimi chasydzkimi przyjaciółmi, jak pękaty, stugalonowy zbiornik jest opuszczany na linach na ziemię. Sarcha przykucnął, przyglądając się uważnie pokrywie studzienki rewizyjnej.

- Niedawno ktoś ją ruszał - oznajmił odkręcając motylkowe śruby, co pozwoliło mu odsunąć pokrywę na bok. Wetknął rękę w otwór i grzebał w nim po omacku. Twarz rozjaśnił mu szeroki, triumfalny uśmiech. Wyciągnął rękę, a w zaciśniętych palcach trzymał plastikową torebkę z karteczką opatrzoną numerem.

- Czuję, jakby były tam jeszcze setki takich torebek - powiedział do Heinleina, wręczając mu torebkę.

Heinlein otworzył torebkę i wysypał jej zawartość na otwartą dłoń. Zdumiała go różnorodność blisko sześćdziesięciu nie oszlifowanych diamentów. Były to głównie wygodne do cięcia kryształy, zrosty bliźniacze i kryształy płaskie. Ośmiokaratowy kamień został już wstępnie oszlifowany, co było pierwszą fazą obróbki diamentów. Już ten kamień wskazywał wyraźnie, jaką paniką została ogarnięta Giełda Diamentów w Tel Awiwie, która z kolei sprowokowała tę tajną próbę wywiezienia szlachetnych kamieni z kraju.

- Ile one są warte? - zapytał Sarcha.



- Ta garstka? Około trzydziestu tysięcy dolarów. Dobra - wyciągnijcie teraz resztę torebek. - Heinlein podsunął diamenty pod nos rabiego Sharrata. - Jestem pewien, że pan i członkowie pana małego stadka słyszeli o Doraźnym Przepisie Obrony, Artykuł 131?

Rabin zniósł bez słowa powolne spojrzenie Heinleina.

- Artykuł sto trzydzieści jeden mówi o nielegalnym wywozie złota, kamieni szlachetnych i półszlachetnych - rzucił od niechcenia Heinlein. - Przewiduje on automatycznie wyrok dwudziestu lat więzienia dla każdej osoby skazanej na podstawie tego artykułu, bez prawa do apelacji. Państwo ma także prawo zarekwirować kamienie.

Uśmiechając się wskazał ruchem ręki na torebki, które Sarcha wyławiał ze zbiornika.

- Jeżeli nie możecie przedstawić pozwolenia na wywóz tych drobiazgów, to może zechcecie przyjąć od nas rewers, zanim pozwolimy wam na kontynuację podróży?

\*\*\*

Sarcha zapomniał w jednej chwili o chorobie morskiej spowodowanej pięciogodzinną podróżą pontonem.

- Tam - powiedział wskazując ręką i wydając ogromne westchnienie ulgi. - No, Davidzie, chłopie kochany, udało się nam.

Heinlein dostrzegł światełko migające ponad czarnymi jak oliwa wodami morza i przesunął ster pontonu. Skierował go ostrożnie w stronę światełka. Pięć godzin żeglugi pod ostry południowo-zachodni wiatr niebezpiecznie wyczerpało im zapas paliwa. Utrzymywał silnik pontonu na wolnych obrotach, dodając gazu jedynie wtedy, gdy stwierdzał, że migające światełka znajdują się w odpowiednim położeniu.

Pomiędzy dwoma mężczyznami leżały skrzynki po amunicji z uchwytami z lin, mocno przymocowane do dna, a w nich znajdował się najdroższy ładunek, jaki kiedykolwiek transportowano drogą morską.

Gwiazdy wiszące nisko nad horyzontem przysłonił ciemny kształt i w pięć minut później dwóch mężczyzn usłyszało odgłos klaskania fal przyływu Morza Śródziemnego o kadłub statku. Heinlein wyciągnął dziecięcy nadajnik z wodoszczelnej torby i nacisnął przycisk mikrofonu.

- Hotel Delta przybija.

- Zrozumiałem, Hotel Delta. Słyszymy was dobrze - zaskrzeczał głośnik. - Witamy na pokładzie.

W tym momencie ponton uderzył mocno w obło motorowego jachtu Josepha Makena.

\*\*\*

Maken i jego pomocnicy zebrali się wokół otwartych skrzynek po amunicji, patrząc w

osłupieniu na ich zawartość. Przywódca OWP przyklęknął na miękkim dywanie kabiny, zaczerpnął garść nie oszlifowanych, matowych diamentów, pozwalając im wysypać się między wypielęgnowanymi palcami.

- Zabrałem już swoje dziesięć procent - powiedział krótko Heinlein.

- A ja swój jeden procent - zawtórował Sarcha.

Maken uśmiechnął się, przytakując głową.

- Nie wątpię, że wybraliście sobie najlepsze kamienie.

- Niezłe - odparł Heinlein.

Maken podniósł się.

- Jeśli mogę tak powiedzieć, jest to uczciwie zarobiony procent. - Wskazując na skrzynki zapytał: - A ile to jest warte?

Heinlein wzruszył ramionami.

- Nie da się tego określić. Ocenilem jedną garść jako typową próbkę. Całość partii, upłynniona w ciągu jednego roku, powinna przynieść około trzystu milionów dolarów.

Przez następne parę sekund jedynym dźwiękiem, jaki można była usłyszeć w kabynie, było dudnienie wysokoprężnych silników jachtu. Wydawało się, że Maken stracił na chwilę swoje chłodne opanowanie. Wrócił spojrzeniem do bajecznej zdobyczy leżącej mu u stóp.

- Trzysta milionów dolarów? - powtórzył z osłupieniem.

- Mogłem się pomylić o pięćdziesiąt milionów w jedną lub drugą stronę - rzucił Heinlein niedbale, zupełnie jakby był wykonawcą przedstawiającym kosztorys zbudowania komina. - Lecz nie więcej. Trzeba się będzie ostrożnie z nimi obchodzić - szczególnie w przypadku niektórych większych kamieni. Firma De'Beers sporządza hologram oraz umieszcza w swoim katalogu każdy diament wychodzący od nich o wadze większej niż dwadzieścia karatów. Lecz według moich szacunków dziewięćdziesiąt procent tych tutaj waży mniej niż dziesięć karatów - jest to najlepsza waluta na świecie.

- I nie będzie żadnych reperkusji? - zapytał jeden z doradców.

Heinlein uśmiechnął się zimno.

- Nie od razu. Lecz w końcu prawda wyjdzie na jaw. Kiedy to się stanie, podniesie się krzyk na cały świat. Lecz nie musicie się tym teraz przejmować. Nie będziecie mieli żadnych problemów z praniem tej sumy. Jest cała masa kupców w Amsterdamie, Londynie i Nowym Jorku, którzy uważają osobę przynoszącą nie oszlifowane kamienie za właściciela, w zamian za dziesięcioprocentową obniżkę ich wartości handlowej.

Maken nie mógł się powstrzymać przed pokusą ponownego dotknięcia diamentów. Przepuścił następną garść przez palce.

- Trzysta milionów dolarów - wyszeptał ze zdumieniem.
- To więcej niż roczny dochód brutto niejednego z państw - skomentował Sarcha.
- A zarazem wystarczy, żeby sfinansować wojnę nuklearną - dorzucił żartobliwie Maken. - Nieprawdaż, panie Heinlein?
- To prawda, panie Maken.

## 39.

Neilowi nie udało się tygodniowy pobyt w Houston, gdzie pojechał, aby zobaczyć się z Heleną i dziećmi. Dwudniowy biwak w wozie kempingowym Winnebago razem z Pippą i Andrew wyszedł świetnie i udało mu zapomnieć o zakończonych niepowodzeniem poszukiwaniach pracy. Jednakże po ich powrocie Helena popsowała wszystko przedstawiając nowego prawnika, który nalegał, aby Neil opłacił naukę dzieci z góry - na łączną sumę pięćdziesięciu tysięcy dolarów - a nie w kwartalnych ratach, na które pierwotnie zgadzała się Helena.

- Patrząc na to perspektywicznie, takie rozwiązanie jest korzystne dla każdej ze stron, panie O'Hara - oświadczył prawnik. - Ma pan obecnie pieniądze ze sprzedaży należnej panu części domu. Lecz nie ma pan już pracy, tak więc może być panu ciężko spłacać raty w przyszłości. Postępując według moich wskazówek nie będzie pan się musiał martwić, że w przyszłości narażony będzie na procesy.

Nieprzyjemne spory ciągnęły się przez cały dzień. Prawnikowi udało się w końcu przełamać Neila, skutkiem czego powracał do Melbourne uboższy o pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Nie żałował ani centa wydanego na dzieci. Denerwowało go tylko to, że Helena, wzięwszy najpierw większość pieniędzy ze sprzedaży domu, zawzięła się, aby wyszarpać mu ostatki kapitału.

W drodze powrotnej na Florydę Neil zatrzymał się na parkingu obok Autostrady 1, na wysokości St. Augustine, sprawdzając stan swojego konta przez komputer zainstalowany w winnebago. Gdy satelita używany przez bank porównał już jego numer osobisty z identyfikatorem przekaźnika z winnebago, na ekranie ukazał się szereg jarzących się liczb. Czarna rozpacz Neila pogłębiła się jeszcze po przestudiowaniu ekranu. Prawnik nie zwlekał z realizacją czeku. Stan jego konta wynosił obecnie nie więcej niż dziesięć tysięcy dolarów zdolności kredytowej. Oznaczało to, że nie uda mu się sprzedać winnebago i kupienia małego domku lub mieszkania w Edgewater.

Jechał dalej i znajdował się już pięć mil na południe od Daytona Beach, gdy stale

szwankująca turbina wozu kempingowego uznała, że ma już dość. Z silnika wydobył się przeraźliwy zgrzyt, po którym nastąpił odgłos pękających łopatek wirnika. Nastąpiła cała gama innych dźwięków sugerujących, iż wóz kempingowy rozsiał sporą ilość swoich wnętrzności po autostradzie. Wskaźnik ciśnienia komory zapłonowej opadł na zero.

- Poważna awaria turbiny - oznajmił mechanicznym głosem komputer pokładowy.

Neil omal nie stracił panowania nad sobą.

- Wiem o tym dobrze! - warknął komputerowi w odpowiedzi. Puścił też parę soczystych przekleństw, gwałtownie zjeżdżając na pobocze. Wystukał na klawiaturze parę komend polecających włączenie ogniw baterii i awaryjnych silników elektrycznych. Komputer powiadomił go, że wóz może przejechać jeszcze dwadzieścia mil - co wystarczało, żeby zjechać z Autostrady 1. Delikatnie ruszył, włączył się z powrotem do ruchu na autostradzie i przyspieszył, osiągając maksymalną prędkość, na jaką pozwalało mu zasilanie awaryjne.

Następne skrzyżowanie doprowadziło go do opuszczonej, mało używanej drogi między De Land a Edgewater. Przy wyłączonej klimatyzacji promienie popołudniowego słońca zaczęły prażyć wewnątrz wozu. Skierował go delikatnie w kierunku De Land. Nie było tam widać niczego oprócz mokradeł ciągnących się po obu stronach drogi. Zaczął się już martwić, że nie znajdzie śladu człowieka, gdy wtem zauważył rozpadającą się stację benzynową z przylegającym do niej archaicznym budynkiem o ramowej konstrukcji. Mężczyzna siedzący na ganku podniósł głowę obserwując Neila zajeżdżającego wielkim wozem kempingowym na plac przed domem.

- Nic panu nie pomogę - odezwał się mężczyzna, kiedy Neil podszedł do niego.

- A to dlaczego?

Mężczyzna opuścił na kolana gazetę, którą czytał:

- Nadszedł pan cicho niczym duch, stąd wnioskuję, że jechał pan na silniku elektrycznym. Wysiadła turbina?

- Trafił pan.

Stary człowiek podrapał się w siwe włosy.

- Nigdy się na nich nie znałem - powiedział z uśmiechem. - Nie znałem się też na silnikach tłokowych. Jedyne, którą robimy z Leną to sprzedaż benzyny. A niewiele tego idzie od czasu otwarcia nowej sieci.

- Widzę, że ma pan warsztat - wskazał Neil.

Stary człowiek podniósł się sztywno i szurając nogami ruszył niepewnie w dół schodów. Miał na sobie sfatygowane dzinsy. Był tak silnie zgarbiony, że szedł prawie złożony we dwoje.

- Jasne, że mam warsztat. Lecz nie mam żadnego mechanika od czasu, kiedy mój syn przestał pracować. Będzie pan musiał zawiadomić firmę Smithers, żeby przyjechali pomocą drogową z Daytony - powiedział, wskazując ruchem głowy na automat telefoniczny mieszczący się na stacji.

- Czy będę mógł wynająć pana warsztat na parę dni, żeby samemu naprawić turbinę?

- Stówka dziennie - odparł krótko stary człowiek.

- Dziewięćdziesiąt.

- Do pana dyspozycji. Będzie pan spał w tym interesie?

- Tak.

- Będzie pana kosztować dziesiątkę za postój.

- Na rany boskie! - zaczął protestować Neil.

- W cenie jest podłączenie się do mojej instalacji elektrycznej - szybko dodał stary człowiek. - Nie będę mógł zasnąć, jeżeli pana generator będzie chodził przez całą noc. Stówka zaliczki.

Neil uznał, że nie ma sensu kłócić się. Odliczył pięć banknotów dwudziestodolarowych do wyciągniętej, brudnej dłoni.

- Nazywam się Jackson - mówią mi Jacko.

- Neil O'Hara.

Dwaj mężczyźni wymienili uścisk ręki.

- Okay, Neil. Czuj się jak u siebie w domu. Na lewo od drzwi jest przełącznik, który je otwiera.

Neil był przyjemnie zaskoczony po rozsunięciu się podwójnych, chybliwych drzwi. Warsztat był nie tylko dostatecznie duży, aby móc pomieścić wóz kempingowy, lecz był również czysty i nieźle wyposażony. W jednym kącie, zaraz obok okazałego klimatyzatora, stała nowoczesna tokarka. Koszt dziewięćdziesięciu dolarów za wynajem był wart tego. Był to taki warsztat, który się zawsze jemu samemu marzył.

Godzinę później, kiedy winnebago stał już pośrodku warsztatu, zapomniał o wszystkich problemach unosząc wóz na podnośniku, wsuwając pod jego osie koźiołki i odkręcając atrapę chłodnicy.

Do siódmej wieczorem zakończył niezbędny demontaż części zasłaniających mu dostęp do turbiny. Był metodycznym pracownikiem; po wymontowaniu każdej z części czyścił ją, a następnie kładł na stole. Chwila nieuwagi w czasie posługiwania się ciężkim kluczem, który w efekcie upadł mu na nogę, uzmysłowiła mu, jak bardzo jest zmęczony. Uznał za rozsądne zaprzestać dalszej pracy. Wydało mu się, że powinien wziąć prysznic, zjeść lekki posiłek, a

następnie może oglądnąć coś na wideo, zanim położy się wcześniej spać. Właśnie wkładał na siebie szlafrok, gdy rozległo się pukanie do drzwi.

- Kto tam?

Wesoły głos odpowiedział:

- Cześć. To ja, Lena. Myślałam, że może ma pan ochotę na kawę.

Neil otworzył drzwi i na chwilę stanął bez słowa patrząc na zapierającą dech czarną dziewczynę trzymającą w ręce dzbanek z kawą. Uśmiechnęła się do niego przyjaźnie.

- Czy mogę wejść, panie O'Hara?

- Ależ bardzo proszę.

Lena weszła do wozu i postawiła dzbanek na stole. Neil uznał, że jest to najpiękniejsza dziewczyna, jaką kiedykolwiek udało mu się spotkać. Miała około dwudziestu pięciu lat. Ubrana była w dzinsy, zamiast których równie dobrze mogła mieć nogi pociągnięte podwójną warstwą niebieskiej farby, i podkoszulek wyglądający na jej pojedynczą warstwę. Jej widok działał jak dawka kokainy wstrzyknięta do arterii gdzieś blisko mózgu.

- Nie przeszkadzałam panu wcześniej, ponieważ był pan tak bardzo zajęty - powiedziała wycierając do sucha dwie filiżanki leżące w zlewie. - Rzuciłam okiem przed chwilą i zobaczyłam, że już pan skończył, więc pomyślałam, że dobrze panu zrobi kawa. - Uśmiechnęła się przebiegle. - Czy miałam rację?

- Absolutnie, jak nigdy przedtem w życiu - pospiesznie przytaknął Neil, odwzajemniając jej olśniewający uśmiech. - Jak pięknie pachnie. Jedno pytanie - kim pani właściwie jest?

- Lena, córka Jacko, na rany boskie. Czy nie zamierza pan poprosić mnie, żebym usiadła?

Było coś zaraźliwego w swobodnym zachowaniu się Leny, co sprowokowało Neila do podobnego zachowania.

- Ależ tak, bardzo proszę. Chociaż chwileczkę, zanim pani usiądzie - skąd mam wiedzieć, czy zaraz nie wpadnie tutaj zazdrosny mąż? To miejsce nie nadaje się w żadnym wypadku do szybkiej ewakuacji.

Lena wybuchnęła gardłowym śmiechem.

- Obiecuję, że nie będzie męża ani nawet chłopaka. Napijmy się kawy, zanim zdąży ostygnąć i zanim zanudzę pana na śmierć historią mojego życia.

Lena powiedziała Neilowi, że ma dwadzieścia sześć lat, że jest wolna oraz że ma magisterium z zarządzania przedsiębiorstwem; studiowała w Instytucie Technologii na Florydzie. - Mama umarła przed dziesięciu laty - powiedziała. - A George - to mój brat, który

kiedyś prowadził warsztat - dostał franczyzowany warsztat naprawczy firmy Borg-Warner w Miami.

- Czy pani pracuje? - zapytał Neil.

- Tak, ale nie w biurze. Mam końcówkę IBM w domu oraz połączenie satelitarne. Prowadzę księgowość i dział zaopatrzenia dla dwudziestu sklepów w Edgewater. Zbieram pieniądze na wynajęcie biura w jednym z centrów handlowych na wybrzeżu. Okay - tyle na mój temat. A czego się dowiem o panu?

- Nie mam za dużo do powiedzenia - odparł Neil. - Niech pani mówi dalej. Mógłbym słuchać pani głosu przez całą noc.

- Ja za to jestem pewna, że nie mogłabym wpatrywać się w pana kolana przez całą noc. Ma pan przepustkę do Ośrodka Kennedy'ego na przedniej szybie, tak więc pracuje pan dla NASA, czy nie?

- Pracowałem.

- Co się stało?

Neil opowiedział jej całą historię, zaczynając od śmierci Ala do rozpadu własnego małżeństwa. Lena milczała jeszcze przez chwilę, kiedy już skończył.

- Dostał pan za swoje - powiedziała łagodnie.

- Słuchaj, skarbie, współczucie jest ostatnią rzeczą, której mi trzeba.

Lena uśmiechnęła się.

- Wcale nie miałam zamiaru panu go okazywać. - Wstała i, ku zaniepokojeniu Neila, zrzuciła ze stóp buty. Mogę panu zaproponować coś znacznie praktyczniejszego - mówiła dalej, zdejmując zegarek i kładąc go na stole. - Mogę namówić tatkę, żeby obniżył czynsz za wynajem warsztatu. Czy mogę skorzystać z pana prysznic? Ze wszystkich jedynie nasz nie działa. - Paroma ruchami bioder wyswobodziła się z dżinsów, odsłaniając spodenki gimnastyczne, a w nich parę obłądnych, wygimnastykowanych nóg.

Neil uznał, że widok jest zbyt piękny, by był prawdziwy. - Ależ proszę bardzo - zaczął cienkim głosem. - Tam jest mydło... - Lecz drzwi do kabiny zatrzasnęły się, zanim zdążył zakończyć zdanie.

## 40.

Na konferencję w Bakal przybyli członkowie Rady Najwyższej OWP z całego świata. Joseph Maken ścisnął ich dłonie i zamieniał z każdym parę słów, w czasie gdy wchodził do sali konferencyjnej; szesnastu mężczyzn i kobiet, nie zawsze lojalnych wobec Makena, którzy

jednakże zostali przez niego wybrani do prowadzenia agentur OWP na całym świecie z racji swych administracyjnych i politycznych uzdolnień.

Sarcha pochylił się do Heinleina, zwracając się do niego szeptem:

- Jezu, gdyby nasi przyjaciele zechcieli zrobić jeden nalot na to miejsce.
- Nigdy nie udałoby im się przedrzeć przez SAM-y 50 A - usłyszał w odpowiedzi.

Sarcha siedział dalej w milczeniu. Od chwili przybycia do Bakal na jachcie Makena minął już tydzień. Zadowolenie Sarchy z faktu, że jego palestyńskim przyjacielom udało się tak wiele zdziałać w swojej tymczasowej ojczyźnie, w dużym stopniu osłabło, kiedy odkrył, że nie ma tam kropli alkoholu.

Maken odchrząknął, po czym zwrócił się do zebranych.

- Dzień dobry, towarzysze. Wiem, że jesteście bardzo zajęci, przejdę więc bezpośrednio do sedna sprawy. Zwołałem was tutaj wszystkich celem omówienia planów najśmielszej operacji wojskowej w naszej historii. Plan, który być może jest jeszcze śmielszy niż nasz nie zrealizowany plan inwazji na Izrael. Plan, którego sukces da nam ogromne zwycięstwo nad Izraelem w przyszłym roku.

Przywódca OWP znany był z tego, że nie rzuca słów na wiatr, stąd też jego słowa słuchane były z najwyższą uwagą.

- Jak dobrze wiecie - mówił dalej - wojna na wyniszczenie znalazła się w martwym punkcie wskutek odmowy przewodniczącego Dranskiego na udzielenie poparcia naszym planom inwazji. Mimo tego, iż możemy w każdej chwili zaatakować Izrael MIG-ami 35 i tupolewami, to jednak brakuje nam broni, przy której użyciu moglibyśmy zadać decydujący cios. I odwrotnie, Izraelczycy nie mogą zadać nam ostatecznego ciosu, ponieważ nie posiadają raket dalekiego zasięgu. Mają raketę nuklearną - Masadę - jednakże nie ma ona takiego zasięgu, żeby móc nam zagrozić tutaj, w Bakal.

Maken przyjrzał się wszystkim twarzom.

- Być może Izraelczycy nie będą mogli użyć Masad przeciwko nam, lecz za to my ich użyjemy przeciwko Izraelowi. Ukradniemy cztery Masady uzbrojone w głowice jądrowe oraz wyposażone w bezwładnościowo-astronomiczny system naprowadzania. Rakiety zostaną załadowane do luku promu NASA, który zostanie wystrzelony z Ośrodka Badań Kosmicznych im. Kennedy'ego. Prom znajdujący się na pochylonej orbicie nad równikiem na wysokości dwustu mil stanowi idealną platformę startową dla rakiety o średnim zasięgu, takiej jak Masada.

Ze strony delegatów dobiegł szmer głosów.

Sarcha wydał z siebie jęk.



- W co ty mnie właściwie wpuściłeś? - wymamrotał pod nosem do Heinleina. - Czy nie cię nie obchodzi moje wszystkim znane tchórzostwo?

- Co więcej - podkreślił z naciskiem Maken - Izrael nie będzie mógł nic na to poradzić. Uderzenie jądrowe na Tel Awiw w niedzielę rano... Hajfa w porze lunchu... Jerozolima na podwieczorek... - Maken zrobił przerwę. - Wątpię, żeby rząd Izraela utrzymał się do kolacji.

\*\*\*

- Tyś chyba oszalał! - oświadczył Sarcha, kiedy po zakończonym spotkaniu został sam na sam z Heinleinem.

- A to czemu?

- Ponieważ jest to najbardziej zwariowany, obłąkańczy pomysł, o jakim kiedykolwiek słyszałem. Zupełnie poza możliwościami twojego małego mózdzku. Jak, do cholery, zamierzasz świsnąć cztery Masady?

Heinlein wzruszył ramionami.

- To jest detal operacyjny.

Sarcha spojrział na niego z niedowierzaniem.

- Dla ciebie jest to detal operacyjny! - wykrzyknął. - Tobie to się zupełnie już wszystko pokręciło. Zdajesz sobie z tego sprawę?

- Chcesz wziąć udział w tej akcji czy nie?

- Czy ty będziesz nią dowodził?

- Tak.

- Po tym, jak spieprzyłeś robotę w domu tatusia?

Heinlein zaczął się złościć.

- Niczego nie spieprzyłem. W końcu wydostałem informacje, no nie?

- Mówię ci, że spieprzyłeś. Szedłem za tobą. I równie dobrze za mną mógł iść cały oddział Mossadu.

- Niech ci będzie. Jeżeli tylko chcesz się wycofać...

- Rzecz jasna, że chcę się wycofać. Ważną cechą każdego dowódcy ryzykownej akcji jest zdolność dostrzegania własnych słabych punktów. Twoim mankamentem jest niemożność docenienia mojej błyskotliwej inteligencji oraz stopnia, w jakim jesteś ode mnie uzależniony.

- Czyżby? - zapytał Heinlein z przekąsem. - A co powiesz na swoje osławione tchórzostwo? Czy tego mi również trzeba?

- Ależ oczywiście. Gdy tylko coś zapachnie ryzykiem, to ja pierwszy podniosę wrzask.

Heinlein spojrział na pulchnego Anglika z nie ukrywaną odrazą.

- Wbrew własnym przekonaniom na twój temat, chcę żebyś poszedł ze mną, Sarcha. To

twoje cielsko może się bardzo przydać jako osłona przed ołowiem, gdy tylko zaczniesz latać w powietrzu.

- Sam widzisz! Potrzebujesz mnie, ale mnie nie dostaniesz.

- W takim razie będziesz musiał tutaj zostać do samego końca operacji. A to może potrwać i sześć miesięcy.

Sarcha zamrugnął z przerażeniem oczyma.

- Ależ w tym miejscu nie ma ani kropli gorzały.

- Masz świętą rację.

Sarcha jęknął.

- Życie to mnie nie pieści.

\*\*\*

Tego samego popołudnia Heinlein i Sarcha zostali wezwani do biura Makena.

- Wynik głosowania był osiem głosów za przeprowadzeniem operacji i osiem przeciw - oznajmił przywódca OWP. - Ci, którzy głosowali przeciw, uważali, że nie powinniśmy rozpoczynać żadnej większej akcji przed zakończeniem wyborów prezydenckich w USA, w których na pewno zwycięży senator Hadley. Nie jest on specjalnym miłośnikiem Izraela, tak więc niektórzy z moich kolegów uważają, iż może on podjąć energiczne kroki w celu zakończenia wojny. Osobiście wcale nie mam takiej pewności. Spotkałem senatora z Wyoming już wielokrotnie. Jest on ostrożnym człowiekiem, który niczego nie robi pośpiesznie, a i nawet wtedy zawsze przeprowadza pełne konsultacje. Kiedy zdecyduje się podnieść rękę na Izrael, to może już być za późno. Wykorzystałem swój głos, dlatego też operacja otrzymała zielone światło.

Heinlein odetchnął z ulgą.

- W takim razie nie widzę powodu, dla którego nie mielibyśmy zacząć od zaraz.

- Jest tylko jedna sprawa, co do której wszyscy członkowie rady byli zgodni - powiedział Maken. - Nie będziecie mogli korzystać z poparcia żadnej naszej delegatury zagranicznej ani też z ich usług.

Sarcha otworzył ze zdumienia oczy.

- Przecież nie możemy sami przeprowadzić tej operacji!

- Będziecie musieli. Może wam nie wyjść. Nie twierdzę że tak się stanie, jednak zawsze istnieje taka możliwość. Nie możemy sobie pozwolić na to, żeby tę operację łączono z działalnością OWP, zanim rakiety nie znajdą się na orbicie.

Sarcha otworzył usta z zamiarem zaprotestowania, lecz Heinlein przerwał mu w pół słowa.

- Okay, Maken. Damy radę sobie sami.

Przywódca OWP wyglądał na zadowolonego. Otwierając szufladę w biurku powiedział:  
- No to znakomicie. Zostaje nam przez to jeszcze jedna mała sprawa. Sprawa, która musi pozostać absolutną tajemnicą naszej trójki.

Heinlein uniósł pytająco brwi. Maken postawił na biurku butelkę whisky oraz trzy szklanki ze słowami:

- Myślę, że powinniśmy wychylić toast za powodzenie naszego małego planu.

Sarcha uśmiechnął się promiennie uznając, że może życie nie jest w końcu aż tak złe.

## 41.

Lena weszła do warsztatu ściskając w ręce pęk dwudziestodolarowych banknotów. Widok pary bezbronych nóg wystających spod winnebago nasunął jej pewną łobuzerską myśl. Z przebiegłymi ognikami w oczach zaczęła się cicho skradać przed siebie, po czym wyrwała włos rosnący na jednej z łydek. Właściciel tak potraktowanej łydki wydał głośny krzyk i zupełnie bezwiednie wyprostował się, leżąc ciągle jeszcze pod wozem kempingowym. Jego krzyk przybrał na sile, kiedy wyrznął głową w coś metalowego i kanciastego. Neil wyczołgał się spod wozu i spojrzał ostro na Lenę, która spoglądała na niego roześmianymi oczyma. Jej widok złagodził cały jego gniew.

- Może się dowiem, skąd niby wzięły się te pieniądze? - zapytała Lena, podsuwając dolary pod nos Neila.

- Przejeżdżał tędy komitet wyborczy w drodze do De Land. Około dwudziestu samochodów. Ty z Jacko byliście na zakupach. Chcieli benzyny, więc ją sprzedałem.

- Bardzo to było miłe z twojej strony, Neil. Mam nadzieję, że byli to demokraci.

- Bez wątpienia.

- Mam nadzieję, że Hadley zwycięży.

- Ja też - odparł z uśmiechem Neil. - Niemniej jednak nie dałem im zniżki.

Śmiali się jeszcze, gdy do warsztatu wszedł Jacko.

- Jak leci, Neil? - zapytał.

Neil zaczął wycierać narzędzia ze smaru i odwieszać je z powrotem na właściwe haczyki.

- Jeszcze parę dni roboty, Jacko.

Jacko zaśmiał się.

- Trwa to dłużej, niż myślałeś. Tak to już jest z takimi fuchami.

Była to znaczna nieścisłość - Neil stał się częstym gościem na stacji benzynowej, a

nawet przejął część napraw na rzecz regularnych klientów Jacko.

- Tato, Neil sprzedał trochę benzyny, gdy nas nie było.

- Tak mi się wydawało - odparł Jacko. - Przybyło dość dużo pieniędzy, jak na naszą krótką nieobecność.

- Zrobiłem też gumę dla jakiejś pani.

- Ładna była? - zapytała Lena.

- Bardzo. Wziąłem od niej tylko trzy dolary.

- Okay. A ile wzięłeś za gumę? - dociekała z kamienną twarzą Lena.

Cała trójka wybuchnęła śmiechem. Wycierając łzy z oczu Neil zdał sobie sprawę, jak bardzo szczęśliwy jest w towarzystwie Jacko i Leny. A szczególnie Leny.

## 42.

Heinlein i Sarcha przylecieli po przesiadce w Moskwie na lotnisko Heathrow w Londynie w niecałe osiemnaście godzin po opuszczeniu Bakal.

Wynajęli apartament w hotelu Savoy i spędzili resztę poranka odsypiając zmęczenie wyczerpującą podróżą, a przed przystąpieniem do realizacji napiętego planu.

- Jutro poświęcimy trochę czasu na sprawienie sobie porządných ubrań - powiedział Heinlein w trakcie znakomitego lunchu, który podano im do pokoju. - Następnie kupimy bądź też wynajmiemy duży dom na wsi, w odległości paru godzin jazdy samochodem od Londynu.

- Jako kryjówkę? - zapytał Sarcha, mając usta pełne wędzonego łososa.

- Zgadza się. Dom ze stodołą o długości co najmniej pięćdziesięciu stóp.

- Czy sądzisz, że będzie nadmiernym ryzykiem odwiedzenie mojego własnego mieszkania? Tylko po to, żeby sprawdzić, kto mnie ściga za nie zapłacone rachunki?

- Lepiej trzymaj się od niego z daleka - podzielił jego obawy Heinlein.

Sarcha wbił zęby w następną porcję wędzonego łososa, popijając go szampanem.

- W takim razie myślę, że muszę zgodzić się na te spartańskie warunki. Dom na wsi będzie kosztował majątek.

- Niech cię o to głowa nie boli. Mamy przed sobą kawał roboty.

Pulchny Anglik uśmiechnął się.

- Szykuje się ładna sprawa.

- Przede wszystkim będzie to cholerna robota - uciął Heinlein.

\*\*\*

Następnego dnia obaj mężczyźni udali się do Harrodsa, gdzie każdy z nich wydał tysiąc

funtów na ubrania, zaś połowę tej sumy przeznaczyci na dwa zestawy wykwinnych skórzanych walizek. Zakupy zostały przywiezione do hotelu Savoy specjalnym samochodem.

Wróciwszy do hotelu Heinlein przejrzał uważnie dokument dostarczony mu przez służbę wywiadowczą OWP, w którym znajdowało się zestawienie nazwisk oraz adresów wybitnych naukowców brytyjskich razem z programami, w które byli zaangażowani.

- Sarcha. Idź na miasto i kup mi egzemplarz *Who is Who* oraz wszelkie inne książki podające informacje na temat brytyjskich naukowców.

Heinlein poczekał, aż zostanie sam w pokoju, po czym błyskawicznie połączył się z Greerem w Tel Awiwie. Mówił przez pięć minut, po czym pospiesznie zakończył rozmowę w chwili, gdy Sarcha powrócił z wyprawy do Foylesa i rzucił obok Heinleina parę opasłych tomów.

- Czy dotrzymają nam dziś wieczorem towarzystwa jakieś kobiety? - zapytał Sarcha.

- Ważniejszą rzeczą jest się dobrze wyspać - warknął Heinlein, koncentrując się na porównywaniu listy naukowców sporządzonej przez OWP z zestawieniem znajdującym się w *Who is Who*.

- Niech ci będzie; śpimy bez towarzystwa kobiet - odparł z westchnieniem Sarcha po chwilowym milczeniu. Życie nie było lekkie. - Czy masz już kogoś?

- Tak mi się wydaje - odparł Heinlein, podnosząc wzrok sponad *Who is Who*. - Sir Max Flinders, członek Królewskiego Towarzystwa oraz prorektor uniwersytetu w Surrey. Jest czołowym specjalistą od łączności satelitarnej i technologii pojazdów kosmicznych. - Ciekawa sprawa - dorzucił Heinlein kopiąc w następnej książce. - Sir Max Flinders kierował zespołem, który zaprojektował ogromnego satelitę o nazwie *Cyklop*, którego celem było odszukiwanie błękitnych pulsarów i innych ciekawostek astronomicznych. *Cyklop* miał zostać wyniesiony przez prom kosmiczny, lecz został skreślony przez rząd brytyjski z powodu gwałtownie rosnących kosztów wyniesienia na orbitę. Był tak ogromny, że trzeba by go wysłać osobnym lotem.

Sarcha gwizdnął.

- Wygląda na to, że dokładnie tego szukamy.

- Ja też tak sobie pomyślałem - powiedział Heinlein. - Lecz na samym początku musimy sprawdzić wiarygodność wszelkich informacji. Masz, Sarcha, następną fuchę. Chcę, żebyś się dowiedział, czego tylko potrafisz, na temat uniwersytetu w Surrey, jego prorektora i *Cyklopa*.

\*\*\*

Każdy, kto otwiera konto bankowe trątą z Banku Liechtenstein opiewającą na dziesięć milionów dolarów, zasługuje na pełen szacunek. Prezes londyńskiego oddziału banku z

główną siedzibą na Florydzie, Brevard County Bank, podejmował Heinleina z wielkim szacunkiem.

- Jestem zachwycony, że pan Stavolos wymienił nas w swojej ostatniej woli, panie Heinlein - powiedział prezes nalewając swojemu gościowi, kieliszek sherry. - Jesteśmy małym bankiem, jednakże nasza polityka specjalistycznej obsługi finansowej dla programów kosmicznych okazała się wielkim sukcesem. Rzecz jasna, bardzo chętnie zajmiemy się wszelkimi formalnościami prawnymi wymaganymi dla założenia zarządu powierniczego. Będzie mi potrzebna kopia testamentu pana Stavolosa oraz nota z jego banku w Liechtensteinie, jak również...

- Wszystkie potrzebne dokumenty znajdzie pan tutaj - przerwał prezesowi Heinlein, podając mu teczkę.

Prezes przebiegł wprawnym okiem odbitkę kserograficzną testamentu.

- Widzę, że mianuje on pana administratorem zarządu powierniczego. Dlaczego nie został pan przewodniczącym?

Heinlein przygotował sobie już wcześniej stosowną odpowiedź.

- Pan Stavolos uważał, że będzie to dobry sposób dalszego zatrudnienia mnie po jego śmierci.

- Pozwolę sobie zauważyć, niezwykle szczodry pracodawca - stwierdził prezes patrząc na proponowane uposażenie. - Czy sponsorowanie programów kosmicznych nie jest dość dziwnym zarządkiem powierniczym jak na króla armatorów?

Heinlein miał również gotową odpowiedź i na to pytanie.

- Pana Stavolosa zawsze fascynowały badania kosmosu. Był on także zapalonym miłośnikiem astrologii. Jako jego osobisty sekretarz mogę poświadczyć, że za pośrednictwem swoich różnych przedsięwzięć pomagał finansować wiele programów badania kosmosu. Był człowiekiem o szerokim umyśle.

- Widzę, że ma pan pełnomocnictwo i że wszelkie subwencje muszą być uprawomocniane przez pana. Według prawa brytyjskiego oznacza to, że będzie pan również powiernikiem. Istnieją jednak pewne komplikacje...

- Na tym etapie nie interesują mnie szczegóły - przerwał mu Heinlein. - Proszę założyć zarząd powierniczy i potrącić z konta swoje należności.

- Dziesięć milionów dolarów pociąga za sobą ogromną odpowiedzialność, panie Heinlein.

Heinlein wytrzymał twarde spojrzenie bankiera.

- Łączna suma przewidziana przez pana Stavolosa na zarząd powierniczy wynosi blisko

trzysta milionów dolarów - odpowiedział z przekąsem. - Fundusze będą w miarę potrzeb przelewane z Liechtensteinu.

Prezes pomyślał, że byłoby ciekawą rzeczą dowiedzieć się czegoś więcej na temat pana Stavolosa, jednakże zdawał sobie sprawę, iż każda próba wyciągnięcia informacji na jego temat z Liechtensteinu, przypominałaby zupełnie tłuczenie kamieni o ścianę. A w każdym razie, nie należało kłócić się z klientem wpłacającym na depozyt dziesięć milionów dolarów.

- Bardzo dobrze, panie Heinlein; powiadomię naszych prawników, aby założyli Europejski Zarząd Powierniczy Badania Kosmosu, gdy tylko przekaże mi pan imiona i nazwiska pańskich powierników.

- Jestem umówiony na jutro z sir Maxem Flindersem. Poproszę go, aby został przewodniczącym zarządu - powiadomił go Heinlein.

Prezes skinął z zadowoleniem głową. Ten Heinlein wiedział dokładnie, co należy zrobić.

- Znamy doskonale sir Maxa. Jeżeli się zgodzi, będzie to znakomity wybór. Czy chciałby pan list rekomendacyjny?

- Ogromnie panu dziękuję - rzekł Heinlein. - Bardzo nam to pomoże.

Parę minut później wyszedł z banku. Wszystko szło nadszpiewanie gładko. Przy chodniku zatrzymała się taksówka, a w jej tylnym otwartym oknie pojawiła się pucołowata niczym księżyc twarz Sarchy.

- Davidzie, chłopie kochany, no i jak tam poszło?

- Tak sobie - odparł zdawkowo Heinlein siadając obok Sarchy, i polecając kierowcy zawieźć ich do Savoya.

- Mieliśmy szczęście z uniwersytetem w Surrey - przekazał mu Sarcha, zamykając szklaną ściankę odgradzającą ich od kierowcy. Informacje OWP są prawdziwe. Uniwersytet w Surrey idzie na pełen gwizdek z programami badań w kosmosie od końca lat siedemdziesiątych. Zbudowali kopę satelitów wyniesionych na orbity przez Arianespace i amerykański prom.

- A co z *Cyklopem*?

- Była straszna rozróżba, gdy go skreślono. Flinders omal nie zrezygnował. Satelita z całą pewnością dalej istnieje. Znalazłem artykuł na jego temat w jednym z ostatnich numerów „Nowego Naukowca”.

Heinlein spojrzał na niego z uznaniem.

- Dobrze się spisałeś, Sarcha. Jutro wynajmiemy samochód i pojedziemy do Surrey. W czasie, kiedy ja się spotkam z sir Maxem, ty poszukasz odpowiedniej posesji blisko

uniwersytetu.

Sarcha zachmurzył się.

- Nie wiesz jednak, czy Flinders się zgodzi.

- Zrobi to - odparł Heinlein z przekonaniem. - Tak naprawdę, to możesz ruszyć na poszukiwania domu już dzisiaj.

- No masz, a ja już umówiłem spotkanie z dwiema przemiłymi panienkami, które przyjdą zabawić nas w naszym apartamencie dzisiaj wieczorem.

- W takim razie będziesz musiał je odwołać - odparł Heinlein bez cienia współczucia.

\*\*\*

Sir Max Flinders był wielkim, mocnym mężczyzną obdarzonym silnym, dudniącym głosem. Wysłuchał uważnie propozycji Heinleina, po czym odrzucił do tyłu głowę wybuchając głośnym śmiechem.

- Podobasz mi się, Heinlein. Jesteś niepodobny do całej reszty. Nie każdy wychodzi z taką propozycją. Cztery spotkania rocznie za sumę piętnastu kawałków *per annum*? Jak można odmówić?

Obaj mężczyźni siedzieli w biurze Flindersa położonym na najwyższym piętrze budynku senatu, z którego roztaczał się widok na laboratoria i wykończone elementami małej architektury miasteczko uniwersyteckie w Surrey na przedmieściach Guildford.

- Bardzo się cieszę, sir Max - odparł Heinlein.

- Jak to się stało, że postanowiliście wybrać właśnie mnie?

- Pan Stavolos czytał pańskie artykuły z British Association na temat satelitów i podziwiał pana pracę. Poza tym nasi bankierzy uznali pana za znakomitą kandydaturę. Heinlein zauważył coraz szerszy uśmiech Flindersa i uznał, że naukowiec uwielbia, gdy pieści się jego ego. - Rzecz jasna, nie trzeba nadmieniać, iż pana nazwisko ma również dużą wagę.

Gromki śmiech Flindersa rozległ się w całym biurze.

- To nie moje nazwisko tyle waży, tylko śmiech.

Heinlein uśmiechnął się.

- Będziemy potrzebowali dziesięcioosobowy zarząd powierników.

- Rozsądna liczba. Po ile dostaną?

- Pięć tysięcy funtów rocznie. Będę bardzo szczęśliwy mogąc powierzyć panu wybór powierników...

- Dajemy chłopakom pracę, czy nie?

- ...zastrzegając sobie prawo ich akceptacji. Będę musiał jednakże otrzymać ich



nazwiska i adresy do piątku. Wszyscy powinni być wybitnymi specjalistami w dziedzinie badań kosmicznych - gdyż tym właśnie wielce interesował się pan Stavolos. Jako administrator zarządu automatycznie otrzymam miejsce w zarządzie.

- Jutro będzie pan miał te nazwiska - obiecał Flinders. Podnosząc się z fotela dodał: - A teraz co by pan powiedział na mały obchód naszych obiektów do badania kosmosu? Jeszcze niedawno nazywaliśmy je laboratoriami, lecz zostaliśmy zupełnie zamerykanizowani.

- Bardzo proszę obejrzyć je z największą uwagą - odparł uprzejmie Heinlein.

\*\*\*

Przez następne trzydzieści minut rzeczywiście poświęcił całą swoją uwagę zwiedzaniu laboratoriów, w których testowano całą gamę prototypów satelitów.

- A to będzie już ostatnie miejsce, które zwiedzimy - powiedział Flinders wprowadzając Heinleina do pomieszczenia, którego przeciwległy koniec, odgradzony szklaną taflą, przypominał wyglądem salę operacyjną.

- To jest nasz „czysty pokój” - wyjaśnił Flinders. - Tutaj przeprowadza się końcowy montaż satelitów, sterylizację i kontrolę.

Obaj mężczyźni przyglądali się grupie techników ubranych w kitle i maski, pracujących nad satelitą wyglądającym niewiarygodnie mizernie wobec uwagi, jaką mu poświęcano.

- I myślę, że na tym zakończymy - stwierdził Flinders objaśniewszy przeznaczenia satelity. - Jakie jest pańskie zdanie na temat naszego małego ośrodka?

- Robi duże wrażenie, sir Max. Lecz dlaczego wszystkie satelity są takie małe?

- Muszą takie być. Nie możemy pozwolić sobie na opłacenie całego luku *Ariane*. A ustępuje ona wielkością promowi kosmicznemu. Ten to potrafi wynieść na orbitę autokar o pięćdziesięciu sześciu miejscach.

- A jak się ma sprawa z satelitą *Cyklop*?

Flinders zeszytniał. Rzucił Heinleinowi pytające spojrzenie.

- Dlaczego pan pyta?

- Zwykle przygotowywałem dla pana Stavolosa wycinki prasowe na tematy, które go interesowały. Z tego, co pamiętam, czytałem, że *Cyklop* był satelitą ogromnych rozmiarów.

Flinders wahał się przez chwilę, po czym podjął decyzję.

- Proszę za mną - powiedział krótko.

Naukowiec obrócił się na pięcie i ruszył w kierunku pozbawionego okien budynku, przypominającego wyglądem hangar lotniczy. Heinlein musiał prawie że biec chcąc dotrzymać mu kroku.

Flinders otworzył kluczem boczne drzwi i odsunął je. Weszli do niewielkiego

pomieszczenia.

- To komora śluzowa - rzucił wściekłym głosem Flinders. - Nie ma ona teraz właściwie żadnego sensu, jako że nie mogliśmy sobie pozwolić na klimatyzację.

- Otworzył gwałtownie wewnętrzne drzwi. Heinlein wszedł za nim do obszernego pomieszczenia.

- A to - powiedział z naciskiem Flinders - jest *Cyklop*. Najwspanialsze orbitalne obserwatorium do wieloczynnościowej analizy widma, jakie kiedykolwiek zbudowano. Promienie rentgenowskie, podczerwień i optyka. Gdyby nie banda skretyniałych cholernych ignorantów, to znajdowałoby się teraz na orbicie, przesyłając bezcenną masę informacji o wszechświecie, a nie gnęło tutaj.

Heinlein wpatrywał się zdumiony w niezwykle zjawisko znajdujące się przed nim. Oparty na masywnych podstawach na samym środku podłogi, ogromny niczym autobus, stał potwór o owadzych oczach, a jego olbrzymie, rozwarte czarne skrzydła miały rozpiętość równą szerokości hali. Ten przyprawiający o zawrót głowy stwór wyglądał, jakby go wyjęto z filmu science-fiction o budżecie miliarda dolarów.

- O cholera - powiedział szeptem, po czym bezwiednie dodał: - Słodki Jezus.

### 43.

Heinlein obszedł olbrzymiego satelitę wkoło.

- Teraz już rozumiem, dlaczego wymagał on osobnego lotu promu - zauważył.

Flinders wskazał na olbrzymi, cylindryczny pojemnik, większy od podwozia wagonu metra.

- Ta oto rzecz jest makietą w skali 1:1 palety ładunkowej promu NASA - największa, jaka może być, bowiem pasuje na styk do ładowni promu. Używaliśmy jej po to, aby mieć pewność, że satelita zmieści się do luku ładunkowego. - Wskazując na rozłożone skrzydła powiedział: - To baterie słoneczne kumulujące energię słoneczną dla zasilania całego urządzenia. Są składane, a cały satelita mieści się wewnątrz palety. Nasz plan polegał na tym, żeby zapakować na miejscu satelitę do palety, a następnie wysłać go do Ośrodka Kennedy'ego razem z naszym specjalistą od ładunków. Gdy tylko prom znalazłby się na orbicie, paleta zostałaby wyciągnięta z wnętrza luku ładunkowego promu oraz otwarta, aby wyrzucić satelitę w przestrzeń.

Gniew Flindersa ustąpił miejsca rozgoryczeniu.

- Włożyłem sześć lat życia w program *Cyklop*. Zrujnowałem przez to swoje

małżeństwo. A teraz niech tylko pan na niego spojrzy... - umilkł.

Obaj mężczyźni patrzyli w milczeniu przez parę minut na kolosalnego satelitę.

- A gdyby tak przeprowadzić wystrzelenie *Cyklopa* pierwszym programem finansowanym przez Europejską Fundację Badania Przestrzeni Kosmicznej im. Stavolosa? - zasugerował Heinlein.

Flinders otwierał już usta z zamiarem powiedzenia czegoś. Jednakże po tych słowach odwrócił się, wpatrując się uporczywie w Heinleina.

- O czym pan, do diabła, mówi?

Heinlein powtórzył propozycję, po chwili dodając:

- Jest to dokładnie taki program, który przemówiłby do wyobraźni pana Stavolosa.

Flinders nie chciał uwierzyć swoim własnym uszom.

- Czy ma pan jakiegokolwiek pojęcie o kosztach związanych z lotem promu?

- Sto pięćdziesiąt milionów dolarów - odparł Heinlein bez chwili wahania. - Ta suma mieści się spokojnie w naszym budżecie na pierwszy rok.

Minęło parę chwil, zanim naukowiec otrząsnął się ze zdumienia.

- Ale potrzebne będzie następne pięćdziesiąt milionów, aby doprowadzić *Cyklopa* do gotowości startowej. Trzeba go będzie rozebrać na drobne części, i...

- Ile to zajmie czasu?

- Chyba nie mówi pan poważnie?

- Ile zajmie to czasu? Skrócony program.

- Około dziewięciu miesięcy. To jest ogromna praca - prawie tak wielka, jak budowanie od początku.

- Skończcie go w sześć miesięcy, to wystartuje.

Flinders odzyskał panowanie nad sobą.

- Czy pan sobie ze mnie żartuje, Heinlein? Wcale pana nie znam. Wchodzi pan do mojego biura, a teraz...

- Sir Max, program dokładnie tego typu pobudziłby wyobraźnię pana Stavolosa. On lubił planować wielkie rzeczy i ja też to robię. Okay, niech to kosztuje powyżej dwustu pięćdziesięciu milionów. Siądźmy więc do poważnej rozmowy.

\*\*\*

- Wszystko już jest załatwione - stwierdził Heinlein, rozsiadając się wygodnie na poduszkach rolls-royce'a. - Gość zupełnie oszalał na myśl o wystrzeleniu *Cyklopa* na orbitę.

- Czy były jakieś problemy? - zapytał Sarcha wykonując ostry skręt na autostradę A3, kierując się na południe.

- Trochę się martwił, że dobiórą się mu do skóry jego współpracownicy - przewodniczący zarządu powierniczego, który chce przeforsować swój własny program oparty na budżecie w wysokości dwustu pięćdziesięciu milionów dolarów. Ale zapytałem go, jaki jest sens posiadania władzy, jeżeli się jej od czasu do czasu nie wykorzystuje? A jest to rentowna inwestycja, ponieważ ten sakramencki satelita został już zbudowany.

- Łut szczęścia.

- Sakramenckie szczęście - zgodził się Heinlein. Wyciągnął z kieszeni kartkę papieru. - Tak się rozochocił, że z miejsca zadzwonił do paru kolegów. Zarząd powierników Europejskiego Funduszu Badań Przestrzeni Kosmicznej im. Stavolosa ma obecnie w swoich szeregach dwóch laureatów Nagrody Nobla, trzech członków Królewskiego Towarzystwa, byłego królewskiego astronoma i przewodniczącego Brytyjskiego Stowarzyszenia Rozwoju Nauki.

Sarcha gwizdnął.

- No, nieźle.

- Zupełnie nieźle - zgodził się Heinlein. - Ich nazwiska dodadzą powagi naszym firmówkom. Myślę, że możemy powiedzieć, iż jesteśmy w chwili obecnej ultraszanowani. A co u ciebie?

- Znalazłem dom. Jedziemy tam teraz. Thursley Hall. Około dziesięciu mil stąd. Stojący na uboczu. Długi okres dzierżawy.

- I duża stodoła?

- Wielka - potwierdził Sarcha.

- To wspaniale.

- A co dalej?

- Floryda.

- Czy trochę nie za wcześnie na to?

- Musimy założyć biuro koordynacyjne blisko Ośrodka Badań Kosmosu im. Kennedy'ego. Flinders powiedział mi, że pociąga to za sobą ogromną robotę papierkową. Będziemy także potrzebowali doświadczonego specjalisty do przewozu ładunków - najchętniej astronautę. Flinders sądzi, że za pewną sumę NASA nam kogoś podsunie. Powiedział, że otwarcie pełnogabarytowej palety wymaga obecności doświadczonego astronauty jako specjalisty od ładunków na wypadek, gdyby zaszła potrzeba DPP.

- DPP?

- Działania poza promem. Spacer w kosmosie.

Sarcha nadepnął na gaz, aby wyminąć ślamazarnego forda.

- Nie podoba mi się to. Chcę powiedzieć, że gość z NASA nie uzbroi i nie wystrzeli dla nas czterech rakiet.

- Święta racja.

Mały Anglik nagle bardzo się zaniepokoił.

- I żebyś nawet nie próbował namówić mnie na spacer w kosmosie. Cierpię na agorafobię, a poza tym, jak pamiętasz, jestem strasznym tchórzem.

Heinlein spojrzał na niego w zamyśleniu.

- Stawka jest zbyt wielka, aby powierzyć ci cokolwiek, co przerasta twoje możliwości...

- Ładnie, że tak myślisz.- ...tak więc wygląda na to, że będziemy musieli sobie znaleźć naszego astronautę. Kogoś, kto poszedł już na emeryturę, bądź założył własne biuro konsultingowe. Chodzi o to, żeby znalazł się na naszej liście płac, a nie NASA.

- Nie będzie to prosta sprawa.

- Do tej pory wszystko nam szło jak z płatka.

- Wiem - stwierdził Sarcha - lecz to mnie właśnie martwi. Nadal musimy nie tylko jakoś załatwić te rakiety, lecz także przetransportować je do tego kraju.

- Sarcha, nie załatwiamy więcej niż po jednym problemie naraz - i to będzie tajemnicą sukcesu naszej operacji. Bierzymy po jednym problemie - i znajdujemy mu jedno rozwiązanie.

## 44.

W Jerozolimie dla Rymanna pierwszym punktem porządku obrad porannej sesji gabinetu stał się nie nocny nalot OWP sprzed paru dni, w trakcie którego zaatakowano i zniszczono stacje pomp ropy w Hercliji i Hajfie, lecz zwycięstwo, jakie dzień wcześniej odniósł senator Hadley w trakcie wyborów prezydenckich w USA.

Ten budzący rozczarowanie, a jednak możliwy do przewidzenia wynik, był omawiany przez grupę osób, która zdążyła się już przyzwyczaić do przyjmowania ponurych wiadomości; zwycięstwo senatora Hadleya skutecznie rozwiało i tak już niewielkie nadzieje Izraela na otrzymanie istotnej i znacznie zwiększonej pomocy militarnej USA.

- Okay - powiedział Rymann kończąc dyskusję. - Jeszcze przed wyborami Hadley wymienił członków swojego rządu. Sekretarzem stanu ma być Walter Swift z New Jersey. - Rymann zwrócił się do ministra spraw zagranicznych Samuela Kuttnera. - Opisz go w paru słowach, Sam - zażądał, pamiętając o skłonności Kuttnera do gadulstwa.- Przebiegły i niebezpieczny - zastosował się do polecenia Kuttner.

- Czy jest nam przyjazny, wrogi czy też neutralny?

- Nie wiem.

Rymann powstrzymał się od stwierdzenia: „Do cholery, powinieneś to właściwie wiedzieć”. Jako były student historii wiedział, że takie ataki zawsze doprowadzają do tego, że przywódcy zostają karmieni przez swoich ministrów niedokładnymi bądź optymistycznymi informacjami. Rymann przedkładał wartość uczciwej odpowiedzi nad to, co zdaniem ministrów i doradców chciałby usłyszeć. Po chwili namysłu powiedział:

- W chwili obecnej wszyscy dobijają się do drzwi Swifta. Niemniej, powiadomcie naszą ambasadę, żeby niezwłocznie podjęła kroki celem wyznaczenia terminu spotkania pomiędzy panem a Swiftem oraz mną i Hadleyem.

W dalszej części spotkania omawiano pogarszającą się sytuację, a w szczególności ponury obrót spraw zasygnalizowany przez nagłe rozpoczęcie przez OWP nocnych bombardowań.

- Martwi mnie - powiedział Rymann - że nalot zakończył się sukcesem. Nie może się to więcej powtórzyć.

- A powtórzy się, jeżeli nie uda się nam pozyskać B9 - stwierdził otwarcie Ben Irving. - Ten samolot jest wyposażony w najnowszy mikromilimetrowy radar. Bez niego nie mamy szansy stawienia czoła sowieckim szerokopasmowym urządzeniom zakłócającym.

- Sowieckie urządzenia zakłócające stanowią problem - zgodził się Rymann. - Lecz nam już teraz potrzeba czegoś, co by trzymało przeciwnika w szachu. Ben, czy masz jakieś sugestie?

Irving położył na stole swoje mocne, splecione razem dłonie i pochylił się do przodu.

- Tak. Uzbrowimy jedną Masadę w średniej mocy głowicę, a następnie użyjemy jej jako broni detonowanej w powietrzu, kiedy następnym razem te sukinsyny nadlecą znad Morza Śródziemnego.

W pokoju podniósł się szum głosów. Greer zdjął okulary i starannie je wytarł.

- Znasz moje stanowisko w sprawie użycia broni jądrowej, Ben - przerwał ciszę Rymann.

- Które pokrywa się z moim, panie premierze. Ktoś kiedyś rzekł, że mądry człowiek zmienia swoje poglądy, natomiast głupiec nigdy. Zmieniłem więc zdanie na temat użycia Masad. Mam na myśli czyste detonacje o mocy jednej kilotony, w powietrzu, na wysokości trzydziestu mil - jest to wysokość, na jakiej nadlatują tupolewy, a również pułap, który z łatwością osiągnie Masada. Nikt nie usłyszy nawet odgłosu detonacji. I mam na myśli jedynie ataki nadchodzące od strony Morza Śródziemnego. Użycie Masad ma dużo plusów. Po

pierwsze, przywalimy tym cholernym bombowcom. Po drugie, nie będzie żadnego zagrożenia dla ludności cywilnej. Okay, co z tego, że powstanie wrzawa na świecie...

- To za mało powiedziane, Ben - włączył się do rozmowy Greer.

Ben Irving zwrócił swoją kamienną twarz w stronę szefa Mossadu.

- No i co z tego. Możemy wykazać czarno na białym, że nasze inne możliwości się kończą. Potrząśnię to paroma rządami, które podobno są naszymi cholernymi przyjaciółmi.

Rymann rzucił okiem na Greera zastanawiając się, czy podziela zdanie Bena Irvinga na temat możliwości zastosowania broni jądrowej - nawet w tak ograniczonym zakresie, jaki ten obecnie proponował. Greer dostrzegł spojrzenie Rymanna. Jak gdyby zgadując dokładnie bieg myśli premiera, skinął ledwie dostrzegalnie głową.

Kuttner rozpoczął swoje kazanie na temat zastosowania broni jądrowej, przedstawiając niejasne stanowisko w tej sprawie służb dyplomatycznych.

- W chwili obecnej to OWP stawia nas w niejasnej pozycji - sucho zauważył Rymann. - Sądzę, że powinniśmy poważnie rozważyć propozycje głównodowodzącego wojsk.

- Nie proponuję wcale szerokiego wykorzystania Masad - uspokoił ich Irving. - Trzeba przywalić tym sukinsynom raz, a następnym razem dobrze się zastanowić, zanim zaryzykują atak. Mają tylko parę sztuk tych cholernych tupolewów.

Spotkanie zakończono na parę minut przed południem i Rymann z Greerem zostali sami w gabinecie. Rymann wydał westchnienie ulgi.

- Nie miałem z tym nic wspólnego, Hendriku - powiedział Greer. - Byłem tym również zaskoczony jak ty.

Rymann zachichotał.

- I pomyśleć, iż myślałem, że będzie nam bardzo trudno go przekonać. Wielkie umysły myślą podobnie.

- Lecz nie zawsze z tych samych pobudek - wskazał Greer.

- To prawda, Michaelu. Święta prawda. Jakie są najnowsze wieści od Heinleina?

## 45. Grudzień

Dziesięć dni później Heinlein i Sarcha przylecieli w środku dnia do portu lotniczego w Miami. Po przejściu przez kontrolę paszportową i celną przedstawili się przy stanowisku informacyjnym, gdzie czekał już na nich kierowca NASA.

- Zamówiliśmy dla panów miejsca w Holiday Inn przy Cocoa Beach - powiadomił ich kierowca, ładując bagaże Heinleina i Sarchy do bagażnika cadillaca. - To nad samym

oceanem, tuż na południe od ośrodka badań kosmicznych. Pan Pelham będzie miał przyjemność spotkać się z panami jutro rano.

- Bardzo dobrze - odparł Heinlein.

W parę minut później pędzili na północ, wyjeżdżając z Miami jednym z pięciu pasów autostrady US 1. Sarcha otworzył okno, lecz zaraz je zamknął, gdyż wionęło na niego powietrze gorące niczym oddech smoka.

- Do cholery - wymamrotał z wyrzutem do Heinleina. - Nic mi nie mówiłeś, że tak jest tutaj w grudniu.

- Sam nie miałem o tym pojęcia - odparł krótko Heinlein. Otworzył teczkę i zaczął czytać broszury i inne opracowania na temat operacji promów NASA. Te same dokumenty studiował w czasie lotu z Londynu.

Po monotonnej, trwającej trzy godziny przejażdżce samochodem skręcili na obsadzony palmami podjazd Holiday Inn. NASA dopilnowała, aby Heinlein i Sarcha zostali potraktowani jak najważniejsi goście; wprowadzono ich do wspianego, podwójnego apartamentu na trzecim piętrze, z którego tarasu roztaczała się panorama Atlantyku.

- Przyjemnie - stwierdził Sarcha, łypiąc oczyma na obnażone ciała kobiet rozsiane kusząco na plaży. - Ciekaw jestem, jak jest tutaj w lecie? Tak więc, jaki mamy plan na resztę dnia?

Heinlein podniósł słuchawkę telefonu, zamawiając posiłek do pokoju.

- Najpierw coś zjemy. Potem pójdziemy na drinka do baru. A następnie spać.

- Nie wyskoczymy wieczorem na miasto?

- Nie wyskoczymy wieczorem na miasto.

- Ale przecież jest jeszcze wcześniej!

- Jest już późno. Twój organizm ma pięciogodzinne przesunięcie w relacji do miejscowego czasu. Jutro mamy mnóstwo roboty, tak więc dobrze się wyśpij.

- Mój organizm potrafi wszystko, gdy tylko się go dobrze naoliwi - zaprotestował Sarcha.

- Powiedziałem, że odpoczywamy. Zrozumiano?

- Tak jest, szefie - odparł Sarcha ze smutkiem.

Jego żalność została przerwana przez głęboki, wibrujący ryk przypominający odległy grzmot. Obaj mężczyźni spojrzeli na siebie, po czym ruszyli biegiem w kierunku balkonu. Heinlein otworzył szarpnięciem drzwi i wyrosła przed nimi ściana dźwięku. Na północy strzelał w niebo ogromny jęzor jaskrawoszarłatnego i złotego ognia, którego blask przyprawiał o ból oczu.



- To prom! - krzyknął Sarcha, szeroko otwierając oczy ze zdumienia. - Rany boskie, czy tam na wierzchu siedzą ludzie?

Wierzchołek rosnącej, gigantycznej piramidy dymu i ognia pomknął w podstawę chmur, po czym zniknął. Grzmot rozsadzający czaszkę trwał nadal, a chmury jarzyły się dziwnym światłem rozsiewanym przez ruchomy kawałek piekła, który znalazł się w ich wnętrzu. Ogień i grzmot powoli ustały. Obok balkonu przeleciało stadko pelikanów, jak gdyby się nic nie wydarzyło. Dziewczyny na plaży wróciły do wystawiania swych ciał na użytek mężczyzn, zaś mężczyźni wrócili do surfingu i gry w piłkę na użytek dziewczyn.

- Czy ty sam polecisz? - zapytał Sarcha.

Heinlein wpatrywał się jeszcze chwilę w punkt na niebie, w którym zniknął prom.

- To więcej niż pewne - odparł.

\*\*\*

Następnego dnia NASA zgotowała Heinleinowi wspaniałe przyjęcie. Samochód przyjechał po niego o dziesiątej, aby go następnie uwięzić na północ przez Port Canaveral i w poprzek grobli przecinających płaskie, niegdyś bagniste tereny Ośrodka Badań Kosmicznych im. Kennedy'ego na Merrit Island. Nad dzikimi ostępami, lagunami i gajami cytrusowymi wznosiły się liczne żurawie wyrzutni rakiet. Niektóre z nich ciągle jeszcze używano, jednak większość była starymi konstrukcjami - relikami minionej ery ogromnych wydatków - które zostawiono, aby rdzewiały w wilgotnym powietrzu Florydy. Głównym akcentem na widnokręgu była przypominająca ogromne pudło konstrukcja Kompleksu 39 Budynku Montażu Pojazdów (BMP). W czasie lotu poprzedniego dnia Heinlein wyczytał w pismach poświęconych NASA, że BMP jest jednym z największych budynków na świecie. Trudno było w to uwierzyć do czasu, kiedy kierowca, gdy go o to zapytali, uprzytomnił im, że znajdują się o całe pięć mil od tego obiektu.

Na zewnątrz budynku administracyjnego tego obiektu na Heinleina oczekiwała niewielka delegacja z Jasonem Pelhamem na czele. Po uściśnięciu rąk wszystkim zebranym Heinlein został przedstawiony Earlowi Hackettowi.

- Earl jest dyrektorem programu eksploatacji promu - wyjaśnił Pelham, gdy już usiedli w sali konferencyjnej. - W jego gestii leży załatwienie pańskiego dość niezwykłego podania. - Pelham uśmiechnął się szeroko. Potrafił zdobyć się na uprzejmość wobec ważniejszych klientów, której nigdy nie okazywał na co dzień.

- Przygotowaliśmy dla pana trasę. Dwugodzinny objazd centrum, a potem lunch, przy którym siądziemy do poważniejszych rozmów.

Mimo że Heinlein nie mógł doczekać się, kiedy przejdą do sedna sprawy, to jednak nie

potrafił ukryć zadowolenia ze zwiedzenia Ośrodka Badań Kosmicznych im. Kennedy'ego. W szczególności ogromne wrażenie wywarł na nim Budynek Montażu Pojazdów, gdzie składano dwa promy kosmiczne na ogromnych samojezdnych platformach, które miały dotransportować je do odpowiednich stanowisk startowych. Ogrom budynku przechodził wszelkie wyobrażenia. Był tak wielki, że na początku jego historii, zanim jeszcze wprowadzono klimatyzację, chmury tworzące się w jego wnętrzu doprowadzały do niewielkich opadów deszczu. Heinlein zatrzymał się na jednym z poziomów budynku, aby przyjrzeć się pracy techników NASA, którzy pakowali niewielkie palety do otwartego luku ładunkowego promu.

- Zaopatrzenie dla szpitala orbitalnego - odpowiedział Hackett na pytania Heinleina.

- Kto pakuje palety towarowe? Wy czy też właściciele satelity?

- Albo my, albo też specjalistyczni podwykonawcy - odparł Hackett. - Mielśmy już parę przypadków, gdy siła przeciążenia przy starcie spowodowała, że zawartość palet zaklinowała się. W jednym wypadku astronauta znajdujący się na zewnątrz promu nie zdołał odłączyć kilku pakietów z instrumentami znajdujących się wewnątrz palety. Nie udało mu się też zamknąć palety, skutkiem czego musiała ona zostać porzucona na orbicie.

Trzej mężczyźni wyjechali z BMP elektrycznym wózkiem. Na zewnątrz leżał na boku, przypominając obalonego kolosa, kompletny pojazd kosmiczny Apollo-Saturn V.

- Ten eksponat nie znajdowałby się tutaj, gdyby nie obcięto w zeszłym miesiącu funduszy na program Apollo - zauważył Hackett w momencie, gdy grupka zatrzymała się, aby przyjrzeć się rdzewiejącemu kolosowi.

Na tym zakończono objazd obiektów i trzej mężczyźni udali się na lunch do włoskiej restauracji „Alma” na Cocoa Beach.

- Rozumiem, że panowie wykorzystaliście upoważnienie do ujawnienia naszej sytuacji finansowej, jaką przekazaliśmy bankowi Brevard County? - zapytał Heinlein, nakręcając nitkę spaghetti na widelec.

- Rzecz jasna - odparł Pelham.

- Jaką kwotą obciąży nasz zarząd powierniczy zamówiona przez nas misja?

Pelham z namysłem zamieszał zupę.

- Dokonałiśmy już wstępnych obliczeń po otrzymaniu listu od sir Maxa. Będzie to około stu sześćdziesięciu milionów dolarów. Dokładną sumę możemy uzgodnić po podpisaniu kontraktu, jednakże będziemy od pana wymagać zwrotnego wadium w wysokości jednego procenta tej sumy - powiedzmy jeden koma pięć miliona - abyśmy mogli rozpocząć prace wstępne.

- Czy ta suma zostanie zaliczona na poczet końcowej należności? - zapytał Heinlein.

- Oczywiście.

Kelner zebrał ze stołu naczynia pozostałe po pierwszym daniu.

- Przejrzałem dokładnie wasze wstępne warunki - powiedział Heinlein. - Wydają się być rozsądne. Jednakże jest jedna sprawa, na którą nalega zarząd powierniczy. Będziemy wymagać, aby *Cyklop* został zapakowany na palety przez nas samych - w Uniwersytecie Surrey. Oznacza to, że trzeba będzie przesłać części waszej największej palety towarowej drogą lotniczą do Anglii.

- Jest mi przykro - odparł Hackett, kręcąc przecząco głową - lecz nie jest to możliwe. Ładunek musi zostać załadowany przez nas.

- Dlaczego nie możemy my tego zrobić? - zapytał Heinlein.

- Z przyczyn, które podałem panu w BMP - odparł ostro Pelham.

- Nie mamy absolutnie zamiaru podważać waszych kompetencji - szybko dodał Hackett. - Lecz te duże palety towarowe łatwo się klinują, gdy są niewłaściwie zapakowane.

Gdyby jedna z nich zaklinowała się w ładowni promu podczas wykonywania zadania, narażalibyśmy na ryzyko całą załogę. Prom nie mógłby wejść ponownie w atmosferę i wylądować z ładunkiem o takiej wadze, jaką ma *Cyklop*. Wobec tego ładunek musiałby zostać na orbicie.

- W takim razie - stwierdził Heinlein tonem kończącym dyskusję - nie dojdziemy do porozumienia. Sir Max stanowczo wymaga, aby uniwersytet w Surrey przeprowadził operację pakowania *Cyklopa* na paletę.

- Panie Heinlein, wynieśliśmy już tysiące ładunków na orbity...

- Żaden z nich nie miał gabarytów *Cyklopa*.

- Może i nie. Jednakże nie mieliśmy żadnych problemów z laboratoriami kosmicznymi. Zaś orbitalny szpital składał się z dwudziestu elementów, których przewiezienie wymagało dwudziestu lotów. Oprócz tego była jeszcze pierwsza stacja w ubiegłym wieku...

- Panowie, zaraz, zaraz - włączył się do rozmowy Pelham. - Może uda się nam osiągnąć jakiś kompromis... Davidzie, a gdybyśmy wysłali zespół naszych techników do Wielkiej Brytanii z elementami palet, aby zapakować *Cyklopa* pod waszym nadzorem? Co ty na to?

Heinlein odczekał, aż minie odpowiednia chwila, udając, że w tym czasie rozważa sugestię Pelhama. W duchu ogromnie się cieszył, bowiem sam chciał wyjść z dokładnie taką samą propozycją.

- Myślę, Jasonie, że to znakomity pomysł - powiedział Heinlein, przejmując amerykański zwyczaj zwracania się po imieniu od pierwszej chwili znajomości.

- Oczywiście, na twój koszt - dorzucił Pelham.

- Jasne - zgodził się Heinlein.

Pelham skinął z zadowoleniem głową. Sto sześćdziesiąt milionów dolarów było praktycznie już jego. - Wygląda na to, Davidzie, że ubiliśmy właśnie interes.

## 46.

Heinlein powrócił do Holiday Inn przed Sarchą. Parę minut minęło mu na oglądaniu dziennika telewizyjnego. Najważniejszą pozycją było ustąpienie ze stanowiska prezydenta Marshalla na skutek zawału serca oraz związana z tym szybsza inauguracja prezydenta-elekta Hadleya. Rozważania nad tym, w jaki sposób te wiadomości zostaną odebrane w Izraelu przypomniały mu, że musi zatelefonować do Tel Awiwu ze sprawozdaniem o postępie prac; jednak pospiesznie przerwał rozmyślenia słysząc kogoś za drzwiami.

Sarcha wszedł do pokoju i zlany potem opadł na krzesło. Heinlein otworzył dwie puszkę z piwem wyjęte z lodówki, podając jedną Anglikowi.

- No, i jak tam? - zapytał.

- Cóż to za cholerny klimat! Dajcie tylko mi wrócić do Izraela.

- Za chwilę dam ci coś strasznie bolesnego, jeżeli nie przestaniesz marudzić - ostrzegł go Heinlein.

Sarcha wyciągnął z kieszeni plik papierów i cisnął je na stół.

- Są tu nazwy i adresy trzydziestu firm specjalizujących się w przewożeniu towarów. Skorzystałem z usług detektywa z Cocoa Beach. Nazywa się Matt Connors. Lista nie jest pełna. Obiecał mi, że wpadnie z pełną listą jutro rano.

Heinlein przebiegł szybko wzrokiem listę, a następnie zatrzymał się przy umowie wynajmu lokalu biurowego w Titusville.

- Oglądałem z dwadzieścia miejsc - powiedział Sarcha zrzucając buty z nóg i pociągając łyk piwa. - To w Titusville jest najlepsze. Położone na parterze, ma parking, a zaraz obok jest bar. Podpisujemy roczną umowę. Kupiłem już całą masę sprzętu biurowego, który dostarczą jutro. Znalazłem też ubezpieczyciela. Zadzwoiłem do firmy przyjmującej telefoniczne zlecenia i zamówiłem trochę modeli o tematyce kosmicznej, żeby przyozdobić witrynę.

- Znakomicie, Sarcha. Mamy więc już oddział na Florydzie.

- Będzie nam potrzebna osoba, która go poprowadzi. Nie miałem dość czasu, żeby umieścić ogłoszenia o naborze personelu. A tobie jak dzisiaj poszło?

Heinlein opisał krótko spotkanie z Pelhamem i Earlem Hackettem, kończąc słowami:

- A teraz potrzebujemy już tylko specjalisty od ładunków.

- Chwileczkę! Tak od razu?

- Na to wygląda. On, bądź też ona, będą musieli być w kontakcie z NASA w kwestii codziennych technicznych spraw, natychmiast po uruchomieniu całej operacji. NASA wymogła na nas, żeby przy ładunku tak wielkim i tak złożonym jak *Cyklop* pracował doświadczony astronauta. Dali mi listę specjalistów, którzy figurują w ich kartotece. Wkrótce kogoś dla nas znajdzie. Nie potrzebujemy ani firmy, ani też osoby znajdującej się na liście płac NASA. - Heinlein przerwał i spojrzawszy na zegarek zapytał: - Czy twój detektyw już działa?

- Powiedział, że za forszę, którą mu płacimy, będzie pracował przez całą noc.

- Okay. Zadzwoń do niego i powiedz mu, że potrzebujemy emerytowanego astronauty. Kogoś, kto potrzebuje pieniędzy. Kogoś, kto w pierwszym rzędzie będzie lojalny wobec nas.

\*\*\*

Heinlein spędził następne parę dni na negocjowaniu kontraktu z NASA, natomiast Sarcha skoncentrował wszystkie wysiłki na zorganizowaniu biura w Titusville. Kiedy już zainstalowano sprzęt biurowy, odbył parę rozmów kwalifikacyjnych z dziewczętami ubiegającymi się o stanowisko sekretarki. Żadna z nich się nie nadawała, chociaż zatrudnił dziewczynę posługującą się edytorem tekstów, aby zajęła się korespondencją produkowaną przez Heinleina.

Próbował właśnie wyciągnąć kopie listów z dysku laserowego, gdy zadzwonił do niego detektyw Matt Connors przedstawiając najnowszą listę astronautów.

- Masz trzy ewentualności, Sarcha - powiedział Connors, rzucając listę na biurko oraz sadowiając swoje szczupłe ciało na krześle. - William Zabranski - lat czterdzieści pięć. Prowadzi mały zakład w Cocoa produkujący prototypy skafandrów dla NASA. Nie wiedzie mu się najlepiej, bowiem żona przepija mu cały zysk. Alaric Silkin - trzydzieści pięć lat. Rzucił pracę, kiedy NASA przerwała prowadzone przez niego badania nad promem startującym z pasa startowego i lądujący o własnych silnikach. Zajmuje się odręcznie sprzedając hologramów w Orlando. Pracuje okrągłą dobę, aby spłacić pożyczkę, którą zaciągnął na spłacenie grzywny za rozprowadzanie hologramów, jakie wstydziliby się pokazać własnym dzieciom.

- Wszyscy prezentują się dość beznadziejnie - zauważył zjadliwie Sarcha.

Connors wzruszył ramionami.

- Na ziemi nie roi się od wyrzuconych z pracy byłych astronautów.

- Wcale nie twierdziłem, że potrzeba nam wyrzuconego z pracy eks-astronauty.

Wystarczy taki, który chciałby sobie trochę dorobić.

- Nie widzę żadnej różnicy.

Sarcha przyglądał się uważnie wycinkowi z prasy przypiętemu obok ostatniego nazwiska na liście.

- Neil O'Hara - przeczytał na głos. - Oskarżony przez komisję rewizyjną o spowodowanie śmierci drugiego astronauty. Na rany boskie, Matt - jednak można znaleźć takich gości.

Detektyw uśmiechnął się szeroko.

- Znalezienie było o wiele trudniejsze niż całej reszty. Być może to właśnie ten facet, którego szukacie. Jego dom w Melbourne sprzedano, bowiem rozpadł się jego związek małżeński. Żona wróciła z dziećmi do Houston. Zostawiła adres u dawnego sąsiada. Skontaktowałem się z nią w Houston - powiedziała mi, że jej mąż mieszka teraz na stacji benzynowej między Daytona a Orlando. Wiedziała tylko tyle, ponieważ nie zostawił jej numeru, kiedy do niej telefonował. Straciłem wczoraj cały dzień na to, żeby go odszukać. Naprawił mi elektryczny silnik podnoszący szybę w oknie samochodu i zrobił to bardzo dobrze. Gość ma złote ręce. Brał udział w trzydziestu dwóch misjach promu. Dziesięć razy spacerował w przestrzeni. Jest najmłodszym astronautą, jakiego udało mi się znaleźć, lecz jest jednym z najbardziej doświadczonych - i minęło dopiero parę tygodni od czasu wydalenia go z NASA.

- No i bardzo dobrze - ale NASA podniesie raban, jeżeli zaproponujemy specjalistę od ładunków, którego ukrzyżowała komisja rewizyjna - zauważył Sarcha.

Connors nie był wcale tego pewien.

- Może tak, może nie. Słyszałem jednak jakieś plotki, że O'Hara nie powinien ponieść całej winy za ten wypadek. Mówiono o próbach zatuszowania czegoś, jednak nie kopałem w tym za głęboko.

- Dlaczego nie?

- Zapłąciliście mi, abym odszukał nazwiska i adresy, a nie żebym wysłuchiwał plotek.

- Od teraz płacimy i za to - podjął szybką decyzję Sarcha, co było raczej do niego niepodobne. - Odszukaj, co tylko się da o Neilu O'Hara.

## 47.

Sierżant Alana Bader, znajdująca się głęboko pod ziemią w centrum nasłuchu radiowego bazy powietrznej Chel Ha'Avir w Hercliji usłyszała nowy dźwięk w słuchawkach.

Dźwięk ten po przetworzeniu go na obraz widoczny na ekranie znajdującego się przed nią monitora przedstawiał się jako błyszcząca plama. Sięgnęła po dwa pokrętła regulujące i dokonała nieznaczących korekt. W odpowiedzi na jej polecenia baterie niezmiernie czułych mikrofonów kierunkowych znajdujących się w Gazie i Acre zmieniły położenie w ten sposób, że pole objęte ich zasięgiem przesunęło się jeszcze dokładniej nad bazę OWP znajdującą się w odległości ośmiuset kilometrów na północ od Bakal. Wszystkie telemetryczne dane wprowadzane przez Alanę były przesyłane za pośrednictwem ciągnących się w ziemi światłowodów lub połączeń mikrofalowych; nie były to zawodne komunikaty wojskowe nadawane przez sieć izraelskiej łączności wojskowej, które mogły zostać przechwycone przez nasłuchujące czujnie satelity.

Komputer przeanalizował wszelkie szумы przemysłowe pochwycone przez każdą z baterii mikrofonów - hałas czyniony przez pociągi, statki, ruch samochodowy, i przefiltrował je wszystkie, z wyjątkiem jednego dźwięku o określonych parametrach, który jednocześnie odebrały obie grupy mikrofonów. Tym dźwiękiem był ostry gwizd rozgrzewanych silników odrzutowych.

Palce Alany przebiegły po klawiaturze, wydając komputerowi polecenie porównania dźwięku z „matrycą” znajdującą się w jego pamięci. Udało jej się zidentyfikować dźwięk o ułamek sekundy szybciej od komputera. Był to dokładnie ten sam dźwięk, jaki słyszała parę wieczorów wcześniej, o tej samej porze. W prawym dolnym rogu monitora ukazała się „sugestia” komputera:

MIEJSCE POCHODZENIA DŹWIĘKU: BAKAL

ŹRÓDŁO: SOWIECKIE SILNIKI ODRZUTOWE KUZNIECOWA PRACUJĄCE NA 25% MOCY.

ILOŚĆ: 6

SAMOŁOT: 90% PRAWDOPODOBIENSTWA, ŻE ŹRÓDŁEM DŹWIĘKU SĄ 3 BOMBOWCE DALEKIEGO ZASIĘGU V-9 TUPOLEWA.

Podczas gdy Alana patrzyła na ekran, niezwykle świsł zmienił częstotliwość, osiągając parametry silników pracujących na 30% mocy. Nacisnęła na czerwony przycisk uruchamiający mikrofon - ważny przycisk przyzywający dział operacyjny.

- Mówi pracownik nasłuchu Bader - zameldowała. - Odebrałam trzy tupolewy rozgrzewające silniki w Bakal.

\*\*\*

Rymann zacisnął zęby na lewej sutce Semony, zmuszając ją do pisku rozkoszy. Jego usta sunęły z determinacją dalej po jej oliwkowej skórze, gdy rozległ się dzwonek telefonu. Jęknął, udając, że go nie słyszy.

- Telefon - przypomniała mu chichocząc Semona.

- Czy już ci kiedyś nie mówiłem, że wystarczy ci dotknąć, żeby się rozległ dźwięk dzwonek?

Semona roześmiała się sięgając po słuchawkę. Rymann przestraszył się nagle, porywając ją, zanim zdążyła jej dotknąć. Słuchał przez chwilę, po czym spał się bardzo. - Tak jest. Będę na dole za dwie minuty.

Odłożył z trzaskiem słuchawkę, przelotnie uściskał i ucałował Semonę, po czym zaczął niezgrabnie wciągać na siebie poplątaną piżamę.

- Nie siedź tam za długo - poprosiła go Semona, gdy ruszył w stronę drzwi, wciskając po drodze ramiona w rękawy szlafroka.

Rymann zatrzymał się przy wyjściu, oglądając się na nieprawdopodobnie piękną dziewczynę będącą ozdobą jego łóżka. Miał ożywione oczy, w których widać było blask wywołany perspektywą walki.

- Nie będę - obiecał. - Dziś w nocy damy sukinsynom popalić. A potem będziemy świętować.

\*\*\*

Gdy tylko winda osiągnęła poziom terenu, kierowca transportera Masady raptownie dodał gazu, opuszczając bunkier z rykiem silnika. Przejechał przez przerwę w obwałowaniu chroniącym przed podmuchem, jaki mogły dać spadające bomby, wyjeżdżając dalej na plac przed schronem i zatrzymując się przodem w kierunku morza blisko zasieków biegnących wokół bazy. Czterech żołnierzy obsługi zamarło w oczekiwaniu. Dwie minuty później usłyszeli w słuchawkach głos Hendrika Rymanna.

- Zezwalam na uzbrojenie rakiety.

- Potwierdzam tożsamość głosu premiera - odezwał się w słuchawkach elektronicznym głosem komputer po zidentyfikowaniu głosu Rymanna na podstawie przechowywanej w pamięci matrycy.

Jeden z techników obsługujących Masadę zabrał się do pracy. Uzbrojenie głowicy nuklearnej było w sumie prostą operacją, sprowadzającą się do otwarcia przykrywy tablicy sterowniczej oraz ustawienia czterocyfrowej kombinacji. Masada została zaprojektowana z myślą o jak najprostszej obsłudze. Postępy w technice łączności, a szczególnie technologia umożliwiająca identyfikowanie głosu, dająca załodze pewność, że rozkazy, które słyszą,



faktycznie pochodzą od premiera, zastąpiły wiele złożonych, a często i wręcz nieefektywnych procedur uzbrajania stosowanych we wcześniejszych latach, które miały wykluczyć możliwość pomyłki. Technik zamknął pokrywę tablicy. Schronił się wraz z kolegami w kabinie transportera rakiety, po czym nacisnął guzik podnoszący osłonę chroniącą ich przed promieniowaniem cieplnym emitowanym przez startującą Masadę. Czekali, przysłuchując się strumieniowi komunikatów wymienianych między bunkrem operacyjnym a Centrum Dowodzenia Bojowego w Tel Awiwie.

\*\*\*

- Lecą według ustalonego schematu - zwrócił się Irving do Rymanna, podczas gdy obaj przyglądali się trzem pulsującym punktom widocznym na ogromnym ściennym ekranie z ciekłego kryształu, na którym widniała mapa obrazująca wszelki ruch samolotów nad wschodnim obszarem Morza Śródziemnego. - Polecą na południowy-zachód przecinając Morze Czarne, omijając przestrzeń powietrzną Turcji, a następnie skręcą nagle na wschód w naszym kierunku. Kiedy wyjdą już na swój pułap operacyjny ponad Krętą, wtedy włączą elektroniczne systemy zagłuszania i znikną nam z ekranu. Tak się przeważnie dzieje.

- Masada uzbrojona i gotowa do startu - odezwał się oficer sztabowy.

Obaj mężczyźni nie spuszczaali oczu z trzech złowieszczych punkcików przesuwających się nad Morzem Egejskim. Za ich plecami w półmroku centrum łączności siedzieli przy pulpitych mężczyźni i kobiety śledzący wymianę komunikatów pomiędzy stanowiskami dowodzenia a Centrum Dowodzenia Bojowego. Cyfry ukazujące się na dole ekranu z ciekłego kryształu oznaczały, iż cel osiągnął wysokość stu pięćdziesięciu tysięcy stóp. Sześć myśliwców Sharav z eskadry 101 otrzymało rozkaz startu do boju.

- Nasza reakcja jest identyczna jak w przypadku poprzednich ataków - wyjaśnił Irving. - Nie chcemy, aby nasi przyjaciele pomyśleli sobie, że dzisiejsza noc będzie się różniła od pozostałych.

Migające punkciki opuściły obszar Morza Egejskiego, kierując się na wschód w stronę Izraela. Było je widać przez następne parę minut, zmierzające z determinacją w stronę celu, po czym zniknęły.

- Kontakt przerwany. Włączyli systemy zagłuszania - dobiegł czyjś głos z tyłu pomieszczenia. - Według ostatniego namiaru cele leciały w kierunku dwa-siedem-pięć, pułap jeden-sześć-cztery-zero. Odległość sześć-dwa-dziewięć kilometrów.

- Ośrodek komputerowy zgłasza, że mają dość danych, aby wyliczyć punkt spotkania z celem - oznajmił drugi głos.

- Wyznaczyć punkt spotkania oraz nastawić wysokość detonacji - rozkazał Irving.

Dane dla systemu naprowadzania Masady zostały przekazane technikom siedzącym w transporterze rakiety.

- Rakieta załadowana i gotowa do startu - zameldował jeden z nich.

Od tej chwili reszta należała do komputerów. Przetwarzając dane, które „zeszły”, to znaczy ostatnie namiary pułapu, kursu i prędkości lotu nadlatujących bombowców, przejęły one kontrolę nad odliczaniem przed startem Masady.

- Jakie są szanse, że tupolewy zmienią kurs? - zapytał Rymann.

- Małe - warknął Irving. - Te pewnie siebie sukinsyny zawsze nadlatywały po prostej linii, kiedy obserwowaliśmy je w czasie nalotów dziennych.

- Pięćdziesiąt sekund do startu - zgłosił elektroniczny głos komputera.

Sekundy płynęły dalej.

- Czterdzieści sekund do startu.

Rymann uruchomił mikrofon. Od tej chwili komputery kontroli ognia miały reagować jedynie na jego głos. Wystarczyło, aby powiedział jedno słowo „przerwać”, a start Masady zostałby odwołany. Milczał jednak, nie spuszczając wzroku z przeskakujących cyfr zegara znaczącego mijające sekundy.

- Dwadzieścia sekund do startu.

Rymann zdał sobie sprawę, że pocą mu się dłonie. Wytrzeł je o szlafrok. Było już za późno na to, aby przeanalizować założenia ataku, który mieli niebawem rozpocząć. Nie kończące się obrady gabinetu i Doraźnego Komitetu Obrony znużyły już wszystkich. Gdyby atak się powiódł, wrzawa polityczna na całym świecie, która z pewnością by się podniosła w konsekwencji zastosowania przez Izrael broni jądrowej, przeważałaby nad korzyścią z militarnego punktu widzenia, jaką było zniszczenie trzech bombowców nieprzyjaciela. Lecz patrząc wkoło na wyczekujące, skupione twarze Rymann zdał sobie sprawę, że po długim paśmie porażek izraelskie siły zbrojne, zawsze gotowe na każdą ewentualność, stanowczo potrzebowały tego małego zwycięstwa.

Zakładając, że zostanie ono osiągnięte.

- Dziesięć sekund do startu.

Irving rzucił szybko okiem na Rymanna upewniając się, czy aby premier nie słabnie w swoim postanowieniu. To, co zobaczył, uspokoiło go - twarz Rymanna była pozbawioną wyrazu maską.

- Pięć sekund do startu. Cztery... trzy...

Żołnierze załogi transportera naciągnęli na uszy ochronne słuchawki i przygotowali się na wstrząs. Jeden z nich zacytował po hebrajsku przekręcony cytat z Izajasza: „Dla Syjonu

nie dochowam pokoju”.

- Dwa...jeden...

Silnik Masady uwolnił nagle drzemiące w nim siły, kierując je na osłonę. Gwałtowność, z jaką obudził się do życia, spowodowała, że cały transporter zakołysał się. Pomimo nałożonych słuchawek zmysły załogi przytłumił potężny grzmot.

- Rakieta wystartowała!

Załoga wysypała się z kabiny. Przez chwilę nie było nic widać w obłoku gęstego, wirującego, ostrego dymu wyrzuczonego przez silnik rakiety zasilany paliwem stałym. Po chwili ją dojrzeli; jarząca się kometa, ciągnąca za sobą warkocz rozszalałych, szybko malejących płomieni oraz odgłos gromu cichnący na nocnym niebie.

Rymann, Irving i wszyscy pozostali znajdujący się w pomieszczeniu obserwowali znaczony przez promienie podczerwone ślad spalin Masady rysujący się na ekranie z ciekłego kryształu. Głos podawał szybko rosnącą prędkość i wysokość, jednakże nikt go nie słuchał - wszyscy zamarli w oczekiwaniu na nagłą eksplozję światła i ciepła, będącą sygnałem zdetonowania głowicy.

Słońce, które na chwilę rozbłysło trzydzieści mil ponad wodami Morza Śródziemnego, zostało zauważone przez rybaków. Widziano je również na Cyprze, a nawet w położonej daleko na południu Aleksandrii. Widziały je również satelity. Lecz te urządzenia zanotowały o wiele więcej, niż widzialny gołym okiem błysk światła - zauważyły również promieniowanie radioaktywne, przekazując posłusznie odkryte informacje swoim właścicielom.

- Mamy ich! - wykrzyknął radosny głos. - Ich urządzenia zagłuszania wysiadły!

Było to prawdą. Ogromny ekran pokazał nagle całą ławicę dziwnych odbić radarowych.

- To spadające szczątki - wyszeptał Irving. - Na proroków, udało się nam!

Triumfujący Ben Irving porwał nagle rękę Rymanna, gwałtownie nią potrząsając. Zwykle flegmatyczny personel operacyjny porwał się na nogi, wiwatując i poklepując się po plecach.

Tymczasem w ciszy opadał grad szczątków - skrzydła, silniki, kawałki usterzenia oraz ludzie - lecąc w kierunku nie oznaczonego grobu pod skąpanymi poświatą księżyca wodami Morza Śródziemnego, leżącymi w odległości trzydziestu mil poniżej.

## 48.

- Czy możemy się zobaczyć z panem O'Hara? - zapytał Heinlein Lenę.

Dziewczyna rzuciła spojrzenie ciemnowłosemu mężczyźnie i jemu pulchnemu towarzyszowi siedzącym w cadillacu uznając, że wyglądają dość szacownie.

- Jasne - odpowiedziała. - Jeden moment.

- No, no - stwierdził z uznaniem Sarcha, patrząc na podrygujące mięśnie łydek Leny, która zniknęła w warsztacie stacji benzynowej. - Cholera jasna, pewnie godzinkę zajmuje jej wbicie się w te szorty. Jeżeli O'Hara przyzwyczaił się do tego gniazdka, to i milion dolarów go stąd nie wyciągnie. -

- Myślę, że jednak wyciągnie - stwierdził szyderczo Heinlein. - To pewnie jest Lena Jackson. Zdaniem Connorsa ma w sobie żyłkę handlową. Ją też możemy kupić. W końcu potrzebny jest nam ktoś, kto by prowadził dla nas biuro.

- Davidzie, stary byku, genialnie pomyślane - stwierdził z uznaniem Sarcha.

- Nie jestem zdolny do niczego innego.

Z warsztatu wyszedł Neil.

- Dzień dobry - powiedział podejrzliwym tonem, łypiąc okiem na cadillaca i zastanawiając się, czy obydwaj mężczyźni nie są następną parą prawników Heleny nastających na smutną pozostałość jego konta bankowego.

- Czy pan O'Hara?

- Tak, to ja.

- Czy możemy porozmawiać na osobności?

Kiedy już rozsiedli się w winnebago, Heinlein przystąpił z miejsca do sedna sprawy.

- Panie O'Hara - zwrócił się do Neila, popychając w jego stronę swoją wizytówkę - jestem administratorem Europejskiej Fundacji Badania Przestrzeni Kosmicznej im. Stavolosa, a ten pan jest kierownikiem tego przedsięwzięcia. Nasze plany na przyszły rok przewidują wyniesienie przez prom satelity do badań astronomicznych, i potrzebujemy specjalisty od ładunków.

Heinlein mówił przez parę minut, omawiając pokrótce charakter zarządu powierniczego oraz cel, jakiemu ma służyć satelita. Neil siedział w ciszy, błędąc w miarę, jak rozumiał w pełni znaczenie oferty Heinleina.

- No, i jak panie O'Hara? Czy jest pan tym zainteresowany?

Neil spojrzał na niego w osłupieniu.

- Ależ tak. Lecz nie wiem nic ani o panu, ani też o pana organizacji.

Heinlein zwolnił zatraski zamków teczek, wręczając następnie Neilowi broszurkę opisującą Zarząd Powierniczy im. Stavolosa. Neil czytał ją, kiedy nagle przez szum radia CB przebił się głos Leny:

- Czy napijecie się panowie kawy?

Neil przestał czytać i przyciągnął do siebie mikrofon.

- Tak, proszę cię bardzo, Leno.

- Jesteśmy skłonni podpisać z panem roczną umowę - mówił dalej Heinlein. - Dwadzieścia pięć tysięcy miesięcznie plus koszty własne. Praca będzie wymagała częstego podróżowania między Ośrodkiem Kennedy'ego a Uniwersytetem Surrey w Wielkiej Brytanii. Czy jest pan zainteresowany?

Neil zamierzał już coś powiedzieć, lecz przerwał w pół słowa.

- Jaka jest pana odpowiedź? - przynaglał go Heinlein.

- Miesiąc temu nie zastanawiałbym się ani chwili. Ale teraz... Jak by to powiedzieć - jestem w trakcie kosztownego rozwodu, a pan Jackson, właściciel tego warsztatu, chce, żebym go przejął.

- Najmiemy na pana miejsce pierwszorzędnego mechanika, który będzie pilnował, żeby interes się kręcił - zaproponował Heinlein. - I zapłacimy panu trzymiesięczne pobory z góry.

Ponownie Neil nie wiedział, co powiedzieć. Była to niesłychanie kusząca propozycja. Potrząsnął ze smutkiem głową.

- Jest jedna sprawa, o której powinniście wiedzieć. Opuściłem NASA z kiepską reputacją. Nie sądzę, żeby kiedykolwiek pozwolili mi zbliżyć się do promu, nawet w charakterze specjalisty od ładunków...

- Wiemy o całej sprawie - powiedział Heinlein pojednawczo. - Wiemy też, że astronauta są zgodni, iż nie ponosi pan całej winy za ten wypadek i że próbowano tam coś zatuszować.

- Tak, lecz jeśli NASA...

Do drzwi winnebago zapukała Lena, wnosząc kawę.

- Pani z pewnością jest Leną Jackson - powiedział uprzejmie Heinlein, nie mogąc powstrzymać się od spojrzenia na długie, gołe nogi dziewczyny.

- Zgadza się - odparła Lena domyślając się, że Neil wspomniał wcześniej jej imię. - Czy wszyscy chcą śmietankę?

- Panno Jackson - zagadnął Heinlein, kiedy Lena podała już wszystkim kawę. - Reprezentuję interesy Europejskiej Fundacji Badania Przestrzeni Kosmicznej im. Stavolosa. - Przesunął w jej stronę broszurę. - Chciałbym, żeby pani na to rzuciła okiem.

Neil odpowiedział na pytające spojrzenie Leny wzruszeniem ramion. Usiadła, szybko przerzucając broszurkę, po czym spojrzała na Heinleina.

- A co to wszystko ma wspólnego ze mną?

- Zamierzamy zaproponować pracę Neilowi, lecz słyszeliśmy również, że prowadzi pani

księgowość paru sklepom, i zastanawialiśmy się, czy nie byłaby pani skłonna poprowadzić naszego biura w NASA.

- W jaki sposób dowiedzieliście się o nas? I o mnie?

- Skorzystaliśmy z usług detektywa.

W oczach Leny pokazał się gniewny błysk.

- Detektywa? Na mnie? No, co za bezczelność! - Zerwała się na nogi. - Na rany boskie, mogłabym was skarżyć za naruszenie mojej wolności osobistej!

- Leno, proszę cię - odezwał się Neil, łapiąc ją za przegub ręki. - Posłuchaj, co mają do powiedzenia. Proszę.

- A dlaczego, do cholery, mam ich słuchać? Nie cierpię ludzi, którzy...

- Proszę cię, Leno.

Po chwili wahania Lena uspokoiła się. Usiadła, patrząc gniewnie na Heinleina.

- Po pierwsze - zaczął gładko Heinlein - zamierzamy wydać paręset milionów dolarów w czasie następnych pa.ru lat, tak więc musimy starannie dobierać nasz personel. Po drugie, jedyne, na co pozwolił sobie nasz detektyw, to był telefon do pani po ujrzeniu ogłoszenia w prasie o pani usługach, a w trakcie rozmowy powiedziała mu pani, jakiego typu pracę pani wykonuje i skąd głównie rekrutuje się pani klientela. Nie koniec na tym. Chcemy, abyście zarówno pani, jak i Neil, pracowali dla nas. Kończąc, czy nie uważa pani, że jest to rozsądna propozycja handlowa?

\*\*\*

- Gładko poszło - rozpływał się w zachwytach Sarcha w czasie powrotnej drogi do Titusville. - Dwie pieczenie na jednym ogniu.

- Jak sądzisz, czy coś wiąże tę parę? - zastanawiał się Heinlein, jadąc środkowym pasem i utrzymując stałą prędkość pięćdziesięciu pięciu mil.

- Nie wiem. Lecz jeżeli tak jest, to z chęcią bym się dołączył.

- Byłoby nam na rękę, żeby coś tam było. Lub żeby się coś rozwinęło.

- Naprawdę tak uważasz? A to dlaczego?

Heinlein westchnął z rozczarowaniem.

- Może cierpisz na nieuleczalne tchórzostwo, ale za to nie masz za grosz wyobraźni, Sarcha. Pomyśl tylko o plusach takiego układu, kiedy on będzie ze mną w przestrzeni, a ty z nią na ziemi.

Sarcha pomyślał przez chwilę, po czym zachichotał.

- Co za znakomite planowanie, Davidzie, mój druhu.

- Inaczej nie potrafię.

## 49.

Pierwszą czynnością, jaką wykonał Walter Swift po przejściu urzędu sekretarza stanu w rządzie Hadleya, było wezwanie ambasadora Izraela do Departamentu Stanu. Yaarcov Efrat znał powód wezwania na Ulicę C, i był dobrze przygotowany na tę okoliczność.

- Ekscelencjo - zaczął Swift z przebiegłą uprzejmością, kiedy dokonano już wzajemnych prezentacji. - Posiadamy bezsporne dowody na to, że Izrael zdetonował w jonosferze broń termonuklearną w czasie ostatnich czterdziestu ośmiu godzin.

- Zgadza się, panie sekretarzu.

- Z jakiego powodu?

- Jestem pewien, że to, co powiem, potwierdzi jedynie doniesienia waszego własnego wywiadu, niemniej jednak pragnę stwierdzić, że wszczęliśmy działania mające na celu obronę naszej ojczyzny. Izrael nie zamierza już siedzieć beczynnym wobec agresji ze strony Związku Radzieckiego i OWP. Decyzję o zastosowaniu wobec napastników głowicy taktycznej o niskim zasięgu podjęliśmy jedynie po wyczerpujących badaniach dokonanych przez naszych fizyków. Ich sugestie, że poziom wytworzonego promieniowania radioaktywnego będzie nieszkodliwy, zostały potwierdzone przez pomiary dokonane po detonacji. Jesteśmy pewni, że Stany Zjednoczone również dokonały takich pomiarów, dochodząc do tego samego wniosku.

Oświadczenie Izraela było prawdziwe, jednakże Swift nie zamierzał się z nim zgodzić. Ograniczył się do uwagi:

- Izrael zawsze twierdził, że nie stanie się państwem, które pierwsze zastosuje broń jądrową na Bliskim Wschodzie.

- Byliśmy tego zdania, zanim jeszcze staliśmy się ofiarą prawie codziennych nalotów dokonywanych przez bombowce OWP - odparł Efrat. - Panie sekretarzu, nie chcieliśmy użyć tej broni - zostaliśmy do tego zmuszeni. Nie mamy innej możliwości przeciwstawienia się tym okrutnym atakom na naszą ludność. Stany Zjednoczone odmówiły dostarczenia nam myśliwca przechwytyjącego B9 o wysokim pułapie, tak więc zostaliśmy zmuszeni do wykorzystania tego, co posiadamy.

Swift zrobił niezadowoloną minę.

- Panie Efrat, jeżeli swoimi słowami próbuje pan zmusić nas do rewizji umów o dostawach broni, to ten sposób nie skutkuje.

Insynuacja ta nie wywołała gwałtownego sprzeciwu u doświadczonego dyplomaty.

Spojrzał jedynie na Swifta i odparł:

- Nigdy nie były one wypowiedziane z takim zamiarem. Zostaliśmy zmuszeni do takiego pociągnięcia. Podczas nalotów zginęło ponad dwa tysiące osób cywilnych. Żaden z rządów nie będzie beczynnie czekał, przyglądając się rzezi niewinnych mężczyzn, kobiet i dzieci, jeżeli ma środki zapobieżenia takim zbrodniom. Rzeczywiście, mamy takie środki. Wykorzystaliśmy je i dokonamy tego ponownie.

Zaraz potem Efrat złożył oświadczenie, które zupełnie zmroziło Swifta.

- Panie sekretarzu, jesteśmy zapędzani w ciemny, wrogi nam zaułek. Jeżeli nasze działania doprowadzą do holocaustu w skali całej kuli ziemskiej, niech tak będzie. Dzieci Izraela nie mają nic do stracenia.

Przez dłuższą chwilę Swift nie potrafił zebrać myśli, aby coś odpowiedzieć.

- Uważam - powiedział wolno Efrat - że pomocne byłoby tutaj spotkanie prezydenta Hadleya z naszym premierem.

Gdy Efrat opuścił Departament Stanu w towarzystwie swoich trzech ochroniarzy, zaczął właśnie padać śnieg. Byli to *marines* w cywilnych ubraniach; ich oczy obserwowały wszystko z wyjątkiem powierzonej ich opiece osoby.

- Wesółych świąt, panie ambasadorze - odezwał się jeden z nich, przytrzymując tylne drzwi samochodu Efrata.

Efrat popatrzył na niego ze zdziwieniem.

- Dzisiaj jest Wigilia - wyjaśnił *marine*.

## 50.

- Nie zgadzam się z decyzją Heinleina wybrania O'Hary - powiedział z naciskiem Jason Pelham do Earla Hacketta. - W umowie jest klauzula, która daje nam prawo sprzeciwienia się klientowi w odniesieniu do wybranego przez niego specjalisty od ładunków. Chcę, żebyśmy z niej skorzystali.

Zwykle w takich wypadkach Hackett był skłonny się z nim zgodzić, tym razem jednak postanowił uprzeć się przy swoim. Powiedział sobie, że nie ustąpi Pelhamowi.

- Nie widzę żadnego istotnego powodu, dla którego mielibyśmy odrzucić O'Harę - odpowiedział.

Twarz Pelhama zachmurzyła się wobec niespodziewanego ataku na jego autorytet, jednakże mówił dalej spokojnym, rzeczowym głosem.

- Jeżeli orzeczenie o spowodowaniu śmierci astronauty nie jest istotnym powodem, to



bardzo chciałbym się dowiedzieć, co nim jest.

Hackett nawet nie drgnął pod jego ciężkim spojrzeniem.

- Jasonie, jest wiele rzeczy, za które cię podziwiam, lecz również dużo, z powodu których cię nie lubię. Jednakże nigdy nie podejrzewałem, że uwierzysz w to, co sam przekręciłeś. Obaj znamy prawdę o O'Harze. Mój Boże, już dość bezsennych nocy spędziłem rozmyślając nad tym, jak go zbluzgano. Teraz, kiedy dostał porządną robotę, nie będę tym, który da mu ponownego kopniaka.

W twarzy Pelhama nie drgnął ani jeden mięsień.

- Jeżeli nie stać cię na protest, to znajdę sobie dyrektora do spraw eksploatacji promów, który się na to zdobędzie.

Groźba ta nie poruszyła Hacketta. Miał w kieszeni trzyletnią umowę.

- Spróbuj tylko, Jasonie, a nie tylko będzie cię czekał proces sądowy, lecz również opowiem całą historię O'Hary wszystkim dziennikarzom w ośrodku. I nie chciałbym znaleźć się za blisko, gdy kongresman Williams dowie się, że dowody zostały celowo zatajone przed komisją rewizyjną.

Ton głosu Pelhama stał się jeszcze bardziej lodowaty, jednakże jego odpowiedź była równoważna z kapitulacją.

- Myślę, że zanim zupełnie stracimy panowanie nad sobą, dobrze by było przenieść analizę tej sytuacji na nowy rok.

Wracając do swojego biura Earl Hackett pomyślał, że wreszcie udało mu się wygrać rundę z Pelhamem. A jeżeli wygrał jedną rundę, to dlaczego nie miałby wygrać całej bitwy? Na tę myśl zaczął iść o wiele bardziej energicznym krokiem.

## 51.

Nowy rok i nowa praca. Lena spoglądała z ufnością na pierwszą z tych rzeczy, natomiast drugą zajęła się z entuzjazmem i z pełną energią.

Zorganizowała biurowy bank pamięci na laserowych dyskach, zatrudniła doświadczoną stenografistkę, otrzymała zgodę Heinleina na podpisywanie czeków do wysokości tysiąca dolarów oraz rozliczała gwałtownie spływające rachunki. Przekopywała się systematycznie przez stertę pozostawionych bez odpowiedzi wiadomości teletextu oraz listów nadesłanych z uniwersytetu w Surrey, a nawet zmusiła Heinleina do dotrzymania obietnicy zatrudnienia mechanika zajmującego się prowadzeniem warsztatu napraw. Zgodził się na to, a ona rozesłała ogłoszenia i zaczęła badać zgłaszających się kandydatów.

Powrót Neila do Ośrodka Badań Kosmicznych im. Kennedy'ego po dość kłopotliwym okresie rozejmu z Heleną i dziećmi na czas Bożego Narodzenia, zaczął się od szczerego uścisku dłoni i mocnego palnięcia w plecy otrzymanego od Earla Hacketta.

- Miło cię znowu zobaczyć u nas, Neil. Mam nadzieję, że dostałeś już wszystkie informacje o ładunku. Wyślemy zespół do Zjednoczonego Królestwa, aby doradzić im, jak go rozmieścić na paletach. Paul Quincy widział już na własne oczy część hologramowych zapisów, jednak wobec tego, że sam się tam wkrótce wybierasz, może byś tak mu doradził, z jakimi problemami musimy się jeszcze liczyć?

Neil spędził większą część dnia na obchodzie obiektów i odnawianiu starych znajomości. Wszyscy, których spotkał - astronauci, obsługa naziemna, technicy - cieszyli się na jego widok. Nikt nie wspominał o śmierci Ala i nikt nie uczynił ani nawet cienia zarzutu w związku z tą sprawą. Czuł, że ciągle jeszcze wisi w powietrzu pogarda do Jasona Pelhama, która może się nawet wzmogła. Jednakże trzymano języki za zębami, ponieważ chodziły słuchy o tym, że Pelham opracowuje program budowy hotelu orbitalnego, mającego zapewnić ludziom zatrudnienie na parę lat.

Tego popołudnia Neil powrócił do Titusville później i zaparkował naprawiony winnebag w chwili, kiedy Lena zamykała biuro. Obcisłe dżinsy i podkoszulek przeszły już do historii. Od czasu objęcia nowej posady wydała sporo pieniędzy na garderobę. Dziś miała na sobie kaszmirową spódniczkę i białą jedwabną bluzkę.

- Czy wiedziałaś o tym - zapytał po tym, jak się obróciła, omal na niego nie wpadając - że mam słabość do sekretarek w jedwabnych ciuchach? Czy Tweedledum i Tweedledee zdążyli na lot?

Lena zachichotała słysząc przezwiska nadane Heinleinowi i Sarchy.

- O tej porze powinni już być w Londynie. A dla ciebie zrobiłam rezerwację na przyszły tydzień. Jak minął powrót czarnej owcy do stada?

- Jedyne, czego mi brakuje dzisiaj do szczęścia, to móc cię zaprosić gdzieś wieczorem.

- Dobrze. Jednak chciałabym pojechać najpierw do domu i trochę się odświeżyć.

Neil nie mógł uwierzyć swojemu szczęściu. Jego poprzednie podchody zakończyły się odmową z jej strony. Zawsze tłumaczyła się nawałem pracy. Wskazał palcem na wóz kempingowy.

- Po co jechać taki kawał do domu. Mogłabyś skorzystać z tego.

- Jeżeli liczysz na to, że zdobędziesz moje względy swoim gotowaniem, to sobie od razu wybij z głowy.

- Myślałem o drogiej restauracji - odpowiedział niedbale Neil. - Dokąd tylko zechcesz

pójść. Dzisiaj ty rządzisz.

Lena rzuciła mu szelmowski uśmiech.

- Okay. „U Vera”.

Wytrzeszczył na nią oczy w udawanym zdumieniu.

- „U Vera”! Chcesz mnie zrujnować?

- Ja tutaj dzisiaj rządzę - przypomniała mu Lena.

- W takim razie niech będzie „U Vera” - odparł zrezygnowanym tonem Neil, otwierając Lenie drzwi wozu kempingowego. Zaryzykował lekkie klepięcie jej w chwili, gdy sadowiła się na fotelu obok kierowcy - pierwsze tego rodzaju dotknięcie jej ciała. - Wydaje mi się, że warto zainwestować w ciebie jedno danie - ale pamiętaj, żadnych dodatkowych sałatek.

Ku radości Neila Lena nie zaprotestowała na klepięcie. Zaśmiała się gardłowo, kiedy uruchomił silnik.

- Niech będzie. Chcę tylko podwójną porcję homara.

- Pragniesz chyba mojego upadku.

- Czemu nie, skarbie - rzuciła Lena, wpadając w imitację akcentu z południa Stanów. -

A czy ty nie chcesz mojego upadku?

Neil dostosował się do jej nastroju i uśmiechnął obleśnie ze słowami:

- Wszystko w swoim czasie, skarbie, wszystko w swoim czasie.

Kolacja udała się wspaniale, chociaż później Neil nie potrafił sobie przypomnieć, co jadł. Jego cała uwaga była zwrócona na Lenę, jej błyskotliwy sposób mówienia oraz prawdziwy ciepły uśmiech, jakim go obdarzała, gdy udało mu się dowcipnie odpowiedzieć. W pewnym momencie położyła nawet swoją dłoń na jego dłoni; krótkie, podniecające dotknięcie, które, o co się modlił, nie było tylko skutkiem nadmiernej ilości wypitego wina.

W czasie jazdy powrotnej do domu ich rozmowa kręciła się wokół osób Heinleina i Sarchy.

- Dziwna z nich para - zgodził się Neil. - Nie sądzisz chyba, że to pedały?

- Na pewno nie, sądząc ze sposobu, w jaki gapi się na mnie Sarcha, gdy mu się wydaje, że tego nie widzę. Ale dziwny z niego gość. Bardzo dziwny.

- Tweedledee? Dlaczego?

- Jak myślisz, ile on waży?

Neil pomyślał przez chwilę.

- Jest z niego grubasek. Powiedziałbym dwieście funtów. Dwieście dwadzieścia.

- Zgadza się. A jednak ten facet potrafi poruszać się niczym duch.

Neil spojrział z boku na Lenę.

- Co potrafi?

- Potrafi wejść do biura nie robiąc przy tym żadnego hałasu. A schody prowadzące do magazynu skrzypią. Zawsze się wie, gdy ktoś po nich idzie. Lecz nie w przypadku Sarchy. Ten to może iść do góry, a schody nie wydadzą żadnego dźwięku. Czy nie sądzisz, że to dziwne?

- Dziwne - zgodził się Neil.

Lena zauważyła spojrzenie Neila wbite w wielki, oświetlony znak Ośrodka Kennedy'ego.

- Brakuje ci go, no nie?

Neil skinął głową.

- Bardziej, niż potrafię wyrazić to słowami. Powrót na określony czas jedynie pogorszył tę sytuację, przypominając mi, co utraciłem. Gdy tylko wykonam to zadanie, wszystko się skończy.

- A czego brakuje ci najbardziej? Życia w zespole? Kosmosu? Pieniędzy?

Neil namyślił się starannie nad odpowiedzią.

- Najbardziej to kosmosu. Jest to rzecz, którą rozumiem. Sam pobyt tam wystarcza, aby problemy na Ziemi wydawały się nieistotne. Regularne pobyty w kosmosie sprawiają, że niektórzy astronauty nie radzą sobie z problemami na Ziemi. A im bardziej nie dają sobie rady, tym bardziej potrzebny jest im powrót do kosmosu. To działa jak narkotyk.

- Czy dlatego rozpadło się twoje małżeństwo?

- To był jeden z powodów. Tak - sądzę, że to był główny powód. Nie stać mnie było nawet na spory z Heleną, podczas gdy sporadyczne kłótnie mogłyby może oczyścić atmosferę. A później pozwoliłem jej prawnikom chodzić mi po głowie.

Jechali przez pewien czas w milczeniu, aż Lena nagle powiedziała:

- W dalszym ciągu ja tutaj rządzę. Jedźmy na plażę. Jest wspaniała noc na spacer.

Neil nie oponował. Była to szansa na przedłużenie magii tego wieczoru. Zjechał z autostrady zatrzymując wóz kempingowy na poboczu drogi biegnącej skrajem wybrzeża, z której roztaczał się widok na opustoszały kawałek Plaży Satelitów. Szli razem przez plażę, potykając się od czasu do czasu o koleiny wyżłobione w piasku przez koła pojazdów terenowych. Wiatr ucichł. Była ciepła, spokojna noc, a jedynym dźwiękiem był odgłos fal toczących się aż do zgnięcia w obłoku białej piany.

Lena zatrzymała się nagle i zaczęła rozpinać bluzkę.

- Dalej - rzuciła rozkazującym tonem - pójdziemy sobie popływać.

- Co znowu?

- Będziemy pływać. Ja tutaj rządę.

Biała bluzka opadła na piasek. Neil widział przez moment jej podniecające piersi, zanim odwróciła się rozpinając spódniczkę. W następnej chwili jej ciało zmieniło się w ciemny, prawie niewidoczny kształt niknący na tle oceanu.

- Chodźesz, ty tchórze - usłyszał jej głos przyzywający go z ciemności.

Neil pozbył się w parę sekund ubrania i popędził w jej kierunku.

- Lena, hej! - krzyknął rozbryzgując wodę w biegu, i prawie tracąc równowagę pod uderzeniem fali. - Lena! Gdzie jesteś, do diabła?

Z tyłu dobiegł go chichot, doskonale słyszalny ponad grzmotem toczących się fal. Poczul parę rąk oplatających mu kark, parę piersi przytulających się do niego, i Lena wpiła w jego usta swoje wargi. Stracił równowagę i upadł, pociągając ją za sobą. Obejmowali się mocno w strumieniach ciepłej wody przyływu. Lena cicho jęczała, napierając swoim naprężonym ciałem na pieszczącą ją rękę.

Jest taka stara przypowieść o siódmej fali. Neila nie obchodziło to, czy fala, która się na niego uwzięła, była siódmą, siedemdziesiątą czy nawet siedemsetną z rzędu. Faktem jest, że dokładnie w chwili, kiedy opadł na oczekujące go ciało Leny, ta właśnie fala uderzyła go w krzyże z siłą pociągu ekspresowego, a następnie wyrzuciła go jak z katapulty tak, że pofrunął wymachując rękami i nogami ponad Leną w powietrzu, opadając na plażę o cztery metry dalej. Jakby nie w pełni usatysfakcjonowana z ciśnięcia go o ziemię, złośliwa ściana wody dała bis na koniec swej podróży przez sześć tysięcy mil oceanu, zapychając mu usta mieszaniną piachu i wody morskiej. Ta sama fala przetoczyła parę razy Lenę, jednakże oszczędzając jej upokorzenia, jakie przypadło Neilowi. Lena podniosła się na kolana, po czym natychmiast zgięła się wpół zanosząc się od śmiechu na widok krztuszącego się, plującego i przeklinającego Neila.

- Coś takiego nigdy nie przydarzyło się Burtowi Lancasterowi i Deborze Kerr - wyjęczał, ocierając usta o ramię Leny, która pomogła mu wstać.

- A oni co robili?

- Kochali się w morzu. Na starym filmie, który widziałem tydzień temu. - Wykrzywił się, wypluwając jeszcze więcej piachu.

Lena przyciągnęła go do siebie.

- Ja tutaj rządę - więc pokaż mi, jak to było.

W odpowiedzi na jej polecenie Neil wziął ją na rękę, zanosząc następnie w kierunku wozu kempingowego, gdzie mieli szerokie, wygodne łóżko i gdzie nie mogły już ich dosięgnąć fale.

## 52.

Sarcha nie potrafił zdecydować się, czy woli ponury, przejmujący chłodem wiatr smagający ciemną ulicę w południowej części Londynu od cieplejszego klimatu Florydy, jednakże co do jednej rzeczy miał zupełną jasność; nie lubił, gdy ktoś wbijał mu w żebra lufę pistoletu lub dokładniej: w tłuszcz je porastający. Nie podobał mu się także irlandzki akcent, którym mówiło dwóch zbirów wbijających w niego owe lufy. Poczul też natychmiastową niechęć do poobijanego forda, do którego wedle życzenia irlandzkich akcentów miał wsiąść razem z Heinleinem.

- Na rany boskie, Sarcha - wymamrotał Heinlein, zacieśniając uchwyt dłoni na rączce od teczki - wsiadaj i przestań marudzić.

Sarcha westchnął i schylił się, aby wejść do samochodu. W następnym momencie dokonał czegoś niezwykłego jak na mężczyznę o jego wadze - ruchem tak szybkim, że trudno go było dojrzeć, przekręcił ciało na bok i zadał cios piętą. Mężczyzna znajdujący się bezpośrednio za nim upadł na ziemię, nie mogąc z bólu złapać tchu, zupełnie jakby kula armatnia trafiła go w krocze, natomiast ten za Heinleinem stęknął padając przed siebie po bocznym ciosie w szczękę, którego się wcale nie spodziewał. Sarcha rzucił się do przodu i pochwycił pistolet upuszczony przez pierwszego typa. Jednocześnie przygwoździł stopą nadgarstek drugiego faceta, który jęknął i wypuścił z ręki broń.

Heinlein krzyknął z rozpaczą:

- Sarcha, na rany boskie...

- Mieli nas spotkać w pubie i nie pokazali się - odparł Sarcha celując z pistoletu w stronę obu mężczyzn i podając Heinleinowi drugą sztukę broni. - Skąd, do cholery, mamy wiedzieć, że to są właśnie ci goście.

- Nie mieliśmy okazji, żeby ich sprawdzić, a oni żeby nas przekonać.

- Damy im okazję, lecz na naszych warunkach - odparł Sarcha.

Wskazał gwałtownie na samochód lufą pistoletu:

- Wy dwaj, siadać z przodu.

Spoglądając ze strachem na Sarchę i lufę pistoletu skierowaną ciągle w ich stronę drugi typ pomógł swemu poturbowanemu towarzyszowi wsiąść na miejsce obok kierowcy, a następnie sam usiadł za kierownicą.

- Zapiąć pasy - przypomniał Sarcha.

Mężczyzna zatrzasnął klamry. Heinlein i Sarcha usadowili się na tylnych siedzeniach.

Sarcha przycisnął lufę pistoletu do karku siedzącego przed nim mężczyzny i spojrzał pytająco na Heinleina.

- I jak to mówią? - zapytał. - Czy nie „zaprowadź mnie do swojego szefa?”

- Coś w tym rodzaju - zamruczał Heinlein.

\*\*\*

Jack Farley starannie policzył pliki używanych banknotów pięćdziesięciofuntowych, układając je w równe kupki na swoim biurku na oczach Heinleina i Sarchy. Faceci, którymi zajął się wcześniej Sarcha, siedzieli na krzesłach opatrując rany i spoglądając na niego spode łba. Wyraz ich twarzy wskazywał, że nie byli wdzięczni za lekcję walki udzieloną im przez pulchnego Anglika.

Piątka mężczyzn siedziała w biurze Farleya, którego ściany obwieszane były zdjęciami gołych bab. Biuro znajdowało się wewnątrz składu na terenie londyńskich doków. Jedynym poważnym dokumentem zawieszonym na ścianie wśród damskiej golizny był kalendarz firmy zajmującej się wysyłką towarów.

- Dwieście koła - oświadczył Farley miętosząc w palcach banknoty. - Przyjemnie. Bardzo przyjemnie. Rzecz jasna, mógłbym nalegać na zwiększenie wysokości zaliczki wobec obrażeń odniesionych przez moich asystentów.

- Na przyszłość niech pan dopilnuje, żeby stawiali się o wyznaczonej godzinie i w wyznaczonym miejscu - odparł Heinlein. - Zgodziliśmy się na zaliczkę równą jednej trzeciej sumy. I myślę, że orientuje się pan, do kogo należą te pieniądze.

Farley zaśmiał się. Nie miał zamiaru psuć swoich korzystnych układów z OWP.

- Okay, szefie. Więc jaki to będzie ładunek?

- To nasza sprawa.

Farley skinął głową.

- Niech będzie. Pytam tylko o przybliżone wymiary i wagę, po to, żeby wiedzieć, jaki wam będzie potrzebny kontener.

Heinlein spojrzał na dwóch osiłków. Farley skinął szybko głową i obaj wyszli z biura, przy czym drugi zanim zamknął za sobą drzwi, rzucił w stronę Sarcha szczególnie nieprzyjazne spojrzenie.

- Mam na myśli cztery cylindryczne przedmioty - zaczął Heinlein. - Każdy z nich o długości trzydziestu stóp, i średnicy w najgrubszym miejscu trzech stóp, o łącznej wadze osiemdziesięciu tysięcy funtów.

Farley kreślił coś niedbale w notesie.

- Czy te cylindryczne przedmioty znajdują się na jakichś kołyskach? - zapytał

mimochodem.

- Tak. Ale czy to ma jakieś znaczenie?

- Chcę się dowiedzieć, w jaki sposób uda mi się je zapakować do skrzyń, szefie. Czy można je rozmontować?

- Nie.

Obaj mężczyźni mogli równie dobrze omawiać ważniejsze cechy nowego samochodu. Farley dokonał paru obliczeń przy pomocy kalkulatora.

- Port załadunku?

- Izrael. Więc myślę, że musi to być Hajfa.

- Zgadza się. Kiedy?

- Luty lub marzec.

Farley skinął głową i otworzył informator wydany przez Stowarzyszenie Importerów Owoców. Skonsultował parę tabel, czyniąc dalsze zapiski.

- Byłoby łatwiej, gdyby się pan zdecydował na pierwsze dni marca. W ten sposób trafimy na koniec sezonu na pomarańcze. Zastosujemy kontenery numer 32 na owoce. Wykonane z aluminium. Ogromne sukinsyny. Są hermetycznie zamknięte i wypełnione azotem, co pozwala utrzymać owoce w świeżości. Celnicy sprawdzają przez wypuszczenie odrobiny gazu, i to im wystarcza. Również po hermetycznym zamknięciu można je złożyć na pokładzie. W ten sposób można być pewnym, że się załapie na rejs. Te trzydziestki dwójki zajmują masę miejsca w ładowni.

- Okay - odparł Heinlein. - Niech będzie początek marca.

Po następnych pięciu minutach, jakie upłynęły im na uzgadnianiu ostatnich szczegółów, Heinlein i Sarcha uścisnęli dłoń Farleya. Najmniej poturbowany osiłek zawiózł obu gości na parking znajdujący się na Park Lane, gdzie Sarcha zostawił rolls-royce'a.

- Poszło gładko - skomentował Sarcha podczas jazdy na południe od Londynu wzdłuż A3, w stronę Guildford. Wracali do Thursley Hall - swojej tajemnej bazy w Zjednoczonym Królestwie. - Za pieniądze wszystko się kupi.

- Nie kupi się czterech Masad - powiedział sucho Heinlein. - Załatwienie ich będzie cholerną akcją.

Sarcha zachichotał.

- Davidzie, chłopie kochany. Jesteś beznadziejny w akcji, czego dałeś dowód pozwalając tym dwóm drabom wejść sobie na głowę, jednak mocno wierzę w twoje talenty w planowaniu.

Heinlein chciał chociaż raz podzielić zaufanie, jakie Sarcha miał do jego możliwości.



Tej nocy, po powrocie do Thursley Hall, nie potrafił zasnąć martwiąc się z powodu zbliżającego się terminu operacji. Kiedy już w domu zapanowała cisza, połączył się z numerem w Tel Awiwie. Telefon dzwonił przez minutę, zanim odebrał go ktoś podający się za „Ben Yaira”.

- Jak dotąd wszystko idzie według planu - zameldował Heinlein, gdy jego głos został już zidentyfikowany. - NASA domaga się ode mnie wyznaczenia daty startu. Najchętniej w pierwszej połowie maja.

- W tej sprawie będzie musiał pan zadzwonić jutro - odparł Greer. Heinlein rzucił ostrożnie wzrokiem na drzwi, Sarcha miał lekki sen, i pamiętał też o tym, że gruby Anglik potrafi poruszać się jak kot. - Mogę nie mieć takiej możliwości. Potrzebuję teraz chociaż przybliżoną datę.

Greer odezwał się po dłuższej przerwie.

- Okay. Jak na razie niech pan się z nimi umówi na dziesiątego maja, a my potwierdzimy tę datę w czasie następnej rozmowy.

## 53.

Neil sprawdził, czy odpowiednie światła na konsoli R-13 świecą się na zielono, co oznaczało, że wszystkie zamki drzwi luku ładunkowego promu zostały zamknięte, zgłaszając tę wiadomość Jimowi Baylissowi siedzącemu w fotelu dowódcy statku.

- Okay, bardzo dobrze, Neil - odparł instruktor. Skasował ostatnie zapisy w elektronicznym notesie i podniósł się z fotela pilota. - Uważam, że dalsze symulacje wyładunku nie mają sensu do czasu, aż uniwersytet w Surrey powiadomi nas, w jaki sposób chcą, abyśmy go przeprowadzili.

Neil zszedł z tylnej załogowej platformy stacji, wdychając z lubością budzący wspomnienia zapach płynu hydraulicznego, którym przesiąknięte były nawet symulatory promów. Dwie poprzednie godziny doprowadziły jego zdolność koncentracji do prawie zupełnego wyczerpania, lecz nie zważał na to - był z powrotem w NASA, pracując ze starymi kumplami.

Bayliss klepnął Neila po plecach, kiedy już zeszli z pokładu.

- Nieźle poszło, Neil. Spytam Earla, czy będę mógł polecieć z twoim ładunkiem. Nieźle by było móc znowu być razem, no nie?

Neil przytaknął ze śmiechem, wychodząc za Baylisse z symulatora lotu. Technik krzyknął do Neila, że ktoś chce z nim rozmawiać przez telefon. Był to Hackett.

- No i jak poszedł lot, Neil?

- Bez problemów, Earl. Nie możemy zakończyć programu symulacji, dopóki nie dowiemy się dokładnie, jakiego typu mamy ładunek. W przyszłym tygodniu jadę do Zjednoczonego Królestwa, tak że wydębię dla symulatora w Surrey konfigurację masy *Cyklopa*.

- Dobrze - odparł Hackett - Heinlein zaproponował dziesiątego maja na datę startu, co mi odpowiada. Możemy, rzecz jasna, sprecyzować datę za tydzień. Wpadnij do mnie do biura, żebyśmy mogli dograć grafik.

- W porządku, Earl.

- Twój szef, Heinlein, chce się wybrać tym lotem. Nie widzę powodu, dla którego można by mu odmówić, jednak będzie musiał przejść przez komisję lekarską i szkolenie awaryjne. Znasz przepisy. Tak więc niech ci poda parę dat, a ty zatwierdź je u Franka.

Neil zaciekał się.

- Mówisz więc, że Heinlein chce polecieć?

- Jasne.

- A w jakim charakterze?

Hackett roześmiał się.

- Myślę, że tylko po to, żeby się przelecieć. Nie ma powodu, dla którego nie miałby polecieć jako obserwator. Nie mam mu tego za złe. On płaci, a wy polecicie jako zasadnicza załoga, tak więc będzie mnóstwo wolnego miejsca. Powiedz mu tylko, że wymagasz od niego tych badań lekarskich i szkolenia awaryjnego, okay?

- Powiem mu - obiecał Neil odkładając słuchawkę.

## 54.

- Przetrzyliśmy wrzawę, jaka podniosła się po zastosowaniu przez nas taktycznej głowicy nuklearnej - próbował przekonać wszystkich Michael Greer w czasie porannej sesji Doraznej Komisji Obrony. - Zgadza się, że sposób użycia Masady nie był najzręczniejszy, lecz...

- Jedynym powodem, dla którego udało się nam przetrzymać tę wrzawę było to, że Maken nie przyznał się, iż zestrzeliliśmy trzy z jego samolotów - przerwał Ben Irving. - Ich zestrzelenie podniosło ogromnie nasze morale, ale na tym to się skończyło. Był to fuks, który się więcej już nie powtórzy. Dlatego też uważam, że użycie Masady jako broni operacyjnej przed ukończeniem pracy nad silnikiem dodatkowym było błędem.

- Skąd pan wie, że to się więcej nie powtórzy? - zapytał Rymann.

Głównodowodzący Chel Ha'Avir splótł mocne palce oparte na blacie stołu z drzewa różanego i pochylił się do przodu - była to jego charakterystyczna postawa w czasie sporów.

- Wszyscy wiemy o tym, że Maken ma operacyjny zespół badawczy, i wiemy również, że jest on dobry. Nie będą musieli zbytnio męczyć komputerów, aby wyliczyć, że zastosowaliśmy taktykę przewidywania toru lotu z czasów drugiej wojny światowej oraz bliskiego wybuchu dla zestrzelenia tych samolotów. W czasie następnego nalotu zmienią wysokość lotu i kurs po włączeniu urządzeń zakłócających, a my wrócimy do punktu wyjścia. Wprowadzenie Masady na pierwszą linię byłoby marnowaniem ludzi oraz posiadanych zasobów. Istnieje szalona różnica między wysłaniem pary transporterów z Masadami do paru wybranych baz a wykorzystaniem ich jako w pełni operacyjnej broni z pełnym wsparciem.

Kłótnia toczyła się przez następne trzydzieści minut i zakończyła stwierdzeniem Rymanna, że postanawia wprowadzić Masady do działań. Oświadczył, że takie zalecenie otrzyma gabinet od Dorażnej Komisji Obrony.

Rymann zwrócił się do ministra spraw zagranicznych:

- Jak wygląda sprawa mojej wizyty w Waszyngtonie?

Samuel Kuttner przerzucił kilka papierów.

- Departament Stanu USA zgadza się w zasadzie na dwudniową wizytę w czasie następnego paru tygodni.

Rymann podniósł pytający wzrok na Greera.

- Czy masz jakieś uwagi, Michaelu?

- Tak. Za wcześnie jeszcze, aby Departament Stanu mógł układać terminarz Hadleya na maj, tak więc sugeruję, żebyśmy powrócili do tej sprawy w tym czasie. Spróbuj załatwić termin na dziesiątego i jedenastego maja.

Rymann spojrzał na niego z zadowoleniem.

- Co znaczy, że wrócimy na czas obchodów Dnia Niepodległości czternastego. - Uśmiechnął się do Greera siedzącego po przeciwnej stronie stołu. - Możemy mieć dodatkowy powód do radości, nieprawdaż, Michaelu?

- Z tego powodu zaproponowałem te daty - odparł z krzywym uśmiechem Greer.

## 55.

Sarcha był przekonany, że napotkają z Heinleinem problemy ze służbą imigracyjną na lotnisku Ben Gurion, jako że ich ostatni wyjazd z Izraela pontonem i głęboką nocą nie był,

rzecz jasna, zarejestrowany w paszportach. Na szczęście dziewczyna obsługująca to stanowisko sprawdziła jedynie, czy ich paszporty są ważne, zadała parę zdawkowych pytań na temat ich pobytu, po czym pozwoliła im przejść. Wsiedli do taksówki każąc się zawieźć do Tel Awiwu, zameldowali się w hotelu Plaza, po czym wynajęli samochód.

- Będzie niezła chryja, jeśli rozpozna nas jeden z tych handlarzy diamentami - zauważył Sarcha, gdy obaj z Heinleinem wylegiwali się nad brzegiem hotelowego basenu.

Heinlein zarechotał i pomachał drinkiem w kierunku gromadki ubranych w bikini dziewcząt, wygrzewających się w ciepłych, styczniowych promieniach słońca.

- Jest to zupełnie wykluczone tak długo, jak one są tutaj - co sprowadza się do dwunastu miesięcy w roku.

- Chyba że widok czyjś cyca obudzi drzemiacą w nich chuć?

- Chyba że. Handlarze nie zbliżą się nawet o milę do tego miejsca. A tak w ogóle, to w prasie nie było ani jednego słówka na temat diamentów.

- To prawda - przyznał Sarcha. - Davidzie, tak więc kiedy, mój chłopcze, i w jaki sposób zamierzamy przesłać nasze „pomarańczki”?

- Jeśli chodzi o porę, to w czasie następnych pięciu tygodni - odparł Heinlein. - Natomiast pytanie „jak” nadal pozostaje naczelną kwestią, nad którą łamię sobie głowę.

- Łam sobie, łam - powiedział z zadowoleniem Sarcha sącząc drinka, i bez żadnych skrępowań pozwalając najbliższej stojącej postaci w bikini budzić swoje grzeszne żądze.

- Jedyne, co mamy, to numer pośrednika Jacka Farleya w Hajfie, który nazywa się Harry Laffin.

Sarcha prychnął.

- Ten nie powie nam, gdzie można znaleźć pomarańcze.

- Chciałem jedynie wyliczyć problemy, jakie mamy przed sobą. Nie zapominaj jednak, że znajdowałem się kiedyś po stronie mundurowych prowadzących ten pomarańczowy interes.

Sarcha przechylił swoje cielsko na jedną stronę i spojrzał z ukosa na Heinleina.

- Davidzie, chłopie kochany, niech ci coś powiem. Istnieje ogromna różnica między zajęciem się gromadą szacownych handlarzy diamentami jadącymi autobusem wycieczkowym a ubiciem interesu na rynku owocowym. Po pierwsze, staniemy wobec całej bandy zawodowców schowanych za koleczastym drutem i uzbrojonych po zęby w Bóg raczy wiedzieć co. A każde ubicie interesu będzie takim, o jakim nie pozwala mi myśleć moje wstrętne tchórzostwo.

Heinlein podniósł się.

- Przestań, Sarcha. Właściwie możemy od razu zabrać się do roboty. Chodź, wybierzemy się samochodem na przejażdżkę.

Sarcha rzucił dziewczętom smutne, pożegnalne spojrzenie, po czym podniósł swoje otyłe cielsko z leżaka.

- Czy słyszałeś już kiedyś o Ta'as? - Heinlein zapytał Sarchę, gdy jechali na południe wzdłuż bulwaru Herberta Samuela.

- Coś mi się obilo o uszy. Producenci broni?

- Zgadza się - odparł Heinlein. - Ta'as to zespół państwowych fabryk w Izraelu - Izraelskie Zakłady Wojskowe. Produkują wszystko pod słońcem, co tylko potrafi narobić huku - począwszy od spłonek, a skończywszy na czołgach.

- I również robią Masady?

- Zgadza się. - Minąwszy delfinarium Tel Awiwu Heinlein skręcił w lewo, jadąc przez przedmieścia w kierunku południowej stacji kolejowej. - Jednakże nie produkuje się ich w jednym miejscu. Elektronikę robi Tadiran. Dzioby wytwarza mleczarnia w Ejlat. Zbiorniki paliwa są produkowane w zakładzie, który widać teraz z prawej strony. Nie gap się na niego tak otwarcie.

Oczy Sarchy przesunęły się w prawo, ogarniając rozpadającą się fabryczkę, siedzącą nisko nad ziemią za zasiekami z zardzewiałego drutu.

- Nie wygląda za dobrze - skomentował.

Heinlein zwolnił na skrzyżowaniu.

- Żadna z nich nie prezentuje się za dobrze. Wcale nie mają sprawiać wrażenia kluczowych zakładów w programie produkcji rakiet. - Dodał gazu. - Z lewej strony następny zakład Ta'as. Lecz ci akurat niczego nie produkują.

Sarcha rzucił szybko okiem na pozbawiony okien betonowy budynek. Według widocznego na zewnątrz szyldu był to magazyn farb.

- Więc czym się zajmują?

- Przechowują głowice Masad do czasu, kiedy są gotowe do transportu do zakładu, który widać teraz przed nami. Przyjrzyj mu się dobrze, kiedy się zatrzymam.

Heinlein zatrzymał się na skrzyżowaniu. Na drodze panował duży ruch. Musiał odczekać ze dwie minuty na przerwę w potoku pojazdów, co dało Sarchy możliwość bliższego przyjrzenia się Izraelskim Zakładom Szlachetnych Metali. Dla niewprawnego oka nie było niczego niezwykłego w wyglądzie nowoczesnego, piętrowego budynku przemysłowego oprócz tego, że był on dość mocno odsunięty od drogi i leżał na własnej, pofałdowanej i zadbanej parceli. Oczy Sarchy nie robiły tego po raz pierwszy, toteż

natychmiast wychwycił on szereg podpadających szczegółów.

- Zauważyłeś coś? - zapytał Heinlein, gdy samochód ponownie ruszył.

- Budynek jest otoczony ładnym trawnikiem. A ozdobne głązy na obrzeżu drogi powodują, że nagły wyjazd z tego miejsca jest omal niemożliwy - w szczególności te rustykalne dębowe wrota sprawiają wrażenie, jak gdyby potrafiły zatrzymać czołg. Również kąt, pod jakim nachylone są trawniki wokół tego obiektu, jest tak pomyślany, że podmuch od bomb zostanie skierowany ku górze. A kopuła nad kortem tenisowym na dachu osłania przypuszczalnie urządzenia radarowe i działka przeciwlotnicze raczej niż sam kort. Aha, coś jeszcze - górna krawędź zasieków jest pod napięciem. Udało mi się zobaczyć kable zasilające. Pomijając to wszystko, to jeszcze jeden przytulny zakładzik.

Heinlein zaśmiał się.

- Sarcha, trafiłeś w dziesiątkę.

- Jest to również cholerne miejsce do opanowania. Jeżeli zamierzasz robić coś w tym kierunku, to wolałbym się przyglądać temu z boku.

- Wcale nie będziemy musieli go zająć - odparł Heinlein, jadąc dalej, aż dotarli do miejsca zabudowanego gęsto biurkami. Zatrzymał samochód pod wyniosłym, aczkolwiek opuszczonym wieżowcem.

- Tak więc, co oficjalnie produkują Izraelskie Zakłady Metali Szlachetnych? - zapytał Sarcha.

- Matryce pierścionków dla zakładów jubilerskich. Złote łańcuszki i temu podobne rzeczy.

- Jest to ładny pretekst dla ścisłej ochrony zakładu - zauważył Sarcha.

- Zgadza się. Zatrudniają około dwustu osób w normalnej produkcji, lecz jest jeszcze pięćdziesiąt innych w wydziale specjalnych produktów. Ich praca polega na montowaniu Masad.

- Kompletnych, razem z głowicami?

- Kompletnych, z jądrowymi głowicami - potwierdził Heinlein.

Sarcha aż gwizdnął.

- Muszą mieć jakieś miejsce do ich produkcji - mówił dalej Heinlein. - Główny zakład trudniący się produkcją materiałów nuklearnych jest zbyt dobrze znany, tak więc Ta'as założyło to miejsce. Po Masady przyjeżdża wojskowa przyczepa niskopodwoziowa. Zabiera naraz cztery Masady znajdujące się już na własnej wyrzutni.

- Ilu ludzi?

- Jedynie kierowca i jego pomocnik - odparł Heinlein. - Każda większa liczba

zwracałyby uwagę. Regularni pracownicy zakładu mogliby zacząć gadać.

Sarcha popatrzył na niego ze zdziwieniem.

- Skąd o tym wszystkim wiesz?

- Pracowałem nad zabezpieczeniem ochrony całej operacji. - Po tych słowach Heinlein wysiadł z samochodu i przyglądał się uważnie opuszczonemu, dwudziestopiętrowemu budynkowi.

- No i co o tym myślisz?

Sarcha spojrział na pusty budynek.

- A co mam niby myśleć?

- A może byś tak pomyślał o widoku, jaki rozciąga się z najwyższych pięter?

Sarcha zastanowił się. Wyszedł na środek drogi i spojrział za siebie, tam, skąd właśnie przyjechali. Powoli twarz rozjaśniła mu się w uśmiechu. - Powinien stamtąd być niezły widok na wjazd do Izraelskich Zakładów Metali Szlachetnych.

- Sarcha, powiem ci, że przewspaniały widok.

Obaj mężczyźni przespacerowali się na tyły budynku. Oglądali sobie dokładnie przestronny, zadaszony parking i rampy do rozładunku ciężarówek.

- Idealne - wymamrotał Heinlein, zapisując nazwę biura nieruchomości zajmującego się tą właśnie posesją.

- Nie myślisz chyba o kupowaniu tego miejsca? - zapytał Sarcha.

Heinlein spojrział na niego ze zdziwieniem.

- Do diabła, w żadnym wypadku. Spróbujmy go wynająć.

\*\*\*

List napisany na maszynie na papierze firmowym Zarządu Powierniczego im. Stavolosa przez hotelową sekretarkę i następnie doręczony przez posłańca Anglo-Saksońskiemu Biuru Pośrednictwa Nieruchomości sprawił, że agencja zatelefonowała przed upływem dwóch godzin. Heinlein wyznaczył spotkanie na to popołudnie, wracając o 15.00 i kręcąc w palcach pęk kluczy, które następnie cisnął na stół obok Sarchy.

- Wynajem na sześć miesięcy - oznajmił Heinlein. - Betka. - Spojrział na zegarek. - Mamy akurat dość czasu, żeby wybrać się na zakupy po największy teleskop, jaki można kupić w Tel Awiwie.

\*\*\*

Heinlein przyłożył oko do największego teleskopu w Tel Awiwie i wydał okrzyk rozczarowania.

- Wszystko jest obrócone do góry nogami.

- To dlatego, że jest to teleskop astronomiczny - wyjaśnił spokojnie Sarcha. - Ale powiedz sam, czy nie daje fantastycznego powiększenia? Chcę powiedzieć, że patrząc przez ten okular człowiekowi wydaje się, że stoi tuż przed bramą tych zakładów.

- Trudno jest mi powiedzieć, czy masz rację, bowiem nigdy nie stałem na głowie przed bramą zakładów. - Heinlein odepchnął krzesło sprzed teleskopu, rozglądając się po pustych, przestronnych pomieszczeniach biurowych. Sarcha zamocował teleskop na trójnogu w znacznym oddaleniu od okien, tak że istniało małe prawdopodobieństwo, iż zostaną zauważeni z zewnątrz.

- Ci Palestyńczycy, których nająłeś do roboty z diamentami, byli naprawdę dobrzy.

Sarcha uśmiechnął się.

- Alef, jego brat i przyjaciele? Jasne, że są dobrzy. Sam ich wyszkoliłem. To moi starzy kumple.

- Czy mógłbyś ich jeszcze raz poszukać?

- Za te same pieniądze?

- Dwa razy tyle.

- Nie ma sprawy. Potrzebuję na to jeden dzień.

- Załatwione - odparł Heinlein. - Sprowadź ich tutaj. Będziemy potrzebowali samochód holowniczy i kilka pukawek. Wolałbym nie wypisywać całej listy potrzebnych zakupów. Możesz zacząć pracę od zaraz.

Sarcha wyglądał na rozczarowanego.

- Już teraz?

Heinlein zmarszczył brwi.

- Czy słowo „teraz” nie znaczy „natychmiast, w tej minucie”? Ależ tak, jestem o tym wręcz przekonany - chyba, że mój nauczyciel staroangielskiego kłamał.

- Ale ja zorganizowałem małą rozrywkę na dzisiejszy wieczór.

- Czy przez „rozrywkę” mam rozumieć obecność przedstawioelek słabej płci w naszych pokojach?

- Nie mogę powiedzieć, żeby słabo liczyły za swoje usługi - stwierdził ponuro Sarcha. - I do tego musiałem im zapłacić jedną czwartą z góry.

- Życie potrafi być niewyobrażalnie okrutne - zauważył Heinlein.

\*\*\*

Następnego dnia rano Heinlein kupił rocznego czarnego mercedesa od pośrednika z Tel Awiwu. Zdecydował się na czarny, ponieważ taki właśnie kolor aktualnie preferowały siły zbrojne dla samochodów sztabowych starszych oficerów Zahal.



Dwugodzinna jazda próbna do Jerozolimy i powrót drogą M1 pokazały, że auto jest w dobrym stanie. Po powrocie do Tel Awiwu odwiedził dużą firmę prowadzącą sprzedaż jachtów i przeglądał proponowane przez nią radiostacje statek-ziemia. Zatrzymał się przy drogim egzemplarzu yaesu - nie tyle z powodu jego ceny, ile przez posiadany przez niego zakres jednego metra.

- Trzy tysiące dolarów - powiedział z szacunkiem sprzedawca po obejrzeniu wizytówki Heinleina. - Jednakże to urządzenie nie obejmuje wszystkich zakresów. Konwerter zakresu jednego metra VHF został wymontowany ze względu na przepisy obrony.

Heinlein zmarszczył brwi.

- Co za przykra sprawa. Mogę potrzebować fali jednego metra, kiedy znajdę się na wodach amerykańskich.

- Jeszcze raz przepraszam pana, lecz nie wolno nam sprzedawać radiostacji, które działają na zakresie VHF zastrzeżonych dla wojska. - Sprzedawca uśmiechnął się porozumiewawczo. - Lecz przepisy nie mówią nic o tym, że nie wolno mi sprzedać konwertera, który został wymontowany. Nie wolno nam jedynie sprzedawać aparatów zdolnych do pracy na fali jednego metra. Konwerter bardzo łatwo podłączyć. Wystarczy zdjąć tylną osłonę, a zobaczy pan puste gniazdko.

Heinlein uśmiechnął się.

- Czasami wydaje mi się, że nasze przepisy i regulaminy są pisane przez zupełnych kretynów.

- Dokładnie to samo myślę.

Heinlein poczynił jeszcze parę zakupów, po czym wrócił do biurowca, gdzie parę godzin spędził na podłączaniu yaesu do instalacji elektrycznej samochodu. Wstawienie brakującego konwertera do jego gniazda nie było niczym trudnym; najgorszym zadaniem było wepchnięcie podsufitki mercedesa na jej miejsce po tym, jak przymocował taśmą do wewnętrznej strony dachu antenę kierunkową w postaci pętli z drutu.

Heinlein pojechał samochodem do centrum Tel Awiwu zabierając ze sobą owinięty w koc yaesu i nastawiając go na największą moc, jak również mając między siedzeniami schowany mikrofon, który ukradkiem uruchomił mijając sklep z telewizorami. Przebieg nośny z radiostacji skutecznie zniekształcił obraz na ekranach wszystkich telewizorów - zamieniając je na drgające desenie złożone z zygzakowatych, kolorowych linii tak długo, jak przytrzymał przycisk mikrofonu. Powtórzył tę sztukę parę minut później, czekając, aż zmienią się światła sygnalizacyjne. Przebieg nośny yaesu stłumił zupełnie łomot dobywający się z paru głośników samochodu czekającego przed nim.

Heinlein był zadowolony z pracy wykonanej tego dnia. Yaesu podłączony do anteny o niewłaściwych parametrach działał jak skuteczne urządzenie zagłuszające. Nadeszła pora zatelefonować do Tel Awiwu.

- Przykro mi, Davidzie - odparł Greer po wysłuchaniu prośby Heinleina. - Lecz nawet ja nie potrafię ci pomóc. Mają teraz nowy system wyznaczania pory przewożenia rakiet. Oficer transportowy decyduje o dniu i godzinie i do ostatniej chwili trzyma te informacje w tajemnicy.

Zwrot „nawet ja nie potrafię ci pomóc” użyty przez rozmówcę obudził ciekawość Heinleina. Ten „Ben Yair” musiał być nie byle kim.

- Więc co pan proponuje? Obserwować to miejsce przez całą dobę?

- Będziesz musiał, Davidzie. Nie ma innego wyjścia.

\*\*\*

Sarcha wrócił o dziewiątej wieczorem w momencie, kiedy Heinlein zaczął się poważnie zastanawiać, czy gapienie się przez teleskop na odwrócony do góry nogami obraz nie spowoduje trwałych uszkodzeń jego mózgu.

Uściskał ręce czterech uśmiechniętych Palestyńczyków.

- Kupiliśmy też wszystkie potrzebne zabawki - powiadomił go Sarcha z szerokim uśmiechem. - I jeszcze do tego te drobiazgi. - Wręczył Heinleinowi paczkę zawierającą kilka granatów z gazem paraliżującym. Rzucona celnie w pierś człowieka ta mała, podobna do jajka broń, była zdolna do pozbawienia go przytomności na parę dni.

- Doskonale, Sarcha. Dobra robota.

Sarcha uśmiechnął się.

- Chodź tylko i zobacz, co takiego mamy na parkingu.

Cała grupa mężczyzn zeszła do ramp załadowniczych, gdzie Heinlein obejrzał dokładnie samochód pomocy technicznej załatwiony przez Sarchę. Wyprodukowała go firma General Motors, i był tego samego typu, co używany przez armię izraelską, z tą różnicą, że miał na sobie reklamę garażu Nablus oraz arabskie tablice rejestracyjne. Sarcha pokazał mu, że hydrauliczna winda o udźwigu trzydziestu ton działa prawidłowo.

- Alef jest znakomity, jeżeli chodzi o użycie pistoletu lakierniczego i taśmy - zaręczył Sarcha.

- To prawda, Alef? - upewnił się Heinlein.

Palestyńczyk skinął głową.

- Robiłem to kiedyś zawodowo, odparł. - Potrzebuję jakieś dwa dni, i nie odróżni go pan od wojskowego wozu.

Heinlein pokazał Alefowi mercedesa.

- Chciałbym, żeby on również otrzymał wojskowe tablice rejestracyjne i emblematy kwatery głównej.

Palestyńczyk wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Dokładnie wiem, gdzie można je ukraść.

\*\*\*

Na sześciu akrach placu prowadzonego przez Tunny'ego pod Tel Awiwem znajdowała się cała zbieranina pojazdów handlowych, poczynając od małych wozów dostawczych, a skończywszy na trzydziestotonowych chłodniach. Co najmniej jeden akr zajmowały różnorodne kontenery i wozy do przeprowadzek - a były tam zarówno pojazdy w znakomitym stanie, pochodzące ze zbankrutowanych przedsiębiorstw, jak i ciężarówki oraz różnego rodzaju sprzęt wyglądający tak, jak gdyby uwielbiający pirotechnikę pracownicy kamieniołomu eksploatowali go cały czas jako osłonę przed odłamkami.

- Mówi pan kontener typu 32 - mrucał do siebie Tunny przechodząc obok grupy spawaczy tnących na kawałki starą ciężarówkę. - Robi się je z aluminium. Są pod ciśnieniem. Nie uwierzy pan, jaka jest obecnie cena aluminium. To wszystko przez te przepisy o materiałach strategicznych.

Sarcha precyzyjnie przycisnął swoje otyłe cielsko między dworną opartymi o siebie kontenerami.

- Okay - powiedział. - Jeżeli pan nie chce nam sprzedać jednego ze swoich, może zna pan kogoś, z kim by to można załatwić?

Tunny klepnął dłonią w ogromny kontener będący naczepą ciężarówki volvo.

- No i mamy, proszę pana. Jeden typu 32. Robią je prawdziwi fachowcy. Można go pakować z góry. Można i z dołu. Nie ma lepszej rzeczy do przewożenia cytrusów. Utrzyma ciśnienie przez sto lat. Ma jeden rok. Ciężarówka ma tylko czterdzieści tysięcy na liczniku.

Sarcha sprawdził ciężarówkę i ogromny kontener, nie zwracając uwagi na recytowaną przez Tunny'ego litanię ich zalet. Chyba pierwszy raz w swojej karierze handlarz mówił prawdę - cały zestaw był w doskonałym stanie.

- Ile za to?

Tunny zachował obojętność.

- W szklach czy dolarach?

- W dolarach. Gotówką.

- Jest pana za trzydzieści pięć koła, jeżeli nie potrzebuje pan faktury o zapłaceniu podatku od wartości dodanej. Bez tej faktury też będzie chodzić jak zegarek.

- Potrzebna jest mi faktura - odparł stanowczo Sarcha. - Wszystko musi być załatwione

jak trzeba i czyste jak ła.

Tunny wzruszył lekceważąco ramionami i pomyślał sobie, że gatunek klientów zaczyna się pogarszać. Akurat ci uwierzę w to „czyste jak ła”. Do czego to wszystko doprowadzi?

- W takim razie muszę wziąć trzydzieści dziewięć koła - odparł.
- Trzydzieści siedem.
- Trzydzieści osiem, i bierz ją pan.
- Zgoda.

## 56.

Po dziesięciu dniach obserwowania Izraelskich Zakładów Metali Szlachetnych Heinlein zaczął się obawiać, że skutki długiego wyczekiwania odbiją się na nerwach całej grupy. Nawet zazwyczaj spokojny Sarcha zaczął tracić panowanie nad sobą przy najdrobniejszej okazji, a jedna kłótnia między Palestyńczykami przybrała nawet nieprzyjemny obrót. Błysnął nóż sprężynowy i jedynie zręczna praca nóg Sarchy, który kopnięciem wytrącił broń z ręki mającego złego zamiary faceta, nie dopuściła do dalszego rozwoju sporu.

Popołudniową porą jedenastego dnia Alef, który trzymał wartę przy teleskopie, wydał nagle ostrzegawcze gwizdnięcie. Heinlein pobiegł na bok. Wystarczył mu jeden rzut oka na wojskową niskoosiową przyczepę wywożącą z Izraelskich Zakładów Metali Szlachetnych przykryty pokrowcem ładunek.

- Mamy ich! - krzyknął.

Wcześniej odbywane próby przyniosły oczekiwany rezultat. Sześciu mężczyzn wybiegło z biurowca wskakując następnie do odpowiednich pojazdów.

Heinlein, mający na sobie mundur *segan alufa* - podpułkownika Siódmej Izraelskiej Brygady Pancерnej - wskoczył na tylne siedzenie mercedesa, podczas gdy Sarcha, ubrany w mundur jego kierowcy, wsunął się za kierownicę i uruchomił turbinę. Alef i jego trzech palestyńskich towarzyszy byli ubrani w drelichy Korpusu Inżynieryjnego. Wskoczyli do wozu pomocy technicznej i podążyli za mercedesem, który z normalną prędkością wysunął się z parkingu.

Kiedy wydostali się już z terenów przemysłowych, Sarcha raptownie przyspieszył usiłując dogonić ciężarówkę wojskową. Pojazdu nie było widać, jednak wiedzieli, jaką podąży trasą. Heinlein sięgnął pod siebie i włączył yaesu. Wepchnął mikrofon na miejsce pasażera obok kierowcy, gdzie Sarcha mógł go uruchomić na dany sygnał. Heinlein przepakował trzy granaty z gazem do kieszeni na piersiach.

Od tego momentu wszystko zaczęło iść fatalnie. Sarcha płatał się po jakichś bocznych uliczkach, przemykając się na skróty, tam gdzie droga była zbyt wąska dla wozu pomocy technicznej. Heinlein trzymał się kurczowo uchwytów. Sarcha wyjechał gwałtownie na Trasę 44 - główną autostradę biegnącą na południowy-wschód przez równinę w stronę Ramali, starożytnego miasta krzyżowców - lecz nigdzie nie było widać ciężarówki.

- Na rany boskie! - krzyczał Sarcha. - Nie mogli się tak bardzo przed nas wysunąć!

- *Muszą* jechać tędy, aby się dostać do bazy w Ramali - odparł Heinlein. - Depnij na gaz!

- Złapią nas za nadmierną szybkość!

- Nie w tym samochodzie.

Sarcha przyspieszył, mijając kilka wozów przestrzegających ograniczenia prędkości. Po paru milach droga rozszerzyła się, przechodząc w autostradę o rozdzielonych pasach ruchu.

- Alef nie dojedzie tak daleko - tłumaczył Sarcha. - Pomyśli, że przerwaliśmy działania i zawróci.

- Pojedzie aż do zjazdu na Rishon - odparł Heinlein, przeklinając, że warunki działania nie dopuszczają ryzyka użycia radionadajników. W tej chwili równocześnie z Sarchą dostrzegł ciężarówkę pędzącą o milę przed nimi.

- Rany boskie, ależ pędzi!

- Nic nie gadaj, tylko za nią! - warknął Heinlein, wyszarpując z kabury pistolet i przykręcając do niego tłumik.

Dźwięk silnika mercedesa przeszedł w głucho wycie. Po pięciu minutach jazdy Sarcha zbliżył się do ciężarówki. Pędziła z ogromną prędkością po zewnętrznym pasie autostrady, głośno łopocząc przykrywającym jej ładunek brezentem, który groził, że lada moment się urwie.

- Zajedź ją z boku! I przygotuj się do włączenia mikrofonu!

- Rany boskie - ryknął Sarcha przez ramię. - Jeżeli załatwisz przy takiej prędkości oponę, to cała fura się przekopyrtnie!

- Nie kłóć się ze mną! Zajedź ją z boku!

Sarcha użył parokrotnie klaksonu. Pojazd trzymał się uparcie lewego pasa. Było jasne, że kierowca z całą rozkoszą wykorzystuje możliwość przeszkodzenia, w jego mniemaniu, samochodowi sztabowemu.

Bluzgając przekleństwami Sarcha wjechał na środkowy pas i zaczął mijać ciężarówkę z prawej strony. Heinlein opuścił okno od jej strony. Strumień powietrza wleciał z wyciem do wnętrza. Powoli mercedes znalazł się na wysokości tylnych osi ciężarówki.

Sarcha trzymał kierownicę z ponurą miną, usiłując przeciwstawić się turbulencjom spowodowanym przez bliskość ogromnego pojazdu i jego prędkość.

- Uruchom mikrofon, jak powiem trzy - ryknął Heinlein. - Raz...!

Sarcha chwycił za mikrofon.

- Dalej! Szybciej! Dwa...!

Mercedes wysunął się dalej. Baniaste opony ciężarówki były wściekle, tłukąc się o autostradę w odległości paru stóp od Heinleina. Mający siłę huraganu pęd powietrza wdzierający się do samochodu nie pozwalał mu praktycznie na złożenie się do strzału. Nie widząc innego wyjścia przycisnął broń do bocznego słupka drzwi. Nie obchodziło go już, czy pomocnik kierowcy dostrzeże lufę.

- Trzy!

Sarcha uruchomił mikrofon yaesu w chwili, w której Heinlein wpakował sześć kul w tylne zewnętrzne opony ciężarówki. W pierwszym momencie nic się nie wydarzyło oprócz tego, że Sarcha przyhamował pozwalając wojskowej ciężarówce wysunąć się do przodu.

- Francowate samouszczelniające się opony! - warknął Sarcha, trzymając nadal mikrofon włączony.

Heinlein wbił świeży magazynek do broni. Ciężarówka niespodziewanie przejechała jakby pijanym torem w poprzek pasa drogi tracąc szybkość, co zmusiło Sarchę do silniejszego nadeptnięcia na hamulec. W następnej chwili ciężki pojazd zaczął wykonywać serię nagłych skrętów w lewo i w prawo, błyskając światłami stopu, które świadczyły o opanowaniu kierowcy i wprawie, z jaką walczył o odzyskanie kontroli nad okaleczonym pojazdem. Wygrał ten pojedynek gwałtownie zmniejszając prędkość, a następnie kierując ciężarówkę na porośle zielenią pobocze, gdzie udało mu się ją ostatecznie zatrzymać.

Minęło ich kilka samochodów i ciężarówek pędzących w kierunku Ramii, a ich kierowcy nie zdawali sobie sprawy, że coś się wydarzyło. Sarcha zatrzymał mercedesa o parę jardów za ciężarówką. Zachował się przytomnie, pamiętając o otwarciu Heinleinowi drzwi samochodu.

Heinlein i Sarcha ruszyli wolnym krokiem w kierunku sierżanta i kaprała. Heinlein przełożył granaty gazowe z kieszeni i trzymał je teraz w ręce. Dwóch żołnierzy wyskoczyło z kabiny na ziemię i przyglądało się poszarpanym na strzępy tylnym oponom. Sierżant trzymał karabin maszynowy. Korpus ciężarówki zasłaniał ich wszystkich przed widokiem przejeżdżających samochodów. Obaj żołnierze wyprostowali się, przyglądając się nadchodzącym Heinleinowi i Sarchy. Mundur Heinleina nie zrobił na nich żadnego wrażenia; nawet nie drgnęli, aby przyjąć pozycję zasadniczą i oddać honory.

- Będą kłopoty - mruknął cicho Sarcha. Heinlein nie zauważył, że włożył on niedbale rękę do bocznej kieszeni kurtki mundurowej.

- Do cholery, a co wam znowu odbiło, żeby przestrzeliwać nasze opony? - zażądał wyjaśnienia sierżant, kierując broń w stronę obu mężczyzn.

- Chyba się mylicie, sierżancie - odparł Heinlein miłym tonem głosu. - Zobaczyłem, że poszła wam opona, więc kazałem kierowcy...

- Gówno prawda. Widziałem błysk strzałów w lusterku.

Sarcha zauważył, jak palec sierżanta zaciska się na spuście broni. Popchnął Heinleina w jedną stronę, rzucając się na ziemię i jednocześnie wrywając pistolet, z którego następnie oddał dwa strzały. Odległość nie była większa niż trzy jardy, niemniej jednak był to pokaz kunsztu strzeleckiego; kapral i sierżant już nie żyli, zanim jeszcze ich ciała opadły na ziemię - obaj trafieni między oczy.

- Na rany boskie, Sarcha! To nie było konieczne....

- Już byś nie żył, zanim byś jeszcze spróbował przywalić tym dwóm palantom - warknął Sarcha. - Pomóż mi zrobić coś z ich ciałami. No rusz się!

Obaj mężczyźni przetoczyli zwłoki w zarośla rosnące wzdłuż drogi. Heinlein wdrapał się do kabiny, przysłuchując się komunikatom płynącym z radionadajnika. Szybkie przeszukanie wszystkich kanałów nie wykazało niczego niezwykłego. Było to ogromną ulgą. Istniały dwie możliwości; albo yaesu zrobił swoje, albo też żołnierze nie wykorzystali radionadajnika. Pomyślał sobie, że żołnierze spieszyli się tak po to, żeby zarobić czas na nie przewidziany regulaminem dłuższy postój. Prawdopodobnie dano im godzinę na dojazd do Ramii. Gdyby przekroczyli czas jednej godziny, wtedy wysłano by na ich poszukiwanie patrol żandarmerii celem sprawdzenia przydrożnych parkingów i snack-barów. To z kolei trwałoby godzinę. Po dwóch godzinach ogłoszono by alarm.

- Jadą już! - krzyknął Sarcha.

Heinlein wyskoczył z kabiny, machając ręką w stronę nadjeżdżającego pojazdu. Zarówno Sarcha jak i Heinlein byli zgodni, że widok roześmianej gęby Alefa, który patrzył na nich po zjechaniu na pobocze, był najmiłym, jaki zdarzyło im się widzieć w życiu.

Zaczepienie ciężarówki wojskowej do windy wozu pomocy technicznej trwało piętnaście szarpających nerwy minut.

- Niech to krew zaleje! - rzucił w parę minut później Sarcha siedząc za kierownicą mercedesa i zjeżdżając z autostrady za wozem pomocy i holowaną ciężarówką na mało uczęszczaną drogę do Rishon. - Zatrzymaliśmy tego jebańca w samą porę. Jeszcze jedna mila i minęlibyśmy zjazd.

- Źle wyliczyłem prędkość, z jaką pojedzie kierowca - wyznał Heinlein.

Sarcha zachichotał i rzucił okiem w lusterko wsteczne upewniając się, że nikt za nimi nie jedzie.

- Ci kierowcy ciężarówek wojskowych są tacy sami na całym świecie.

- Nie trzeba było ich zabijać - powiedział Heinlein. - Granaty z gazem działają w jednej setnej sekundy.

- A od pocisku zginąłbyś w jednej tysięcznej sekundy - odparł Sarcha. Rzucił podejrzliwe spojrzenie na Heinleina. - Co ci jest, Davidzie, chłopie kochany? Czy nie miękniemy na starość?

- Lepiej patrz, dokąd jedziesz - rozkazał ostro Heinlein.

Wóz pomocy wjechał na polną drogę biegnącą obok osiedli arabskich. Dróżka stawała się coraz węższa i przecinała niskie pagórki, których tarasy obsadzono drzewami oliwnymi. Po następnych trzech milach droga przeszła w ubity trakt, zakończony gwałtownie koszmarnym, pełnym kurczaków podwórkiem gospodarskim, na które wychodziły rozwalające się budy o betonowych ścianach i dachach z blachy falistej. Na samym końcu podwórza stała pordzewiała szopa Nissena robiąca wrażenie, jakby pochodziła jeszcze z czasów mandatu brytyjskiego. Obok ogromnej szopy stał szereg archaicznych maszyn rolniczych. Z bud wysypała się gromadka około sześciu kobiet arabskich, które hałaśliwie powitały Alefa i pozostałych Palestyńczyków siedzących w wozie pomocy technicznej.

- To wspaniali ludzie - powiedział Sarcha z niekłamaną serdecznością, wyłączając silnik mercedesa. - Sól ziemi czarnej. Te kobiety poświęciły dwa dni na wysprzątanie szopy Nissena.

Dwie z kobiet otworzyły z wysiłkiem dwuskrzydłowe drzwi, wprawione z jednego końca szopy o półkolistym sklepieniu. We wnętrzu, przy jednej ze ścian, stała przegubowa ciężarówka volvo, a na niej jako naczepa widniał największy kontener na owoce, jaki zdarzyło się Heinleinowi widzieć w życiu. Alef przegazował silnik wozu i wjechał nim powoli do szopy przy towarzyszeniu wymachiwań rękami i poleceń wydawanych krzykiem przez jego towarzyszy. Ledwie starczyło miejsca, żeby wóz pomocy mógł się zmieścić obok volvo.

Heinlein wysiadł z samochodu. Wyprostowując się zdał sobie nagle sprawę, jak bardzo zmęczyło go napięcie nerwowe ostatnich trzech godzin. Ziewając przeciągnął się.

- Tak więc - odezwał się Sarcha stając obok Heinleina - mamy już kontener na owoce. A skoro mamy już i owoce, nie mogę wytrzymać, żeby się na nie nie popatrzeć.

Weszli razem do szopy. Jeden z Palestyńczyków zamknął rozchwierutane drzwi. Alef



wskoczył zręcznie na ciężarówkę i rozwiązał liny mocujące brezent, po czym cała czwórka Palestyńczyków schwyciła za ciężkie płótno i odciągnęła je na bok. Ich śmiechy i gwar rozmów gwałtownie zamarł wobec widoku, który roztoczył się przed nimi.

Leżały tam na drewnianych kołyskach, jedna obok drugiej, cztery dziesięciometrowe ostro zakończone, obrzydliwe cygara. Przez pewien czas mężczyźni patrzyli w milczeniu na rakiety. Sarcha sięgnął dłonią i dotknął lotki stabilizującej.

- Chryste - powiedział cicho - czy widziałeś już kiedyś coś zaprojektowane tak wyraźnie po to, aby sprawiać ból i nieszczęścia?

Nawet flegmatyczny Heinlein nie potrafił w pierwszej chwili znaleźć słów.

- Jakie mają głowice, konwencjonalne czy też jądrowe? - zapytał Sarcha nie odrywając oczu od rakiet.

Heinlein wdrapał się na ciężarówkę i przyklęknął, aby się dokładnie przyjrzeć rakietom. Poniżej tablicy sterowniczej każdej z nich widniał wygrawerowany numer seryjny poprzedzony literą D.

- Jądrowa o mocy dziesięciu kiloton - odparł prosto Heinlein.

Sarcha cicho zaklął.

Heinlein odwiązał małą skrzyneczkę wciśniętą między rakiety.

- A to - powiedział unosząc skrzyneczkę w powietrze - jest pulpit kontroli ognia.

Zeskoczył na ziemię, po czym Alef podał mu grubą kopertę.

- Złazłem ją pod fotelem kierowcy - wyjaśnił Palestyńczyk.

Heinlein otworzył kopertę. Wewnątrz znajdowała się instrukcja obsługi wydana przez Ta'as. Pod jej okładką przyklejono taśmą jeszcze mniejszą kopertę. Zawierała pojedynczą kartkę papieru, na której widniała kolumna napisanych na maszynie liczb. Przypatrywał się jej przez chwilę, po czym twarz wykrzywił mu wcale nie radosny uśmiech.

- A to co jest? - zapytał Sarcha.

- Kombinacja szyfrowa dla uzbrajania głowic.

Sarcha zamrugał oczyma, nie mogąc wymyślić nic konstruktywnego.

## 57.

Ben Irving miał już dość słuchania. Podniósł się nagle, przewracając przy tym krzesło, po czym ruszył w kierunku drzwi.

- Niewyobrazalna niekompetencja i wojskowa nieudolność - warknął w kierunku Rymanna i Greera znajdujących się po drugiej stronie gabinetu. - Żadnej ochrony i cztery

supertajne rakiety rozwiewają się jak kamfora!

Wybiegł z pokoju nie trzaskając drzwiami tylko dlatego, że stał za nimi Samuel Kuttner, wyczekujący nerwowo końca kłótni.

- Wejdz, Sam - powiedział Rymann zmęczonym głosem. - Co tam dla mnie masz?

- Przed chwilą połączyliśmy się z Waszyngtonem. Departament Stanu zgodził się na proponowane przez nas daty rozmów. Dziesiątego i jedenastego maja. Walter Swift poświęci mi, jak również tobie, jeżeli tylko tego chcesz, trzy godziny dziesiątego maja. A następnego dnia spotkamy się z prezydentem Hadleyem na nieoficjalnej, dwugodzinnej rozmowie w Białym Domu.

Rymann wydał westchnienie ulgi.

- Dobra robota, Sam. Przynajmniej jest jakiś okrucień dobrych wiadomości dla rządu i prezydenta.

## 58.

Za dodatkową opłatą czterech tysięcy dolarów Alef chętnie się podjął ryzykownego zadania przewiezienia do Hajfy kontenera na owoce zawierającego cztery Masady. Jako premię Heinlein dorzucił mu tytuł własności do volvo. Przebijając się mozolnie przez przedmieścia starożytnego miasta Alef już układał w myślach plany na ten dzień, kiedy stanie się właścicielem całej floty ciężarówek przemierzających Palestynę wzdłuż i wszerz.

Doskonale wyliczył czas; ciężka ciężarówka przejechała z łoskotem po moście Giborim o 12.50. Przejechał przez strefę przemysłową Zevulun i dokładnie o 1.00 zaparkował volvo na podjeździe do biura spedycyjnego Ogólno-Izraelskiej Korporacji Przesyłek Owocowych w porcie Kishon. Firma ta przybrała dętą nazwę, a w istocie był to najmniejszy koncern działający poza portem w Hajfie. Właścicielem, a zarazem głównym spedytorem, osobą obsługującą centralę telefoniczną, jak również recepcjonistą był Harry Laffin, były handlarz owocami z Londynu, który zbiegł przed paroma laty z Anglii z powodu swoich przekonań; głównie dlatego, że uważał Izrael za idealną kryjówkę dla ludzi chcących wymigać się od zaległych podatków dochodowych. Utrzymywał dalej swoje londyńskie kontakty, w szczególności z Jackiem Farleyem, który pomógł mu znacznie w tym, żeby interes się kręcił. Ostatnia sprawa, jaką mu naraił, wyglądała na to, że przyniesie największy jak dotąd zysk.

Harry pognął do okna, gdy tylko usłyszał odgłos podjeżdżającej ciężarówki volvo. Miała takie numery rejestracyjne, jakich oczekiwał. W powieściach niektóre postacie mają żaloszny zwyczaj uzewnętrzniania swojej radości przez podskoki. A nawet czasem obejmują

się. Po ujrzeniu ciężarówki Harry był niebezpiecznie bliski wykonania tych ogranych chwytów. A tak właściwie, to czemu nie miałby tego zrobić? Miał już praktycznie w kieszeni następne, przepyszne dziesięć koła. Kiedy Alef doszedł do biura, zdążył już mocno przylepić do twarzy powitalny uśmiech.

- Aha. Pan zapewne jest kierowcą pana Heinleina?

Alef potwierdził to.

- No właśnie. Pan Heinlein i ja uzgodniliśmy szczegóły wczoraj wieczorem - powiedział Harry, z trudnością powstrzymując się od okazania swojej radości. - Czarujący człowiek. Wszystkie papiery są już gotowe. „Calder Castle” odpływa za godzinę, lecz udało mi się jeszcze załatwić trochę miejsca dla późno przysłanego ładunku. Nie powinno być żadnych problemów. Statek wpływa do Southampton za sześć dni. Ostatnie pomarańcze Jaffa w tym sezonie. Pan Farley i pan Heinlein powinni zrobić na nich majątek. Nie ma pan pojęcia, ile brytyjskie gospodynie płacą tego roku za Jaffy.

Harry nie przerywał potoku słów, przekładając w tym czasie stertę dokumentów. Znalazł ten, którego szukał i wręczył go Alefowi.

- Ósmy tor. Proszę to zostawić w biurze, a ruchomy dźwig pana rozładuje. Ja już zajmę się resztą.

Alef podziękował Harry'emu i odwrócił się do wyjścia.

- Jeszcze jedna sprawa - zawołał do niego Harry. - Będzie pan pamiętać, aby przekazać panu Heinleinowi, że wszystko poszło gładko?

- Dopiero kiedy zobaczę, że kontener wypłynął z portu.

Harry zaśmiał się sztucznie.

- Chodzi mi tylko o to, że należy mi się jeszcze druga połowa mojej prowizji. Nie chciałbym tutaj nic stracić.

- Dostanie pan pieniądze, kiedy pomarańcze wypłyną z portu - powtórzył Alef.

Kiedy ruchomy dźwig stanął już okrakiem nad volvo i podniósł kontener na paletę, Alef przejechał przez centrum Hajfy i pojechał stromą drogą, która wiała się po zboczu Góry Carmel, dochodząc do przyjemnego, porośniętego drzewami przedmieścia Neve-Shaanan. Zatrzymał wóz na specjalnym postoju dla kierowców ciężarówek, z którego roztaczał się wspaniały widok na zatokę Hajfy. Poniżej, na połyskujących lazurowych wodach Morza Śródziemnego widać było cały kompleks portowy z rzędami silosów, smukłymi żurawiami oraz dziesiątkami przypominających zabawki okrętów, przycumowanych za chroniącą je ścianą falochronu. Rozpakował lunch i usiadł, żeby się posilić. O 2.15 zauważył dość kiepsko wyglądający statek handlowy wyciągany przez holowniki na środek portu. Był nim „Calder

Castle”. Alef przesunął lornetką wzdłuż całego kadłuba statku, zatrzymując wzrok na stercie różnych kontenerów przymocowanych do pokładu. Jeden z nich, o największych rozmiarach, był typu 32. Alef oparł mocno lornetkę, aby móc odczytać numer seryjny wymalowany od szablonu na boku kontenera. Był to ten, którego szukał.

Jechał tak długo, aż znalazł automat telefoniczny, z którego zadzwonił do Heinleina przebywającego w hotelu Dan Carmel w Hajfie.

Sarcha ściszył fonię telewizora na dźwięk dzwonka telefonu.

Heinlein podniósł słuchawkę.

- Heinlein - powiedział. Słuchał przez pewien czas, po czym rzucił: - Dziękuję. To znakomite wiadomości. Dopilnuję, żeby mu zapłacono. - Odłożył słuchawkę na widelki, po czym w zamyśleniu wbił wzrok w dywan.

- No i? - zapytał Sarcha chcąc, żeby choć raz, żeby choć tym razem udało mu się trafnie odgadnąć myśli Heinleina.

- Pomarańcze są w drodze.

Sarcha wpatrywał się w Heinleina, a jego twarz cherubina zmieniała wyraz od podziwu do niedowierzania.

- Tak więc udało się - wyszeptał. - Jezu Chryste, naprawdę nam się udało!

## 59.

Telefon odebrała Lena.

Jej rozmówca przerwał w pół słowa powitanie:

- Lena tu mówi Heinlein. Dzwonię z biura programu na uniwersytecie w Surrey. Czy jest tam Neil?

- To pan, panie Heinlein? Próbowałam się z panem porozumieć już od paru dni...

- Czy jest tam Neil? - Heinlein przerwał jej ze zniecierpliwieniem.

- Nie, panie Heinlein. Jest na zebraniu w Ośrodku Kennedy'ego. Potwierdzili datę startu na dziesiątego maja - wedle pana życzenia - i również wybrali załogę. NASA nalega obecnie na podanie im daty, kiedy mają przysłać fragmenty palet oraz zespół pakowaczy.

- Okay, Leno, dostaliśmy te wiadomości od ciebie. Powiedz Hackettowi, że potrzebujemy jeszcze dwóch tygodni pracy nad *Cyklopem*. Zjawię się w Ośrodku Kennedy'ego na trzy dni przed startem. Chcę, żeby Neil przybył do mnie najbliższym lotem. Jak wygląda jego rozkład zajęć?

Lena rzuciła okiem na terminarz Neila.

- Zakończył już symulacje wypakowywania ładunku. Wszystkie szczegóły kontraktu zostały już uzgodnione i nie przewiduje się żadnych konferencji koordynacyjnych do czasu zapakowania *Cyklopa*. Wygląda na to, że jest wolny.

- Okay. Zrób mu rezerwację na samolot do Heathrow, dla siebie zresztą też.

Sądząc, że źle usłyszała Heinleina, Lena poprosiła go o powtórzenie ostatniego zdania. - Możesz przylecieć z Neilem.

Lena ledwie wierzyła własnym uszom:

- Ale...

- Czy nie chcesz zobaczyć Zjednoczonego Królestwa?

- Ależ tak - myślała gorączkowo, co powiedzieć - lecz jest przecież biuro, i...

- Przez parę dni biuro na Florydzie da sobie radę bez ciebie. Powiadom NASA, żeby kontaktowali się bezpośrednio z moim biurem w Wielkiej Brytanii. Po tej całej pracy, jaką odwaliałaś, zasłużyłaś sobie na wakacje. Przyleć razem z Neilem lotem z Miami o godzinie piątej. Weźcie sobie pierwszą klasę. Powiedz mu, żeby zabrał z sobą pełny program zadania i wszystkie informacje na temat toku postępowania i zapasowych lotnisk na wypadek awarii. Zrozumiałaś mnie?

Próbując usilnie ukryć swoje podniecenie na myśl o czekającej ją wycieczce do Europy, Lena przeglądnęła gorączkowo otrzymane instrukcje. Heinlein zażądał, żeby je powtórzyła - w szczególności jego prośbę o instrukcje na wypadek awaryjnego lądowania i listę zapasowych lotnisk. Mruknął z aprobatą, gdy pokazała, że wszystko rozumie, i dodał:

- Okay. W porządku. Sarcha odbierze was z Heathrow.

- Sama nie wiem, jak mam panu dziękować, panie Heinlein - zaczęła uradowanym głosem Lena. - To naprawdę...

Połączenie zostało przerwane, zanim jeszcze zdążyła skończyć zdanie. Po paru minutach rozmyślenia na temat odbytej rozmowy zarezerwowała dwa miejsca w pierwszej klasie samolotu lecącego wieczorem do Londynu. Zastanawiała się właśnie, jakie wziąć ze sobą ciuchy, kiedy nadszedł Neil.

- Cześć, szefie. Z czego się tak cieszysz?

- Właśnie dzwonił Heinlein - odpowiedziała odwzajemniając pocałunek.

- Wynurzył się w samą porę. Praktycznie zakończyliśmy wszelkie przygotowania po naszej stronie.

Lena powtórzyła treść rozmowy z Heinleinem. Neil zachmurzył się, zanim jeszcze skończyła mówić.

- Halo! - powiedziała ze złością, szarpiąc go za włosy. - A co to za niezadowolona

mina? Czyżby nie odpowiadało ci moje towarzystwo?

- Nie o to chodzi, skarbie - powiedział z roztargnieniem. - Po jakiego diabła są mu potrzebne instrukcje awaryjnego lądowania?

Lena roześmiała się.

- Może denerwuje się przed pierwszym lotem w kosmos i chce znać wszystkie przepisy?

Neil pocałował ją.

- Heinlein miałby się denerwować? Chyba sobie żartujesz.

## 60.

Minęła trzecia po południu czasu lokalnego, gdy Lena i Neil przeszli przez odprawę celną na Heathrow. Lena miała na sobie białe, wyzywające jedwabne spodnie oraz podobną bluzkę, przez którą zyskała sobie sympatię wielu celników patrzących na nią rozmarzonym wzrokiem, gdy przechodziła przez ich królestwo.

Sarcha oczekiwał ich na zewnątrz terminalu. Jego pyzată twarz rozjaśniał ogromny, powitalny uśmiech. Objął mocno Lenę całując ją serdecznie, a następnie przytrzymał ją na odległość wyciągniętych ramion obrzucając pełnym podziwu wzrokiem.

- Leno, mój aniele! Wyglądasz jeszcze ładniej niż zawsze! A ten ubiór! Rany!

Mały pyzaty Anglik potrząsnął serdecznie rękami Neila i nie przestawał opowiadać im różne ploteczki niosąc ich bagaż do rolls-royce'a. Potok słów nie ustał ani trochę w czasie jazdy po opustoszałej autostradzie, a następnie na południe wzdłuż A3.

- Tak więc żadne z was nie było wcześniej w Anglii? - rzucił przez ramię pytanie. - Niewiele tu można zobaczyć w nocy. Ta trasa do Guildford biegnie wzdłuż drogi z Londynu do Portsmouth - omijając wszelkie widoki. Nic się nie martwcie - dość będzie czasu na wszystko.

Lena i Neil zdziwili się widząc strumień samochodów jadący po niewłaściwej stronie drogi oraz brukowaną nawierzchnię ulicy High Street w Guildford, na którą Sarcha specjalnie zбочzył, aby zrobić im przyjemność. W czasie jazdy trzymał lusterko wsteczne wewnątrz samochodu nieznacznie przechylone do przodu. Widok splecionych dłoni Leny i Neila był bardzo przyjemny.

Thursley Hall tonął w mroku i ciszy, kiedy do niego dotarli. Lena i Neil oświadczyli, że bardziej od jedzenia potrzeba im snu; wobec tego Sarcha zaprowadził ich do osobnych sypialni, położonych jednakże obok siebie, wyjaśniając, że Heinlein już śpi i powita ich

następnego dnia rano.

- Gospośia poda śniadanie o jedenastej - powiedział, życząc im dobrej nocy. - Tak, że jeżeli tylko macie na to ochotę, możecie spać razem.

\*\*\*

Heinlein słuchał z napięciem dźwięków dobiegających przez słuchawkę, podczas gdy Sarcha przyciskał mocno do ściany mikrofon podłączony do wzmacniacza. Słuchał nie dłużej, niż było to konieczne, aby ustalić, iż dźwięki dobiegające z sąsiedniego pokoju, wydawane były przez kochających się Lenę i Neila.

- Znakomicie - zamruczał Heinlein z zadowoleniem. Oddał słuchawkę Sarchy. - Dokładnie to, na co liczyłem. Nie sądzę, żeby pan O'Hara sprawiał nam jakiegokolwiek kłopoty.

## 61.

Sir Max Flinders był w dobrym nastroju. Poprzez maskę przysłaniającą mu twarz swym tubalnym głosem udzielał pochwał technikom uniwersyteckim, którzy zdołali zamknąć wszystkie cztery sekcje ćwiczebnej, cylindrycznej palety wokół *Cyklopa*, tak że ogromny satelita był całkowicie opakowany.

- Okay - tak jest dobrze - stwierdził Neil po sprawdzeniu, że wszystkie elektryczne zamki palety zostały zamknięte.

- Jak wyciągniecie ją z luku promu? - zapytała Lena wpatrując się w ćwiczebną paletę. - Ależ to jest ogrom.

- To nic trudnego, skarbie - odparł Neil. - Tuż przed wypakowaniem ładunku ustawiamy prom dziobem w dół w stosunku do Ziemi. Potem wystarczy parę razy zwiększyć ciąg silników, a przez to nieznacznie zwiększyć prędkość promu, aby cała paleta sama wysunęła się z ładowni.

- W twoich ustach brzmi to jak nic wielkiego - wtrącił Heinlein podchodząc do nich.

- Za każdym razem się sprawdza.

W chwilę potem omówili w piątkę szczegóły zadania, łącznie z zakwaterowaniem zespołu specjalistów od palet mających przybyć z ramienia NASA oraz wycarterowaniem od Wojskowego Transportu Lotniczego samolotu Lockheed Super Galaxy, który miał przewieźć zapakowaną paletę do Ośrodka Badań Kosmicznych im. Kennedy'ego z Brytyjskiej Bazy Powietrznej w pobliskim Dunsfold.

- Pozostaje kwestia transportu drogowego - powiedział Flinders. - Oczywiście

wyborem jest firma Pickfords...

- Nie ma sprawy - przerwał mu Heinlein. - Tak się składa, że znam specjalistyczną firmę spedycyjną, która przewiezie paletę stąd do Dunsfold.

Flinders spojrzał ze zdziwieniem. Miał się już odezwać, kiedy przemówiła Lena.

- Niech mi pan da ich numer, a sama wszystko załatwię - zgłosiła się nie proszona.

- Kiedy naprawdę nie ma takiej potrzeby, Leno - odparł Heinlein. - Dyrektor firmy jest moim starym kolegą. Powinienem sam do niego zadzwonić. - Spojrzał na zegarek. - Myślę, że na tym możemy skończyć. Neil, ponieważ razem wybieramy się w kosmos, jest parę spraw, o których chciałbym z tobą porozmawiać. - Rzucając reszcie wymowne spojrzenie dodał: - Nie zajmie nam to wiele czasu.

Flinders, Lena i Sarcha zrozumieli aluzję i podnieśli się z miejsc.

- Chodź, Leno - zaproponował jej swoje towarzystwo Flinders, obejmując ją serdecznie ramieniem. - Jeżeli cię to ciekawi, to pokażę ci resztę obiektów.

Gdy tylko zostali sami, Heinlein zapytał Neila:

- Czy przywiozłeś instrukcje na wypadek lądowań awaryjnych?

- Tak, oczywiście. - Neil otworzył teczkę, wręczając następnie Heinleinowi płaski elektroniczny czytnik. - Dziesięć tysięcy stron opisu promu oraz jakieś pięćset stron na temat postępowania w wypadku awaryjnego lądowania. Ale nie masz żadnego powodu do zmartwień. Szanse na to, że coś nie pójdzie jak trzeba, są naprawdę minimalne.

Heinlein włączył urządzenie, sprawdził spis treści, po czym przesunął na płaskim ekraniku część opisu zawierającą oszałamiającą ilość diagramów podejść do lądowania oraz tabele danych różnych baz powietrznych rozrzuconych po całym świecie.

- A tak naprawdę, Neil - zapytał - co powiesz na temat tego promu, który miał przymusowe lądowanie w Nairobi rok temu?

- Oprócz tego było lądowanie w Kairze - przypomniał mu Neil. - No i co z tego? Jeżeli zdarzy się coś, co by nam nie pozwoliło na lądowanie w Ośrodku Kennedy'ego, wtedy naszą drugą ewentualnością pozostaje Vandenberg. A jeśli nie Vandenberg, to mamy jeszcze bazę w Andrews, Edwards - cały szereg awaryjnych lotnisk.

- I można na nie trafić? Bez silników?

Neil westchnął.

- Miejsce lądowania zostaje wybrane przed ponownym wejściem w atmosferę.

Heinlein nie sprawiał wrażenia w pełni przekonanego, wobec czego Neil dorzucił dalsze szczegóły.

- Jeżeli dokładnie przeczytasz tę instrukcję, to zobaczysz, że wyodrębniono tam cztery



kategorie miejsc lądowania. Klasa A to najlepsze miejsca, takie jak Kennedy i Vandenberg, których obiekty zaprojektowano specjalnie z myślą o promie. Potem mamy Klasę B - główne miejsca dla lądowań awaryjnych, takie jak Dryden, Rota w Hiszpanii, Okinawa i inne. Są to przeważnie wojskowe bazy lotnicze o betonowych pasach startowych długości od czterech do pięciu tysięcy jardów. W tej kategorii mieści się również parę portów cywilnych. Okay?

- A co powiesz o obiektach kategorii D?

Neil zaśmiał się.

- Trzeba być naprawdę w trudnej sytuacji, żeby decydować się na D. W pamięci tego urzędnika są pełne dane na temat około piętnastu miejsc. Płaskie złoża soli. Dna wyschłych jezior. Odcinki buszu. Nikt na nich jeszcze nie lądował i nikt się do tego nie pali. Lądowanie bez pomocy naziemnych urządzeń nawigacyjnych? Jezu - tylko nie to. Sam fakt, że dane miejsce znalazło się w spisie, nie znaczy wcale, że jest ono bezpieczne. Mogą tam się znaleźć jakieś nierówności terenu, zwierzęta, kopce. Nie potrzeba wiele, żeby rozpieprzyć prom lądujący z prędkością stu osiemdziesięciu węzłów. Rzeczą najbliższą lądowaniu na lądowisku klasy D było ćwiczenie na symulatorze, kiedy to siadłem na Bonneville Salt Flats.

Heinlein zdobył się na uśmiech, chcąc dorównać rozbawieniu Neila.

- No i jak ci wtedy poszło?

- Całkiem nieźle. Ćwierć mili dłużej niż trzeba, ale w końcu udało mi się go zatrzymać. A ten cholerny symulator *naprawdę* nie szczędził mi różnych dziur w ziemi.

- Okay, Neil. Dzięki, że mnie uspokoiłeś. Czy mogę zatrzymać sobie tę instrukcję?

- Bardzo proszę.

Heinlein wyciągnął kopertę i podał ją Neilowi.

- To dla ciebie i dla Leny. Jako że nie mieliście dotąd okazji zobaczyć Londynu, pomyślałem sobie, że może chcecie wziąć sobie wolne na resztę dnia.

Neil otworzył kopertę. Wewnątrz znajdowały się dwa bilety na przedstawienie w London Palladium - ważne na wieczorny spektakl.

\*\*\*

O godzinie 20.00 w Thursley Hall paliło się tylko jedno światło w małym gabinecie na parterze, który Heinlein przeznaczył na biuro. Nawet mieszkanie gospodyni tonęło w ciemności, bowiem ją również Heinlein nagroził biletem do teatru.

- Wybrałem już miejsce lądowania orbitera - oznajmił Heinlein włączając elektroniczną instrukcję. Wywołał z pamięci mapę Afryki w dużej skali i wskazał na granicę biegnącą z północy na południe między Mozambikiem a Południową Afryką. - Będzie to Park Narodowy Krugera.

Sarcha spojrział w osłupieniu najpierw na mapę widoczną na płaskim ekranie, a następnie przeniósł wzrok na Heinleina.

- Południowa Afryka! Chyba oszalałeś! Zupełnie ześwirowałeś!

- Nie mówimy tutaj o zwykłym rezerwacie zwierząt - powiedział Heinlein, niewzruszony nagłym wybuchem Sarchy. - Narodowy Park Krugera jest większy od Izraela. To dziesięć tysięcy mil kwadratowych płaskich terenów buszu, patrolowanych przez garstkę strażników. Granicę z Mozambikiem chroni długie na dwieście mil ogrodzenie - którego zadaniem jest nie wypuszczać zwierzyny oraz nie wpuszczać z Mozambiku kłusowników i terrorystów. - Wybrał następną stronę, na której widać było mapę parku, i wskazał na obszar leżący na północy, wyznaczony rzekami Letaba i Shingwidzi, na którym widniała wykropkowana linia na osi wschód-zachód. - Jest to jedno z lądowisk dla orbitera w przypadku nagłej awarii. Jest to po prostu kawałek płaskiego buszu.

Sarcha pochylił się nad mapą. Starał się zrozumieć skomplikowane tabele koordynat punktu spotkania komputera nawigacyjnego, jakie pojawiły się z boku ekranu, lecz po chwili zrezygnował.

- Sprawdź skalę - doradził mu Heinlein.

Sarcha zarzucił mu, że miejsce lądowania oznaczone przerywaną linią znajduje się nie dalej niż trzydzieści mil od granicy z Mozambikiem.

- Dokładnie o to chodzi - zauważył Heinlein. - Siedem minut lotu helikopterem Westland Werewolf, jakie mają na wyposażeniu Siły Powietrzne Mozambiku.

Nagle Sarcha zaczął rozumieć znaczenie miejsca wybranego przez Heinleina na punkt lądowania.

- Czy Maken utrzymuje kontakty z Mozambikiem? - zapytał.

Heinlein skinął głową.

- Wyprawa, która w obie strony nie zajmie więcej niż piętnaście minut, mająca na celu wyciągnięcie nas z Parku Narodowego Krugera, wyniesie dopiero około jednego procenta długu wdzięczności, jaki Mozambik zaciągnął wobec Makena.

- Mówisz „nas”?

- Będziesz tam czekał... razem z Leną. I razem z wszelkimi środkami łączności niezbędnymi do rozmowy z promem. To na wszelki wypadek, gdyby O'Hara sprawiał nam kłopoty.

Odezwał się dzwonek do drzwi. Heinlein rzucił okiem na zegarek. Był kwadrans po ósmej. - Punktualny co do minuty - powiedział.

Przed drzwiami stał Jack Farley. Uśmiechnął się serdecznie do Sarchy, który otworzył

mu drzwi.

- Witam szanownego pana. Mam nadzieję, że panowie lubicie pomarańcze.

Farley uściśnął kolejno ręce Sarchy i Heinleina, wskazując następnie palcem na ogromny kontener typu 32 i ciągnącą go ciężarówkę, stojące na szerokim podjeździe.

- Pomyślałem sobie, że najlepiej będzie, jeżeli sam odbiorę to z Southampton. Szczególnie dla tak forsiastych klientów jak wy dwaj.

- Były jakieś problemy? - zapytał Heinlein, gdy w trzech szli w kierunku kontenera.

- Nic takiego, czego nie opłaciłoby parę kopertówek, szanowny panie. Czy ma pan miejsce, gdzie mógłbym to wyładować?

Sarcha skierował Farleya na tyły posesji. Farley był zręcznym kierowcą i na wstecznym biegu udało mu się wjechać przegubową ciężarówką do stodoły bez poważniejszych problemów, w taki sposób, że kontener znalazł się pod jej jednym bokiem, zostawiając jednak dość miejsca na swobodny dostęp. Sarcha opuścił podnośniki i pomógł Farleyowi odhaczyć ciężarówkę. Gdy tylko to się udało, Heinlein dosunął drzwi od stodoły, zamykając je na klucz.

- Rozumiem, że ma pan dla mnie resztę pieniędzy? - zapytał Farley zeskakując w dół z kabiny.

- Mam w domu - odparł Heinlein. - A jeśli, to pana interesuje, to mam dla pana i chłopaków jeszcze jedną robótkę. Takie same warunki - gotówka.

Farley uśmiechnął się porozumiewawczo.

- Zawsze mnie interesują, proszę szanownego pana, takie warunki.

## 62.

W Jerozolimie trwały przygotowania do wizyty, jaką Rymann miał odbyć w USA.

Rymann włączył się do nich jeden jedyny raz zgłaszając veto wobec propozycji Waszyngtonu, by wraz ze swą żoną przyleciał bombowcem B9 USAF.

- Panie premierze, musi pan przyjąć tę amerykańską ofertę - zaprotestował Kuttner.

- Jeżeli wyjadę z Izraela, to tylko jako pasażer cywilnego samolotu linii El Al - oświadczył Rymann stanowczo ministrowi spraw zagranicznych.

- Który OWP zestrzeli nad Morzem Śródziemnym - odparł Kuttner. - Planujemy w przyszłym tygodniu wspólne oświadczenie w sprawie pańskiej wizyty, tak że nie będzie ona żadną tajemnicą. A B9 Maken nie jest w stanie ruszyć i nigdy tego nie zrobi.

- Głowy państwa izraelskiego zawsze korzystają z linii cywilnych - oświadczył

Rymann, łypiąc okiem na nową sekretarkę i zastanawiając się, jakie ma u niej szanse. - Gdybym postąpił inaczej, to złamałbym tradycję.

- Tak samo zestrzelenie pana stanowiłoby złamanie tradycji - odparł Kuttner z niezwykłą sobie otwartością. - A poza tym, czy sądzi pan, że to ładnie wystawiać na ryzyko pozostałe osoby towarzyszące?

Rymann skinął głową po chwili zastanowienia. Wiedział dobrze, kiedy musi ustąpić.

- Masz rację, Sam. Okay, polecimy B9. - Zachichotał, po czym dodał: - Czy sądzisz, że Stany Zjednoczone wystawią nam za to rachunek?

- Wątpię. Propozycja wyszła bezpośrednio od prezydenta Hadleya.

- W takim razie, jeżeli jest to za darmo, wydaje mi się, że stanowi to o wiele lepszy powód dla zaakceptowania propozycji, niż gdybyśmy mieli to robić w trosce o własne karki.

Kuttner nie był zachwycony tym dowcipem.

## 63.

Piętnastego kwietnia Neil i Lena udali się samochodem na lotnisko Gatwick, aby powitać trzyosobowy zespół NASA przybyły w celu umieszczenia ładunku na palecie. Jack Farley podjechał niskoosiową ciężarówką do części towarowej portu, żeby odebrać rozłożoną na części paletę, którą wyładowano z luku boeinga.

Technicy NASA mieli być niebawem potrzebni w Bazie Powietrznej Vandenberg dla przygotowania wojskowego ładunku, który miał polecieć promem, toteż postanowili nie tracić zbyt wiele czasu. Spędzili dwie godziny w zajmowanym przez siebie hotelu w Guildford odpoczywając po trudach podróży, po czym wezwali samochód z kierowcą, który miał ich zawieźć do uniwersytetu w Surrey. Dowódcą grupy był Paul Quincy, żyłasty mieszkaniec Nowego Jorku, który jako młody człowiek w roku 1981 był świadkiem pierwszego lotu promu. Znał też dobrze Neila.

- Piękna rzecz. Piękna - powiedział szybko do Flindersa i Neila podczas wstępnych oględzin *Cyklopa* opartego o stojak w pomieszczeniu o absolutnej czystości. - Najpiękniejszy ładunek, jaki kiedykolwiek widziałem, sir Max.

Flinders promieniał z zadowolenia.

- Jest to rezultat wielu lat ciężkiej pracy, panie Quincy.

Quincy spojrział pytającym wzrokiem na Neila.

- Czy były jakieś problemy podczas próbnego ładowania na paletę?

- Żadnych - odparł Neil. - Poszczególne części zamknęły się tak ciasno, jak tylko można

było sobie tego życzyć.

Grupa spędziła dwie godziny na rozkładaniu części palety na podłodze „czystego” pomieszczenia i sprawdzaniu, czy wszystko jest w porządku.

- Okay - powiedział Quincy, kiedy zakończyli pracę. - Ma pan teraz, sir Max, ostatnią okazję dokonania końcowych testów, ponieważ jutro o ósmej rano zaczniemy składanie palety wokół obserwatorium.

Zespół NASA powrócił do hotelu. Przez pozostałą część nocy naukowcy i technicy z uniwersyteckiego Centrum Sterowania *Cyklopa* wzięli się ostro za ogromne orbitalne obserwatorium, badając każde z jego urządzeń. Zasilanie potrzebne dla prób dała bateria świateł ksenonowych, których promienie skupiały się na rozciągniętych bateriach słonecznych dla pobudzenia energii, jaką, znajdując się już na orbicie, obserwatorium miało pobierać ze Słońca. Tej nocy odnaleziono parę usterek, lecz zostały one usunięte przed rankiem następnego dnia, gdy Paul Quincy i jego dwóch pomocników stawili się ponownie do pracy.

- Sarcha i ja chcielibyśmy móc się przyglądać - powiedział Heinlein.

- Nie widzę, panowie, powodu dlaczego nie - odparł Quincy przyjaźnie, obchodząc obu mężczyzn wkoło, aby się upewnić, czy są szczelnie zapięci w sterylne kombinezony. - Okay, proszę bardzo.

Podczas gdy *Cyklop* wisiał zahaczony do suwnicy, ludzie z NASA owinęli baterie słoneczne wokół boków satelity, a następnie zamocowali dolne, zakrzywione ściany palety. Heinlein i Sarcha obserwowali bacznie każdy ich ruch, nie odzywając się ani słowem, chyba że odpowiadając na zadane pytanie.

Kiedy nadeszła pora lunchu *Cyklop* przypominał olbrzymą przykucniętego na dnie otwartej łódki o kwadratowo zakończoną rufie.

Przez pozostałą część dnia Flinders, Lena i Neil wpadali raz po raz do biura programu, którego okna wychodziły na położony poniżej „czysty” pokój, aby przyglądać się postępowi prac.

O godzinie 15.00 zjawili się dwóch celników. Przebrali się w sterylne kombinezony, sprawdzili dokładnie satelitę, a następnie usiedli obok Heinleina i Sarchy, aby przyglądać się z podziwem, jak technicy NASA przymocowują Pomocnicze Moduły Ładunku do odpowiednich miejsc na *Cyklopie*. PMŁ, jak je nazywano, były silnikami raketowymi na paliwo stałe, służącymi do wyniesienia satelity na wysokość orbitalną niemożliwą do osiągnięcia przez prom. Do godziny 17.00 pozostałe części palety zostały zamocowane na swych miejscach sprawiając, że orbitalne obserwatorium zostało zupełnie zamknięte w

ogromnym, aluminiowym cylindrze.

- Dobra robota, panie Quincy - zwrócił się z gratulacjami Heinlein.

- Dziękuję, lecz nie ma w tym nic trudnego - odparł Quincy przyjmując słowa uznania, ściągał w tym czasie chirurgiczne rękawiczki i kombinezon. - Musimy jedynie mieć stuprocentową pewność, że wszystko gra. - Zwracając się do celników powiedział: - Okay, chłopaki. Bierzcie się za niego.

Dwaj urzędnicy przeciągnęli krótkie kawałki twardego stalowego drutu przez wszystkie zamki palety, zaciskając na ich końcach ołowiane plomby.

- Nie zdejmujcie tych pieczęci do chwili, aż paleta zostanie odprawiona przez amerykański urząd celny - ostrzegł ich jeden z urzędników, zanim oddalił się ze swym towarzyszem.

- Nic się nie martw - odparł jeden z techników NASA, rozsiadając się wygodnie na krześle. - Wszyscy znają tę procedurę.

Do „czystego” pomieszczenia wsunął się Flinders, a za nim jeden ze studentów niosący tacę załadowaną butelkami szampana i kieliszkami. Pochód zamykali Lena i Neil.

- Zrobimy sobie małą uroczystość - oznajmił Flinders, a jego tubalny głos rozszedł się echem wewnątrz „czystego” pomieszczenia. - Panie Quincy, czy paleta jest dość mocna, aby wytrzymać butelkę szampana?

- Jestem bardziej niż pewien - odparł Quincy. - Natomiast nie wiem, czy mogę to samo powiedzieć o nas.

Na tym zakończył się długi, męczący dzień. *Cyklop* - owoc pracy tysięcy godzin najlepszych mózgow w Europie, stanowiący również wydatek wartości wielu milionów dolarów - stał gotów do podróży w kosmos, w wyniku której miał się znaleźć na geostacjonarnej orbicie, wisząc nieruchomo 22 500 mil ponad równikiem.

Gotów do podróży, której miał nigdy nie ukończyć.

## 64.

Heinlein i Lena odwieźli grupę NASA na lotnisko Gatwick siedemnastego kwietnia. Heinlein dopilnował, aby w tym czasie Neil był zajęty, bowiem chciał porozmawiać z Leną w cztery oczy.

- Tak więc, Leno, mamy za sobą następną ważną fazę - rzucił w czasie drogi powrotnej do Guildford.

- Lecz nie najważniejszą - zauważyła Lena.

- Najważniejszą z punktu widzenia zarządu powierniczego - stwierdził Heinlein. - Nie zostało już wiele do zrobienia po tej stronie. Musimy zabrać się do planowania następnego programu.

Lena zainteresowała się:

- A co nim będzie?

- Obszerny telewizyjny serial dokumentalny na temat oddziaływania satelitarnego przekazu informacyjnego na kraje trzeciego świata. Obserwacja upraw celem wczesnego ostrzegania o nadchodzących chorobach roślin. Ruchy zwierzyny dla ludzi związanych z ochroną zwierząt. Tego typu sprawy.

- Zapowiada się ciekawie.

Heinlein zwolnił przejeżdżając przez małe miasteczko Horley położone w hrabstwie Surrey. Spojrzał z ukosa na Lenę.

- Chciałbym, żebyście razem z Sarchą rozpoczęli wstępne planowanie. Trzeba by odwiedzić odpowiednie miejsca do nakręcenia filmów wideo, i tak dalej.

Lena spojrzała na niego z niepokojem.

- Bardzo bym chciała, panie Heinlein. Lecz ja się zupełnie nie znam na robieniu filmów wideo.

- Również nie wiedziałas nic na temat satelitów, a jednak bardzo dobrze dałaś sobie radę. Ważne są tutaj zdolności administracyjne.

- To bardzo ładnie z pana strony, że pan tak mówi - odpowiedziała na komplement Lena - lecz...

- Chciałbym, żebyście zaczęli jak najprędzej. Mogłabyś polecieć z Sarchą do Południowej Afryki i rozejrzeć się po okolicy.

Lena nie była w pełni przekonana.

- Czy zdążę z powrotem, żeby być przy starcie?

- Wątpię. Będziesz miała co najmniej miesiąc pracy w tej części Afryki. Dlaczego ci na tym zależy?

- Bardzo chciałam zobaczyć ten start. W końcu pan i Neil będziecie na pokładzie.

- Leno, zrobiłaś, co tylko mogłaś, dla tego programu. Czas już zająć się czymś nowym - myśleć o przyszłości. Czy nie zgadzasz się ze mną?

- No... chyba tak - odparła Lena bez zbytniego przekonania.

\*\*\*

Neil przyjął niechętnie wiadomość, którą Lena przekazała mu wieczorem.

- Miesiąc? - zapytał. - Cały miesiąc bez ciebie? Mogę w tym czasie umrzeć.

Lena pchnęła go żartobliwie.

- Być może obojgu nam to dobrze zrobi. W każdym razie, będziemy zbyt zajęci, żeby móc o sobie myśleć - ty tam na promie, a ja kręcąc się wśród afrykańskich dzikich zwierząt.

Neil wziął ją w ramiona, całując następnie w czubek nosa.

- Kiedy wrócimy na Florydę, zaczniemy rozglądać się za domem.

- Byle tylko nie mieszkanie w bloku. Chyba bym oszalała.

- O mieszkaniu w bloku nie ma mowy - zgodził się Neil. - Będziemy mieli dość pieniędzy, aby móc się osiedlić w Delray czy Boca Raton. Moja umowa z zarządem wygasa w momencie lądowania. Mógłbym zacząć pracować jako konsultant do spraw ładunków.

- A czy dostaniesz pracę?

- Będę musiał pogadać z Earlem, kiedy już wrócę do Ośrodka Kennedy'ego. Po Kennedy'ach krążyła plotka, że rusza produkcja następnych pięćdziesięciu promów potrzebnych dla programu hotelu orbitalnego. A to by oznaczało dużą robotę.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu, każde pogrążone we własnych myślach.

- Martwi mnie tylko jedna sprawa - odezwał się Neil przerywając ciszę. - Nie podoba mi się to, że wybierasz się do Afryki z Tweedledee.

Lena uśmiechnęła się.

- O mnie się możesz nie bać.

- Kim są ci dwaj?

- Wygląda na to, że większość czasu spędzają razem w biurze całego przedsięwzięcia, nad czymś główkując.

- Myślisz, że kombinują coś z rachunkami?

- To śmieszne - odparła Lena - ale wydaje mi się, że nie. Lecz nie mogę pozbyć się podejrzeń, że coś knują. Na przykład, zawsze milkną, kiedy wchodzę do pokoju. I to ich zainteresowanie pakowaniem *Cyklopa* na paletę. To było dziwne.

Neil roześmiał się.

- Każdy przestaje mówić, kiedy wchodzisz do pokoju.

Lena nagle przyciągnęła go blisko do siebie.

- O Boże, Neil, będzie mi ciebie brakowało. - Pierwszy raz od czasów dzieciństwa była tak bliska łez.

- Mnie też będzie ciebie brakowało, kotku. - Zadarł jej lekko do góry podbródek. - Będę się za tobą rozglądał przelatując nad Afryką.



Lena spędziła dzień 18 kwietnia na przygotowaniach do wyjazdu do Afryki Południowej. Tego samego dnia wieczorem odwiozła Neila na lotnisko Heathrow, gdzie miał złapać samolot do Miami. Nienawidziła pożegnań. Na zewnątrz budynku lotniska przytuliła się do niego w długim, niemym geście, po czym wróciła na parking przeznaczony dla samochodów zatrzymujących się na krótko, nie oglądając się ani raz za siebie.

W niecałe dwadzieścia cztery godziny później znalazła się ponownie na lotnisku, siedząc w poczekalni przed odlotem do Johannesburga. Według pierwotnego planu miał jej towarzyszyć Sarcha.

- Heinlein chce, żebym został jeszcze jeden dzień w Zjednoczonym Królestwie, aby załatwić parę spraw - wyjaśnił Sarcha Lenie. - Niemniej jednak, nie ma powodu, żeby zmarnować twój bilet. Zamelduj się w Jan Smuts Holiday Inn, który znajduje się po przeciwnej stronie lotniska, a ja dojadę, jak najszybciej będzie można.

Chociaż ciekawiło ją, jakie dokładnie to rzeczy Sarcha ma „załatwić”, to jednak nie sprzeciwiła się, gdyż nie tęskniła specjalnie do jego towarzystwa w czasie długiego lotu. Nie lubiła małego, jowialnego Anglika i nie potrafiła wyzbyć się podejrzeń, że podglądał ją i Neila, gdy się kochali.

Jej rozmyślania przerwał komunikat nadany przez głośniki. Pasażerowie podnosili się z miejsc, ruszając tłumnie do jednego z wyjść. Wywołano jej lot. Zebrała swoje rzeczy i przyłączyła się do grupy wychodzących osób. Dwóch białych oficerów armii Południowej Afryki przerwało rozmowę w języku, który jej zdaniem brzmiał jak afrikaans, aby móc ją pooglądać. Ich pełne podziwu spojrzenia nie pomogły jej pozbyć się ucisku, jaki czuła w żołądku. Pomimo spokoju i udawanej pewności siebie Lena myślała ze strachem o tym, jak Afryka Południowa przyjmie jej czarną skórę.

## 66.

21 kwietnia. Przyglądanie się straszliwie powolnemu procesowi wciągania ogromnej, cylindrycznej palety na ciężarówkę Jacka Farleya działało tak strasznie na nerwy, że w końcu Flinders wykonał gest rozpaczony i usunął się do swojego biura prosząc, aby go przywołano, gdy jego ukochany satelita zostanie już bezpiecznie załadowany.

- Najlepiej, jak sobie pójdzie w cholerę - zamruczał najpotężniejszy facet z pięciu ludzi Farleya, którzy podsunęli paletę o następne parę cali w górę rampy.

Heinlein spoglądał z niepokojem na zegarek.

- Ile jeszcze wam to zajmie, Jack?

- Jeszcze z godzinę, szanowny panie. Dobra, chłopaki, odetchnijcie nieco.

Około pięćdziesięciu studentów, którzy pomagali we wciągnięciu palety, zrobiło sobie krótki odpoczynek, podczas gdy Farley i jego ekipa podbili w odpowiednie miejsca tymczasowe podpory, tak że nie było obawy, iż ogromny cylinder ześlizgnie się w dół załadowniczej rampy.

Podjechały do nich dwa auta policyjne. Sierżant dowodzący eskortą spojrział wyczekująco na paletę znajdującą się w połowie drogi.

- Nie skończyliście jeszcze?

Farley podniósł oczy do nieba.

- Jezu Chryste, z policjantów to są dopiero goście! Czy wygląda na to, że już skończyliśmy?

Sierżanta wcale nie wzruszyła uszczypliwa uwaga.

- Za trzy godziny robi się ciemno - stwierdził. - Nie ma mowy, żebyśmy wam pozwolili wjechać tym majdanem na drogę A3 po godzinie 15.00.

- Do jasnej cholery, kolego, Dunsfold leży w odległości dziesięciu mil.

- Może sobie nawet być o dziesięć jardów, godzinę zajmie sam dojazd, co oznacza, że nie możemy was eskortować po 15.00. Dobrze mówię, mądralo?

- Na rany boskie, przestańcie się kłócić i weźcie się do roboty - warknął Heinlein.

Paleta została załadowana i umocowana w stopniu, który satysfakcjonował sierżanta policji, na dwadzieścia minut przed podanym przez niego terminem ostatecznym. Farley wspiął się siadając za kierownicą ciężarówki i uruchomił silnik. Jego pięciu osiłeków usadowiło się w tylnej części kabiny. Nie było już czasu na przemówienie Flindersa, a i tak nikt by go nie usłyszał ponad rykiem całej braci uniwersyteckiej, która wysypała się wiwatując na widok ciężarówki sunącej wolno poprzez miasteczko studenckie. Pochód otwierał wóz sierżanta, zaś zamykał rolls-royce Heinleina. Obok niego siedział Flinders, na tylnym siedzeniu rozłożył swoje cielsko Sarcha.

- Jest już w drodze! - powtarzał w kółko Flinders. - Nie chce mi się wierzyć! Po prostu nie chce mi się wierzyć!

Konwój zmieszał się ze strumieniem pojazdów poruszających się po biegnącym na południe paśmie drogi A3. Auta policyjne włączyły migające na niebiesko światła i konwój rozpoczął podjazd na wzgórze Stag Hill, wzdłuż odcinka o długości jednej mili. Trasa, na którą wyraziła zgodę policja, zakładała, że ciężarówka pojedzie sześć mil na południe wzdłuż A3, a następnie skręci w kierunku Dunsfold na skrzyżowaniu w Milford. Wszystko szło w miarę płynnie, aż do chwili, gdy konwój nagle zatrzymał się tuż przed skrzyżowaniem w

Milford. Zaczął tworzyć się korek. Kierowcy nie używali klaksonów, bowiem większość z nich peszył widok błyskających niebieskich świateł. Flinders zaczął się denerwować.

- Skoczę zobaczyć, co się stało - powiedział Heinlein wysiadając z rolls-royce'a. Powróciwszy po dziesięciu minutach oświadczył:

- Farley powiedział, że ma przeciek ze zbiornika z płynem hamulcowym.

Flinders głośno jęknął.

- Wiedziałem, że coś takiego się przydarzy - powiedział z wyrzutem. - Ile potrwa naprawa?

- Przywołał bazę przez radiotelefon. Już jadą z nowym zbiornikiem. Powiedziano mu, żeby jechał dalej po A3 i zatrzymał się na noc na parkingu dla ciężarówek znajdującym się tuż przed zjazdem na Thursley.

- Ależ przecież to jeszcze cztery mile. Czy to jest bezpieczne rozwiązanie?

- Tak - odparł Heinlein uruchamiając silnik, w chwili gdy konwój ruszył z miejsca. - Teren jest w miarę równy przez cały odcinek do parkingu, lecz nie jest bezpiecznie jechać z paletą po tych wąskich drózkach do Dunsfold. Będziemy musieli poczekać z tym do rana.

Flinders spojrział na niego ze zdumieniem.

- Ależ to zupełnie niemożliwe! Dlaczego nie można naprawić ciężarówki od razu i ruszyć w drogę?

Heinlein skoncentrował się na chwilę przejeżdżając skrzyżowanie, po czym odpowiedział:

- Ponieważ wymiana zbiornika potrwa trzy do czterech godzin, a policja nie pozwoli na jazdę ciężarówki po nocy.

- Ale...

- Proszę mnie posłuchać, sir Max - ciągnął cierpliwie Heinlein. - Tego ładunku nie można przewozić bez eskorty policyjnej. Farley ma rację - najlepszą rzeczą, jaką teraz on i jego ludzie mogą zrobić, to zatrzymać się na noc na parkingu w Thursley, gdzie będą mogli wymienić zbiornik. Sierżant zachował się bardzo ładnie i zgodził się przysłać ponownie eskortę jutro o godzinie 9.00, galaxy nie wystartuje przed południem, tak więc nadal będziemy mieli jeszcze masę czasu, aby dostarczyć tę paletę do Dunsfold. Okay?

- Ale czy będzie bezpiecznie zostawić satelitę na całą noc? W tych czasach człowiek nigdy nie wie, co się może...

- Nie sądzę, żeby ktokolwiek próbował zadzierać z Farleyem i jego chłopaczkami - zauważył złośliwie Sarcha.

- Powinien pan być założyć w swoich planach i taką ewentualność - utyskiwał dalej

naukowiec.

- Ależ przecież wziąłem pod uwagę jakieś nieprzewidziane okoliczności - zauważył spokojnie Heinlein. - Jak pan sądzi, dlaczego ustaliłem termin przewożenia palety na dzień wcześniej przed jej odlotem?

\*\*\*

Tuż przed północą tego dnia na A3 nastąpiła długo oczekiwana przerwa w ruchu. Siedząc w znakomitym miejscu na Gibbet, jednym z najwyższych wzniesień w południowej Anglii, z którego roztaczał się widok na całą trasę, Sarcha nie widział z żadnej strony świateł zbliżających się pojazdów. Błysnął latarką pięć razy, po czym zbiegł w dół ścieżką do swego samochodu. Heinlein dostrzegł nadany sygnał i włączył na moment światła mijania, rzucając smugę światła w poprzek wjazdu na parking. Silnik ciężarówki zbudził się do życia. W minutę później pojazd wraz ze swoim ogromnym ładunkiem wyłonił się z parkingu dla ciężarówek, wyjechał szybko na opustoszały odcinek A3 i ruszył na południe.

Wszystko przebiegało gładko. Oba pojazdy opuściły A3 na zjeździe w Thursley. Farley musiał jechać w zupełnie żółtym tempie trzymając się środka nie oświetlonej, wiejskiej drogi, jadąc za światłami Heinleina. Jednocześnie nie przestawał wypatrywać baczny wzrokiem gałęzi, które mogły ujść jego uwagi, podczas rozpoznania trasy. Jedynym trudnym elementem był ciasny skręt w podjazd do Thursley Hall. Heinlein zaparkował samochód w pewnym odstępnie od niskoosiowca, po czym otworzył drzwi od stodoły. Kontener zniknął. Pod jedną ścianą stodoły stało paręset bali słomy. Z przodu przykrywał je brezentowy pokrowiec. Farley ostrożnie obracał paletę pod podwieszoną do górnej belki suwnicą, którą uruchomił z chwilą przybycia Sarchy.

- A co będzie z tymi? - zapytał Heinlein, przyglądając się pieczęciom odprawy celnej.

Farley wyszedł z kabiny ciężarówki.

- Nie ma sprawy, szanowny panie - odparł z przebiegłym uśmiechem, wyciągając jednocześnie z kieszeni spodni plombownicę. - Załatwiłem sobie zestawik zrób-to-sam.

- Okay - powiedział Heinlein, odciągając na bok brezent i odsłaniając cztery rakiety Masada. - Mamy jedynie sześć godzin do świtu, więc zaczynajmy.

## 67.

Lenę mile zaskoczyło przyjęcie, z jakim spotkała się w Johannesburgu. Potraktowano ją nader uprzejmie w trakcie meldowania się w Jan Smuts Holiday Inn. Wzięła prysznic, przespała się trzy godziny, po czym wsiadła do hotelowego autobusu, który zawiózł ją do

centrum Johannesburga. Dopiero po godzinie pozbyła się uczucia niepewności związanego z samotnością w nie znanym sobie mieście. Reszta popołudnia minęła jej na wędrowce po sklepach oraz kupowaniu ubrań przydatnych w trakcie zbliżającej się wyprawy w busz. Ostatnią rzeczą, którą kupiła, był zwięzły podręcznik na temat kręcenia telewizyjnych filmów dokumentalnych. Jak zwykle praktyczna we wszystkim, co robiła, Lena postanowiła poznać podstawy stojącego przed nią zadania.

Zanim tej nocy poszła spać, nagle uświadomiła sobie, jak bardzo brakuje jej Neila.

## 68.

22 kwietnia. Na parking dla ciężarówek wjechały dwa auta policyjne. Pojazd Jacka Farleya z załadowaną na niego ogromną paletą stał zaparkowany dokładnie w tym samym miejscu, w którym poprzedniego wieczoru zostawili go policjanci.

- Gotowe, chłopaki? - krzyknął sierżant. - W oknach kabiny pojawiły się nie ogolone twarze o zaspanych oczach. Sierżant wybuchnął śmiechem. - A z wami co? Nie wyspalicie się?

- To te cholerne sowy nie dały nam zasnąć, no nie? - warknął Farley.

- Hamulce, mam nadzieję, naprawione?

- Jesteśmy gotowi.

- Okay. Ruszajmy z tym kramem.

Pięćdziesiąt minut później wlokący się żółtym tempem konwój przybył na Aerodrom w Dunsfold, ukryty głęboko wśród wzgórz Surrey. „Aerodrom” było staroświeckim słowem, jednakże ta nazwa się przyjęła; natomiast nie było niczego staroświeckiego w kształcie smukłych odrzutowców pionowego startu typu Harrier trzeciej generacji, które na tym lotnisku poddawano różnym próbom i kontrolom przedstartowym. Aerodrom w Dunsfold był miejscem, gdzie skonstruowano ponad czterysta myśliwców pionowego startu. Transportowce supergalaxy - podobne do tego, który oczekiwał blisko ogrodzenia - były częstymi gośćmi na lotnisku, przylatując po odbiór harrierów zamawianych przez Stany Zjednoczone dla oddziałów piechoty morskiej.

Po kontroli dokonanej przez ochronę lotniska konwój podążył wzdłuż ogrodzenia za wozem strażackim do oczekującego galaxy. Nastąpiło tam spotkanie z przybyłymi rolls-royce'em Heinleinem, Sarchą i Flindersem.

- To nieprawdopodobne - mruzczał Flinders wpatrując się w przepastny luk galaxy, który odsłonił się, w chwili gdy dziób ogromnego samolotu uniósł się do góry, na podobieństwo

przyłbicy na hełmie średniowiecznego rycerza.

- Nie można wprost uwierzyć, że taki potwór potrafi ruszyć z miejsca, nie mówiąc już o lataniu.

Po krótkiej naradzie odbytej pomiędzy osobą kierującą załadunkiem na galaxie i całą grupą osób przybyłych do pomocy ciężarówką, Farley na wstecznym biegu podjechał wozem w kierunku samolotu transportowego. Opuszczono pochylnie, zaczepiono liny od wind o paletę i uruchomiono elektryczne silniki. Paleta zaczęła wolno sunąć do luku supergalaxie. Zmieściła się właściwie na styk; zostało jedynie dość miejsca na to, aby kierujący załadunkiem mógł prześlizgnąć się w czasie częstych kontroli między paletą a obudową kadłuba. Ta bardzo delikatna operacja trwała całą godzinę. Pojazdy odjechały na bok w chwili, kiedy paleta została przymocowana do podłogi w sposób satysfakcjonujący kierującego załadunkiem.

Dokładnie w południe potężny samolot rozgrzał swoje cztery turbośmigłowe silniki i potoczył się na koniec pasa startowego, podrzucając zwisającymi skrzydłami w chwilach, gdy jego koła trafiały na dylatacje w betonie. Pilot otrzymał zgodę na start o 12.10. Silniki ruszyły z tak ogłuszającym rykiem, że zmusił on grupę przyglądających się osób do zakrycia uszu rękami. Supergalaxie ruszył wolno przed siebie. Początkowo jego tempo wydawało się ospałe - nieomal spacerowe. Lecz za chwilę maszyna zaczęła mocno przyspieszać, gdy grzmiące silniki turbośmigłowe pokazały, na co je stać. Srebrzysty olbrzym poderwał się wreszcie w powietrze i dźwignął opasłe cielsko ponad drzewami w chwili, gdy została już tylko jedna czwarta pasa i strzępy nerwów u osób obserwujących to wydarzenie.

Sarcha spojrział przelotnie na Flindersa. Wzrok naukowca był wbity w malejący supergalaxie. Anglik przez moment odczuwał żal na myśl, że ukochany *Cyklop* Flindersa stoi oparty o drewniane stojaki w stodole Thursley Hall, oddalony zaledwie o parę mil, zamiast mknąć na pokładzie samolotu w kierunku Ośrodka Kennedy'ego.

Heinlein odciągnął na bok Jacka Farleya i wsunął mu do ręki kopertę.

- Jack, masz tu tyle, ile mówiliśmy. Oraz dodatkowe pięćset dla każdego z twoich chłopaków. Byli sakramencko dobrzy.

Farley wsunął otrzymaną sumę do wewnętrznej kieszeni.

- Przyjemnie się z panem pracuje, panie Heinlein. Spodziewam się, że w ciągu najbliższych paru dni dowiemy się z telewizji o tej pana wyprawie?

- Być może - odparł Heinlein. - Lecz mam nadzieję, że do tego nie dojdzie. W każdym razie w przypadku, gdy wszystko pójdzie zgodnie z planem.

Głos silników supergalaxie ucichł w oddali i zebrani rozeszli się.

\*\*\*

Heinlein i Sarcha spędzili następane dwa dni na załatwianiu reszty spraw na uniwersytecie w Surrey.

- Wrócimy na pierwsze posiedzenie zarządu powierniczego - odezwał się Heinlein do Flindersa, zachodząc do biura wiceprzewodniczącego, aby się z nim pożegnać.

Flinders uściskał dłoń Heinleina.

- Dziękuję za wszystko, Heinlein - powiedział głębokim głosem. - Życzę przyjemnej wyprawy w kosmos. Może będziemy mieli okazję porozmawiać sobie, kiedy centrum dowodzenia *Cyklopem* otrzyma połączenie z promem?

- Być może - zamruczał Heinlein. - Być może.

\*\*\*

Następnego ranka, dwudziestego piątego kwietnia, Heinlein i Sarcha usiedli razem w gabinecie w Thursley Hall omawiając szczegółowo swoje plany, sprawdzając po dwa razy, czy niczego nie pominęli.

- Jedyłą sprawą, która mnie martwi, to ten helikopter - rzekł Sarcha. - Jeżeli się nie zjawi lub jeżeli dostaną nas pierwsi ci z Południowej Afryki, to mamy przewalone.

- Na pewno przyleci - zapewniał go Heinlein.

- Nie wiem nic na temat mieszkańców Mozambiku. A już tak jest, że nie ufam czemuś, czego nie znam.

- A czy ufasz Makenowi?

- Całym swoim życiem.

- Więc wiedz, że zaręczył mi osobiście, że Mozambik nas nie zawiedzie.

- Miejmy taką nadzieję, Davidzie, mój chłopie kochany.

Heinlein rzucił okiem na zegarek.

- Czas już, żebyśmy wykonali następny ruch.

\*\*\*

Na lotnisku Heathrow zakupili dwa bilety: jeden dla Sarchy do Johannesburga, a drugi dla Heinleina na Florydę.

- Do zobaczenia w Afryce Południowej - rzucił na pożegnanie Heinlein, gdy obaj mężczyźni rozeszli się po uściśnięciu sobie dłoni.

- Lub też w piekle, jeżeli nam coś nie wyjdzie.

Heinlein czekał do chwili, aż Sarcha zniknie mu z oczu, zanim podszedł do automatu i wykręcił numer w Tel Awiwie.

- Wszystko zostało załatwione zgodnie z obietnicą, Davidzie - zapewnił go Greer po

wysłuchaniu do końca sprawozdania Heinleina. Fregata wyszła już z Ejlat i będzie oczekiwać w Beira. Wyślą helikopter, gdy tylko ich radar pokaże, że prom wraca w atmosferę. Helikopter przyleci na miejsce jedną minutę po wylądowaniu promu.

- Czy wyliczyłeś czas, w którym mogą zareagować Siły Powietrzne Południowej Afryki?

- W najgorszym wypadku macie do dyspozycji limit pięciu minut.

- Chryste - to tak bardzo napięty jest harmonogram?

- Davidzie, nic się nie martw. Wyciągniemy cię stamtąd. Wszystkie nasze operacje miały, jak dotąd, znakomite wyliczenie czasu potrzebnego na ich realizację.

To oświadczenie stało się w istocie wyznaniem faktu, który Heinlein podejrzewał już od dłuższego czasu. „Ben Yair” był naprawdę Michaeliem Greerem - szefem Mossadu. Heinlein nagle poczuł, że przestał się tak bardzo przejmować faktem uzależnienia od innych osób w sprawie pomyślnego ukończenia ostatniej fazy operacji.

## 69.

Neil stał razem z Earlem Hackettem w Ośrodku im. Kennedy’ego, aby przyjrzeć się lądowaniu supergalaxy na ogromnym pasie, którego zwykle używały promy powracające z misji w kosmosie.

- Będziemy z ogromnym zainteresowaniem śledzić to właśnie zadanie - stwierdził Earl Hackett, w czasie gdy paleta została uwolniona od zamocowań, wyciągnięta windą z luku samolotu transportowego, a następnie załadowana na przyczepę.

- Z jakiego powodu, Earl?

- Nie przewoziliśmy na orbitę zbyt wielu palet tak ogromnych jak ta tutaj. Czy nie słyszałeś czegoś o budowie hotelu orbitalnego?

- Same plotki.

- Pelham ogłosi to oficjalnie w przyszłym miesiącu. Gdy tylko program budowy hotelu orbitalnego wejdzie do realizacji, to będziemy przewozić wielkie ładunki każdego dnia. Będę bardzo ciekaw, jak ci z tym pójdzie, jeżeli mówisz serio o zostaniu specjalistą od ładunków.

Neil spędził następnego dnia godzinę w jednym z ogromnych hangarów Obiektów Obsługi Orbiterów na przyglądaniu się, jak zespół inżynierów opuszcza ogromny cylinder do ładowni pojazdu orbitalnego PO-141 o nazwie *Dominator*. Zbieg okoliczności sprawił, że był to ten sam pojazd orbitalny, którym leciał w czasie ostatniego, nieszczęśliwie zakończonego zadania.



„Ładowanie” *Dominatora* trwało trochę ponad pięć godzin. Kiedy już je zakończono, orbiter przyholowano do Budynku Montażu Pojazdów, gdzie olbrzymie dźwigi uniosły cały samolot pionowo w górę, opuszczając go następnie na ruchomą platformę startową. Gdy orbiter został już przymocowany do wieży montażowej i zamontowano w odpowiednich miejscach galeryjki, po których można się było dostać do jego wnętrza, rozpoczęto montaż dodatkowych silników na paliwo stałe oraz zewnętrznych zbiorników na paliwo.

Cyfry ukazujące się na wielkiej, oświetlonej planszy znajdującej się z boku boksu dla obsługi pokazywały godziny, minuty i sekundy pozostałe do startu.

Był dwudziesty piąty kwietnia. Pozostało jeszcze piętnaście dni do startu.

## 70.

Tego samego dnia OWP przypuściła swój, jak dotąd najbardziej ambitny, atak powietrzny na Izrael. Trzy bombowce Tupolewa uzupełniły nad Morzem Śródziemnym paliwo, co pozwoliło im uzyskać odpowiedni zasięg, aby z wysokości stu sześćdziesięciu tysięcy stóp móc zasypać bombami bazy Chel Ha'Avir w Hazerim, Hazor i Herzliji, zanim skierowały się na Ejlat. Dziesięć myśliwców Sharav w Herzliji zostało zniszczonych w podziemnych bunkrach przez naprowadzane grawimetrem bomby kruszące. W Hazor były też poważne straty w ludziach, gdzie bomba wybuchła w podziemnym centrum łączności.

- Maken postawił na dobrego konia - stwierdził gorzko Rymann w rozmowie z Greerem, gdy doszły do nich wiadomości o nalocie. - Wiedział doskonale, że nie odważymy się na użycie następnej Masady z głowicą nuklearną przeciwko jego samolotom na dwa tygodnie przed moją wizytą w USA. Dałoby to Hadleyowi pretekst do jej odwołania.

- Czy wszystkie szczegóły zostały już omówione? - zapytał Greer.

- B9 przylatuje po nas na Ben Gurion dziesiątego maja i zabierze nas prosto do Bazy Sił Powietrznych Andrews. Mają nas odwieźć z powrotem jedenastego - zaraz po moim spotkaniu z Hadleyem. Z tego powodu zaproponował nam B9 - polecimy tam i wrócimy naprawdę błyskawicznie. Okay - jakie masz wiadomości w sprawie silnika pomocniczego Masady?

Greer przekazał Rymannowi raport, który, jak zwykle, mieścił się na pojedynczej kartce maszynopisu.

- Moja pierwotna ocena, w której zakładałem, że potrzeba będzie trzech lat, aby wdrożyć silnik do produkcji, okazała się słuszna - wyjaśnił. - W chwili obecnej profesor Racine kompletuje nowy zespół. Jest głęboko przekonana, iż pod koniec trzeciego roku

będziemy mieli środki do całkowitej likwidacji Bakal.

- Lub nawet Moskwy - dodał Rymann w formie refleksji.

Ostre rysy twarzy Greera nabrały jeszcze większej wyrazistości.

- Jeżeli Heinlein nie będzie miał wyjścia, to zrobi to, co do niego należy. Czy dalej uważasz to za słuszne?

Rymann odpowiedział bez chwili namysłu.

- Decyzja, którą podjąłem tego dnia, kiedy wybraliśmy się na Wzgórze Masady, nie uległa zmianie. Nie zmieni się w ciągu najbliższych dwóch tygodni. Masz na to moje uroczyste słowo, Michaelu.

Greer skinął głową.

- Izraelowi jest teraz potrzebny czas, a nie puste obietnice. - Spojrzał twardo na Rymanna. - Potrzebujemy trzech lat spokoju, które może nam zapewnić jedynie setka B9, Hendriku. W przeciwnym razie Heinlein zrobi to, co mu polecono.

## 71.

- To, co mówisz, jest zupełnie bez sensu, skarbie - powiedziała Lena leżąc na łóżku hotelowym i trzymając słuchawkę przytuloną do ucha. - Nie robi się filmów wideo w trakcie pierwszej wizji lokalnej.

- A skąd ty to wiesz, kotku?

- Czytałam o tym.

- Tweedleedum i Tweedledee działają według własnych, przedziwnych metod - przypomniał jej Neil - które wydają się sprawdzać.

- To dlatego, że pakują w te metody mnóstwo pieniędzy, tak żeby na pewno się sprawdziły. Neil - ich podejście do sprawy jest bez sensu. To jest niewydajne. Rozrzutne. Nieprofesjonalne. Można by dorzucić jeszcze parę przymiotników. Próbowałam zrobić kosztorys tego filmu wideo i...

- Kotku, niech cię o to głowa nie boli. Żeby tylko zapłacili tyle, abyśmy mogli kupić ten dom.

Lena wydała westchnienie. Gotowość Neila do bezkrytycznego zaakceptowania wszystkiego potrafiła być irytująca.

- Myślę, że masz rację - powiedziała cicho, nie do końca przekonana. - Chryste - tak się tutaj nudzę czekając na Sarcha.

Następne pięć minut zeszło im na mało ważnej pogawędce.

- Tęsknię za tobą, skarbie - powiedział Neil pod koniec rozmowy.

Lena zaśmiała się.

- Jesteś za bardzo zajęty, żeby mieć czas tęsknić - próbowała się z nim drażnić. -  
Zadzwoń do ciebie jutro. O tej samej porze.

Parę minut później odezwał się stłumiony sygnał telefonu. Z hotelowego hallu dzwonił Sarcha, który właśnie przyjechał.

- Dlaczego, do cholery, tak długo cię nie było! - rzuciła się na niego, gdy wszedł do jej pokoju. - Tkwię w tym wściekłym hotelu, nie wiedząc, co robić, i nudząc się jak mops!

Na przypominającej księżyc twarzy Sarchy pojawił się wyraz zaniepokojenia. Zamrugał nerwowo oczami i cofnął w kierunku drzwi.

- Leno, tak mi przykro, kochanie. Możemy zacząć pracę już jutro. Obiecuję, że będzie ona dla ciebie fascynująca.

\*\*\*

Sarcha dotrzymał słowa. Następnego dnia spotkał się z Leną na szybkim śniadaniu. Następnie spędzili parę godzin w towarzystwie gadatliwego taksówkarza, Zulusa, który zawiózł ich do każdego dealera handlującego wozami kempingowymi w Johannesburgu i w okolicy. Późnym popołudniem Sarcha odnalazł solidnego chieftaina o wzmocnionym zawieszaniu i terenowych oponach. Wóz był roczny i wyglądał na zadbane. Następnego dnia Sarcha zapłacił za niego gotówką i pojechał nim razem z Leną do firmy specjalizującej się w sprzęcie łącznościowym, która to firma zgodziła się wyposażyć wóz w sprzęt radiowy i telewizyjny zgodnie z podaną specyfikacją.

- Jest tu roboty na parę dni, panie Sarcha - oświadczył główny inżynier, kiedy uzgodniono już wszystkie szczegóły. - Chowane talerze śledzące satelitę wymagają dużo prac instalacyjnych. Sama elektronika do śledzenia...

- Ile to zajmie czasu?

- Co najmniej dziesięć dni.

- Czy możecie pracować w weekend?

- Możemy. Lecz zamontowanie urządzeń nawigacyjnych...

- Czas jest tutaj ważniejszy od pieniędzy - odparł tajemniczo Sarcha. - Pracujcie przez weekend.

Główny inżynier obiecał, że natychmiast zacznie.

- Po co nam tak kosztowny pojazd i aż tak skomplikowany sprzęt? - zapytała Lena w taksówce, w czasie drogi powrotnej do hotelu.

- Wóz kempingowy będzie nam służył jako główna baza dla wszystkich zespołów

filmowych, kiedy zaczną się zdjęcia - odparł Sarcha.

- A kiedy to nastąpi?

Sarcha wydawał się nie zauważać lekko podejrzliwego tonu głosu Leny. Wzruszył jedynie ramionami.

- Może zobaczymy, jak nam pójdzie pierwsze rozpoznanie, co ty na to, skarbie?

## 72. 1 Maja

### Odliczanie przed holocaustem

Gdy tylko rozległ się przeraźliwy dźwięk sygnału alarmowego nakazującego opuszczenie platformy startowej, Heinlein prześlizgnął się błyskawicznie przez atrapę wjazdu orbitera, biegnąc dalej wzdłuż wąskiego korytarzyka, którym się do niego dochodziło, a następnie do białej sali. Po przeciwległej stronie sali widniał szereg dwuosobowych wózków wykonanych ze stalowej siatki, przymocowanych u góry do lin. Najbliższy wózek zakołysał się i podskoczył, gdy tylko w nim wylądował, wprawiając go przy tym w przerażenie. Spoglądając w dół doznał chwilowego zawrotu głowy, po czym zwolnił dźwignię. Wózek runął w dół z gwizdem wydawanym przez wirujące bloki, przez które przesuwaly się liny. Heinlein zamknął na moment oczy, starając się nie myśleć o ziemi pędzącej mu na spotkanie. W wojsku często używał bloczków do zjeżdżania po linach, lecz nigdy nie z wysokości dwustu pięćdziesięciu stóp w wózku przypominającym wyposażenie supermarketu. Nastąpiło gwałtowne wyhamowanie w chwili, gdy wózek wpadł w ochronną sieć. Heinlein wyskoczył z niego jednym susem, zanim jeszcze zdążył zaryć się w piachu. Zatoczył się, odzyskał równowagę, po czym wskoczył do najbliższego bunkra chroniącego przed eksplozją, zupełnie jak królik do swojej nory.

- Dziwne uczucie, no nie? - zapytał go instruktor zatrzymując stoper.

- Dziwne - zgodził się z nim Heinlein.

- Pięćdziesiąt pięć sekund. Nawet nieźle - ale radzę poczekać, aż wózek się zatrzyma.

Nie ma żadnego sensu łamać sobie nogi, a następnie nie być w stanie dostać się do bunkra, zanim wszystko wyleci w powietrze.

Heinlein wyszedł za instruktorem z bunkra. Zadarł głowę do góry patrząc na atrapę wieży startowej i dziobowej części orbitera, którą właśnie opuścił.

- Mam nadzieję, że nie będę musiał tego robić jeszcze raz?

- Chyba, że zechce pan to zrobić dla hecy.

- Nie, dziękuję. Więc co jeszcze zostało?

Instruktor sprawdził listę.

- Przeszedł pan przez badania lekarskie i ukończył szkolenie awaryjne. No i to by było na tyle. Został pan uznany za wystarczającego wariata, aby zakwalifikować się na przejażdżkę promem.

\*\*\*

Tego samego dnia po południu Neil i Heinlein pojechali do Budynku Montażu Pojazdów, aby zobaczyć wytaczanie promu.

Potężne skrzydła drzwi zostały uniesione w górę, a zza nich wysunął się ogromny ciągnik - a właściwie platforma poruszająca się z prędkością jednej mili na godzinę. Na górze platformy przytłoczony ogromem zewnętrznego zbiornika paliwa znajdował się *Dominator*, prawie zupełnie zakryty przez wieżę startową i silniki dodatkowe na paliwo stałe.

Był to dzień pierwszy maja, święto ludzi pracy.

Do godziny T pozostało dziesięć dni, a odliczanie już się rozpoczęło.

## 73.

Góry Drakensberg wyrastały z czerwonej gleby porosłej trawą i krzewami na podobieństwo koślawych, popsutych zębów tkwiących w chorych dziąsłach. Ich widok wyrwał Lenę z letargu, lecz wkrótce minęli góry i wóz kempingowy znowu pędził wzdłuż niezmiennie monotonnej Trasy 4.

Firma specjalizująca się w sprzęcie łącznościowym przebudowała tylną część chieftaina. Zniknęło legowisko rozciągające się na całą szerokość pojazdu. Na jego miejscu pojawiło się obrotowe krzesło stojące przed niewielką, lecz napakowaną sprzętem konsolą radiową. Na prawo od konsoli znajdował się ekran telewizyjny wbudowany w pulpit mikserski, obsługujący dwie kamery telewizyjne przymocowane do ścianki działowej. Nawet dach został przebudowany w ten sposób, aby mógł pomieścić wysuwaną antenę talerzową pracującą w paśmie bardzo wysokiej częstotliwości. Obok kierownicy zamocowano nawet kosztowny inercyjny zestaw nawigacyjny.

Jedynym pocieszeniem dla Leny stało się to, iż przynajmniej główna ścianka działowa została na swoim miejscu, przez co mogła być pewna, że nikt jej nie będzie przeszkadzać w nocy. Sarcha zgodził się spać na składanym łóżku w tylnej części wozu, zostawiając dziewczynie pojedyncze miejsce do spania obok fotela kierowcy. Cieszyła się również z tego,

że chociaż Sarcha nie krył się ze swoimi pełnymi zachwyty spojrzzeniami, to przynajmniej nigdy nie próbował jej obmacywać. Zastanawiała się, czy jej obciste spodnie nie były pomyłką.

Nagła zmiana prędkości wozu kempingowego przerwała jej rozmyślenia.

- Możesz mnie zmienić za kółkiem - powiedział Sarcha skręcając z drogi na miejsce przeznaczone na pikniki. Lena była zadowolona, że może się czymś zająć. I tak już przed godziną 15.00 przedzierała się chieftainem przez targowe miasteczko Nelspruit. Bujne tropikalne drzewa, rosnące wzdłuż ulic i zapach unoszący się z magazynów owoców cytrusowych przypomniały jej Florydę. Czuła się fatalnie tęskniąc za domem, jednak starała się nie uzewnętrzniać przed Sarchą swoich uczuć. Brakowało jej ojca i zapuszczonej stacji benzynowej, brakowało jej lagun i przesmyków wodnych Florydy, łukowatych mostków, palm, a nawet wilgoci wiszącej w powietrzu. A ponad wszystko brak jej było Neila.

Sarcha przejął od niej kierownicę, gdy dojechali do Komatipoort - nieciekawej wioski z dachami domów pokrytymi blachą, leżącej w pobliżu granicy z Mozambikiem. Skręcili na północ na wąską wyasfaltowaną drogę i dojechali aż do Crocodile River Bridge, który był najdalej na południe wysuniętym punktem granicy Narodowego Parku Krugera. Sarcha zatrzymał się na środku mostu i przy pomocy koordynat wziętych z mapy nastawił inercyjny system nawigacji. Od tej chwili instrument miał w każdej chwili podawać położenie pojazdu z dokładnością do jednego jarda.

- Narodowy Park Krugera - oznajmił Sarcha, kiedy zjeżdżali z mostu. - Nie wygląda na nic nadzwyczajnego, nieprawdaż? Wiesz, co mi raz powiedział Heinlein? Że ten park jest większy od Izraela.

Strażnik leśny zatrzymał ich ruchem ręki, stojąc przed swoim domem. Powitał ich nosowym afrikaans, lecz przeszedł na angielski w chwili, gdy Sarcha przerwał mu grzecznie stwierdzając, że niczego nie rozumie.

- Słuchajcie, czy macie radio CB lub radiotelefon? - zwrócił się do nich z pytaniem strażnik, łypiąc jednocześnie okiem na Lenę. Rzuciła mu lodowate spojrzenie.

- Nie, lecz możemy wejść na każdą częstotliwość - odparł Sarcha. - Dlaczego pan pyta?

- Mieliśmy meldunki, że z Mozambiku przeszli przez granicę jacyś ludzie. Być może są to kłusownicy. Może ktoś inny. Jeżeli zobaczycie coś podejrzanego, to skomunikujcie się z nami. Prowadzimy nasłuch na częstotliwości dwa sześć koma dziewięć-sześć-pięć.

Sarcha zapisał częstotliwość.

- Okay. Połączymy się, gdy tylko coś zobaczymy.

Strażnik skinął głową. Jego spojrzenie wróciło na moment do Leny.

- Nie ma to jak Park Krugera pod względem ciszy i spokoju, gdy się łamie prawo.

- Jakie znowu prawo? - zapytała Lena.

- Moralności, panienko. Życzę udanego pobytu.

- Sukinsyn! - Lena splunęła z odrazą, gdy ruszyli z miejsca.

Po chwili wjechali w gęsty busz.

- Kiedy, do jasnej cholery, zamierzasz zatrzymać się na noc? - powiedziała Lena ze skargą w głosie, gdy przejechali już parę mil.

Sarcha trzymał rozłożoną mapę na kierownicy, spoglądając na przemian raz na nią, a następnie na system nawigacyjny, nie przerywając przy tym jazdy. Nie groziło to specjalnie żadnym niebezpieczeństwem - nie posiadająca nawierzchni droga była jedynie pozbawioną trawy wstęgą ciągnącą się przez równy jak stół teren. - Kawalek na północ od Dolnego Sarbie - powiedział.

W odczuciach Leny ów kawałek na północ od Dolnego Sarbie okazał się być najbardziej samotnym miejscem na ziemi. Bezkresne pasma krzaków cierniowych i łąny traw ciągnące się aż po ciemniejące zmierzchem niebo. Trawy wyraźnie ucierpiały na skutek wyjątkowo gorącego lata. Nie było wcale widać dzikich zwierząt, którymi tak się chełpił Narodowy Park Krugera, może z wyjątkiem wątego cienia orla obserwującego wóz kempingowy w nadziei na ewentualne resztki jedzenia.

- Według przewodnika gruba zwierzyna trzyma się bardziej na południe - stwierdził Sarcha w czasie, gdy Lena gotowała posiłek. - Zobaczmy, czy jest coś godnego obejrzenia w telewizji ze świata. - Pulchny Anglik siadł na obrotowym krześle i nacisnął parę przycisków sterujących talerzem anteny. - No, proszę - powiedział po chwili. - Mam coś trochę lepszego niż propozycje programowe SABC.

Lena podniosła wzrok znad smażonych steków. Na ekranie widać było mecz bokserski z komentarzem w języku francuskim. Informacje podane nad ekranem identyfikowały satelitę transmitującego ów program, jak również stację nadającą go z ziemi. Sarcha wystukał 44 - międzynarodowy kod proszący o tłumaczenie na angielski - i komentarz przeszedł na ten język.

Lena jęknęła i z trzaskiem postawiła obok Sarcha talerz ze stekiem i grzybami.

- Mam nadzieję, że nie będę musiała oglądać przez całą noc programu sportowego.

Sarcha uśmiechnął się i poruszył kontrolkami. Z setki dostępnych kanałów wybrał operację przeprowadzaną na mózgu, nadawaną na 3-D.

- No to może coś takiego? - powiedział, uśmiechając się szyderczo.

- Może nie w czasie, kiedy siadamy do jedzenia.

- Jest to program adresowany dla wąskiego grona specjalistów. Pochodzi ze szpitala kosmicznego NASA.

Lena nagle zainteresowała się.

- Czy ten sprzęt odbiera każdego satelitę? - zapytała.

Sarcha zaczął pożerać jedzenie ze swojego talerza.

- Zgadza się, serduszek.

- Nawet prom?

- Jeżeli go namierzemy, to go i usłyszymy - i możemy też sprawdzić, czy nadaje program telewizyjny. Dlaczego pytasz?

- Neil i Heinlein startują jutro - zauważyła Lena, starając się nie pokazywać swojego ożywienia. - Czy będziemy mogli dostroić się na ich częstotliwość?

- Jasne. Lecz czasami transmisje są kodowane.

- Ja... wcale nie chcę rozmawiać z Neilem. Byłoby tylko wspaniale móc go słyszeć.

Sarcha robił wrażenie, jakby zależało mu na zmianie tematu.

- Zobaczymy, co się da zrobić, serduszek.

Lena spojrzała na konsolę ze sprzętem do łączności.

- Czy dalej chcesz mnie przekonać, że jest nam potrzebny tak skomplikowany sprzęt komunikacyjny? - zapytała.

Anglik spojrzał na nią ostro.

- Już ci mówiłem - odparł z niepodobnym do niego rozdrażnieniem. - Ten wóz ma być bazą sprawującą kontrolę nad paroma zespołami filmowymi.

Lena wskazała ruchem ręki konsolę.

- Okay - w takim razie może potrzebne są nam kamery wideo. Ale ile kosztowała cała reszta? Milion? Nie potrzeba wcale sprzętu łączności milionowej wartości w kraju posiadającym sieć telefonii komórkowej.

Sarcha uśmiechnął się szeroko.

- Ja robię tylko to, co mi każą, skarbie. Jeżeli chcesz się kłócić z Heinleinem po jego powrocie, proszę cię bardzo, lecz w chwili obecnej ty również bierzesz pieniądze za to, żeby wykonywać polecenia. Okay?

Tego wieczoru, kiedy Lena zaciągała zasłony w tylnej części wozu kempingowego, zauważyła jakiś ruch na zewnątrz.

- Sarcha - powiedziała cicho. - Na zewnątrz chodzi jakieś zwierzę lub coś innego.

W ręce Sarcha błysnął luger. Otworzył gwałtownie drzwi wozu i wyskoczył w ciemność. Lena podbiegła do drzwi, zamykając je na klucz. Obrzuciła wzrokiem wszystkie



okna, aby się upewnić, czy zostały szczelnie zamknięte, po czym zaczęła nasłuchiwać.

Z zewnątrz dobiegły ją czyjeś głosy, a następnie śmiech Sarchy. Słysząc było czyjeś kroki zmierzające w kierunku drzwi.

- Wszystko w porządku, skarbie. Otwórz.

Lena porwała wielki nóż kuchenny. Schowała go w rękawie, po czym odsunęła zamek drzwi, zza których ukazała się pyzata twarz Sarchy.

- To nasz przyjaciel - powiedział wesołym głosem, wchodząc do wnętrza wozu. - I jest mu bardzo przykro, jeżeli cię przestraszył. Joss, powiedz tej pani „przepraszam”.

Za Sarchą wszedł do wozu kempingowego wysoki, mocno zbudowany Zulus w wieku około dwudziestu pięciu lat. Miał na sobie spłowiałe dżinsy i czerwony podkoszulek. Na jednym ramieniu niósł płócienny plecak. Uśmiechnął się do Leny i wyciągnął na powitanie rękę.

- Przepraszam panią. Nie miałem zamiaru przestraszyć.

- Lena, to jest Joss. Będzie naszym przewodnikiem.

Lena spojrzała zaskoczonym wzrokiem na Jossa, a następnie na Sarchę.

- Przewodnikiem? Nic nie mówiłeś o przewodniku - powiedziała, odrzucając nóż na łóżko.

Sarcha zachichotał.

- Miał się zjawić najwcześniej jutro. Joss jest doświadczonym tropicielem. Potrafi podprowadzić nas do prawdziwej zwierzyny - a nie tych zwierząt, jakie turyści oglądają wokół wodopojów przy swoich obozach. Pozwoli nam zaoszczędzić masę czasu. Czy nie tak, Joss?

Joss skinął głową i uśmiechnął się porozumiewawczo do Leny.

- Kiedy umówiłeś się z nim na to spotkanie? - zażądała odpowiedzi Lena.

- Nic wielkiego, wykonałem parę telefonów do moich ludzi w Johannesburgu - odparł Sarcha wymijająco.

- A gdzie niby on będzie spał? W środku nie ma już dla niego miejsca.

- Niech cię twoja śliczna główka nie boli o Jossa, skarbie - odparł Sarcha protekcjonalnym tonem, który jedynie wzmógł w Lenie niechęć, jaką czuła do jego osoby. - Prześpi się na powietrzu - wskazał ruchem ręki drzwi. - Dobra, Joss. A teraz już sobie idź.

Tego wieczoru Lena omal nie skaleczyła się nożem w trakcie ścielenia łóżka. Już miała go odnieść do kuchni, gdy wtem zmieniła zamiar i wepchnęła go za materac. Wyrzucała sobie, iż jest nieracjonalna, jednakże myśl, że ma pod ręką broń dodawała jej nieco pewności siebie.

## 74. Dziesiąty maja

Był to dzień, w którym Hendrik Rymann wraz z osobami towarzyszącymi wylądował w Bazie Sił Powietrznych Andrews w pobliżu Waszyngtonu, jak również i dzień, w którym Jim Bayliss, Mike Pepper, Neil O'Hara i David Heinlein weszli do białego pomieszczenia wieży startowej w obrębie Kompleksu Startowego 39A.

Cała czwórka była ubrana w lekkie jak piórko kombinezony noszone w trakcie lotu. Kieszeń na rzeczy osobiste, jaką miał Heinlein na lewym udzie, zawierała parę dodatkowych rzeczy, o których istnieniu wiedział tylko on; mały pistolet automatyczny z dwoma magazynkami naboju typu „varmint” - z pociskami bez płaszcza grzybkującymi w chwili trafienia. Jednej rzeczy, jakiej chciał się ustrzec, to pocisków przechodzących przez ciała ludzkie i uszkadzających orbiter. Miał nadzieję, że obędzie się bez strzelaniny. W tym celu trzymał również w kieszeni parę granatów z gazem paralizującym.

- Życzę panom lotu bez żadnych niespodzianek - powiedziała im na pożegnanie kobieta kierująca zespołem przekazującym prom, kiedy skończyła już czynności kontrolne przed oddaniem promu pod komendę Baylissa. Załoga naziemna spędziła parę godzin na pokładzie promu, przeprowadzając całą procedurę odliczania do czterdziestej minuty przed startem. Postępy w technice monitoringu komputerowego i systemach sterowania, jakich dokonano od czasu pierwszych startów promów, sprawiały, że faktyczne załogi promu nie musiały już wchodzić na pokład na dwie godziny przed startem.

Członek obsługi naziemnej odciągnął na bok rozsuwane drzwi znajdujące się na końcu ramienia łączącego wieżę startową z promem, za którymi ukazał się właz do *Dominatora*.

Neil poczuł, że od chwili wejścia do białego pomieszczenia szybciej bije mu serce. Stało się to, o czym marzył! Ponownie miał lecieć w kosmos! W tym momencie znajome zapachy, które dotarły do niego w momencie wejścia na środkowy pokład promu, odsunęły na bok wszelkie inne myśli i pozwoliły mu skoncentrować się w pełni na trudnym zadaniu „wdrapywania się” z pokładu środkowego na pokład załogi po długiej drabinie biegnącej wzdłuż promu. Fakt, że prom stał pionowo na wyrzutni, spowodował, iż ścianki działowe stały się podłogami, zaś podłogi zmieniły się w ścianki działowe. Gdy wciągnął się na własny fotel, Bayliss i Pepper siedzieli już na swoich miejscach. Obrócił się chcąc pomóc Heinleinowi.

- Jak tam, chłopaki, wszystko w porządku? - zapytał Bayliss oglądając się przez prawe ramię za siebie.

- Wszystko gra, Jim - odparł Neil upewniając się wcześniej, że Heinlein właściwie zapiął uprząż. Włożył na głowę hełm, poruszył parę razy głową układając ją wygodnie na zagłówku, po czym spojrział przez przednie okienka na pasmo jasnoniebieskiego nieba.

Pepper, siedząc z prawej strony w fotelu pilota, sięgnął przed siebie ręką, aby obsługiwać pulpit łączności.

- Kontrola startów. Tu *Dominator*. Kontrola łączności, odbiór.

Kontrola startów potwierdziła komunikat, a następnie po dokonaniu paru prób, potwierdziła, że wszystkie kanały działają jak trzeba. Podobną kontrolę mieli przeprowadzić z Earlem Hackettem, dowódcą centrum dowodzenia lotem.

Zegar pokładowy wskazywał, że do startu pozostało trzydzieści minut.

- *Dominator*, tu kontrola startowa. Właz został zamknięty.

- Zrozumiałem, słyszymy was dobrze - potwierdził Pepper.

Bez pośpiechu przeprowadzano wszystkie wymagane przed startem testy.

Pepper dotknął paru klawiszy na głównym pulpicie, po czym na ekranie komputera ukazała się linia będąca planowaną trajektorią lotu promu.

- Kontrola startowa, tu *Dominator*. Program lotu załadowano do pamięci, odbiór.

Na siedem minut przed startem odsunęło się ramię, po którym załoga dostała się do wnętrza promu. Neil rzucił okiem na siedzącego obok Heinleina zastanawiając się, podobnie jak robiło to już wiele osób przed nim, o czym też może myśleć absolutnie nieprzenikniony Izraelczyk.

Najważniejszą fazę osiągnięto na dwie minuty przed startem w momencie zamknięcia zaworów na ogromnym zewnętrznym zbiorniku ciekłego wodoru, a w następnej chwili prom przeszedł na zasilanie wewnętrzne.

- *Dominator*, tu kontrola startowa. Silniki pomocnicze włączone. Przejdźcie na komputer pokładowy, odbiór.

- Zrozumiałem, bez odbioru - odparł Bayliss.

Sekundy pozostałe do startu migały kolejno na zegarze pokładowym. Trzydzieści, dwadzieścia dziewięć, dwadzieścia osiem...

- Połamcie nogi, chłopaki - powiedział ktoś z kontroli startów.

Na pulpicie rozblysnęła rząd zielonych światełek.

- Pierwszy, drugi i trzeci GSPK, start - powiedział Bayliss, gdy ruszyły trzy główne silniki promu.

Dziesięć...dziewięć... osiem...

Nastąpiło głucho stęknienie, które wydawało się za bardzo stłumione, aby mógł je

wydać *Dominator*. Stęknienie przeszło w grzmot, a prom wykonał „wahnięcie” - mrożące krew w żyłach, jakby pijane pochylenie się w kierunku głównego zbiornika paliwa. W chwilę potem cały pokład załogowy wpadł w wibrację, gdy prom powrócił chybottliwie w poprzednie pionowe położenie.

Główne silniki promu wyrzucały strumienie ognia i dymu.

- Pięć... cztery... - odliczał czyjś obojętny głos z kontroli startów. - Ruszyły główne silniki. Dwa...jeden...zero.

Silniki pomocnicze na paliwo stałe przymocowane do boków głównego zbiornika paliwa zionęły nagle dwoma kolumnami prawdziwie piekielnego ognia - dodając swoją energię do półtora miliona funtów ciągu osiągniętego przez silniki główne. Dla wyrzucenia promu w kosmos potrzebny był całkowity ciąg liczący prawie siedem milionów funtów.

- Silnik rotacji start.

Flegmatyczny głos kontrolera prawie zupełnie utonął w ogromnej fali dźwięku, która ogarnęła cały pokład załogowy. Początkowo poczuli jedynie nieznaczne poruszenie, a widok z okna nie sugerował wcale zmiany położenia.

- *Dominator*, jesteście poza wieżą. Wszystkie silniki w normie. Wyglądacie tak pięknie jak marzenie.

Heinlein poczuł rosnący ucisk na plecy, gdy przyspieszenie delikatnie wtoczyło jego ciało w poduszki fotela. Odczuwał również pewne zakłócenia wzroku, spowodowane przez lekkie wciskanie gałek ocznych w oczodoły. Ostrzeżono go przed tym zjawiskiem, i nie było ono specjalnie nieprzyjemne.

- *Dominator*, tu kontrola lotu. Zaczynamy obrót wokół osi - powiadomił ich głos Earla Hacketta, który przejął w tym momencie dowodzenie od *kontroli startowej*.

Od tej chwili ciała całej czwórki mężczyzn zaczęły przesuwac się na bok w fotelach przez rozpoczęty przez prom ruch obrotowy. Po ukończeniu tego manewru członkowie załogi wisieli praktycznie głowami w dół, zawieszeni na pasach uprzęży. Heinlein stracił zupełnie poczucie orientacji - nie wiedział już, gdzie znajduje się „góra”.

- Zakończenie manewru obrotu, *Dominator*. Wszystko w porządku.

- Zrozumiałem, kontrola.

Kolejne sekundy utonęły w nieprzerwanym ryku wydawanym przez silniki główne i pomocnicze. Heinlein przyglądał się ekranom komputerów, gdy Neil dotknął go w ramię, wskazując na dwa małe okienka znajdujące się nad ich głowami. Efekty wizualne stworzone przez symulator promu nie przygotowały Heinleina do szoku spowodowanego widokiem Oceanu Atlantyckiego o trzydzieści mil „ponad” jego głową.

- Kontrola - odezwał się Pepper - tu *Dominator*. Skończyło się paliwo stałe.. Włączone automatyczne odłączenie silników dodatkowych.

- Zrozumiałem, bez odbioru - odparł Hackett.

*Dominator* kończył drugą minutę lotu, gdy seria wstrząsów spowodowanych przez eksplodujące sworznie zapowiedziała odłączanie się silników dodatkowych na paliwo stałe. Miały one opaść na spadochronach do Atlantyku, a następnie zostać wyłowione przez dwa oczekujące w pogotowiu statki NASA.

Statek kontynuował swoje spektakularne wznoszenie, pędzony teraz trzema silnikami głównymi promu. Odwrócony do góry nogami statek kosmiczny był uczepiony do ogromnego zbiornika zewnętrznego na podobieństwo skrzydlatego pasożyta, łączyły go spijające nękające zapasy ciekłego wodoru i tlenu. Przyspieszenie utrzymywało się na równym poziomie tak, że po siedmiu minutach lotu *Dominator* osiągnął wysokość osiemdziesięciu mil, lecąc z prędkością 16 macha. Do tego czasu tor lotu uległ prawie zupełnie spłaszczeniu i przez okienka z przodu zaglądał Atlantyck. Komputery pokładowe zmniejszyły automatycznie ciąg silników głównych. Bayliss i Pepper wyregulowali siłę głosu Earla Hacketta do poziomu, który im odpowiadał.

- Kontrola - odezwał się Bayliss - tu *Dominator*. Zmniejszyliśmy ciąg silników głównych, odbiór.

- Zrozumiałem, bez odbioru - przyjął meldunek Hackett.

Pozbawiony czterdziestu procent ciągu prom rozpoczął powolne, łagodne nurkowanie, schodząc z pułapu osiemdziesięciu na siedemdziesiąt mil. Prędkość promu wzrosła.

Heinleinowi wydało się, że nad sobą, poprzez koronkowe wzory chmur, widzi statek. Czy też widział go pod sobą? Zrobiło mu się niedobrze i przymknął oczy.

- *Dominator*. Tu kontrola. Wyłączyć ciąg głównych silników.

Nagle umilkł ryk wydawany przez główne silniki. Cisza przyszła tak nagle, że zdawała się aż przygniatać swoją intensywnością. Heinlein otworzył oczy, czując się dziwnie bezpiecznie w swoim fotelu. Neil uśmiechnął się do niego.

- Wiem, co czujesz - powiedział do niego cicho Neil. - Najgorsze już minęło. Zaraz odrzucimy zewnętrzny zbiornik. Jesteśmy już prawie na orbicie. Popatrz! - Neil podniósł w górę małą kartę i wypuścił ją z ręki. Zamiast opaść „do góry” w kierunku podłogi lub „w dół” w kierunku sufitu, karta zawisła w powietrzu.

- Niech to diabli wezmą - wymamrotał Heinlein pod nosem. Ponownie zamknął oczy, gdy naszła go ponowna fala nudności. Kolejny wstrząs zmusił go do otwarcia oczu i ujrzał, jak ogromny zbiornik zewnętrzny płynie przed promem zupełnie jak odpływający statek.

- Kontrola, tu *Dominator*. Melduję odłączenie zbiornika dodatkowego. Zaczynamy wsteczne odliczanie od Zet, odbiór.

- *Dominator*, tu kontrola. Uruchomić OSM.

- Zrozumiałem, kontrola, bez odbioru.

Bayliss wprowadził odpowiednie polecenia poprzez cyfrowy panel autopilota. Ruszyły niewielkie silniki Orbitalnego Systemu Manewrowego. Wydawany przez nie dźwięk ledwie było słycać na pokładzie załogowym, a ich ciąg również był trudno odczuwalny. Silniki OSM pracowały bez przerwy przez dwadzieścia minut - wypychając *Dominatora* na orbitę na wysokości dwustu mil. Heinleinowi minęły nudności i zaczął odczuwać przyjemność z dziwnego uczucia, jakie dawało mu pozbawione ciężaru ciało tonące w poduszkach fotela, a następnie naprężające wolno pasy upręży.

Nastąpiła krótka przerwa w pracy silników OSM, w trakcie której Bayliss i Pepper wykonali parę czynności mających celu przygotowanie *Dominatora* do wejścia na orbitę.

- *Dominator*, tu kontrola. Uruchomić system OSM w celu wejścia na orbitę - wydał polecenie Hackett na wiadomość przekazaną przez obu astronautów, że wszystko jest w porządku.

Małe silniki ponownie ruszyły, po czym umilkły po dziesięciu minutach.

- Kontrola, tu *Dominator*. Wyłączenie systemu OSM - zgłosił Bayliss - osiągnęliśmy orbitę. - Obrócił się do tyłu w fotelu: - Panie Heinlein, witamy w kosmosie. Jesteśmy na orbicie.

## 75.

W tym samym czasie Joseph Maken wszedł do swojego gabinetu w Bakal, po czym otworzył kluczem biurko. Z szuflady wyciągnął notes faxowy i uniósł połączone z nim elektroniczne pióro. Siedział przez chwilę głęboko pogrążony w myślach. Po miesiącach wyczekiwania nie potrafił ubrać w słowa wiadomości, które miał przekazać. Przez pewien czas obracał w palcach pióro, po czym wreszcie napisał na szczycie ekranu po hebrajsku: „Do Premiera Hendrika Rymanna”. Małeńki komputer wbudowany w notes przenosił wiernie do swej pamięci wszelkie charakterystyczne cechy jego pisma, zapisując każde zamazyste pociągnięcie piórem i zawijas, a nawet najdrobniejsze różnice w nacisku. Po odebraniu tych danych przez notes o tych samych parametrach nie było żadnych wątpliwości, iż tekst został napisany jego ręką. Spoglądał przez chwilę na to, co napisał, po czym niezwłocznie skreślił trzy odrębne listy do Rymanna, opatrując je wszystkie swoim podpisem.

Maken przeczytał ponownie napisany przez siebie tekst. Zdaniom brakowało typowej dla niego elegancji, jednakże były one krótkie i bezpośrednie. Wprowadził parę poprawek, po czym przycisnął odpowiednie klawisze wprowadzając do pamięci odpowiednie instrukcje, aby listy zostały przesłane automatycznie o ustalonych wcześniej porach. Ostatnią czynnością było zapisanie numeru osobistego faxu Rymanna w polu adresu. To, że Rymann przebywał obecnie w Waszyngtonie, było bez znaczenia - ultimata miały ukazać się na jego osobistym notesie w starannie zaplanowanych odstępach czasu bez względu na to, gdzie on się sam znajdował w danym momencie.

## 76.

Rymann siedział w ponurym milczeniu w sali konferencyjnej Ambasady Izraela w Waszyngtonie przysłuchując się pesymistycznemu w tonie sprawozdaniu Sama Kuttnera ze spotkania, jakie odbył z Walterem Swiftem. Michael Greer robił jakieś notatki i nie brał udziału w dyskusji.

- Poszłoby nam znacznie lepiej w gabinecie Swifta - stwierdził na koniec Kuttner. - Jadalnia Benjamina Franklina nie nadaje się raczej do nieformalnych rozmów. W każdym razie nie w sytuacji, gdy mnie posadzono przy jednym końcu tego cholernego olbrzymiego stołu, a jego przy drugim.

- Okay, Sam. Miejmy nadzieję, że jutro mi się uda lepiej z Hadleyem.

- Mam przeczucie, że ci tak nie pójdzie - powiedział Kuttner wychodząc z sali. - Oni nie mają ochoty ani też żadnego interesu w tym, żeby nam pomagać.

Gdy zostali już sami, Greer podniósł się z krzesła i podał Rymannowi swoje notatki - jak zwykle w przypadku dokumentów przygotowywanych dla Rymanna zajmowały one jedną kartkę papieru.

- Nie widzę żadnego sensu w dalszym ulepszaniu tego tekstu - powiedział Greer. - W obecnym stanie zawiera on wszystko to, co masz powiedzieć Hadleyowi w jak najzwięźlejszy sposób.

Rymann przeczytał opracowanie, dzieląc opinię swojego przyjaciela. Ze wszystkich oświadczeń odczytywanych amerykańskiemu prezydentowi, to miało być najbardziej wstrząsające.

Przy założeniu, że w ogóle trafi do annałów historii.

## 77.

- Jasna cholera! - krzyknął Sarcha, depcząc z całej siły na hamulec. Koła zablokowały się, a wóz kempingowy znieruchomiał po wpadnięciu w poślizg, kryjąc się w chmurze pyłu, którą wyrzuciły w powietrze szorujące po ziemi opony.

Przed chieftainem stanął ogromny jak góra słoń z ułamanym kłębem; trzymał groźnie pochyloną głowę i wachlował się uszami, jak gdyby oczekiwał na wykonanie najmniejszego ruchu przez samochód w czasie, gdy jego żony z dziećmi przecinały drogę. Wreszcie stary samiec przekręcił swoje ogromne cielsko i w milczeniu ruszył truchtem za ostatnią samicą. Sarcha przyglądał się podrygującemu stadu aż do chwili, kiedy znalazło się w bezpiecznej odległości, po czym wydał głośne westchnienie ulgi.

- Co się stało? - zapytała go ostrym tonem Lena.

Sarcha spojrzał na nią potulnie.

- Nie potrafię kłamać. Przysnąłem sobie troszkę. - Zaśmiał się wskazując ręką na znikające zwierzęta. - Diabli wiedzą, skąd te stwory wyskoczyły. Człowiek by myślał, że na tym pustkowiu jest na tyle bezpiecznie, aby móc położyć cegłę na gaz i obejrzeć sobie film, no nie?

Lena spojrzała na porośniętą trawą i krzewami równinę. Był to dokładnie ten sam krajobraz, który oglądała o świcie, kiedy ruszyli; mila po mili pustkowia z pojedynczym kopcem termitów bądź krzewem cierniowym dla przerwania monotonii. Nie chciało się jej wierzyć, że można spędzić pięć godzin w samochodzie uzyskując w zamian tak niewielką różnicę w otoczeniu.

- Może ja teraz trochę poprowadzę? - zaproponowała.

Sarcha porównał odczyt na urządzeniu nawigacyjnym z szeregiem liczb zapisanym na marginesie mapy. - Nie. Zostało już tylko pięć mil. - Zwolnił hamulec ręczny i chieftain ruszył znowu przed siebie.

- Co będzie za pięć mil? - zapytała Lena.

- Pierwszy punkt naszego rozpoznania.

Lena odwróciła się i spojrzała na Zulusa strugającego scyzorykiem kawałek drewna. Podniósł oczy na Lenę, lecz nie był w stanie wytrzymać jej spojrzenia przez dłużej niż parę sekund, zanim nie wrócił do rzeźbienia.

- Sarcha, do czego jest on nam potrzebny, jeśli mamy system nawigacji?

- Chodzi tutaj, skarbie, o znajomość miejscowych warunków.



- Gówno prawda. Od chwili kiedy się do nas przyłączył, nie odezwał się ani słowem, więc po co jedzie z nami?

Sarcha nie odpowiedział na jej pytanie. Lena zauważyła, iż cyfry ukazywane przez system nawigacyjny zaczynają pokrywać się z cyframi nabazgranymi na mapie. Po pięciu minutach jazdy zgadzały się prawie wszystkie cyfry, oprócz ostatniej. Sarcha zwolnił i zatoczył okrąg. Zatrzymał się, gdy cyfry pokryły się z sobą.

- Tu będzie pierwsze miejsce - oznajmił.

Lena rozejrzała się dookoła. Jedyne, co zauważyła to to, że miejsce było jeszcze bardziej płaskie, trawa zaś rzadsza.

- Jakie znowu miejsce?

Sarcha otworzył drzwi od strony kierowcy. Żar południa wdarł się do wnętrza wozu kempingowego niczym wściekła bestia. Spod pojazdu wyciągnął sześciostopową tyczkę zakończoną białą tabliczką.

- Joss, wbij ją tutaj - rzucił polecenie.

- Jasne, panie Sarcha.

Zulus wyciągnął młotek ze skrzynki narzędziowej samochodu i przystąpił do wbijania tyczki w czerwoną, spieczoną glebę. Wysiłek pokrył jego tors warstewką potu.

- Okay, Joss, tyle wystarczy.

- Czy byłbyś łaskaw powiedzieć mi, do jasnej cholery, co tutaj się dzieje? - zażądała odpowiedzi Lena.

- Zobaczysz, skarbie. - Sarcha wskazał palcem na wóz kempingowy: - Wszyscy wsiadać! - Sprawdził wskazania na systemie nawigacji i ruszył prosto przed siebie przez porośniętą trawą równinę. Było coś hipnotycznego w widoku wysokiej trawy, która pędziła na ich spotkanie, niknąc następnie pod kołami wozu. Sarcha skręcał omijając krzaki cierniowe, a czasami wóz podskakiwał w momencie, gdy jego koła napotkały kopiec termitów. Nie spuszczał oczu z urządzenia nawigacyjnego i zatrzymał się po przejechaniu około trzech mil od tyczki.

Powtórzono operację z wbijaniem tyczki. Lena przyglądała się, jak Joss wbija ją w ziemię, zwracając się następnie do Sarchy.

- Może byłbyś łaskaw wreszcie powiedzieć mi, o co tutaj właściwie chodzi? - zapytała.

- To bardzo proste, skarbie - odparł Sarcha, wycierając pot z czoła. - Skoro już zacznie się filmowanie, będziemy potrzebować pasa do lądowania, aby otrzymywać dostawy. - Przerwał, zatrzymując okular lornety na pierwszej tyczce. - A to właśnie będzie nasze lotnisko.

- O długości trzech mil? Na miłość boską, jakiego typu samoloty będą tutaj przylatywać? Naddźwiękowe transportowce?

Sarcha roześmiał się.

- Mamy dość miejsca, więc możemy je w pełni wykorzystać tak, aby być przygotowanym na każdą ewentualność.

Lena oparła ręce na biodrach, przybierając twardy i zdecydowany wyraz twarzy.

- Sarcha, co tu się, do cholery, dzieje?

Joss przyglądał się im z zainteresowaniem. Sarcha dalej miał na twarzy nienaturalny uśmiech.

- Przecież właśnie ci, skarbie, powiedziałem.

- Właśnie powiedziałeś mi same pierdoły. Jeżeli naszym zamiarem jest nakręcenie filmów wideo, to w tej chwili powinniśmy zajmować się pisaniem scenariusza, a nie budowaniem cholernego lotniska na jakimś zadupiu!

W odpowiedzi na jej słowa Sarcha wyciągnął łopatę ze skrytki na narzędzia znajdujące się wewnątrz wozu kempingowego, i wetknął ją w rękę Leny.

- Zaraz ci powiem, jakie mam plany, skarbie - powiedział pojednawczym tonem. - Otóż, według mojego planu ty i ja będziemy równać kopce termitów znajdujące się pomiędzy tyczkami, a Joss wytnie wszystkie krzewy cierniowca. Jeżeli nam nie pomożesz, nie będę miał nic przeciwko temu, by zrobić to samemu. Ale zostawię największy z nich - i tutaj przerwał, uśmiechając się szeroko do Leny - przywiązawszy wcześniej do niego twoje rozkoszne ciało.

\*\*\*

Ta praca zajęła im cztery godziny; cztery godziny znoju w bezlitosnych promieniach słońca, zanim Sarcha, wykonawszy wcześniej jazdę z dużą prędkością pomiędzy dwoma tyczkami oświadczył, że jest zadowolony z wyniku.

Gdy tylko Sarcha zatrzymał wóz, Lena zamknęła się w kabinie z natryskiem, gdzie spędziła dziesięć minut zmywając dokładnie swoje ciało z kurzu i potu. Wyszła przebrana w świeży strój safari. Uwaga, jaką rzuciła pod adresem Sarchy i Jossa, nie pozostawiła im żadnej wątpliwości, co do nastroju, w jakim się znajdowała.

- Jeżeli obaj, dranie jedno, chcecie zjeść coś na kolację, to możecie ją sobie, do cholery, sami zrobić. Mam was obu po dziurki w nosie.

Joss wydawał się pochłonięty struganiem kawałka drewna. Sarcha, siedząc pochylony nad konsolą łączności, spojrzał na Lenę z wyrzutem.

- Leno, skarbie ty mój. I to wszystko w zamian za mój trud w przygotowaniu ci

niespodzianki?

- Jakiej znowu niespodzianki? - spytała Lena podejrzliwie.

Sarcha przycisnął klawisz na konsoli. Z głośnika rozległ się słaby, skrzeczący głos.

- Kontrola. Melduje się specjalista od ładunków z *Dominatora* z prośbą o kontrolę łączności. Odbiór.

Lena poczuła, jak podskoczyło jej serce. Głos Neila!

- Rozumiem, *Dominator* - dobiegł słaby głos z aparatury. - Słyszymy was dobrze.

- Przepraszam, skarbie, że odbiór nie jest najlepszy - powiedział przeproszającym tonem Sarcha - ale Kennedy'ego słycać jedynie poprzez satelitę przekaźnikowego. A znowu *Dominatora* słyszymy tylko dlatego, że przepuszczam ich sygnał przez przed wzmacniacz.

- A teraz mówi Earl Hackett - stwierdziła Lena.

- Czas już, chłopaki, żebyście się rozciągnęli na cztery godziny - mówił dalej Hackett. - My tutaj na dole zrobimy to samo. Odbiór.

- Zrozumiałem, kontrola. Pchły na noc. Bez odbioru.

- Wygląda na to, że wszystko idzie jak trzeba - stwierdził Sarcha. Uśmiechnął się do Leny. - Chcesz, żebym przygotował kolację?

Lena postanowiła zapomnieć na pewien czas o swojej złości.

- Lepiej nie - powiedziała z ociąganiem. - Już ja coś zrobię.

## 78.

Wciągając się po drabinie prowadzącej ze środkowego pokładu na pokład załogowy, Heinlein boleśnie uderzył nogą o krawędź wjazdu.

Poruszanie się w stanie nieważkości nie było tak proste, jak sobie to wyobrażał. Niektóre kończyny, w szczególności nogi, wyzwolone z siły ciężenia, miały tendencję do wykonywania nie skoordynowanych ruchów.

Heinlein przyczepił swoje buty velcro do platformy, przy której pracował Neil, w pobliżu tylnego stanowiska załogowego, i zajrzał przez okienko do wnętrza luku ładunkowego. Ogromne drzwi zostały otwarte na krótko po ustaleniu orbity, aby nie dopuścić do nadmiernego nagrzania przez słońce palety zawierającej ładunek. Od tego czasu Neil zdążył zamocować ramię manipulatora Kanady do środkowego uchwytu palety, a także udało mu się ostrożnie wysunąć ogromny cylinder poza luk.

- Wygląda nieźle - odezwał się Heinlein. - Dobra robota.

- Poproszono mnie, abym użył ramienia manipulatora zamiast wykorzystywać OSM.

Potrzeba do tego jedynie cierpliwości.

Heinlein przycisnął czoło do okienka wyglądając za Ziemią, lecz nie potrafił jej znaleźć.

- Jest tam - odezwał się Neil, wskazując palcem w kierunku sufitu.

Heinlein spojrział w górę na wspaniały półksiężyc bieli i błękitu wiszący nad nimi.

- Czy cały ten czas musimy lecieć głową w dół?

Neil wzruszył ramionami.

- Nie ma takiej rzeczy jak „dół” czy „góra”.

- Z tego właśnie powodu mam kłopoty żołądkowe.

- W kuchni są jakieś pigułki na nudności - odparł uśmiechając się Neil.

Heinlein przecisnął się głową do przodu poprzez właz, ponownie waląc w niego nogą przy wkraczaniu na środkowy pokład. Bayliss, usłyszawszy przekleństwa rzucane przez Heinleina, odchylił na bok pokrywą mającą na celu stworzenie kosmonautom warunków odosobnienia.

- Jak tam idzie, Davidzie? - zapytał Bayliss przyciszonym głosem, nie chcąc obudzić Peppera śpiącego za zasuniętą pokrywą na dolnej koi. Obaj mężczyźni nie leżeli w dosłownym tego słowa znaczeniu, a byli jedynie przytrzymywani do koi za pomocą specjalnych śpiworów.

Heinlein odwrócił się tyłem do astronauty udając, że masuje stłuczoną nogę, otwierając w tym czasie kieszeń kombinezonu i biorąc do ręki dwa granaty z gazem.

- Tak sobie, Jim, lecz ciągle wpadam na wszystko. Nie wspominając już o kłopotach żołądkowych.

Bayliss zachichotał.

- Kiedy się już zdążysz przyzwyczaić, to akurat zaczniemy wychodzić z orbity.

Heinlein obrócił się do tyłu, stając twarzą do Baylissa i robiąc krok do przodu, jak gdyby zamierzał skorzystać z górnej koi.

- Ile lotów masz już za sobą, Jim?

Astronauta nie miał okazji odpowiedzieć na pytanie, bowiem Heinlein, wzięwszy najpierw głęboki oddech, stłukł granat na piersi Baylissa i zatrzasnął gwałtownym ruchem zasuwę, zanim jeszcze gaz zdążył się ulotnić. Bayliss wydał z siebie jedno chrapliwe chrząknięcie. Pepper otworzył raptownie zasuwę ze słowami:

- Co do cholery... - Drugi granat, który rozerwał się na piersi Peppera, nie pozwolił mu skończyć zdania. Oczy zaszły mu mgłą, a ciało stało się bezwładne. Heinlein zatrzasnął pokrywą nad nieprzytomnym astronautą i gwałtownie odskoczył do tyłu. Dopiero po przepchaniu się przez właz prowadzący na pokład załogowy zaryzykował wypuszczenie

powietrza z płuc.

- Neil!

Neil w dalszym ciągu znajdował się w tylnej części promu. Odwrócił się, patrząc ze zdumieniem na pistolet w ręku Heinleina.

- Co to...

- Nie odzywaj się bez pozwolenia! - warknął Heinlein. Machnął pistoletem w kierunku fotela dowódcy. - Chodź tutaj! Ruszaj się!

Neil zamierzał w tej chwili coś powiedzieć, lecz momentalnie zamknął usta.

- Powiedziałem, żebyś się ruszał!

Nie spuszczać oczu z pistoletu Heinleina, cały czas wymierzonego w jego stronę, Neil przesunął się przez pokład załogowy, siadając w fotelu dowódcy.

- Heinlein, co to ma do cholery znaczyć?

- Dowiesz się. Od tej chwili przejmuję dowodzenie nad statkiem.

Neil spojrzał w pozbawione jakiegokolwiek wyrazu oczy Izraelczyka.

- Co się stało z Jimem i Mikiem?

- Są nieprzytomni i na długo pozostaną w tym stanie. Dobrze, masz tutaj antenę mikrofalową, służącą dla bezpiecznej, wąskokierunkowej łączności telewizyjnej i radiowej ze stacjami na Ziemi. Nie próbuj zaprzeczać, bo wiem tyle samo o systemie łączności tego statku, co ty. Chcę, abyś zablokował wiązkę na Narodowym Parku Krugera w Afryce Południowej. Właśnie ukazał się prześwit radiowy na Południową Afrykę, tak że nie próbuj mi tłumaczyć, że jest to niemożliwe.

- Na rany boskie, Heinlein! Ty...

- Rób, co ci mówię! - warknął Heinlein, zaciskając rękę na pistolecie i zbliżając się do Neila.

Z lekkim drżeniem ręki były astronauta sięgnął przed siebie do pulpitu łączności dowódcy i dotknął paru przełączników.

- Okay. Zablokowane.

- W porządku - odparł Heinlein, podłączając swoje słuchawki do najbliższego gniazda audio i przestawiając przełącznik umocowany na pasie w położenie umożliwiające łączność zewnętrzną. - A teraz wybierz kanał dwudziesty drugi na paśmie UKF S.

- To jest szerokopasmowy kanał telewizyjny.

- No i co z tego? Potrafi przenieść sygnał głosowy, no nie? Wybierz go.

Neil wykonał, co mu polecono. Heinlein usłyszał szum w słuchawkach. Wyregulował natężenie dźwięku, po czym przycisnął guzik nadawania.

- Delta Hotel do Papa Sierra. Czy mnie słyszysz?

Natychmiast odezwał się głos Sarchy:

- Tak jest, Delta Hotel - słyszę cię wyraźnie.

- Faza pierwsza zakończona - oznajmił Heinlein. - Za dziesięć minut oczekujemy waszych sygnałów rozpoczęcia fazy drugiej.

- Zrozumiałem, Delta Hotel. Łączymy się za dziesięć minut. Bez odbioru.

## 79.

Lena zaczęła walczyć jak tygrysyca, z chwilą gdy obaj mężczyźni rzucili się na nią, chcąc przewrócić ją na łóżko. Zatopiła z całą siłą zęby w przedramieniu, którym zamierzano założyć jej nelsona, jednocześnie kopała wściekle nogami. Joss wydał okrzyk bólu i wyszarpnął swoje zmaltretowane ramię, pozostawiając Sarchę na pastwę jej podrygujących nóg.

- Na rany boskie, przytrzymajże ją! - warknął Sarcha.

Zulus spróbował przygwoździć nadgarstki Leny do materaca i omal nie utracił oka, gdy udało się jej szarpnięciem oswobodzić jedną rękę, a następnie przeorała mu twarz paznokciami. Wydawało się niemożliwością przytrzymanie jej wściekle podrygującego ciała. Sarcha stęknął z bólu, gdy nagłym ruchem podkurczyła kolana pod brodę. Przez cały ten czas Lena nie przerywała zdolnego zmrozić krew w żyłach potoku przekleństw. Z poszarpanego ramienia Jossa tryskała na wszystkie strony krew. Pomimo swego doświadczenia bojowego, Sarcha nigdy dotąd jeszcze nie próbował dać rady zdrowej, mocno zbudowanej kobiecie. Wyzwolili się z uchwytu Jossa, złapała w rękę pęk jego włosów, a następnie zaczęła tłuc jego głowę o ściankę działową, przez cały ten czas głośno przeklinając i rzucając wyzwiska. Sarcha doszedł do wniosku, iż stanowczo zbyt nisko ocenił jej możliwości. Nadeszła chwila użycia środków, na których się znał. Nie wiadomo czemu, Lena przekręciła głowę na bok, czepiając się kurczowo wolną ręką za skraj materaca. Sarcha dostrzegł nadarżającą się okazję.

- Wybacz, skarbie - powiedział zdyszczonym głosem. Starannie dobierając siłę uderzenia zadał cios krawędzią dłoni w szyję Leny.

W wozie kempingowym zapanowała cisza, a nagłość, z jaką nastąpiła, omal nie wprawiła wszystkich w zdumienie. Obaj mężczyźni podnieśli się niepewnie na nogi. Stali ciężko dysząc, patrząc na nieruchomą postać Leny. Miała rozerwaną bluzę, a krew Jossa zbryzgała jej twarz i piersi.

- Jezu - wymamrotał Joss, tuląc pokaleczone ramię. - Ona bić się. Naprawdę bić się.

- Do dupy z twoją pomocą - wymamrotał Sarcha, wysuwając z uchwytu jedną z kamer i podłączając ją do konsoly łączności.

- Przepraszam, pan Sarcha, ale ona bić się.

Sarcha skierował kamerę na Lenę.

- Możesz zarobić na swoje wynagrodzenie, kiedy dam ci znak.

Joss spojrzął z przestachem na dziewczynę, jak gdyby oczekując, że nagle odzyska przytomność i rzuci się na niego. - Nie zwiąże jej pan?

- Nic się nie martw. Zrobię to, zanim jeszcze dojdzie do siebie.

\*\*\*

Heinlein rzucił okiem na zegarek.

- Okay. Włączaj! - rozkazał.

Nie bardzo wiedząc, o co mu chodzi, Neil włączył nadajnik. Na centralnym ekranie położonym między fotelami pilota i dowódcy pojawił się natychmiast kolorowy obraz. Widać na nim było pokryte krwią głowę i ramiona Leny.

- Lena... - wyszeptał nie dowierzając Neil. - Lena!

- Biła się - oznajmił głos Sarchy. - Musiałem ją uspokoić.

Neil patrzył otwartymi szeroko z przerażenia oczami, najpierw na ekran, a następnie na Heinleina.

- Co się jej stało! Coście z nią zrobili! Uniósł się nieco z fotela, lecz opadł na niego z powrotem w chwili, gdy Heinlein zbliżył się groźnie w jego kierunku.

- Powiem jedno słowo i będzie po niej - ostrzegł go Heinlein. - A i tak będzie po niej, jeżeli nie zrobisz dokładnie tego, co ci polecę. Jest teraz z Sarchą w Narodowym Parku Krugera. Gdy tylko sprawisz nam najmniejszy kłopot, to przywiąże ją do kopca termitów i zostawi w pełnym słońcu. Zrozumiano?

Neil milczał.

- Zrozumiano?

Neil nie przestawał wpatrywać się w Heinleina wzrokiem pełnym najgłębszej nienawiści.

- Popatrz na ekran! - rozkazał Heinlein. - Patrz! Niech ci będzie, jeżeli tego jej życzysz. Sarcha!

Na ekranie ukazała się ręka Jossa trzymająca nóż. Oparł czubek klingi o pierś Leny i obwiodł lekko jej sutkę.

- Dobrze! Już dobrze! - krzyknął nagle Neil. - Zostawcie ją w spokoju! Niech was szlag trafi! Powiedzcie, co mam zrobić, a zrobię wszystko, tylko zostawcie ją w spokoju!

Heinlein rozprężył się, kiwając z zadowoleniem głową.

- Okay, Sarcha. Wystarczy już. Przechodzimy do następnej fazy. W porządku uśmiechnął się do Neila.

- Okay, w takim razie zaczynamy.

\*\*\*

Ramię manipulatora zwolniło ostatni zaczep na palecie i jej część odeszła na bok.

- Wywal ją - powiedział Heinlein.

- Trzeba je schować do ponownego użycia.

- Powiedziałem, wywal ją!

Neil ruszył ramieniem, zwalniając chwyt na części palety. Odleciała od statku kosmicznego powoli koziółkując. Neil wydał okrzyk zdziwienia na widok snopów słomy zapakowanych do palety.

- Cóż to takiego?

- Snopy słomy. A na co wyglądają? Też je wszystkie wyrzucić.

Neil spędził następne dwadzieścia minut wyskubując snopy słomy z wnętrza palety, co było dość trudną operacją, jako że usunięcie każdego snopka powodowało zmianę środka ciężkości palety. Musiał często przerywać pracę i korzystać z ramienia Kanady, aby nie pozwolić palecie na groźne w skutkach przechylenie. Jego wprawa w używaniu lewej ręki obsługującej pistoletowy uchwyt sterujący ramienia oraz prawej, poruszającej dźwignię w kształcie litery T, która kierowała ruchami orbitera, doprowadziła w rezultacie do odsłonięcia czterech rakiet typu Masada. Wszystkie były przymocowane bokami do wyrzutni.

- Wyciągnij je na zewnątrz - rozkazał Heinlein.

- A co to jest?

- Na co wyglądają?

- Na rakiety - odparł Neil ze złością. - Jakiego typu są to rakiety?

- *Dominator* - usłyszeli czyjś głos. - Tu kontrola. Odbiór.

- Odpowiedz im, lecz pomyśl, co się może przydarzyć Lenie - pouczył go ścisłym głosem Heinlein.

Neil zawahał się. Zanim uruchomił mikrofon, spojrział najpierw przez okno na Masady, a następnie na Heinleina.

- Zrozumiałem, kontrola. Tu *Dominator*. Słyszemy was dobrze. Odbiór.

- Cogodzinna kontrola, *Dominator*. Odbiór.

- Zrozumiałem, kontrola. Nie mam nic do zameldowania. Bez odbioru.

- Dobrze - powiedział cichym głosem Heinlein. - A teraz wyciągnij rakiety.



Neil zahaczył ramię manipulatora o wyrzutnię Masad i wyciągnął baterię rakiet poza paletę. Z boku wyrzutni dostrzegł niezwyklego typu skrzynkę sterującą. Postępując według instrukcji Heinleina zamocował całą wyrzutnię do krawędzi skrzydła drzwi luku ładunkowego, korzystając w tym celu z regulowanych uchwytów znajdujących się na wyrzutni. Gdy skończył, cztery ostro zakończone, przypominające ołówki kształty Masad zwrócone były w kierunku Ziemi.

- Okay. Tyle wystarczy - powiedział Heinlein, przyglądając się rakietom poprzez kamerę telewizyjną zamontowaną na końcu ramienia Kanady. - A teraz możesz przygotować się do wyjścia na zewnątrz.

- Nic z tego, dopóki nie dowiem się, o co w tym wszystkim chodzi.

- Dowiesz się w swoim czasie - Heinlein wskazał gwałtownie lufą pistoletu właz na pokład środkowy. - A teraz jazda.

\*\*\*

Neil spędził następne dwie godziny mając na sobie przenośny aparat tlenowy, oddychając czystym tlenem, zamiast powietrzem wypełniającym kabinę orbitera. W okresie odpowietrzania musiał potwierdzić dwie kontrole radiowe dokonane przez kontrolę lotów.

Heinlein spojrział na zegarek.

- Okay, wskakuj w skafander.

Neil wszedł do śluzy znajdującej się na pokładzie środkowym, a wbudowanej w ścianę rozdzielającą koje i kuchnię. Zasunął drzwi i uruchomił urządzenia usuwające azot z małego pomieszczenia. Gdy odczyt na pulpicie sterowniczym wskazał, iż śluzę wypełnił czysty tlen, zdjął ze stelaża aparat tlenowy.

Heinlein obserwował go przez okienko w drzwiach śluzy. Zakładanie skafandra zajęło Neilowi dziesięć minut. Dopasował mikrofony przymocowane do nakrycia głowy, a następnie wsunął na głowę hełm.

- Okay. Przystępuję do dekompresji śluzy - powiedział Neil do mikrofonu interkomu, upewniwszy się wcześniej, że skafander jest w należyтым porządku.

Gdy tylko ciśnienie atmosferyczne zeszło do zera, Neil otworzył właz znajdujący się z boku śluzy i wyostał się w przestrzeń kosmiczną.

Heinlein powrócił do tylnego stanowiska załogowego. Przez dwie pełne napięcia minuty Neil zniknął mu z oczu. W chwilę potem pojawiła się ponownie jego nieforemna postać, posuwając się niezgrabnie w kierunku wyrzutni Masad.

- Teraz słuchaj mnie uważnie - powiedział Heinlein. - Do wieka skrzynki sterującej jest przymocowany mały klucz w kształcie litery T. Widzisz go?

Neil przesunął się ponad skrzynkę.

- Widzę go.

- Ten klucz będzie ci potrzebny do otwarcia klap na głowicach rakiet.

- Też je widzę.

- Dobrze - otwórz teraz klapy. Lecz ułóż się tak, żebyś nie zasłaniał widoku kamerze.

Chcę wszystko zobaczyć.

Neil przesunął się ostrożnie w kierunku klap i otworzył je przy pomocy klucza. W tym czasie Heinlein poruszył ramieniem Kanady, aby przesunąć kamerę na odpowiednie miejsce. Izraelczyk przesunął ogniskową obiektywu skierowanego na pierwszą klapę, patrząc w tym czasie na monitor, aby mieć pewność, że ekran z sześciocyfrowym szyfrem znajdujący się za klapą jest na nim widoczny z absolutną ostrością.

- Okay, tak będzie dobrze - powiedział Heinlein.

- Czy widzisz pokrętko zmieniające ostatnią cyfrę szyfru? Kółko ze skrzydełkami po prawej stronie ekranu?

- Widzę.

- Przekręć je tak, aby pokazywało 9.

- Tak.

- Zabierz rękawicę na bok.

Neil usunął rękę z pola widzenia kamery.

Heinlein przyjrzał się z uwagą szyfrowi.

- Okay. Bardzo dobrze. Zamknij klapę i przestaw szyfr na następnym ekranie tak, żeby ostatnia cyfra była trójką.

Neil ustawił szyfr wedle życzenia Heinleina.

- Wspaniale, Neil. Dobra robota. A teraz odepnij tę skrzynkę sterującą i przynieś ją do orbitera.

- Zrozumiałem - potwierdził rozkaz Neil.

Po raz pierwszy pozbawiona zwykle wyrazu twarz Heinleina zdradziła uczucie ogromnej radości, w chwili gdy patrzył na Neila wlokącego swoje pozbawione ciężaru ciało w poprzek kadłuba orbitera. Astronauta zniknął mu z pola widzenia. Heinlein miał powód do radości; wszystko szło zgodnie z planem.

Każda z czterech rakiet miała uzbrojoną głowicę i była gotowa do odpalenia.

W chwili gdy Maken podniósł się z miejsca, aby przemówić do członków Rady Najwyższej OWP, w sali konferencyjnej w Bakal zapanowała pełna wyczekiwania cisza. Nie było żadnego porządku obrad ani też spraw ważniejszych od tych, które w tym momencie zaprzętały jego uwagę, wobec tego nie tracąc czasu przeszedł od razu do sedna rzeczy.

- Przypominacie sobie zapewne spotkanie sprzed paru miesięcy, w trakcie którego przedstawiłem śmiały plan szybkiego zakończenia wojny na wyniszczenie - rozpoczął swoje przemówienie Maken. - Ten koniec jest teraz bardzo realny. W chwili obecnej na orbicie znajduje się prom kosmiczny *Dominator* pod dowództwem OWP. - Maken spojrzał na zegarek. - *Dominator* zaprogramował i umieścił w przestrzeni cztery Masady. Rakiety są wyposażone w głowice jądrowe i skierowane na wybrane cele w naszym kraju.

Zrobił małą przerwę. Nikt się nie poruszył ani też nie próbował mu przerwać. Na Makena patrzyło szesnaście par nieruchomych, szeroko otwartych oczu. Jedynym dźwiękiem słyszalnym w sali był szum klimatyzatorów.

- Dzisiaj w południe - mówił dalej Maken - Izraelczykom zostanie doręczone moje pierwsze ultimatum domagające się ich bezwarunkowej kapitulacji. Ultimatum mówi jasno o tym, czego się nam udało dokonać, oraz opisuje konsekwencje niezastosowania się do naszych żądań. Izraelczycy, rzecz jasna, z punktu odrzucą to ultimatum. O czternastej wystrzelimy pierwszą Masadę. Nie mogę zdradzić wam jej celu oprócz informacji, że będzie to izraelskie miasteczko z około dwustu tysiącami ludności. I to drugie ultimatum zostanie odrzucone. Drugim celem będzie duże miasto. Z wielkim żalem donoszę, że wielu naszych palestyńskich braci poświęci życie dla naszej chwalebnej sprawy, lecz jest to jedyna sprawa, dla której każdy członek narodu palestyńskiego, mężczyzna czy kobieta, odda z ochotą swoje życie.

Nikt nie próbował kwestionować zasadności tego ogólnego stwierdzenia. Maken kontynuował swoje oświadczenie.

- W naszym przekonaniu, po zniszczeniu drugiego celu i likwidacji dwóch milionów Izraelczyków reżim izraelski, który okupuje nasz ukochany kraj od prawie siedemdziesięciu pięciu lat, upadnie. Jeżeli to się nie powiedzie, wówczas naszym trzecim celem, po uprzednim doręczeniu naszego trzeciego, tym razem już ostatecznego ultimatum, będzie Tel Awiw, a po nim sama Jerozolima. Jeżeli przyjdzie nam użyć wszystkich czterech Masad, nie będziemy się przed tym wzdragać. Nie przerazi nas również niezwykle ciężkie zadanie odbudowania ze zniszczeń po holocauście naszego kraju. Bowiem stanie się on znowu naszą ojczyzną. Podobnie jak był on ojczyzną naszych ojców, tak samo będzie ojczyzną naszych dzieci i wnuków. A nazywać się będzie Palestyna.

Ciszę, jaka zapadła po oświadczeniu Makena, przerwały oklaski jednego z członków Rady Najwyższej. Była to niespotykana dotąd reakcja na przemówienie, stąd też przez parę sekund klaskał on samotnie. Przyłączył się do niego drugi członek. Jeden po drugim, wszyscy z nich poderwali się na równe nogi, klaszcząc z całych sił w ręce. Zebrani wokół Makena, potrzęsali radośnie jego rękami, jak również rękami swoich towarzyszy.

## 81.

Pierwszą rzeczą, z jakiej Lena zdała sobie sprawę po odzyskaniu przytomności, był ból dochodzący z boku karku. Był on tak mocny, jakby przygniotła ją góra. Uporczywy, świdrujący ból umiejscowiony poniżej ucha nie pozwolił jej na natychmiastowe przypomnienie sobie tego, co się wydarzyło. W chwilę potem wróciła jej stopniowo pamięć, a po niej gniew. Zwyciężył rozsądek, który ostrzegł ją, aby nie ponawiała prób wyswobodzenia się. Wołanie o pomoc nie miało żadnego sensu. „Nie ruszaj się”, mówiła sobie w duchu. „Nie ruszaj się, bądź cicho, i próbuj się dowiedzieć, o co tutaj chodzi”. Spróbowała się delikatnie poruszyć i stwierdziła, że nie jest w stanie zmienić położenia kończyn. Jej nadgarstki i kostki u nóg zostały mocno czymś skrępowane, co w dotyku przypominało linkę. W tym momencie nie mogła zbyt wiele zdziałać, a jedynie przysłuchiwać się ściszym głosom Jossa i Sarchy, starając się odgadnąć, co się wkoło niej dzieje i w jakim celu.

W tym momencie przypomniała sobie o nożu schowanym pod krawędzią materaca.

## 82.

W powietrzu wisiał ciężki aromat kawy, a każda płaszczyzna w pokoju łączności została zastawiona mnóstwem białych, lecz wyraźnie już wymęczonych plastikowych kubków. Członkowie Rady Najwyższej OWP pogrążeni byli w ożywionej dyskusji z Makenem na temat przyszłej struktury administracyjnej Palestyny. Technik radiowy nastawił odbiornik na pasmo 1,429 megahertza, czyli częstotliwość, na jakiej pracował nadajnik serwisu zagranicznego Izraela w Refidim. Była to częstotliwość, którą Maken określił w swoim ultimatum rządowi izraelskiemu dla nadania ich kapitulacji. Salę wypełniły dźwięki koncertu odbywanego w Tel Awiwie, do czasu gdy technik pospieszenie przyciszył odbiornik. Ostatnią czynnością, jaką wykonał, było nastawienie nadajnika UKF w taki sposób, aby umożliwić Makenowi bezpośrednią łączność z Heinleinem w *Dominatorze*. Jednakowoż

najważniejszym urządzeniem znajdującym się w tym pomieszczeniu był niebieski telefon, który miał pozwolić Hendrikowi Rymannowi na osobistą rozmowę z Makenem.

Maken spojrział na zegar pokazujący wschodnioamerykański czas urzędowy.

- Towarzysze, bracia moi - oznajmił. - Za pięćdziesiąt minut państwo Izrael przestanie istnieć.

## 83.

Waszyngton. Krótka chwila dana fotoreporterom na zrobienie zdjęć zakończyła się o 11.05 czasu lokalnego. Pięć minut później prezydent Hadley i Hendrik Rymann zostali sami w Ovalnym Pokoju. Rymann usiadł tyłem do ściany złożonej z trójwymiarowych ekranów telewizyjnych, które pozwalały prezydentowi na ścisły kontakt ze swoimi pomocnikami i doradcami. Obaj mężczyźni w pełni wykorzystali początkową wymianę uprzejmości celem wstępnego rozpoznania swojego rozmówcy, i obaj wynieśli bardzo korzystne wrażenia. Hadley był wysokim, ładnie się wyrażającym siwiejącym mężczyzną o wyglądzie arystokraty i wewnętrznym spokoju, przez który jednak wyczuwało się jego władzę. Po dwóch minutach spędzonych w jego obecności Rymann wiedział, że siedzi przed nim człowiek budzący respekt swoją zdolnością pojmowania istoty każdego problemu po minimalnym wprowadzeniu. Do innych talentów Hadleya można było zaliczyć jego umiejętność słuchania rozmówców, jak również przyciągający uwagę sposób mówienia.

Hadley zaś był pod wrażeniem szczerości i bezpośredniości Rymanna, o których dowiodły wstępne uwagi przywódcy Izraela.

- Panie prezydencie. Dziękuję bardzo, że zechciał mnie pan przyjąć. Obiecał mi pan poświęcić godzinę swojego czasu, wobec czego zamierzam go maksymalnie wykorzystać. Wiem, że zna pan cel mojego przyjazdu, i jest pan również w pełni poinformowany o poważnym niebezpieczeństwie, przed którym stanął obecnie mój kraj. Wydaje mi się, że jakakolwiek próba ponownego omawiania tych okoliczności byłaby czystą stratą czasu.

Hadley rzucił na swojego gościa długie spojrzenie.

- Panie premierze, pana podejście do sprawy stanowi miły przełom. Zgadzam się z panem - doskonale znam sytuację pana kraju.

- Złożyliśmy pana administracji dwie listy ujmujące szczegółowo zwiększone dostawy w ramach pomocy wojskowej dla Izraela. Pierwsza z nich jest listą, którą godzimy się podać do wiadomości publicznej i na którą nie może się, rzecz jasna, pan zgodzić. Nasze żądania z drugiej listy są już znacznie skromniejsze, stanowiące jednak niezbędne minimum pomocy

wojskowej, jakiej potrzebujemy, aby zagwarantować naszemu krajowi przetrwanie przez następne trzy lata.

- Przejrzałem obie listy z najwyższą uwagą - odparł Hadley, zapisując coś w notesie. - Główną prośbą, z jaką wystąpiliście na pierwszej liście, była dostawa dwustu przechwytyjących i bombardujących myśliwców B9. Druga lista podaje sto sztuk B9.

- Będę z panem szczery, panie prezydencie - rzekł Rymann. - B9 ma dla nas kapitalne znaczenie. Absolutnym minimum, jakiego potrzebujemy, jest siedemdziesiąt pięć sztuk oraz trzyletni okres zaopatrzenia w części zamienne i obsługi naziemnej.

- Dlaczego właśnie trzy lata?

- Ponieważ do tego czasu uda się nam opracować broń, która uniezależni nas od pomocy z zewnątrz.

- Czy może pan mi podać jakieś szczegóły?

- A czy od pana dostanę odpowiedź na tak lub nie, czy dostarczycie nam sto B9? - odpowiedział pytaniem Rymann. - Proszę mi wybaczyć, panie prezydencie, niech pan nie bierze tego za brak szacunku, jednakże byłbym wdzięczny za jednoznaczną odpowiedź: „tak” lub „nie”.

- Myślę, że zasługuje pan na nią. Muszę odpowiedzieć nie.

Przez chwilę Rymann milczał - sprawiając wrażenie, że zabrakło mu słów. Kiedy wreszcie przemówił, jego głos był niepokojąco spokojny.

- Nie chcę, żeby moja wypowiedź zabrzmiała melodramatycznie, lecz pańskie słowa brzmią jak wyrok śmierci dla mojego kraju.

- Wątpię - odparł zagadkowo Hadley. - Przez wiele lat podziwiałem odwagę i pomysłowość ludu Izraela. Jestem szczerze przekonany, że znowu coś wymyślicie.

Rymann dotknął urządzenia otwierającego walizeczkę na dokumenty na podstawie rozpoznania odcisku palca. Pokrywa odskoczyła z trzaskiem.

- Czy byłby pan bardzo zdziwiony, gdybym panu powiedział, że już coś wymyśliliśmy, panie prezydencie?

Lodowaty ton głosu Rymanna obudził podejrzenia Hadleya, jednak starał się tego nie okazywać.

- Obawiam się, że nie rozumiem, o czym pan mówi, panie premierze.

- Pana odmowa dostarczenia nam B9 oznacza, iż nie mamy innego wyjścia, niż przeprowadzić plan, który da nam potrzebne trzy lata spokoju.

- Czy na pewno to spotkanie jest odpowiednią okazją, aby omawiać pana plany strategiczne?

Rymann sprawiał wrażenie, że stara się starannie dobrać słowa, gdy w rzeczywistości recytował oświadczenie autorstwa Greera.

- Panie prezydencie, wczoraj jeden z promów NASA, dokładnie rzecz biorąc *Dominator*, wystartował z Ośrodka im. Kennedy'ego. W swoich ładowniach wyniósł parę sztuk rakiet: średniego zasięgu typu Masada, uzbrojonych w głowice nuklearne. W chwili obecnej prom znajduje się pod dowództwem oficera armii izraelskiej, który otrzymał rozkazy wystrzelenia rakiet do wybranych celów w Związku Radzieckim, o ile nie usłyszysz wcześniej mojego polecenia, by zaprzestać tego działania. Jak pan widzi, panie prezydencie, powiedzieliśmy sobie, że jeżeli świat chce, aby Izrael uległ zagładzie - a pragnę w tym miejscu przeprosić, jeżeli znowu wpadam w melodramatyczny ton - to wówczas Izrael wywoła globalny holocaust. Wyłupimy ostatnie oko za ostatni ząb.

W twarzy Hadleya nie drgnął ani jeden mięsień, przestał jednak prowadzić zapiski.

Rymann wyciągnął elektroniczną książkę, kładąc ją przed Hadleyem.

- Oto kompletny opis techniczny rakiety typu Masada. Wszystkie rysunki - łącznie ćwierć miliona dokumentów, aż do danych systemów inercyjno-astronawigacyjnych. Pana eksperci są proszeni o zapoznanie się z tymi dokumentami. Kiedy już to zrobią, potwierdzą, że istotnie posiadamy możliwości zrealizowania naszej groźby. W całej historii mój kraj był znany z tego, że nie rzucał gróźb na wiatr. A to, czy zrealizujemy tę właśnie groźbę, zależy całkowicie od pana.

## 84.

- *Dominator*, tu kontrola. Odbiór.

Głos należał do Earla Hacketta i słycać w nim było nietypowe napięcie. Odezwał się na piętnaście minut przed czasem kontroli łączności.

Heinlein nadal siedział w fotelu dowódcy, ze skrzynką sterującą Masady, przypiętą do uda za pomocą tworzywa velcro. Spojrzał na zegarek.

- Myślę, że lepiej będzie jak; mu odpowiesz.

- Słucham, kontrola - odparł Neil. - Tu *Dominator*. Słyszemy was dobrze. Odbiór.

- Zrozumiałem, *Dominator*. Przejdźcie na tajny kanał łączności numer trzynaście.

- Czy jest to kanał kodowany? - zapytał Heinlein.

- Tak.

- Okay. Zrób, o co prosi.

Neil sięgnął do pulpitu łączności i obrócił pokrętła na nową pozycję.

- Kontrola, tu *Dominator*. Odbiór.

- Rozumiem, *Dominator*. Cóż się, do cholery, u was dzieje?

Heinlein uruchomił mikrofon:

- Kontrola, mówi porucznik David Heinlein z Izraelskich Sił Zbrojnych. Czy mnie słyszycie?

Gdy Hackett odpowiedział, jego głos zabrzmiał zupełnie płasko i beznamiętnie, zupełnie jakby zmaterializowały się najgorsze przypuszczenia.

- Tak jest, Heinlein. Słyszemy was.

- Na ile bezpieczny jest ten kanał?

- Na sto procent, *Dominator*. Posługujecie się teraz radiowym torem optycznym przekazywanym poszczególnym stacjom naziemnym rozmieszczonym wzdłuż waszej trasy. Przełączanie odbywa się automatycznie. Poczekajcie chwilę.

Na moment, zanim Hackett wyłączył mikrofon, Heinlein usłyszał w tle głos jakiejś osoby rozmawiającej z kontrolerem naziemnym. Czekał nie spuszczać czujnego wzroku z Neila. Głos Hacketta wrócił po parosekundowej przerwie.

- *Dominator*, dowiedzieliśmy się, że umieściliście w kosmosie ładunek, na który nie było pozwolenia. Czy możecie potwierdzić tę wiadomość?

- Tak jest, kontrola - odezwał się Neil. - Potwierdzam.

Ponownie nastąpiła dłuższa pauza, po czym padło pytanie:

- A co się stało z Jimem Baylissem i Mikiem Pepperem?

Heinlein przyzwolił Neilowi skinieniem głowy na udzielenie odpowiedzi.

- Kontrola, tu *Dominator*. Jim i Mike są nieprzytomni. Załatwiły ich granaty z gazem paralizującym.

- Zrozumiałem, *Dominator* - wyrecytował beznamiętnie Hackett. - Zdajemy sobie sprawę z waszych problemów. Teraz chcielibyśmy zobaczyć zdjęcie waszego ładunku.

Heinlein uruchomił mikrofon.

- Hackett - tu Heinlein. Kamera Kanady jest już skierowana na ładunek. Damy wam piętnaście sekund obrazu w zwolnionym tempie na tym paśmie, rozpoczynając od teraz. - Wyłączył mikrofon i rzucił do Neila. - Okay, zrób, co trzeba. Daj im pogapić się przez piętnaście sekund na Masady.

Neil przycisnął odpowiednie klawisze, aby uruchomić kamerę znajdującą się na końcu ramienia manipulatora. Na ekranie monitora znajdującego się na pokładzie załogowym pojawił się obraz czterech rakiet. Przycisnął na piętnaście sekund klawisz transmisji zewnętrznej, po czym go zwolnił.



- Tak jest, *Dominator*. Odebraliśmy obraz - zabrzmiał pozornie spokojny głos Hacketta. Heinlein uruchomił mikrofon.

- Hackett, czy mnie słyszysz?

- Słyszemy was, *Dominator*. Niech pan mówi, Heinlein.

Heinlein sprawdził licznik czasu na skrzynce sterującej Masady. - Za godzinę odpalę pierwszy ładunek, to znaczy o godzinie 2.30 urzędowego czasu wschodnioamerykańskiego. Lecz jeżeli nasz radar wykazujący zbliżające się meteory ostrzeże nas o zbliżaniu się jakichkolwiek rakiet lub też jeżeli zastosujecie jakąkolwiek formę zakłócania elektronicznego, wtedy natychmiast wyślę cały ładunek. Czy dobrze się rozumiemy?

- Tak jest, Heinlein. Zrozumiałem.

## 85.

W tym samym czasie prezydent Hadley, mając u boku Waltera Swifta, odbywał konferencję za pomocą łączy telewizyjnych z profesorem Antonem Horowitzem, dyrektorem Agencji Wywiadowczej Obrony przy Pentagonie. Mimo że miał zaledwie trzydzieści pięć lat, trzeźwo myślący profesor był najbardziej zaufanym i szanowanym doradcą prezydenta Hadleya w sprawach wojskowości. Sprawa, w której go wezwano, była tak pilna, że nie miał nawet czasu udać się do Białego Domu.

- Przeglądam teraz dane techniczne - odezwał się głos Horowitza z jednego z monitorów zajmujących całą ścianę w Owalnym Pokoju. Profesor wpatrywał się w ekran znajdujący się poza polem widzenia kamery. - Mamy tu typowe logiczne układy astronomiczne Littona... Nie jestem całkiem pewien, do czego służą... Ach, tak, to może być pamięć buforowa reorientacji. Schematy obwodów pokazują jasno...

- Panie profesorze - przerwał mu gwałtownie Hadley. - Zdaję sobie sprawę, że miał pan zaledwie parę minut, aby przejrzeć te informacje. Niemniej jednak, na podstawie tego, co pan zobaczył, czy sądzi pan, że Masady są zdolne osiągnąć jakieś ważniejsze cele na ziemi?

Horowitz podniósł oczy w kierunku kamery, tak że obecnie spoglądał prosto na obu mężczyzn.

- Tak, panie prezydencie. Sam projekt jest znakomity.

- Jakim celom mogą zagrażać te rakiety?

Horowitz wykonał parę pospiesznych obliczeń.

- Po upływie godziny pozycja orbitalna *Dominatora* da mu wygodny wgląd na cele w Związku Radzieckim położone między pięćdziesiątym a sześćdziesiątym stopniem na północ.

- Jakie miasta zostaną objęte?

- Leningrad, Kazań, Gorki, Moskwa...

- Dziękuję bardzo, panie profesorze - przerwał mu Hadley - proszę czekać w pogotowiu. Nacisnął klawisz na biurku wyłączając na sekundę swój głos. - Jasna cholera!

- Czeką generał Hastings - odezwał się Swift, który przysłuchiwał się przez słuchawkę innej rozmowie.

- Najpierw jeszcze wróć do Pelhama - powiedział Hadley przyciskając następny klawisz na pulpicie wbudowanym w blat biurka. Na monitorach telewizyjnych pojawiły się surowe rysy Jasona Pelhama. Na twarzy osoby kierującej NASA nie było widać ani śladu szoku, jakiego doznał przed godziną na wieść, że *Dominator* został opanowany przez Heinleina.

- Pelham - niech pan mówi - rozkazał Hadley.

- Najwcześniej możemy wysłać prom za trzydzieści godzin, panie prezydencie. Nie możemy zacząć wytaczania przed...

Nie było już czasu na wyjaśnienia. Hadley przerwał Pelhamowi w pół zdania, polecając kontynuować wysiłki celem błyskawicznego wystrzelenia satelity.

- Generale Hastings, niech pan mówi.

Generał Teodor Hastings z Dowództwa Obrony Przestrzeni w Vanderbergu właśnie zabierał się do posłania piłeczki golfowej w ósmy dołek, kiedy odezwał się sygnał pagera noszonego na nadgarstku ręki, przyzywającego go do pomieszczenia na stanowisku dowodzenia wyposażonego w urządzenia do konferencji telewizyjnej. Gdy zjawił się przed kamerą, miał na głowie czapeczkę golfową i był lekko spocony. Po raz pierwszy miał okazję rozmawiać z Hadleyem.

- Panie prezydencie, wszyscy oficerowie mojego sztabu zajęci są oceną sytuacji. Potrzeba nam czterech godzin na zmianę parametrów satelitów PHOTON 6 wyposażonych w lasery gazowe. Jak pan zapewne pamięta, sieć satelitów PHOTON została zaprojektowana z myślą o niszczeniu rakiet wystrzeliwanych z ziemi. Nie mogą one...

- Jakimi jeszcze środkami dysponujemy, które mogłyby zniszczyć *Dominatora*?

- Istnieje tysiąc różnych sposobów. Lecz żadnego z nich nie można przeprowadzić dostatecznie szybko. Możemy wystrzelić rakietę przeciw satelitom AMS20, lecz *Dominator* będzie mógł ją śledzić przez trzy minuty podczas podchodzenia do celu...

- To jest bez sensu - przerwał Hadley. - Czy nie ma żadnego sposobu strącenia tego cholernego promu tak, żeby jego załoga o tym nie wiedziała?

- Nie, panie prezydencie. Nie ma sposobu podejścia do pojazdu orbitalnego

niepostrzeżenie.

- Okay. Niech pan nigdzie nie odchodzi. Horowitz - proszę mówić.

- Chciałbym zamienić parę słów na osobności.

Hadley odłączył resztę kanałów tak, że żadna z osób biorących udział w telekonferencji nie mogła widzieć ani słyszeć jego i profesora.

- Okay, profesorze. Niech pan mówi.

- Mamy pięćdziesiąt minut czasu. Najważniejszą rzeczą będzie wytłumaczenie Rymannowi, aby dał nam więcej czasu.

- Już próbowaliśmy - odparł Swift. - Twierdzi, że Heinlein posłucha tylko jednego rozkazu wydanego przez niego, a ma to być przerwanie ataku.

- Żaden z polityków nie pozwoliłby sobie na takie ograniczenie pola manewru - próbował ich przekonać Horowitz. - Musimy nacisnąć Rymanna, aby nam dał więcej czasu.

Hadley roześmiał się gorzko.

- On wcale nie ograniczył swojego pola manewru, tylko nasze. Jego zdaniem dał nam dość czasu, aby pozwolić nam na podjęcie decyzji. Uważa, że prośba o wyrażenie naszej zgody na udzielenie pomocy wojskowej o żądanej przez niego skali nie będzie wymagać gwałtownego zwrotu w naszej polityce zaopatrywania w broń, a jedynie powrotu do poprzedniej polityki. Pytanie, jakie sobie teraz musimy zadać, to czy mamy ostrzec Dranskiego?

- Nie.

- Dlaczego nie? Jeżeli sowiecka broń laserowa potrafi walnąć ten prom...

- Istnieje parę powodów, dla których powinniśmy się jeszcze powstrzymać z ostrzeganiem Sowieców - odparł Horowitz. - Po pierwsze, nie uwierzą nam. Pomyślą sobie, że wpadliśmy na chytry pomysł wypróbowania skuteczności ich systemu broni strumienia cząsteczek.

- Na miłość boską! - wybuchnął Hadley. - Nie pomyślą chyba, że jesteśmy gotowi poświęcić życie naszych astronautów, aby dowiedzieć się czegoś o ich systemie obrony?

- A skąd niby mogą wiedzieć, że na pokładzie tego promu mamy astronautów? - zauważył trzeźwo Horowitz. - W zeszłym roku NASA przeprowadzała eksperymenty wysyłając bezzałogowe promy do szpitala orbitalnego. Zdaniem Sowieców mogliśmy równie dobrze podrobić głosy załogi *Dominatora*.

- Spróbujmy rozważyć możliwość przedstawienia prawdy Dranskiemu - zasugerował Hadley.

Horowitz zmarszczył się z dezaprobatą.

- Myślałem już o tym. Okay - założmy, że powiemy mu, iż jego krajowi grożą rakiety wystrzelone z amerykańskiego statku powietrznego. Walter Swift zna go na tyle dobrze, aby móc przewidzieć jego reakcję.

Hadley spojrzał pytająco na Swifta. Było to pytanie, nad którym głowił się już sekretarz stanu. W odpowiedzi skinął głową.

- Dranski zwęszyłby jakiś niebotyczny podstęp i zagroziłby nam uderzeniami odwetowymi. I nie byłyby to czcze pogrożki. Gdyby tylko sowieckie radary odebrały sygnał Masad opuszczających prom i lecących kursem na ich przestrzeń powietrzną, wtedy sami uderzyliby na nas.

Georgiański zegar kominkowy stojący w tym eleganckim pomieszczeniu odmierzył parę sekund ciszy, zanim ktokolwiek zdecydował się odezwać.

- Mam propozycję - spróbował Horowitz. - Zostawcie Rymanna na dwadzieścia minut samego, żeby się podenerwował. Następnie przywołajcie go i zacznijcie negocjacje. Na piętnaście minut przed terminem zróbcie tak, aby negocjacje obróciły się na jego korzyść. Na dziesięć minut przed terminem dajcie mu coś osiągnąć - nie za dużo, a jednocześnie na tyle, aby zdał sobie sprawę, że potrzeba mu więcej czasu. Jeżeli zdołacie zmusić go do odpuszczenia jednej godziny, wówczas uda się wam uzyskać i dwie godziny - a potem może sześć godzin. Mając sześć godzin luzu, generał Hastings może będzie mógł już coś wymyślić.

- To niebezpieczna gra - stwierdził Hadley na widok przyzwalającego skinienia głową ze strony Swifta.

- Jasne, że niebezpieczna - zgodził się z nim Horowitz. - Jednak bez tych paru godzin nie mamy żadnego wyboru. Ten sukinsyn sprawił, że jesteśmy w pozycji faceta przerzuconego przez beczkę, z rękami i nogami przywiązanymi do podłogi. Zostało nam piętnaście minut, zanim poprosicie Rymanna, aby wrócił. Wykorzystajmy ten czas na sprawdzenie paru rzeczy.

## 86.

Po pięciu minutach lotu z uniwersytetu w Surrey, z którego zabrano sir Maxa Flindersa, helikopter Cougar należący do Brytyjskich Sił Zbrojnych przysiadł na płozach wywołując ogromny wir powietrza targający drzewami otaczającymi rozległe trawniki Thursley Hall. Jego drzwi otwarły się na rozkaz chorążego, a w chwilę po tym wyskoczyła na trawę grupa żołnierzy. Trzymając broń w pogotowiu rozbiegli się w tyralierę i otoczyli dom. W ślad za nimi ruszyli Flinders i dowódca garnizonu Aldershot, generał brygady Allan Scott. Drzwi

otwarła im gospościa z ustami otwartymi ze zdumienia. Na rozkaz żołnierza podniosła bez wahania ręce do góry.

Flinders przeżył następnych parę minut w oszłamiającym zamięcie, w którym to czasie wrzeszczący żołnierze prowadzili go przez kolejne pokoje.

- Czego, do jasnej cholery mam szukać? - zapytał płaczliwie generała Scotta po tym, gdy otwarto przed nim kopnięciem drzwi do jadalni.

- Panie generale! - zameldował gromko chorąży. - Na zewnątrz jest zamknięta stodoła. Użyjemy do drzwi ładunków kierunkowych.

W minutę później Flinders był świadkiem, jak szereg małych ładunków wybuchowych założonych wokół zamków i zawiasów ogromnej stodoły Thursley Hall zamienia je w proch. Ogromne wrota runęły na zewnątrz, upadając z grzmotem, jaki wydały zapewne rozsypujące się mury Jerycha. Chorąży rzucił się do stodoły, padając płasko na ziemię, zupełnie jak gdyby spodziewał się, że zostanie ostrzelany przez bandę partyzantów. Przez chwilę leżał nieruchomo na ziemi, tuż za wejściem. Zaraz potem podniósł się i obrócił w stronę przyglądających się mu pozostałych osób. Odezwał się cichym, normalnym głosem.

- Myślę, że mamy tutaj coś ciekawego, panie generale.

Flinders ruszył do środka stodoły za generałem Scottem.

Początkowo nic nie widział, jako że stał tyłem do światła i potrzebował chwili, aby przyzwyczaić oczy do mrocznego wnętrza. Usłyszał trzask, po czym stodołę zalały strumienie światła. Jeden z żołnierzy zaklął, wstrzymując oddech na widok ogromnego kształtu z jednym okiem, która to obrzydliwość siedziała nieruchomo pośrodku stodoły.

Flinders stał tak, jak gdyby ogarnął go paraliż. Wpatrywał się bez końca w potężnego satelitę.

Generał Scott nacisnął przycisk na miniaturowej radiostacji oznajmiając.

- Znaleźliśmy go.

Patrząc na ukochanego satelitę Flinders poczuł żal, że nie jest na tyle słaby, żeby się móc rozpłakać.

## 87.

Neil zdał sobie sprawę, że musi odstąpić od swego pomysłu. Udało mu się sprowokować Heinleina do mówienia, lecz Izraelczyk uważał, aby trzymać się w bezpiecznej odległości. Przez cały czas trzymał na udzie skrzynkę sterującą Masadami i nie spuszczał oczu z byłego astronauty na dłużej niż sekundę. Szanse na to, aby Neilowi udało się dokonać

próby wyszarpięcia pistoletu, były znikome.

Heinlein okazał się zaskakująco rozmowny. Neil nie musiał specjalnie go naciskać, aby usłyszeć o wydarzeniach, które doprowadziły Heinleina do sądu polowego, a następnie do uwolnienia z wojskowego więzienia.

- A po co było angażować w to OWP? - zapytał Neil. - Przecież mógłbyś przeprowadzić tę całą operację bez nich.

Heinlein bawił się kolbą pistoletu wystającą ze skafandra.

- Dołożyłem starań, aby prowadziło do nich wystarczająco wiele nici po to, by spadła na nich cała wina, gdyby mi nie wyszło. W tym też celu zaangażowałem, na przykład, Sarchę.

- Czy Sarcha jest najemnikiem OWP?

Heinlein skinął głową.

- A ty zamierzasz użyć tych rakiet przeciwko bazie OWP w Bakal?

Heinlein spojrzał Neilowi prosto w oczy.

- Jedna z Masad jest skierowana na Bakal.

- A jakie są pozostałe cele?

- Związek Radziecki. Dwie na Moskwę i jedna na Leningrad. Prawdziwa ironia polega na tym, że dokładnie w tej chwili OWP jest przekonana, że Masady są skierowane na cele w Izraelu.

Neil zatrzymał wzrok przed sobą, na pulpicie z przyrządami pokładowymi. Widok znanych urządzeń pozwalał mu się opanować.

- A co macie nadzieję przez to uzyskać?

- Siedemdziesiąt pięć B9. Jak również zwiększone dostawy broni. Lecz przede wszystkim chodzi o B9. Izrael w swej walce o przetrwanie zawsze opierał się o przewagę w powietrzu. B9 jest jedynym samolotem, który może nam pomóc odzyskać tę przewagę. Potrzebujemy go, jeżeli chcemy przetrwać.

- I naprawdę uważasz, że mój rząd pozwoli się szantażować?

Heinlein pokręcił głową.

- Neil, to nie jest żaden szantaż. Jest to jedynie próba pokazania twojemu rządowi, jakie są konsekwencje postawienia zdeterminowanych ludzi w sytuacji bez wyjścia.

- A ty pozwalasz swojemu rządowi, żeby cię wykorzystywał - wskazał Neil. - Jaki masz dług wobec swojego kraju? Sam powiedziałeś, że ogłosili cię tchórzem.

Heinlein na chwilę zamilkł, jakby walcząc z myślami. Gdy wreszcie przemówił, w jego głosie słychać było dziwne napięcie. Nie był już tym nieprzeniknionym Izraelczykiem, którego najskrytszych myśli można się było jedynie domyślać.

- Czy słyszałeś kiedyś o Masadzie? - zapytał.

Neil szukał w pamięci. Sama nazwa wydawała mu się coś przypominać.

- Czy nie było o tym jakiegoś starego filmu? O jakichś Żydach, którzy popełnili samobójstwo?

Heinlein skinął głową.

- Wzgórze Masada jest położone na Pustyni Judejskiej. Jest to miejsce, gdzie prawie tysiąc osób popełniło samobójstwo, przedkładając je nad pojmanie przez Rzymian. Wiele lat temu, kiedy wstąpiłem do wojska, zabrano nas na Masadę z prawie dwudziestoma innymi świeżo upieczonymi oficerami. Czy wiesz, jak wygląda Pustynia Judejska w nocy? Prawie czujesz, jak dotykają cię duchy Abrahama, Dawida, Salomona, prowadząc cię po Ścieżce Wężów na szczyt. To bardzo dziwne uczucie. Nigdy przedtem nie czułem tak silnej więzi z moim krajem. Czy według ciebie nie brzmi to śmiesznie?

Neilowi nie przyszło nic sensownego do głowy.

- Myślę, że na pewno tak jest. Nie masz pojęcia, co czuje się mając na plecach bagaż pięciu tysięcy lat historii. Wracając do mojego opowiadania, wspięliśmy się na Masadę po ciemku; potykając się, przerażeni możliwością upadku. Doszliśmy na szczyt z pokrwawionymi palcami i bolącymi nogami. Potem nastąpił marsz z pochodniami, który zakończył się na tarasie, na którym Rzymianie znaleźli ciała mojego ludu. Stanęliśmy w kręgu składając przysięgę, że nigdy już więcej Masada nie padnie i że nigdy już więcej ziemi izraelskiej nie podepcze noga nieprzyjaciela. Każdy szczegół tej sceny i jego znaczenie zostaną w mojej pamięci do końca życia. Ślubowaliśmy także, że gdy kiedykolwiek pojawi się możliwość zniszczenia wrogów Izraela, to wykorzystamy ją, nawet jeśli oznaczałoby to zagładę dla nas i naszej ziemi. - Heinlein spojrział swoimi ciemnymi oczami na Neila. - I stanie się tak lub też sami stworzymy taką możliwość - i po to tu właśnie jestem. Jestem pierwszym z Izraelczyków na najbardziej wysuniętym stanowisku. Jeżeli mój kraj runie, to wtedy będzie miał prawo domagać się wyłupania ostatniego oka, zabierając ze sobą resztę świata w nuklearnym holocaustcie.

Obaj mężczyźni zamilkli. Ich rozmyślenia zakłócił nagle głos Earla Hacketta:

- *Dominator*, tu kontrola. Jak mnie słyszycie?

Heinlein skinął głową w odpowiedzi na pytające spojrzenie Neila, opuszczając ostrzegawczo rękę na kolbę pistoletu.

- Tak jest, kontrola - odparł Neil. - Tu *Dominator*. Słyszemy was dobrze.

- I jak tam leci, Neil?

- Nie mam nic do zameldowania - odparł wymijająco Neil.

- Założyliśmy bezpośrednią linię do biura w Waszyngtonie. Musimy teraz sprawdzić tożsamość twojego głosu. Odbiór.

- Zrozumiałem, kontrola. Mówcie dalej.

- Waszyngton, proszę mówić - oznajmił Hackett.

- *Dominator*, tu Waszyngton. Czy mnie słyszycie? - Głos wydał się Neilowi dziwnie znajomy. Również Heinlein wydawał się rozpoznawać głos; znieruchomiał, spoglądając wyczekująco na swojego sąsiada.

- Tak jest, Waszyngton - potwierdził Neil, starając się przypomnieć sobie osobę, do której należał ów głos. - Tu *Dominator*. Rozumiemy was dobrze.

Usłyszeli głos Earla Hacketta.

- Okay, Neil. To nam wystarczy. Nie wyłączaj się.

Heinlein zachichotał.

- Czy wiesz, kto to był?

- Już kiedyś słyszałem ten głos.

Izraelczyk zaśmiał się ponuro, przeczesując palcami włosy.

- Jasne, że go już słyszałeś. To był prezydent Hadley. Wygląda na to, że mamy bezpośrednie połączenie z Białym Domem.

## 88.

Atmosfera w centrum łączności w Bakal była napięta. Umilkły wszelkie rozmowy, a wszyscy obecni wpatrywali się w radionadajnik UHF, czekając, aż zgodnie z obietnicą Makena znowu obudzi się do życia. Po raz trzeci w ciągu tej godziny Maken polecił mechanikowi sprawdzenie urządzeń nadajnika.

## 89.

W odległości stu mil od wybrzeży Mozambiku, gdzieś na Oceanie Indyjskim, czekała również izraelska fregata *Golda*. Porucznik Gus Yaricon przez cały prawie czas odpoczywał, podczas gdy znajdujący się pod jego dowództwem helikopter Solomon utrzymywano w stałej gotowości bojowej na pokładzie statku. Mężczyźni i kobiety siedzący z napiętą uwagą w zaciemnionym pokoju dowodzenia fregaty czekali, obserwowali i nasłuchiwali.



## 90.

Stojący na biurku Hadleya zegar o odczycie cyfrowym pokazywał 14:05, czyli dwadzieścia pięć minut przed terminem wyznaczonym przez Rymanna, gdy premier Izraela został ponownie wprowadzony do Owalnego Pokoju, gdzie znalazł się sam na sam z prezydentem Hadleyem. Pierwszą rzeczą, która rzuciła się Rymannowi w oczy, był widok miniaturowego nadajnika, który Hadley miał założony do ucha. Zastanowił się przez chwilę, ile osób z ekipy prezydenta będzie się przysłuchiwać każdemu słowu, jakie padnie w tym eleganckim pomieszczeniu.

- Zanim posuniemy się dalej - zauważył chłodno Hadley - muszę znać cele, w jakie zostały skierowane Masady. - Przesunął nieco zegar tak, aby i Rymann mógł widzieć jego odczyt. - Proszę pamiętać, panie premierze, że ma pan dwadzieścia minut czasu.

Rymann przybrał wyraz twarzy zaskoczonego niewiniątka.

- Jestem pewien, że pana eksperci wyliczyli już, jakie cele Masady będą w stanie osiągnąć, czy nie mam racji, panie prezydencie?

- Czy jednym z nich jest Bakal?

- Oczywiście.

- A pozostałe cele?

Rymann przesłał mu uśmiech gracza, który wie, że ma wszystkie atuty w ręku.

- Moskwa i Leningrad. Chyba nie muszę panu mówić, jaka będzie reakcja Sowietów na rakiety wystrzelone w kierunku ich kraju z pokładu statku kosmicznego należącego do USA.

Hadley wbił wzrok w przywódcę Izraela.

- Potrzebujemy czasu, aby móc to omówić - powiedział, podsuwając następnie Rymannowi niebieskiego koloru aparat telefoniczny stojący na jego biurku. - Ten telefon daje bezpośrednie połączenie z *Dominatorem*. Niech pan zadzwoni do Heinleina i poleci mu, żeby przesunął o godzinę, cokolwiek tam zaplanował.

Rymann pokręcił przecząco głową i z roztargnieniem potarł klatkę piersiową, aby złagodzić tępy ból, który tam odczuwał.

- Już panu wyjaśniałem, porucznik Heinlein ma rozkazy rozpoczęcia działań o godzinie 14:30. Jedynym moim poleceniem, jakiego posłucha, będzie rozkaz przerwania operacji. A wydam go jedynie wtedy, gdy zgodzi się pan dostarczyć nam B9 i zwiększyć pomoc wojskową. Jako przywódca kraju, który stracił tak wielu młodych ludzi na polach bitewnych w obcych krajach, na pewno jest pan osobą, która pochwali nas za to, że w odróżnieniu od

innych państw nie prosimy o przelewanie krwi w naszej obronie, a jedynie o broń.

- Doceniam ten fakt - odparł Hadley krótko. - Nie potrafię jednak zrozumieć, dlaczego odpowiedzialna głowa państwa zostawiła sobie tak mało swobody manewru? Potrzeba nam więcej czasu, aby to dokładnie omówić.

Rymann wskazał ręką na zegar.

- Nie potrzeba panu dwudziestu dwóch minut, aby przychylić się do naszej prośby, panie prezydencie.

Hadley przybrał surowy wyraz twarzy.

- Przerywam nasze spotkanie do czasu, aż nie poleci pan Heinleinowi wstrzymać się o godzinę.

Rymann podniósł się, składając lekki ukłon.

- Bardzo dobrze, panie prezydencie. Dziękuję, że był pan uprzejmy mnie przyjąć. Poczekam na zewnątrz, gdyby mimo wszystko zechciał pan wznowić naszą rozmowę.

Ku zdumieniu Hadleya izraelski polityk obrócił się na pięcie i wyszedł z pokoju.

- Walter! - rzucił krótkie polecenie Hadley, sprawiając wrażenie, jakby przemawiał do pustego pomieszczenia. - Niech nikt się do niego nie zbliża! Potrzymajcie go na zewnątrz, żeby dojrzał.

W odpowiedzi Hadley usłyszał w swoim uchu głos.

- Usiadł na fotelu i tak sobie siedzi. Ten gość to wariat!

Hadley spojrział na zegarek. - Dwadzieścia minut! Rany boskie! Jeśli chce przeprowadzić wojnę nerwów, to proszę bardzo. Usuńcie wszystkich z przedsionka. Jeżeli będzie chciał ze mną porozmawiać, to może przyjść z własnej woli.

Hadley opadł na wysokie oparcie obrotowego fotela, wyciągając z ucha nadajnik. Przez minutę trwał pogrążony w myślach, po czym ruchem palca włączył przycisk, przy pomocy którego otrzymał na ekranie monitora obraz przedsionka odbierany przez szerokokątny obiektyw. Nie było tam nikogo oprócz Hendrika Rymanna. Izraelski polityk siedział wygodnie na jednym z foteli czytając „Washington Post”, zupełnie jakby oczekiwał wiadomości, że jego lot został odwołany.

Zegar odmierzył następne dwie minuty. Zostało ich jeszcze osiemnaście.

Hadley dokonał zbliżenia obrazu. Cały ekran wypełniła spokojna twarz Rymanna. Mogłoby się zdawać, że polityk skupia całą uwagę na gazecie, lecz jednak jego oczy nie przebiegały po kolejnych wierszach tekstu. Hadley zwrócił uwagę na gwałtownie pulsującą żyłę na karku Rymanna. Prezydent amerykański poświęcił jedną minutę cennego czasu na policzeniu pulsu. Wynosił on sto sześćdziesiąt.

Zegar wydał cichy szmer, po czym wydzwonił kwadrans po drugiej.

Zostało jeszcze piętnaście minut.

Z przedsonka dobiegł szelest przewracanych stron. Wydawało się to nie do wiary, lecz Rymann wziął się do czytania następnej gazety, chichocząc z oglądanego komiksu. Niemniej jednak puls Izraelczyka wzrósł do stu osiemdziesięciu na minutę. Hadley spoglądał z podziwem na znakomite przedstawienie odgrywane przez tego człowieka i myślał z szacunkiem o kraju, który go wydał. Cofnął się w myślach do dni, kiedy Izrael i Stany Zjednoczone były w bliższych stosunkach.

Dwanaście minut.

Mikroskopijny nadajnik wydawał rozpaczliwe piski. Hadley założył go pospiesznie do ucha, wsłuchując się.

- Walter, wszystko w porządku. Dobrze wiem, co robię.

Wyszarpnął słuchawkę z ucha, ciskając ją następnie na biurko. Przeniósł wzrok na ekran telewizora, przyglądając się bacznie twarzy Hendrika Rymanna. Twarz Izraelczyka była szara i ściągnięta.

Prezydent USA nie wiedział o tym, że w tym czasie Rymann starał się z całych sił o utrzymanie swojej postawy zmagając się z przejmującym bólem w piersi, który przenosił się na jego lewe ramię.

Dziesięć minut.

Rymann podniósł gazetę, kryjąc za nią twarz.

Osiem minut.

## 91.

Samotny wóz kempingowy chieftain stał zwrócony w kierunku wydłużającego się cienia rzucanego przez słońce wiszące nad afrykańskim buszem. Sarcha wybrał częstotliwość, której używał do rozmów z Heinleinem znajdującym się w promie. Nie zdawał sobie sprawy, że Lena obserwuje go spod przymkniętych powiek. Jej palce natrafiły na nóż kuchenny, który ustawiła w pozycji pozwalającej jej na przecięcie więzów.

- Papa Sierra do Hotelu Delta - powiedział Sarcha. - Jak mnie słyszysz?

Nie otrzymał żadnej odpowiedzi.

Twarz Sarchy wykrzywił grymas złości, po czym jeszcze raz sprawdził częstotliwość radionadajnika

- Papa Sierra do Hotelu Delta. Czy mnie słyszysz?

- Baza do Papa Sierra - zaskrzeczał głośnik. - Czy mnie słyszysz?  
- Słyszę pana - odpowiedział Sarcha rozpoznając głos Makena. - Tu Papa Sierra.  
- Sarcha? Co tam się dzieje?  
- Przykro mi, proszę pana, ale nie mam pojęcia.  
- Powinien się odezwać już piętnaście minut temu - w głosie Makena słychać było ton wyrzutu.  
- Muszą być jakieś problemy z łącznością, proszę pana. Chyba warunki atmosferyczne. Będzie lepiej zostawić tę częstotliwość wolną na wypadek, gdyby chciał się z nami połączyć.  
- Cały czas prowadzimy nasłuch - warknął Maken.  
Joss podniósł wzrok znad struganego kawałka drewna.  
- Co się dzieje, panie Sarcha?  
Sarcha zdjął słuchawki kręcąc z niedowierzaniem głową. - Naprawdę nie wiem, Joss - odpowiedział wolno, głęboko pogrążony w myślach.  
Zulus wskazał ręką na Lenę.  
- Ona spać bardzo długo.  
Lecz Sarchę nic już nie obchodziła Lena.

## 92.

W *Dominatorze* Heinlein ustawił mocno skrzynkę sterującą na kolanie i ruchem palca odsunął przykrywkę broniące dostępu do czterech przycisków. Zaczęło gwałtownie migać światelko ostrzegawcze. Następne światelko rozbłysło, gdy przekręcił klucz uzbrajający rakiety. Masady były teraz gotowe do odpalenia. Wystarczyły cztery szybkie uderzenia palcem. Poczul potrzebę zamknięcia oczu i pogrążenia się w cichej modlitwie, lecz Neil obserwował każdy jego ruch z kocią prawie uwagą.

Po raz setny Neil rozważył wszelkie ryzyko związane z próbą wyrwania Heinleinowi siłą skrzynki sterującej. W końcu, czym była ofiara jednego życia wobec milionów istnień znajdujących się pod nim? Lecz zaraz potem wrócił myślami do Leny. Świadomość tego, co się jej może przydarzyć, zmuszała go do racjonalnego i spokojnego działania. Jedyne, co mógł zrobić, to liczyć na okazję i czekać.

Zostało już bardzo mało cennego czasu, lecz bardzo chciał czegoś dokonać.

## 93.

Hadley otworzył drzwi do przedsiönka na sześć minut przed końcem terminu wyznaczonego przez Rymanna.

Rymann nadal skrywał twarz za gazetą. Usłyszał dźwięk otwieranych drzwi i zmusił się do przybrania spokojnego wyrazu twarzy przed opuszczeniem gazety i zwróceniem pytającego wzroku na twarz prezydenta USA.

- Panie Rymann - powiedział Hadley cichym głosem - myślę, że powinniśmy dokończyć naszą rozmowę.

Hadley zauważył, że Rymann porusza się jak robot, zupełnie tak, jakby chód wymagał z jego strony skoncentrowanego wysiłku. Powrócił do swojego biurka i wskazał gościowi fotel. Rymann powstrzymał się nadludzkim wysiłkiem przed bezwładnym opadnięciem na oparcie.

Zegar wskazywał godzinę 14:25.

- Tych parę minut, które pozostało - zaczął Hadley - w zupełności wystarczy na to, co mam do powiedzenia. Myślałem o losie, jaki czeka pana kraj. Staralem się wyobrazić siebie na pana miejscu, pytając się, co bym zrobił będąc panem. - Hadley uśmiechnął się krzywo. - I wie pan co? Jestem przekonany, że zrobiłbym dokładnie to samo, co pan. Zakładając, że miałbym tak znakomitych mężczyzn i kobiety, którzy umożliwiliby mi zrealizowanie tego doskonałego planu.

Przerwał na chwilę, zauważając poszarzałą twarz przywódcy izraelskiego.

- Dostanie pan swoją pomoc wojskową. Nie widzę powodu, dla którego dostawy nie miałyby ruszyć już w przyszłym tygodniu.

Nagle wysiłek utrzymania pozorów stał się dla Rymanna nie do zniesienia. Ogromny ból zaczął brać górę. Jego twarz wykrzywił grymas. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, lecz nie wyszło z nich ani jedno słowo.

Hadley spojrzał z troską na Izraelczyka.

- Panie premierze, czy dobrze się pan czuje?

Rymann zaczerpnął głęboko powietrza, starając się, aby nie zabrzmiało to jak jęknięcie.

- Tak, panie prezydencie, czuję się dobrze.

Zegar wskazywał 14:27.

Hadley położył rękę na niebieskim aparacie telefonicznym.

- Postawimy dwa warunki, panie premierze. Po pierwsze, dostarczymy wam czterdzieści B9, a nie siedemdziesiąt pięć.

Po raz pierwszy Rymann pozwolił, aby wyraz jego twarzy odzwierciedlił jego uczucia.

- Nie - powiedział chrapliwie - to jest...

- Niech mnie pan wysłucha do końca! Po drugie, domagacie się szerokiej pomocy

wojskowej przez okres trzech lat. Będziecie ją mieli. Lecz ja dalej będę na swym stanowisku po upływie trzech lat i zastrzegam sobie prawo odcięcia pomocy wojskowej dla Izraela pod koniec tego okresu.

Rymann z trudnością utrzymywał wzrok na Hadleyu. Ból stał się tak dotkliwy, że z ogromnym trudem wyrzucał z siebie słowa.

- To jest nie do przyjęcia, panie prezydencie. Potrzebujemy siedemdziesiąt pięć B9 jako minimum dla utrzymania dwóch eskadr...

- Tak brzmi moja oferta - powiedział chrapliwie Hadley. - Albo ją pan przyjmie, albo zobaczymy się w piekle.

Zegar pokazywał 14:28.

Dwie minuty. *Dwie minuty*. Czoło Rymanna pokryło się nagle potem. Kiedy przemówił, nie był w stanie stwierdzić, czy mówi do rzeczy.

- Nie mogę tego przyjąć, panie prezydencie. B9 jest najbardziej skomplikowanym samolotem, jaki do tej pory zbudowano. Wymaga on... - Pokój zaczął wirować mu przed oczyma, a twarz Hadleya stała się niewyraźną plamą. - Wymaga on czasochłonnych przeglądów na ziemi. Potrzeba nam siedemdziesiąt pięć B9, aby uzyskać w każdej chwili pięćdziesiąt sprawnych samolotów. Mając jedynie czterdzieści... - W obecnym stanie prosty rachunek przerósł jego możliwości.

- Będziecie musieli się na to zgodzić.

Minuta, pięćdziesiąt sekund.

- Nie mogę.

Hadley nie odparł ani słowem, jednakże wpatrywał się w Rymanna twardym, nieprzyjaznym wzrokiem.

Minuta, trzydzieści sekund zdawał się krzyczeć zegar.

Ból wzmógł się do tego stopnia, iż zdawał się go oślepić.

Minuta, piętnaście sekund.

- Jeżeli Masady zostaną odpalone, ostatnim rozkazem, jaki wydam, będzie zniszczenie Izraela. - Słowa rzucane ostro przez Hadleya padały niczym ostre odłamki lodu odlupane uderzeniami kilofa.

- Izrael i tak już jest skończony!- wykrztusił Rymann.

- A pan jako jedyna osoba będzie odpowiedzialny za miliony straconych istnień - powiedział Hadley lodowatym tonem. - Czy chce pan spędzić wieczność w piekle próbując rozwiązać to równanie? Wystarczy, żeby pan, panie premierze, podniósł słuchawkę niebieskiego telefonu! Pora, żeby pan poszedł na jakieś ustępstwa.

Rymann stwierdził, że nie może oderwać oczu od zegara. *Jedna minuta, jedna minuta, jedna minuta!*

- Nie mogę zdradzić własnego kraju. - Te słowa wypowiedział ktoś inny, posługując się jego głosem.

Pięćdziesiąt pięć sekund... pięćdziesiąt cztery... pięćdziesiąt trzy...

Chłodna, stalowa dłoń zacisnęła się na sercu Rymanna. W jego stronę płynął niebieski aparat telefoniczny. Nabierał coraz to większych rozmiarów. Za nim widniała twarz Hadleya - groteskowa maska przedrzeźniająca go szyderczym, dzikim grymasem. A przez cały ten czas zegar z cyfrowym odczytem odliczał głośno sekundy z takim hałasem, jakby wybijał je na kowadło, sprawiając, że słyhać było ruch elektronów przepływających przez obwody.

Czterdzieści... trzydzieści dziewięć... trzydzieści osiem...

Twarcz. Telefon. Zegar. Te trzy obiekty wirowały mu w oczach.

Siedemdziesiąt pięć B9. W imię Boga, czy naprawdę proszę o tak wiele? Lecz słowa te nie zostały wypowiedziane przez Rymanna.

Dwadzieścia pięć... dwadzieścia cztery... dwadzieścia trzy...

Pora, żeby pan ustąpił, panie premierze. Ustąpił! Ustąpił! Ustąpił!

Dwadzieścia... dziewiętnaście... osiemnaście...

- Boże wszechmocny! W imię Syjonu! Niech czas stanie w miejscu!

Piętnaście... czternaście...

Hadley siedział oparty na fotelu. Nie ruszał się ani też nie odzywał ani słowem.

Rymann dostrzegł przed sobą parę rąk.

Trzytnaście... dwanaście... jedenaście...

Ręce szukały czegoś po omacku. Zderzały się z różnymi przedmiotami starając się pochwycić ów straszliwy, niebieski telefon. To były jego własne dłonie - szukające gorączkowo przed sobą. Napotykały zimny dotyk plastiku. Usiłujące podnieść słuchawkę przytłoczoną przez pięć tysięcy lat historii.

Czyjś głos: - *Chryste, on ma zawał!*

Dziewięć... osiem... siedem...

Hadley poderwał się na nogi. Przechylając się przez biurko, prowadził jego rękę do aparatu telefonicznego. Gładka słuchawka zdawała się wyslizgiwać z jego spoconych dłoni. Pochwycił ją tak, jak tonący czepia się koła ratunkowego.

Sześć... pięć... cztery...

Czerwona mgła przed oczyma. Hadley porwał się na równe nogi, głośno krzycząc. Do pomieszczenia wbiegli ludzie. Niewidzialna ręka przytrzymała słuchawkę przy jego uchu.

*Rozmawiaj z Heinleinem! Na miłość boską, rozmawiaj z nim!*

Wydał z siebie skrzekliwy głos. - Heinlein... Heinlein... Tu mówi Rymann. Czy mnie słyszycie?

*Słodki Boże, jeszcze nie teraz. Daj mi jeszcze parę sekund. Proszę cię o to, Boże!*

Odgłos bijącego zegara.

- Słyszę pana, panie premierze.

Trzy... dwa...

- Heinlein... przerwać zadanie... przerwać.

## 94.

Heinlein już kładł palec na pierwszym klawiszu skrzynki sterującej, gdy dobiegł go z głośników promy trudny do poznania głos Rymanna. Izraelczyk zamarł. Czy był to aby na pewno głos Rymanna? Kiedyś przez parę godzin przysłuchiwał się nagraniom głosu przywódcy Izraela. To, co słyszał teraz, brzmiało jak głos Rymanna, niemniej jednak...

- Poruczniku Heinlein, czy słyszycie mnie?

- Słyszę pana, panie premierze.

Przerwa, po której Rymann ponownie przemówił, obudziła dalsze podejrzenia Heinleina. W tle słyszał podenerwowane głosy. Po głowie kłębił mu się szereg pytań, wzmagając jego niepewność. Dlaczego w tamtym pomieszczeniu znajduje się tak wiele osób? Co też tam się dzieje? Co oni zrobili Rymannowi?

- Zadanie zakończyło się zwycięstwem, Heinlein - Rymann mówił ledwie słyszalnym szeptem. - Ogromnym zwycięstwem.

- Co się panu stało, panie premierze? Czy może pan swobodnie rozmawiać?

- Możecie odłączyć rakiety i wracać na Ziemię.

- Co się panu stało? - powtórzył pytanie Heinlein, zaciskając rękę na skrzynce sterującej. - Co tam się dzieje? - Zapomniał zupełnie o Neilu. Zwiększył poziom dźwięku głośników w chwili, gdy ktoś znajdujący się w pokoju razem z Rymannem nie docenił czułości mikrofonu słuchawki telefonicznej mówiąc: - Nie mogę mu dać jeszcze jednego zastrzyku - to go zabije!

Heinleina ogarnęła wściekłość na myśl, że coś złego przytrafiło się Rymannowi.

- Przystępuję do odpalenia - powiadomił zimno.

- Heinlein, nie! - głos Rymanna brzmiał jak jękliwa prośba. - Wygraliśmy... wygraliśmy!



Po raz pierwszy w swojej karierze Heinlein kompletnie nie wiedział, co ma zrobić. Wpatrywał się w najbliższy głośnik, zupełnie tak, jak gdyby ten mógł mu podsunąć jakieś rozwiązanie. W tej chwili wyleciała mu z ręki skrzynka sterująca, na którą runął z całym impetem Neil. Były astronauta wyszarpnął pistolet z przedniej kieszeni skafandra Heinleina, odbezpieczając jednocześnie broń. Ciało Heinleina poszybowało niczym wystrzelone z armaty w kierunku przednich okien promu. Odbił się z całej siły nogami, popychając się w stronę Neila. Rozległ się huk wystrzału. Koziołkująca w powietrzu skrzynka sterująca szarpnęła nagle w bok, niczym złapana na haczyk ryba, po czym wyrzuciła z siebie strzępy wnętrzości, rozrzucając je po całym pokładzie załogowym.

- Ty sukinsynu! - ryknął Heinlein z twarzą pobielaną z niepohamowanej wściekłości.

Zanim Neil zdążył zareagować, dłoń Heinleina schwyciła niczym imadło nadgarstek ręki, w której trzymał pistolet, a druga sięgnęła do jego gardła. Neil był silny i w dobrej kondycji, jednakże nie mógł się równać z zahartowanym w bojach Izraelczykiem. Pistolet wyleciał wytrącony z jego ręki. Obaj walczący ze sobą mężczyźni wykonali parę koziołków w powietrzu, unosząc się w nieważkości, a ich ciała zderzały się na przemian z podłogą i sufitem. Heinleinowi udało się odrzucić Neila. Szczęśliwym trafem przed nosem Izraelczyka przeleciał pistolet, pozwalając mu w ten sposób na odzyskanie broni. Skierował ją w stronę Neila.

- Jeden twój ruch - wydyszał - jeden twój ruch, O'Hara. Tylko tyle mi trzeba.

- Spróbuj mnie zabić, Heinlein, a już będzie po tobie. Sam nie potrafisz wylądować tą maszyną - mówił Neil przytrzymując się oparcia fotela dowódcy, ciężko dysząc, gdy z rozciętego czoła krew spływała mu na oczy.

Heinlein był w podobnym stanie; z czaszki zwieszał mu się pęk pokrwawionych włosów i miał mocno podrapaną twarz. Jego oczy rzucały nadal błyskawice wściekłości, a pobielane palce ścisnęły mocno pistolet, jednakże Neil mógł stwierdzić, że jego słowa odniosły zamierzony skutek.

Heinlein podciągnął się na jedną stronę i wskazał gwałtownie bronią w kierunku tylnego pomieszczenia dla załogi.

- Masz wyrzucić rakiety i zamknąć drzwi luku. A potem lądujemy.

## 95.

Przed oczami patrzącego nieruchomo Rymanna migały sufity pomieszczeń. Minął parę drzwi, znajdując się następnie pod jasnym, niebieskim niebem. Obok noszy pędziły dwie

pielęgniarki i lekarz, tupiąc donośnie nogami. Nad głową pojawił się sufit karetki pogotowia. Parę gwałtownych ruchów przemieszczających jego ciało, po czym jęk syreny.

- Myślałem, że zawały przytrafiają się innym - wymruczał pod niczym adresem.

- Proszę się starać nie mówić - poradził czyjś przyjazny głos.

Z niewiadomego powodu zaczął chichotać. Być może był to skutek lekarstw, którymi go napompowano.

- Zawały i wybory - powiedział. - Większość przywódców musi im stawiać czoło. Czy uda mi się wygrać tym razem?

- Na pewno pan wygra - zapewnił go czyjś głos. - Proszę tylko nic nie mówić.

Rymann posłuchał polecenia zapadając w sen.

## 96.

Zaczęło się już ściemniać, gdy Lenie udało się niezauważenie przeciąć ostatni splot sznura krępującego jej nadgarstki. Zaczęła się zastanawiać, w jaki sposób uda się jej oswobodzić nogi, gdy nagle Sarcha oświadczył:

- Coś tutaj jest nie tak. - Przyciągając jedną z kamer telewizyjnych powiedział: - Joss! Prześlemy im obraz, na wypadek gdyby udało się im nas odebrać. - Wskazując palcem na Lenę powiedział: - Okay. Wiesz, co robić.

Zulus odrzucił strugany kawałek drewna, po czym zbliżył się do Leny, która wytrzymała jego spojrzenie bez mrugnięcia okiem. Pomimo strachu, jaki ją ogarnął, miała jeszcze na tyle przytomności, aby udawać, że ma nadal związane ręce.

- Co mam robić, panie Sarcha?

- Na rany boskie! - wymamrotał Sarcha, starając się ustawić ostrość na legowisko, na którym spoczywała Lena. - Zrób coś fotogenicznego na użytek naszego kochasia, gdyby tak przyszła mu ochota pograć z nami w kulki. - Sarcha włączył wewnętrzne oświetlenie w wozie kempingowym, aby dać kamerze optymalne warunki świetlne.

Lena musiała wyteńczyć całą siłę woli, aby nie zacząć się bronić w chwili, gdy Joss szarpnął za pasek jej spodni.

- Panie Sarcha, nie mogę z niej tego ściągnąć.

Sarcha sprawiał wrażenie, jak gdyby jego cierpliwość była już bliska wyczerpania.

- W takim razie, do cholery jasnej, uwolnij jej nogi. Nie będzie mogła wiele zdziałać mając związane ręce.

Joss pochylił się nad Leną, przecinając scyzorykiem krępujący jej nogi sznur. Ściągnął

jej spodnie i majteczki z nóg, przeciskając je następnie przez buty. Wydawał się jeszcze bardziej niepewny siebie w chwili, gdy Lena była już naga, oprócz przykrywającej ją bluzy. Odwrócił się, spoglądając pytająco na Sarchę.

- Na rany boskie - rzucił Sarcha z rozdrażnieniem. - Za co, do jasnej cholery, ci płacimy? Okay, potrzyмай kamerę, a ja zrobię, co trzeba.

W tej chwili stała się rzecz niemożliwa; Lena przekreśliła nagle na materacu ciało do pozycji klęczącej. Zanim Joss zdążył zareagować, rzuciła się w jego kierunku prowadząc ostrze noża pewnie w jego szyję i przecinając tętnicę szyjną. Oczy Zulusa zrobiły się okrągłe z przerażenia. Charcząc wykonał parę chwiejnych kroków do tyłu, trzymając się za szyję, jakby starając się zatrzymać strumień krwi tryskający mu między palcami.

Sarcha upuścił kamerę i zerwał się na nogi, gdy Lena otworzyła jednym szarpnięciem drzwi, ginąc w ciemności. Sarcha skoczył przez szerokość wozu kempingowego, wpadając po drodze na Jossa. Zulus uczeplił się jego, krztusząc się i dysząc, dając Lenie cenne sekundy. Sarcha odepchnął umierającego Zulusa na bok. Znajdując się na zewnątrz zaczął przeklinać ostre oświetlenie wozu, które uniemożliwiło mu dostrzeżenie czegokolwiek w ciemności.

W czasie paru sekund długie, wysportowane nogi Leny pozwoliły jej oddalić się o pięćdziesiąt jardów od wozu. Usłyszała odgłos wystrzału. W swoim przerażeniu wyobraziła sobie, że czuje pęd powietrza stworzony przez przelatujący z gwizdem pocisk. Następny pocisk zarył się w ziemi w odległości jednego jarda od jej biegnących stóp, obsypując nogi grudkami ziemi. W swojej rozpaczycy zdała sobie sprawę, że to jasnego koloru bluza safari daje Sarchy doskonały cel.

Sarcha zatrzymał się i starannie wymierzył w ciemnościach. Strzelił dwa razy. Tym razem stwierdził z zadowoleniem, że bluza opadła na ziemię.

## 97.

- Zupełnie zwariowałeś - zaprotestował Neil. - *Musimy* wylądować w Ośrodku Kennedy'ego. Nie uda mi się sięść tą maszyną w afrykańskim buszu.

Heinlein pozostawał niewzruszony.

- W końcu mówimy o specjalnym lądowisku awaryjnym wyznaczonym przez NASA. Sarcha sprawdził i oczyścił ten teren z wszelkich przeszkód. A teraz albo lądujesz, albo też nie uda się nam przesłać następnego komunikatu dla Sarchy. Już jeden opuściliśmy. Jeżeli przepuścimy jeszcze jeden, będzie to wyrok na Lenę. Tak więc, na co się decydujesz?

Neil miał zamiar spierać się z Izraelczykiem, lecz zdał sobie sprawę, że jest to bez

sensu.

- Będzie mi potrzebna pomoc ze strony kontroli lotów - odparł, sięgając do pulpitu łączności.

- Nie! Nie będziemy się już z nimi komunikować. Komputery pokładowe udzielą ci wszelkiej pomocy, jaka ci tylko będzie potrzebna. I nie próbuj mi wciskać, że tak nie jest, bo dobrze wiem, że potrafią to zrobić.

Neil nie odpowiedział. Wystukał kody przywołujące z pamięci komputera program wspomaganego lądowania na awaryjnym lądowisku Krugera, przyglądając się bacznie danym, jakie ukazały się na monitorze.

- Tam w Afryce jest teraz parę minut przed północą. Nie mogę lądować po ciemku. Pierwsza możliwość lądowania nadejdzie po ukończeniu następnych czterech orbit. Czyli o świcie jutro rano.

- Okay - odparł Heinlein. - Lepiej powiadommy o tym Sarchę.

## 98. Maj 12

Było coś dziwnego w pozycji Leny leżącej na trawie.

Ramiona były ułożone niewłaściwie. Pamiętając o tym, że kobieta ciągle ma jeszcze nóż, Sarcha ostrożnie zbliżył się do nieruchomego kształtu, żałując, że nie wrócił do wozu po latarkę. Na pewno już nie żyła. Jego zdolność widzenia w ciemnościach polepszyła się, kiedy przestał biec, strzelając po raz trzeci i czwarty. Był jednym z najlepszych strzelców w brytyjskich Specjalnych Siłach Powietrznych. Rzucił okiem za siebie na wóz kempingowy. Dzieliło go od niego pięćdziesiąt jardów. Na taką odległość było niemożliwe, żeby ostatnie dwa strzały mogły nie trafić dziewczyny w plecy. Już nie żyła. Nie mogło być inaczej.

Sarcha dotarł do Leny. Trzymając ją na muszce, trącił jej ciało nogą. W pierwszej chwili nie dowierzał swoim zmysłom. Jego stopa natrafiła na próżnię.

Wydając pomruk zdziwienia porwał do góry bluzę safari i wymamrotał pod nosem przekleństwo, gdy jego palce trafiły na dwa otwory po kulach. Wewnątrz nie było widać śladów krwi. Ta przebiegła suka musiała zdjąć z siebie bluzę i trzymać ją na odległość wyciągniętego ramienia w czasie biegu. Pomimo swej złości Sarcha nie mógł nie czuć podziwu dla pomysłowości dziewczyny. Rozglądał się wnikliwie wokół siebie wbijając wzrok w ciemność, zastanawiając się, gdzież, u diabła, mogła mu zginąć. Z paru powodów wracał do wozu kempingowego przy zachowaniu najwyższej ostrożności; była bezksiężycowa noc, Lena miała czarną skórę, była naga i pokazała, że potrafi posługiwać się

nożem.

## 99.

Heinlein przycisnął przycisk nadajnika.

- Papa Sierra. Tu Hotel Delta. Czy mnie słyszycie?

- Tak jest, Hotel Delta - odezwał się głos Sarchy po paru sekundach zwłoki. - Słyszemy was.

- Mamy tutaj pewne kłopoty. Skrzynka sterująca ładunkiem nie działa.

- Rany boskie - wybuchnął Sarcha. - Nie chce mi się wierzyć!

- Mnie też się nie chciało na samym początku, ale niestety to prawda. Nie mogę wysadzić ładunku.

Do rozmowy włączył się głos Makena.

- *Dominator?* Czy mnie słyszycie?

- Tak jest - odparł Heinlein. - Słyszemy.

- Co się stało? - zapytał przywódca OWP nienaturalnie spokojnym głosem.

- Przykro mi, proszę pana, ale wynikły poważne problemy ze skrzynką sterującą.

- Nie potraficie jej naprawić?

- Nie, proszę pana. Gdzieś jest usterka, ale nie potrafię jej zlokalizować.

- Ależ zrozumcie, wy musicie wysadzić ładunek! Po prostu musicie! Wszystko od tego zależy!

Heinlein żałował, że nie ma łączności telewizyjnej z Bakal, aby móc zobaczyć twarz przywódcy OWP. Na razie wystarczała mu nuta hysterii, jaka zabrzmiała w głosie Makena.

- Nie ma żadnej szansy, aby kontynuować zadanie bez sprawnej skrzynki sterującej - odparł ze spokojem Heinlein, nie spuszczać czujnego wzroku z Neila.

- Ale to jest wykluczone - wykrzyknął Maken. - Poświęciliśmy wszystko dla tej operacji...

- Z całym szacunkiem, proszę pana, nie kiwnęliście nawet palcem.

- Przyszłość całego naszego ruchu zależy od powodzenia pana zadania.

- Czy nie ma pan na myśli swojej własnej przyszłości? - zasugerował Heinlein. - Weszliśmy w ten interes z pełną świadomością. Wiedzieliśmy wszyscy, że szanse niepowodzenia były bardzo wysokie. No i nie udało się. I cokolwiek pan powie, nic tego nie zmieni. Sarcha, lądujemy o ósmej trzydzieści. Jak się miewa nasze ubezpieczenie?

- Czuje się dobrze.

- Lepiej miej ją pod ręką od około siódmej rano, gdyby wynikły jakieś problemy. A tymczasem spróbuj się zdrzemnąć.

## 100.

Lena wstrząsnęły mimowolne dreszcze, gdy leżała naga w trawie, prowadząc z bezpiecznej odległości obserwację wozu. Noc była przeraźliwie zimna, a jej nagość zwiększała uczucie bezbronności. Przyglądała się krzątaniu Sarchy wewnątrz wozu kempingowego, który przypuszczalnie sprzątał bałagan pozostawiony przez Zulusa. W chwilę później drzwi uchyliły się, wysyłając strugę światła w poprzek porośniętego krzakami terenu. Pojawiła się okrągła postać Sarchy, dźwigającego przez ramię ciało Jossa. Zniknął chwiejnym krokiem w ciemnościach, po czym wrócił po paru minutach bez Zulusa. Gdy Sarcha rozglądał się wkoło, Lena miała nieprzyjemne uczucie, że patrzy prosto na nią. Opuściła głowę i zacisnęła rękę na rękojeści noża. Zaraz potem usłyszała, jak Sarcha wchodzi do wozu, zamykając za sobą drzwi.

Odczekała godzinę od chwili zgaszenia świateł w wozie kempingowym, zanim podniosła się z ulgą z ziemi, otrzepując z roju insektów, które odkryły, że jest smacznym kąskiem.

Lena straciła piętnaście minut na poszukiwaniu zwłok Zulusa. Pomogło jej w tym zwierzę - przypuszczalnie hiena - które szczeknęło na odgłos jej kroków, uciekając następnie w mrok. Ciemności pozwoliły jej przezwyciężyć uczucie obrzydzenia, które czuła ściągając z Zulusa ubranie. Podkoszulek był nadal wilgotny od krwi, lecz przynajmniej spodnie leżały nieźle. Jakie to ma znaczenie, że należą do nieboszczyka, powiedziała sobie. Przynajmniej przywróciły jej pewność siebie i nie dały marznąć.

Powróciła w pobliże wozu kempingowego. Pamiętając o umiejętności Sarchy poruszania się bezgłośnie jak kot, podkrađła się bliżej, słysząc z ulgą odgłos jego chrapania. Wczołgała się pod wóz i rozłożyła, jak potrafiła najwygodniej w przekonaniu, że jest to ostatnie miejsce, w którym będzie jej szukał Sarcha. Nie miała określonego planu działania, ale była pewna, że coś wymyśli.

## 101.

Ocean Atlantycki wychylał się już zza horyzontu Ameryki Południowej, gdy Neil

stwierdził, że wszystkie czynności zostały wykonane w sposób zadowalający. Jego ostatnim zadaniem było sprawdzenie, czy bezwładne ciała Jima Baylissa i Mike'a Peppera zostały prawidłowo przytrzymane w śpiworach.

- Dojdą do siebie za jakieś dwanaście godzin - odparł Heinlein na pytanie Neila.

Heinlein i Neil usiedli na swoich fotelach i zapięli pasy, gdy *Dominator* przelatywał nad środkową częścią Atlantyku.

- Delta Hotel do Papa Sierra - nadał Heinlein. - Czy mnie słyszysz?

- Tak jest, Delta Hotel - odparł Sarcha głosem, który było ledwie słychać z powodu ogromnej odległości. - Słucham.

- Zjawię się za godzinę, Papa Sierra. Bądźcie w pogotowiu.

- Jestem w pogotowiu - potwierdził wiadomość Sarcha.

Heinlein zastanawiał się, jaka może być reakcja Sarchy, gdy dowie się, że przez parę miesięcy pracował na rzecz rządu Izraela, a nie swoich ulubionych klientów, jakimi była OWP. Spodziewał się, że Sarcha będzie wściekły. Wyjątkowo wściekły, a przez to i wyjątkowo niebezpieczny. Z tego to względu Heinlein zdecydował, iż nie ma innego wyboru, jak zabić Sarchę przy najbliższej okazji po wylądowaniu. Lecz w tym momencie w dalszym ciągu potrzebował pomocy małego, grubego Anglika.

Na ekranie radaru pojawiło się zachodnie wybrzeże Afryki.

- Pierwsza faza za dziesięć minut - oznajmił Neil.

- Powodzenia - odmruknął w odpowiedzi Heinlein, przesyłając Neilowi jeden ze swoich nielicznych uśmiechów.

W czasie oczekiwania, aż komputery rozpoczną pierwszą fazę lądowania myśli Neila wróciły automatycznie do Leny. Zmówił cichą modlitwę, aby nic się jej nie stało.

W czasie następnych pięciu minut mężczyźni nie zamienili ani słowa. Neil wpatrywał się z napięciem w ekran komputera. Okres oczekiwania powodował jedynie to, że myśl o lądowaniu orbiterem bez absolutnie żadnej pomocy z Ziemi ciążyła mu coraz bardziej niczym kamień w brzuchu. Na sygnał dany przez komputery zmienił nastawy przyrządów DAP, aby obrócić *Dominatora* o 180 stopni, wskutek czego pod koniec tego manewru prom leciał ogonem do przodu torem swojego lotu. Pięć minut później silniki dodatkowe ruszyły na okres trzech minut zmniejszając prędkość statku o dwieście mil na godzinę i powodując, że zaczął on liczące pięć tysięcy mil spiralne opadanie w kierunku Ziemi.

Po piętnastu minutach Neil ponownie obrócił prom, tak że teraz zwrócony był we właściwym kierunku. Jego dziób uniósł się automatycznie do góry, aby prom ustawił się osłoną termiczną w stosunku do atmosfery ziemskiej. Prom zaczął dygotać.

- Co to się dzieje? - zapytał ostro Heinlein.

- Okres wchodzenia - wyjaśnił spokojnie Neil, patrząc na centralny ekran. - Trzepotanie spowodowane przez atmosferę. Wchodzimy w nią z prędkością siedemdziesięciu tysięcy mil na godzinę. Będzie jeszcze gorzej. Zacznie się teraz przerwa w łączności radiowej.

Trzepotanie wzmogło się, stając się ogłuszającym rykiem. Heinlein starał się nie myśleć o tym, na jakie naprężenia narażony jest kadłub orbitera. Jego ciało było rzucone z jednej strony na drugą, w czasie gdy prom automatycznie wykonywał szereg ostrych skrętów. Odwrotnie niż przy starcie, pojazd był w odpowiednim położeniu w stosunku do Ziemi, tak więc jedyną rzeczą, jaką można było zobaczyć przez przednie okna, była czerń przestrzeni kosmicznej. W chwilę później trzepotanie zaczęło się nasilać. Jęki rozrzedzonej atmosfery zaczęły narastać, aż do chwili kiedy stały się wyciem tysięcy oszalałych demonów zawadzających za oknami. Na zewnątrz można było jedynie zobaczyć wiśniową poświatę. Żadna z książek na temat powrotu promu, które Heinlein przeczytał, nie przygotowała go do wspaniałego w swej grozie widowiska związanego z atmosferą, która wydawała się płonąć. Pomimo że miał nerwy jak ze stali, to jednak nie mógł powstrzymać się od rzucenia niespokojnego spojrzenia w bok, na Neila. Spokojny wyraz twarzy astronauty zapewnił go, że wszystko jest w porządku. Ryk wydawany przez prom trwał nadal przez zdające się być wiecznością minuty. Wreszcie, stopniowo, denerwujące trzepotanie ustało. Jaskrawe barwy, które płonęły wokół okien, przygasły, a zamiast nich pojawiło się pod nimi niebo. Niebo o zdecydowanym błękitcie.

- Okay, przeszliśmy przez to wszystko - powiedział

Neil, kładąc po raz pierwszy ręce na przyrządach sterowniczych.

- Czy okres ciszy radiowej już minął?

- Jasne. - Sprawdziwszy parę obrazów na monitorach dodał: - Wszystko w porządku. Jesteśmy w fazie automatycznego lądowania. Za dziesięć minut przyziemienie.

Heinlein wyrztał przez boczne okno i ujrzał ogromną, żółtoczerwoną plamę kontynentu afrykańskiego. Uruchamiając przycisk radia powiedział:

- Sarcha. Za osiem minut będziecie nas mieć w zasięgu wzroku.

\*\*\*

Powrót *Dominatora* śledzono również na ekranach radaru okrętu *Golda*. Odezwały się wszystkie brzęczyki alarmowe. Gus Yaricon zeskoczył z koi, ubierając się pospiesznie w kombinezon pilota. Dwie minuty później był już w powietrzu w swoim helikopterze Solomon, lecąc szybko, nisko oraz samotnie ponad powierzchnią wody w kierunku wybrzeża Mozambiku.



\*\*\*

Pozbawiony ciągu silników *Dominator* posiadał charakterystykę lotu, jaką ma spadająca cegła. W czasie opadania w kierunku Ziemi automatyczne komputery lądowania sprawowały się znakomicie; mając w pamięci ich miejsce lądowania, kierowały orbiterem w stronę Narodowego Parku Krugera z tak wielką precyzją, że trzeba było jedynie nieznacznych poprawek ze strony Neila. Dane, wyświetlane przez wyświetlacz refleksyjno-dyfrakcyjny HUD na przedniej szybie, informowały go bez przerwy o przebiegu lotu.

Teren pod nimi nabrał wyglądu ziemi porośniętej trawą. Po wstępnym odchyleniu dziobu do góry Neil odważył się na parę sekund pochylenia do przodu, aby móc zobaczyć miejsce, na którym przyszło mu lądować. Na dwie minuty przed przyziemieniem wygląd rosnących gdzieś drzew i krzewów cierniowca nie był wcale zachęcający.

\*\*\*

Cień rzucany przez helikopter Gusa Yaricona przemknął ponad płotem, biegnącym wzdłuż granicy pomiędzy Mozambikiem i Afryką Południową, postawionym dla ochrony weterynaryjnej zwierząt, gdy jego maszyna pędziła na spotkanie wschodzącego właśnie słońca. Był o dwie minuty za wcześnie w stosunku do przewidzianego dla niego grafiku lotu. „Lepiej być dwie minuty za wcześnie, niż spóźnić się o tyle samo”, pomyślał sobie.

Teren był płaski, wręcz niewiarygodnie płaski. Spoglądając bez przerwy na wskazania komputera nawigacji inercyjnej, aby mieć pewność, że znajduje się dokładnie na kursie, Gus Yaricon zaryzykował takie obniżenie wysokości lotu, że podmuch idący od wirujących łopat kładł na ziemię łąny traw porastających przerażający bezkres Narodowego Parku Krugera.

Nagle, w odległości dziesięciu kilometrów, pojawił się wóz kempingowy. Musiał to być ten właśnie wóz, którego szukał, bowiem miał właściwe położenie, lecz nigdzie nie było widać śladu promu.

\*\*\*

- Jest i wóz! - krzyknął Heinlein, pokazując go palcem. - I tyczki!

Neil sprawdził dane cyfrowe na wyświetlaczu refleksyjno-dyfrakcyjnym na znajdującej się przed nim szybie promu. Tyczki znajdowały się dokładnie na swoich miejscach - jedna z nich znaczyła początek pasa lądowania, a druga koniec, zaś wóz stał w pobliżu drugiej tyczki. W tej chwili w jego polu widzenia pojawił się helikopter.

\*\*\*

Dźwięk nadlatującego helikoptera spowodował, że Sarcha odwrócił gwałtownie okular lornetki od gwałtownie rosnącego zarysu *Dominatora*. Szok, jakiego doznał, omal nie spowodował wypuszczenia lornetki z ręki, nie tyle ze względu na miejsce, w którym maszyna

szkowała się do lądowania, co już samo w sobie było fatalne, ile przez to, co miała wymalowane na boku; bladoniebieską gwiazdę na tle białego koła.

- Rany Chryste! Oznaczenia Chel Ha'Avir!

Porwał za pistolet, ruszając biegiem w kierunku helikoptera, który właśnie wylądował na trawie. Wiedział, że ma niewielkie szanse na dotarcie do niego przed *Dominatorem*.

\*\*\*

- Nic na to nie poradzę! - krzyknął z rozpaczą Neil, wyłączając w panice urządzenia automatycznego lądowania i przejmując samemu stery. - Bez względu na to, czy jest tam helikopter, czy nie, i tak musimy lądować!

Heinlein zaklął pod nosem zobaczywszy oznaczenia helikoptera. Co za półgłówki i zupełni idioci! Nawet nie chciało im się zamaskować oznaczeń! Zdał sobie sprawę, że rozważania, jak się zachowa Sarcha, były ściśle teoretyczne; było absolutnie pewne, że *Dominatorowi* nie uda się uniknąć zderzenia z helikopterem.

Neil przytrzymał delikatnie kolumnę sterowniczą, niczym matka tuląca dziecko, po czym przycisnął przełącznik wypuszczający podwozie. Wpatrywał się przez boczne okna na trawę pędzącą mu na spotkanie. Bez towarzyszących mu zwykle w takich przypadkach przyjaznych głosów odliczających gwałtownie malejącą wysokość, każda sekunda oczekiwania na kontakt z ziemią była osobnym, przerażającym doświadczeniem.

Dziesięć stóp, przekazał mu na wyświetlaczu refleksyjno-dyfrakcyjnym radar informujący o odległości do ziemi.

Helikopter znajdował się w odległości czterech mil. Dokładnie przed nimi. Jego wirujące łopaty tworzyły błyszczący okrąg światła.

Osiem stóp, wskazał radar odległość do Ziemi.

- Jest tam Sarcha! - krzyknął Heinlein, wskazując palcem na tęgą postać biegnącą w kierunku helikoptera.

Neil nie zwrócił na niego uwagi. Dzielił uwagę między odczyt na szybie a zamazany widok pędzących traw.

Cztery stopy. Dziób trochę za wysoko. Trochę w dół. Nie za dużo.

Trzy stopy.

Spokojnie... spokojnie... tak trzymać!

Zetknięcie się z ziemią, kiedy wreszcie nastąpiło, spowodowało gwałtowne wyhamowanie pędu i szereg uderzeń, od których wydawało się pewne, że *Dominator* rozleci się na kawałki. Obaj mężczyźni zostali rzućni do przodu, napierając na pasy bezpieczeństwa. Dziób statku opadł, a przednie koło dodało trzecią bruzdę do dwóch, które pędzący orbiter

złobił już po afrykańskim krajobrazie. Helikopter znajdował się zaledwie pół mili z przodu, dokładnie przed pędzącym *Dominatorem*.

Gus Yaricon wpatrywał się w niewysoką, krępą postać biegnącą w jego kierunku, kiedy zabrzmiał brzęczyk ostrzegawczy radaru. Przekręcił się do tyłu na fotelu. W odległości pięciuset jardów pędziła na niego niczym lawina ściana pyłu.

\*\*\*

Neil nadepnął z całej siły na hamulce, gdy szybkościomierz wskazywał groźne w następstwa dziewięćdziesiąt węzłów. Nie miał żadnego wyboru - helikopter znajdował się pięćset jardów przed nim. Nie bardzo pamiętał, co się wydarzyło w chwilę potem, bowiem nigdy przedtem nie doświadczył takich wstrząsów przy lądowaniu. Jakimś cudem podwozie *Dominatora* wytrzymało odnoszone wstrząsy. Prom miotał się na boki, wznosząc przy tym ogromną chmurę kurzu, wciąż jednak sunąc w kierunku helikoptera.

Dwieście jardów. Zderzenie wydawało się nieuniknione. Neil nie panował już nad promem. A nawet gdyby nad nim panował, to i tak drgania, powodowane przez koła podwozia uderzające w różne przeszkody, były tak silne i występowały z takim natężeniem, że nie udało mu się zmusić swoich rąk do skoordynowanych ruchów. Ponad falą hałasu docierał do niego ryk turbiny helikoptera. Błysk śmig i kabina z pleksi wydawało się, że odskakuje w niebo, i helikopter zniknął.

Po serii podskoków orbiter stanął w miejscu. Przez chwilę chwiał się jak pijany na swoim zmaltretowanym podwoziu, aby wreszcie znieruchomieć.

Był to podwójny cud; w trakcie lądowania *Dominator* wykonał obrót o trzysta sześćdziesiąt stopni, a jednak udało mu się zatrzymać bez rozsypania się na kawałki, w dodatku nie zderzając się z helikopterem.

\*\*\*

Sarcha rzucił się w bok. Przednie koło *Dominatora* minęło go w odległości paru cali. Na wpół oślepiony przez wirujące kłęby kurzu wystrzelił dwukrotnie w kierunku nabierającego wysokości helikoptera, w chwili gdy znajdował się on jeszcze poniżej trzydziestu stóp ponad ziemią. Drugi pocisk przeorał czaszkę Gusa Yaricon. Izraelski pilot starał się z całych sił utrzymać drążek skoku okresowego, powstrzymując równocześnie strumień krwi zalewający mu oczy. Helikopter runął na bok, po czym wylądował z siłą zdolną pogiąć podwozie. Sarcha nie zwracał uwagi na kłęby kurzu wzbijane przez wirujące śmigła. Wspiąwszy się na czubki palców, otworzył nagle drzwi kabiny pilota. Gus Yaricon starał się rozpaczliwie zatamować strumień krwi płynący mu po twarzy. Sarcha szarpnięciem rozdarł skafander pilota. Mundur Chel Ha'Avir potwierdził jego podejrzenia. Był już przygotowany

do zabicia pilota, gdy zdał sobie sprawę, że będzie mu bardzo potrzebny każdy nabój w pistolecie dla porachowania się z Heinleinem i O'Harą.

Nagły, donośny dźwięk alarmu elektronicznego stwierdzającego wykrycie dymu na pokładzie załogowym *Dominatora* dało Neilowi całą przewagę zaskoczenia, jakiej potrzebował. Odpiąwszy pasy fotela rzucił się na Izraelczyka, uderzając go pięścią prosto w twarz.

Nie zatrzymując się, aby stwierdzić, czy udało mu się pozbawić Heinleina przytomności ani też nie próbując zagarnąć pistoletu, Neil zeskoczył poprzez właz na pokład środkowy. Zwolnił zaczepy awaryjne na klapie zamykającej wejście do promu, która opadła gwałtownie do pozycji horyzontalnej. Pokład środkowy wypełniły kłęby kurzu wzbijane przez stojącego opodal salomona. Neil odepchnął na bok pręt zagrządzający wyjście i przygotował się do zeskoczenia z dziesięciu stóp wysokości na ziemię, gdy został pochwycony z tyłu przez Heinleina.

- Neil! Uwważaj na Sarchę! On cię zabije! Zabije nas obu!

- Muszę dostać się do Leny! - rzucił Neil zdyszczanym głosem.

- Wysłuchaj mnie, na miłość boską!

Pod ich stopami pojawił się Sarcha. Kręcące się w powietrzu kłęby kurzu nie pozwoliły mu dokładnie wymierzyć; kula przebiła mięśnie ramienia Neila, wbijając się następnie w kadłub *Dominatora*. Heinlein odepchnął Neila na bok, po czym wyskoczył przez właz na ziemię. Mały, gruby Anglik zrobił unik w bok. Gdy Heinlein wylądował w obłoku kurzu, Sarcha stwierdził, że nie jest on uzbrojony. Jego pucułowatą twarz wykrzywił uśmiech triumfu. Zniżył broń. Tym razem nie mógł chybić.

Nagle czyjś głos zawołał za jego plecami:

- Sarcha!

Obracając się na pięcie spojrzał z przerażeniem i niedowierzaniem na widok Jossa - martwego Zulusa - rzucającego się na niego. Po raz pierwszy i zarazem ostami w swojej długiej karierze posługiwania się bronią Anglik zawahał się. Zareagował dopiero w chwili, gdy z absolutną precyzją Lena wbiła mu nóż w serce.

Zareagował przez bezwolne oddanie dwóch strzałów w ziemię, po czym jego pozbawione życia ciało osunęło się bezwładnie.

## 102.

Gus Yaricon stał zniecierpliwiony w drzwiach wozu kempingowego przyciskając

opatrunek do głowy, zaś w tym czasie Heinlein opatrzył ranę Neila. Były astronauta leżał na boku, Lena obejmowała go za głowę.

- Pospieszcie się - powiedział Izraelczyk proszącym tonem. - Mamy już trzy minuty spóźnienia wobec planu.

- Gdybyś nie przyleciał za wcześnie, może coś takiego nigdy by się nie wydarzyło - zwrócił mu uwagę Heinlein. Podniósł się, pakując szybko apteczkę pokładową Salomona. - Okay, przeżyjesz to. Nie daj mu tylko zbyt się poruszać, Leno. - Przesłał Amerykance jeden ze swoich rzadkich uśmiechów. - I żebyś go za bardzo nie podniecała.

- Musimy już ruszać - upierał się Gus Yaricon.

- Davidzie - odezwał się Neil, zwracając się po raz pierwszy do Izraelczyka po imieniu i wyciągając do niego swoją zdrową rękę.

Heinlein spojrzał pytająco na Neila. Po chwili zastanowienia ucisnął wyciągniętą dłoń, mocno nią potrząsając.

- Powodzenia - rzucił Neil. - Może się kiedyś jeszcze zobaczymy, kiedy uda się nam wpaść do Izraela?

- Może - odparł niezobowiązująco Heinlein. - Być może. - Obracając się do Gusa Yaricona rzucił: - Poruczniku, czy możecie mi powiedzieć, na co, do jasnej cholery, czekamy?

\*\*\*

W piętnaście minut po odlocie solomona na miejscu lądowania pojawił się następny helikopter. Nowo przybyła maszyna nosiła znaki Sił Powietrznych Południowej Afryki.

## 103. Trzynasty maja

Earl Hackett wszedł szybko do wydzielonego oddziału szpitala wojskowego w Pretorii.

- Cześć, Neil. Jak leci? A co u ciebie, Leno? Słyszałem już o waszych przejściach.

Neil powitał Hacketta z prawdziwą przyjemnością i z pomocą Leny podniósł się do pozycji siedzącej. Cała trójka prowadziła przez parę minut ożywioną rozmowę.

- *Dominator* jest w wyjątkowo dobrym stanie - oświadczył z entuzjazmem Hackett, skubiąc kiść winogron, którą Neil trzymał przy łóżku. - Naprawdę w doskonałym. Odwaliłeś kawał dobrej roboty, Neil. Prześlemy urządzenia do lądowania, aby można go było przewieźć do najbliższej bazy SAAF, a następnie na grzbiecie boeinga do Ośrodka Kennedy'ego. Nie powinno być z tym najmniejszego problemu. - Hackett sposobił się już do porwania pomarańczy, gdy napotkał ostrzegawcze spojrzenie Leny.

- Czy wiadomo coś w sprawie Mike'a i Jima? - zapytał Neil. Ta sprawa nie dawała mu spokoju.

- Czują się dobrze. Wybierali się wpaść do ciebie po południu.

- Czyj to był pomysł, żeby mnie tutaj wsadzić? Jestem przecież cywilem. I kiedy w końcu pojedziemy do domu?

Hackett powstrzymał jego potok słów podniesieniem ręki.

- Spokojnie, jedno pytanie naraz. Będąc tutaj jesteś poza zasięgiem prasy. A lekarze uważają, że jutro będziesz się nadawał do podróży.

Rozmowa przeniosła się na Heinleina.

- Wygląda na to, że uszło mu to płazem - przyznał niechętnie Hackett. Spojrzał badawczo najpierw na Neila, a potem na Lenę. - Czy macie o to żal?

Lena zmieniła temat rozmowy zadając pytanie:

- A co dokładnie Izrael zamierzał uzyskać w wyniku tej operacji?

- Trzy lata - odparł Neil, przypominając sobie rozmowy z Heinleinem. - Oglądałem w dzienniku sprawozdanie z podpisania porozumienia o nowych dostawach broni. Wygląda na to, że dostali to, o co zabiegali.

- Ale po co im te trzy lata? - dociekała dalej Lena.

- Wystarczy, aby wygrać wojnę.

- Albo ją przegrać - zauważył sucho Hackett. - Przy okazji, gdy tylko wydobreje ta twoja ręka, będziemy mieli dla ciebie lot orbiterem.

Neil spojrzał zaskoczony.

- Kogo masz na myśli mówiąc „my”? Pelhama?

- Pelhama już nie ma - odparł zdawkowo Hackett. - Wczoraj złożył wypowiedzenie. Na razie ja pełnię obowiązki dyrektora.

- Moje gratulacje, Earl. Może już tak zostanie?

- Może - odparł Hackett niezobowiązująco.

- Więc w jakim charakterze mam polecić? Jako specjalista od ładunków?

Hackett zgrzył winogrona.

- Na czas tego zadania lepiej bądź dowódcą.

- Że jak?!

- Słyszałeś, co powiedziałem.

- Czy to znaczy, że odzyskam swój dawny etat?

- No, do cholery, chyba na to wychodzi - odparł Hackett, starając się bardzo, aby się nie uśmiechnąć. - Nic się nie martw. Wystarczy roboty dla ciebie, kiedy zaczniemy budowę tego

orbitalnego hotelu.

Neil objął Lenę swoim zdrowym ramieniem. Jej ręka zacisnęła się na jego dłoni.

- Więc jakiego typu będzie to zadanie? - zaciekawiał się Neil. - Czy coś interesującego?

## 104.

Neil otworzył pokrywę na ostatniej Masadzie i przestawił pokręta na właściwe pozycje.

- W porządku, Mike - powiedział, odpychając swoje pozbawione ciężaru, ubrane w kosmiczny skafander ciało od wysięgnika Kanada. - Rozbrojona.

Mike Pepper pracował w tylnym pomieszczeniu promu *Kondor*. Posługując się dźwigniami sterującymi wysięgnikiem oraz korzystając z pomocy Neila, wpuścił raketę do luku orbitera, układając ją obok trzech Masad, które już tam spoczywały. Neil przez następne trzydzieści minut sprawdzał, czy cztery pociski zostały odpowiednio zamocowane.

- Wygląda, że jest w porządku - odezwał się głos Hacketta w chwili, gdy przesłany obraz ładunku dotarł na monitory Ośrodka im. Kennedy'ego.

Neil potwierdził komunikat, dając polecenie zamknięcia drzwi luku ładunkowego.

Jim Bayliss przywitał Neila wychodzącego ze służby powietrznej kubkiem kawy.

- Earl chce z tobą rozmawiać.

- Dzięki, Jim - odparł Neil, siadając na fotelu dowódcy. - Kontrola, tu *Kondor*. Odbiór.

- Przejdź na kanał dwunasty na UHF - polecił mu Hackett. - Mamy dla ciebie pewne informacje. Odebraliśmy je z izraelskiego satelitarnego dziennika telewizyjnego mniej więcej przed godziną.

Zaciekawiony Neil wykonał polecenie.

- Zrobione. Możesz zaczynać, Earl.

Na monitorze przed Neilem ukazał się obraz. Najpierw parę widoków z Jerozolimy, a następnie kamera przesunęła się na pełną ludzi salę obrad, w której wygłaszał po hebrajsku przemówienie Hendrik Rymann. Neilowi opadła szczęka na widok zbliżenia twarzy Heinleina. Kamerzysta zmienił kadr, ukazując Rymanna przypinającego medal do nieskazitelnego munduru Heinleina i potrząsającego serdecznie jego ręką: *Porucznik Heinlein otrzymuje Ot Haoz z rąk premiera Hendrika Rymanna*, ukazał się komentarz wyświetlony na dole ekranu.

- A czym jest *Ot Haoz*? - zapytał Neil.

- Wydaje mi się, że to izraelski odpowiednik naszego Honorowego Medalu Kongresu - odparł Hackett.

## 105.

Ze skrzydłami mocno odchylonymi w kierunku kadłuba przypominającego cielsko rekina, myśliwiec bombardujący mknął z olbrzymią prędkością, w wyniku której tytanowe blachy jego poszycia zaczęły się żarzyć.

Pilot MIG-a35 nie miał specjalnie wiele do roboty. Armon Habet siedział otoczony milczącą ścianą urządzeń elektronicznych i zegarów. Komputery pokładowe sterowały każdym aspektem lotu, przekładając sygnały płynące z omiatających ziemię radarów na impulsy utrzymujące maszynę z absolutną precyzją na kursie i odpowiedniej wysokości.

Armon znajdował się o dwie minuty lotu od swego celu - stacji przeładunkowej ropy w Hajfie, gdy zabrzmiał ostrzegawczy brzęczyk radaru sygnalizującego zbliżanie się nieprzyjaciela. - Formacja B9 - oznajmił syntetyczny głos z komputera. W samym środku lusterka Armona ukazał się wstrętny mu kształt B9 o przekroju X, widzianego od samego przodu. Puls Armona raptownie podskoczył. B9! Wydział operacyjny powiedział mu, że Izrael nie użyje cennych B9 przeciwko pojedynczemu samolotowi lecącemu na niskim pułapie.

Kontrolę nad samolotem przejął system unikania MIG-a. Mimo że samolot OWP wykonywał nagle skręty i obroty starając się zgubić pościg, to jednak samolot o kształcie X dokładnie powielał manewry swojej ofiary, pozostając uparcie w samym środku lusterka Armona. Zobaczył dwa jasne błyski. Potem nastąpiła eksplozja. A potem już nic.

B9 odszedł od celu wzbijając się na bezpieczną wysokość. Izraelski pilot powiadomił bazę o zestrzeleniu nieprzyjaciela, spoglądając ponad krawędzią osłony kabiny na szczątki MIG-a 35 Armona opadające na wody zatoki.

Dziwny zbieg okoliczności sprawił, że dokładnie rok wcześniej ten sam MIG-35, prowadzony przez tego samego pilota, dokonał ataku raketowego na Dan Hotel w Netanja.